



MARIUSZ URBANEK

Waldorff

Ostatni baron
Peerelu



101

MARIUSZ URBANEK

Waldorff

Ostatni baron Peerelu



Kto chce, mówi do mnie „panie baronie”, ja mam to głęboko w nosie...

Nie wiadomo już, kto pierwszy nazwał go baronem. On sam przekonywał, że nie ma do takiej nazwy prawa. Owszem, w połowie XIX wieku arystokratyczny tytuł kupił sobie w Wiedniu i używał jego cioteczny dziadek, Franciszek Karol Szuster, ale bez prawa dziedziczenia.

- Kto chce, mówi do mnie „panie baronie”, ale ja mam to głęboko w nosie - oświadczył kiedyś. Wolał przywoływać praszczura herbu Nabram, który pod rodzowym zawołaniem miał walczyć w bitwie pod Grunwaldem. I to bynajmniej nie po stronie wojsk Władysława Jagiełły, dodawał prowokacyjnie.

- To władze komunistyczne sugerowały, że jestem baronem - tłumaczył.

Widocznie, jeśli ktoś w PRL miał przypominać barona: postawą, językiem, manierami i wyniosłą niezależnością, to właśnie Jerzy Waldorff.

- Dla mnie jest arystokratą, choćby nie miał na to dokumentów - powiedziała o nim kiedyś hrabina Anna Branicka-Wolska. - Arystokracja ducha nie potrzebuje takiego potwierdzenia.

Niechaj też wraz ze mną spocznie Mieczysław Jankowski...

Anegdota mówi, że jesienią 1939 roku z Warszawy do zajętego przez Rosjan i przekazanego następnie Litwinom Wilna wyruszyło trzech mężczyzn. Jan Ekier, Michał Tyszkiewicz i Jerzy Waldorff. Szli po największe miłości swego życia. Ekier po aktorkę Danutę Szaflarską, Tyszkiewicz po Hanke Ordonównę, Waldorff... po Mieczysława Jankowskiego.

Opowieść nie jest w stu procentach prawdziwa. Hrabia Tyszkiewicz nie mógł wtedy iść do Wilna, ale Waldorff naprawdę przedzierał się przez dwie granice, żeby odnaleźć człowieka, którego kochał. Tworzyli parę przez prawie sześćdziesiąt jeden lat.

Jerzy Waldorff zmarł, gdy kończył się wiek XX. Czterdzieści lat wcześniej sporządził testament. 30 kwietnia 1959 roku w obecności dwóch notariuszy ustanowił swoim spadkobiercą Mieczysława Jankowskiego, syna Jana i Marii.

5 listopada 1989 roku uzupełnił testament o odrębny kodycył, rozwijając wcześniejszy zapis. „Mieczysław Jankowski, nasz daleki powinowaty, na przełomie lat 1939 i 1940 uciekł z Wilna przed łapankami sowieckimi i został przyjęty w Warszawie przez moją matkę za drugiego syna, a przeze mnie jako brat z wyboru. Odtąd idziemy razem przez życie, mieszkając, gospodarując wspólnie ponad pół wieku” - pisał.

W ostatnim w życiu wywiadzie, którego udzielił Bohdanowi Gadomskiemu, na

pytanie, kim jest mężczyzna, z którym mieszka, odpowiedział, że to cioteczny brat. Przyjechał do Polski w 1939 roku, uciekając przed wywiezieniem na Sybir. „Tak jak stał, przyszedł do naszego domu i został uznany przez moją matkę za drugiego syna. Matka umarła, a my obaj dalej toczyliśmy ten bardzo głęboko kawalerski żywot” - mówił.

Taka była wersja dla opinii publicznej. „Mieszka z młodszym bratem (ciotecznym), emerytem Teatru Wielkiego w Warszawie” - informował w 1990 roku dziennikarz „Wprost”. Telefony odbiera „pan Mieczysław, daleki kuzyn Jerzego Waldorffa z Wilna” - napisała dwa lata później dziennikarka „Twojego Stylu”.

Prawda była inna. Mieczysław Jankowski nie był ani ciotecznym bratem Waldorffa, ani dalekim kuzynem. Był mężczyzną, z którym Jerzy

Waldorff spędził życie. Partnerem, kochankiem i opiekunem, bez którego pod koniec życia, kiedy poruszał się już wyłącznie o kulach, nie poradziłby sobie.

„Mieliśmy przychodne służące, ale okradały nas” - pisał Waldorff w kodycyli do testamentu. Wtedy Mieczysław Jankowski wziął na siebie trud prowadzenia domu. Gotował, sprzątał i prał. Nie zmuszały go do tego trudne warunki. Jako tancerz Teatru Wielkiego, a później inspektor baletu i pedagog w Warszawskiej Szkole Baletowej zarabiał wystarczająco dużo, żeby się utrzymać. Kiedy przeszedł na wczesną emeryturę przysługującą tancerzom, była ona równie wysoka jak emerytura Waldorffa, „...za samodzielne prowadzenie domu (...) nigdy nie pobierał żadnej pensji, czym zyskał we mnie dłużnika, na jaką sumę?...” - napisał Waldorff w testamencie.

Uzupełniał swą ostatnią wolę, dobrze wiedząc, że polski system prawny nie zna pojęcia „związków partnerskich”. Osoby homoseksualne, mimo lat przeżytych razem, nie mają żadnych wynikających z tego uprawnień. Także prawa do dziedziczenia po sobie dorobku wspólnego życia. Bał się, że kiedy go zabraknie, człowiek, z którym żył od pół wieku, może zostać pozbawiony wszystkiego. Dlatego chciał, najlepiej jak umiał, zabezpieczyć los Jankowskiego.

„W związku z panującą w Polsce inflacją nie można ustalić wartości pracy Mieczysława Jankowskiego przez lata naszego wspólnego życia” - pisał. Dlatego („Wobec faktu, że również w Polsce walutą porównawczą stał się dolar USA” - napisał w kodycyli) zwrócił się w tej sprawie do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Poinformowano go, że wykwalifikowana pomoc domowa w USA otrzymuje za godzinę pracy do 20 dolarów. „W tej sytuacji zapisu mojego w akcie notarialnym nie można traktować jako spadku na rzecz Mieczysława Jankowskiego, lecz jako częściową tylko spłatę długu, z tytułu jego należności za pracę w moim domu przez tak długi czas. Na co zwracam uwagę władz

podatkowych!” - podsumował wyliczenia.

Było jeszcze postscriptum. Jerzy Waldorff prosił wykonawców testamentu, by wyjednali u władz kurii warszawskiej zgodę na pochowanie go na Powązkach po północnej stronie katakumb. Bo tam leży stara Warszawa, jedyna, którą naprawdę kochał i akceptował. „Niechaj też wraz ze mną spocznie Mieczysław Jankowski” - napisał.

Niechaj też wraz ze mną spocznie Mieczysław Jankowski...

Nigdy, do końca życia, nie ujawnił swojej orientacji seksualnej. Podczas telewizyjnego wywiadu na początku lat dziewięćdziesiątych Tomasz Raczek zapytał go, czy w życiu, tak jak w muzyce, miał tylko jedną miłość? Odpowiedział krótko: - Jedną, ale pan wybaczy, nie będę się z tego zwierzał, „...w kuchni dostrzegłem stojącą w fartuszkach odpowiedź na zadane mu wcześniej pytanie” - wspominał wywiad Raczek, „...pan Miecio siedział w kuchni i nie wolno mu było stamtąd wychodzić” - dodał już po latach.

W twórczości Waldorffa wątek uczucia do innego mężczyzny pojawia się rzadko. W powieści *Fidrek* i kilku opowiadaniach. Ci, którzy i tak wiedzieli, musieli dostrzegać te łatwe do odczytania sygnały, ci, którzy się tylko domyślali, dalej pozostawali z domysłami.

W *Tańcu życia ze śmiercią* opisał spotkanie z przyjacielem sprzed lat, z którym widywał się we Włoszech, gdy zbierał materiały do książki o faszyzmie. Krótka chwila na lotnisku w Kopenhadze nie sprzyjała rozpamiętywaniu przeszłości. „Niemo trzymaliśmy się za ręce, wpatrzni sobie w oczy...” - wspominał Waldorff. Po chwili głośniki zaczęły wzywać pasażerów do odprawy.

Młodego Norwega, tytułowego bohatera opowiadania *Olaf*, poznał podczas pobytu w Bergen. Więzy rodząca się między chłopcem, szukającym kogoś, kto pomoże mu wyrwać się w świat, a mężczyzną, który próbuje nie uronić nic z krótkich chwil fascynacji młodością Olafa, przesiąknięta jest erotycznym napięciem.

Można takich akcentów doszukiwać się także w przedwojennej korespondencji Waldorffa z matką. W 1937 roku, relacjonując pobyt we Włoszech, pochwalił się, że w hotelu obsługuje go chłopiec piękny jak aniołowie na obrazach Perugina. „Ma szesnaście lat, czarne oczy większe chyba od ust i imię: Bonawentura” - zachwycił się.

Ale wyraźnie była w Waldorffie potrzeba, żeby opowiedzieć ludziom także o człowieku, z którym żył przez wszystkie te lata. Żeby wymienić przynajmniej jego imię. Tak jak w rozmowie wypowiada się czasem imię ukochanej osoby tylko po to, by je usłyszeć, bo przecież nikt inny go nie wypowie. Takich miejsc jest w jego książkach wiele.

„Mieszkaliśmy w trójkącie przyjaciół: u siebie Gałczyńscy, na pierwszym piętrze willi nieopodal malarz Jerzy Zaruba ze swoją angielską żoną Florą (...), w trzecim rogu, w

wynajętym pokoju - ja z Mietkiem” - opowiadał o ostatnim przedwojennym lecie spędzonym w Aninie.

„Powstanie zaskoczyło nas z Mietkiem w starej drewnianej willi pod Puszcą Kampinoską” - wspominał rok 1944.

„Zerwałem się, szturchnąłem w bok Mietka: - Wstawaj” - opisywał pierwszą noc po wysiedleniu z Warszawy po klęsce powstania.

„Mieszkaliśmy tylko o jedną ulicę odległości: oni na Szucha, ja z moim bratem Mieczysławem na Koszykowej” - pisał o sąsiedztwie z Lidią i Stefanem Kisielewskimi.

Przed Jankowskim był Isio, kolega z gimnazjum im. Marcinkowskiego, i... były dziewczyny. Wśród nich takie, z którymi znajomość traktował bardzo poważnie. Z podróży do Włoch, latem 1935 roku, pisał do matki, że jest chyba najszczęśliwszym z ludzi. Bo... zakochał się. „...w razie czego będziesz miała synową «ef, ef»,, - zapewnił matkę. Ale ślub będzie możliwy najwcześniej za dwa lata - pisał - bo ukochana ma dopiero... piętnaście lat”.

Mylił tropy. W felietonach i wywiadach systematycznie pojawiały się zdania, które miały odwracać uwagę.

„Stosunek mam do muzyki jak do żony, z którą leży się we wspólnym łóżku od z górą pół wieku: wyrwać się i na dziwki! - ale już za późno” - pisał w jednym z felietonów w „Polityce”. „Nikogo nie zdradziłem. Najwyżej jakąś źle upudrowaną blondynkę na rzecz długonogiej brunetki z warszawskiego kabaretu”, - odpowiedział dziennikarzowi na pytanie, dlaczego zdradził karierę prawniczą dla muzyki.

Kiedy w latach osiemdziesiątych znalazł się w Wilnie, dziennikarka polskojęzycznego „Czerwonego Sztandaru” zapytała, co go sprowadza. - Miłość do miasta, w którym po raz pierwszy się zakochałem, odpowiedział, „...w Litwinie” - dodał.

Z Wilna pochodził Mieczysław Jankowski.

Szczeniak bajecznie elegancki, młody i głupi...

Gdyby wybrał inaczej, mógłby nazwać się Jerzy Nabram albo Jerzy Kłobuk. Wolał - Waldorff... choć nigdy nie wytłumaczył dlaczego. Być może po prostu właśnie tak brzmiało najlepiej.

Nabram, Kłobuk, Waldorff to nazwy tego samego szlacheckiego herbu, znanego już w XIV wieku, „...którego znakiem w polu białym trzy belki czarne, od głowy tarczy w długość wyprowadzone” - pisał Jan Długosz. Autorzy późniejszych herbarzy, Kasper Niesiecki i Józef Szymański, tłumaczyli już jaśniej, że herb Nabram to sześć pionowych pasów, trzy czarne i trzy białe lub srebrne, umieszczonych na tarczy na przemian, poczynając z prawej strony od

pola czarnego. Koronę herbu wieńczyły trzy strusie pióra.

W sporządzonej w latach osiemdziesiątych XX wieku odręcznej notce Jerzy Waldorff napisał, że jego rodzina od roku 1240, czyli szóstej wyprawy krzyżowej, posługiwała się herbem Nabram, a jej zawołanie bitewne lub przydomek brzmiało Waldorff. Ale jako dowód używania herbu załączył wizytówkę swej babki, Kamilli z Waskiewiczów Preyssowej, z roku... 1888.

...ja nie pochodzę z rodziny arystokratycznej, tylko z bardzo starej szlachty. Jestem herbu Nabram, nadanego przez Ludwika Świętego podczas ostatniej krucjaty - mówił Tomaszowi Raczkowi. - Nie mam tytułu hrabiego ani barona, kupionego za ciężkie pieniądze - jak zrobił to mój dziadek Schuster. Był drukarzem, dorobił się na tym, kupił sobie w Wiedniu tytuł i został baronem von Fernen vel Schuster. Mój ojciec bardzo z tego kpił. Mówił, że dziadek jest von Frecher vel Schuster”.

Czyli tłumacząc na polski - Zuchwały Fuszer.

Po mieczu Jerzy Waldorff wywodził się z Kujaw, po kądzieli z Warszawy. O jego przodkach najwięcej, choć nie zawsze precyzyjnie, wiadomo od niego samego. Rodzina ojca to były zasiedziałe przez wieki między Włocławkiem a Gniezmem rody Mlickich z Obudna, Jaczyńskich z Marcinkowa, Szumlańskich z Kątna. Ci ostatni szczególnie dumni byli z pradziada, który był osobistym adiutantem księcia Józefa Poniatowskiego. A po praprababce Agnieszce Paruszewskiej, która żyła jeszcze w czasach Augusta III, w dokumentach rodzinnych zachował się akt dzierżawy, spisany z wielkim łowczym litewskim. Najbliżej jednak było Waldorffowi do Waskiewiczów z Łowicza, z których to wywodziła się także pierwsza żona jego ojca. Wśród nielicznych ocalałych po powstaniu 1944 roku rodzinnych obrazów zachował się portret Wincentego Waskiewicza, który w młodości był jednym z licznych adiutantów Napoleona, a na starość został marszałkiem szlachty kujawskiej, „...spogląda na mnie pewno z zadowoleniem, że nosimy podobne grzywki na czołach” - pisał Waldorff.

Ojciec wywodził się z bardzo rozgałęzionego i równie jurnego rodu Preyssów. We wspomnieniowych Moich lampkach oliwnych Waldorff umieścił zdjęcie prababki po mieczu Alfonsowej hrabiny Dąbskiej. Delikatnego zdrowia dziewczyna zgodnie z wymogami epoki poszła do ołtarza jako dziewica - pisał - ale po ślubie „została przez męża byczka (zakochana na śmierć)„. Krótco potem zmarła na suchoty.

Siedzibą rodu Preyssów była wieś Pieranie pod Inowrocławiem. Rodowy pałac, niezbyt wielki, ale wygodny i otoczony dużym ogrodem, stał na wprost drewnianej pierańskiej bazyliki pod wezwaniem św. Mikołaja, w której do dziś znajduje się słynący

cudaми obraz Matki Boskiej. Jeżdżąc na kuracje do Ciechocinka, Waldorff wpadał do Pierania, by choć spojrzeć na majątek przodków. Nie miał jednak okazji, by użyć pałacowego życia, bo rodowe gniazdo wydzierżawił, owdowiawszy, jeszcze jego dziad Apolinary.

Dziadek Preyss chciał dla swego urodzonego w 1856 roku syna, Witolda, ojca Jerzego, innego, lepszego życia. Nie na roli, a w wielkim świecie. Dlatego zarobione na dzierżawie pieniądze przeznaczył na kształcenie Witolda. Najpierw w Inowrocławiu, a potem na politechnice w Zurychu, „...uważał, iż powinien syna kształcić nie na jednego więcej hreczkosieja, ale na całkiem nowoczesną osobę” - pisał po latach Jerzy Waldorff.

W inowrocławskim gimnazjum, do którego chodził razem z przyszłym wybitnym poetą Janem Kasprowiczem, Witold ujawnił skłonności buntownicze. Był prezesem tajnej patriotycznej organizacji szkolnej im. Tomasza Zana, a później sam założył tajne kółko literackie „Wincenty Pol”, do którego należał także Kasprowicz. Gdy wyjeżdżał na studia, Kasprowicz i koledzy ofiarowali mu pamiątkowy pierścień z wrytymi inicjałami słów: Wolność, Równość, Niepodległość...

Szczeniak bajecznie elegancki, młody i głupi...

Po studiach w Szwajcarii (lata 1880-1884) Witold wrócił do formalnie nieistniejącej Polski. Wracał razem ze swoim profesorem z Zurychu, Williamem Lindleyem, któremu magistrat Warszawy powierzył budowę w stolicy nowoczesnej sieci wodno-kanalizacyjnej. W firmie Lindleya i jego syna, też Williama, którzy zajmowali się warszawskimi wodociągami łącznie trzydzieści cztery lata, Witold objął stanowisko jednego z głównych inżynierów. „Pamiętam tableau z gabinetu na Wilczej: U góry Lindley, tuż pod nim trzech zastępców, w tym ojciec, i dopiero niżej duża grupa współpracowników” - wspominał Waldorff.

Po kilkunastu latach, dzięki rekomendacji Lindleya, znalazł nową, jeszcze bardziej intratną pracę w zarządzie przedsiębiorstwa budującego Kolej Wilanowską. W końcu jednak - pewnie ku rozpaczy Apolinarego - odezwały się w Witoldzie ziemiańskie korzenie. Porzucił świetnie płatną kierowniczą posadę i wrócił na Kujawy. Za zarobione

(...wtedy robiło się na tego typu budowach duże pieniądze!” - pisał

Waldorff do siostry) i częściowo pożyczone pieniądze około roku 1900 kupił duży majątek ziemski Kościelna Wieś pod Włocławkiem i „...ożenił się z jedną więcej panną z płodnego gniazda Waskiewiczów” - dodał w innym miejscu Waldorff. Zaczął gospodarować. Jak ojciec, dziad i pradziadowie. Tyle że z mniejszym talentem.

„...ojciec gospodarzem rolnym był żadnym, a za to szczególnie łatwym do ulegania różnym oszustom” - wspominał syn. Zaczęły się kłopoty. Hipotekę majątku obciążały coraz większe długi, w dodatku często cudze, a dzieci przybywało. Wanda Waskiewiczówna, nim

zmarła, urodziła Witoldowi czworo dzieci, przyrodnie rodzeństwo Waldorffa. Owdowiały gospodarz na Kościelnej Wsi musiał rozejrzeć się za pieniędzmi, które pomogłyby mu mocno stanąć na nogach. A najlepszym sposobem zdobycia kapitału był wówczas odpowiedni ożenek. I Witold znalazł odpowiednio bogatą kandydatkę, Joannę z Wróblewskich, wnuczkę słynnego litografa Szustra, właściciela połowy Mokotowa.

On miał lat z okładem pięćdziesiąt, ogromne długi i czworo dzieci, nie był więc pewnie partią wymarzoną. Ale i ona nie mogła wybrzydzać, bo zbliżając się do trzydziestki (panna urodziła się w roku 1875 lub 1878, relacje są sprzeczne), była wedle ówczesnych miar panną w wieku dosyć już zaawansowanym. A w dodatku - jak napisał Waldorff - „o... zababranej przeszłości”.

Wywodziła się z warszawskiej burżuazji o niemieckich korzeniach. „Mój praszczur, jak mówi legenda, walczył pod Grunwaldem, choć wcale nie po stronie Jagiełły” - opowiadał Waldorff o swych przodkach ze strony matki. Zastanawiał się, dlaczego krewniacy, o niemieckich w większości nazwiskach: Temler, Szuch, Kurman, Szulc, wybrali kiedyś właśnie Polskę. Przecież nie dla kiepskiej ziemi i leniwych chłopów, wyzyskiwanych przez dziedziców. Może więc zdecydował pociąg do polskich kobiet, pisał, „...leniwe były i za nie harować należało, aliści w łózkach trudno było o lepsze!” - pisał.

Prababcia Waldorffa, Żania, była siostrą Franciszka Szustra, czy też raczej pisanego z niemiecka Schustra, drukarza, który wydał („ponoć”, jak zastrzegął Waldorff) pierwsze dziecięce jeszcze dziełko Chopina, a potem ożenił się z bogatą wdową, Joanną z Pieszczyńskich primo voto Vivier. Majątku żony nie zmarnował, a zręcznie nim obracając, pomnożył wielokrotnie.....nabył pół Mokotowa z pałacykiem po księżnej marszałkowej Lubomirskiej” - pisał Waldorff. W zbudowaniu fortuny pomogło mu nieskrywane skąpstwo. Pod zdjęciem ciotecznej prababki Joanny, secundo voto baronowej Szuster, Waldorff napisał: „...ubierana była na paradne przyjęcia w biżuterię wyjmowaną przez męża z pancernej kasy, po czym osobiście przez niego zdejmowaną i zamykaną”.

Cioteczna wnuczka Franciszka Szustra, czyli matka Waldorffa, Joanna Wróblewska, nie wdała się chyba jednak w skąpego dziadka, bo kiedy tylko osiągnęła odpowiedni wiek, wyjechała na studia do Paryża. „Należała do pierwszych panien polskich, co jeszcze przed początkiem stulecia zaryzykowała drogę śladami Marii Skłodowskiej” - pisał Waldorff. Studiowała malarstwo w akademii sztuk pięknych, przysłuchiwała się wykładom na Sorbonie, z każdym rokiem - choć mieszkała w Paryżu pod opieką matki - pogarszając swą reputację i szanse na korzystne zamążpójście. Takie fanaberie młodej dziewczyny nie były pod koniec XIX wieku czymś powszechnie akceptowanym, „...kiedy wróciła do Warszawy, przyjęta

została przez miejscowe towarzystwo jako coś w rodzaju kokoty z wyższych sfer” - napisał Waldorff. Oznaczało to, że jej szanse nie tylko na korzystne, ale w ogóle na zamążpójście, zmalały drastycznie. Jedyne, na co mogła liczyć, to kariera nauczycielki na pensji Zofii Kurmanowej, a i to głównie dlatego, że założycielka i przełożona jednego z najstarszych w mieście żeńskich gimnazjów była jej starszą siostrą. Zbliżała się więc do trzydziestki, uczyła panienki z dobrych domów historii malarstwa i rysunków, a w dodatku zaczęła palić papierosy, utwierdzając pewnie stołeczne towarzystwo w przekonaniu o postępującym dziwaczeniu starej panny.

Wtedy zjawił się on - Witold Preyss. Średniej postury, z hiszpańską bródką i wąsikami, wedle wielu osób ładząco podobny do cesarza Napoleona III. Przywiózł na pensję Zofii Kurmanowej córkę, ale wszystko potoczyło się jakoś tak, że coraz częściej zaczął odwiedzać tyleż córkę, co nauczycielkę. Świetnie wykształcony, z pięknym rodowodem i jeszcze lepszymi manierami, ale równie jak Joanna obciążony przeszłością. „Nic mnie do niego specjalnie nie pociągało, ale widziałam, jak w czasie jego wizyt matka niespokojnie patrzyła na mnie i miała na twarzy wypieki” - wspominała po latach matka Waldorffa.

„W takiej sytuacji, po namyśle, zawarto - mówiąc ówczesnym językiem *mariage de raison*, czyli łączące interesy, a nie serca” - pisał Waldorff. Okazało się wszakże, że w owym małżeństwie z rozsądku najmniej było właśnie rozsądku. Obie strony miały bowiem sporo do ukrycia, ale w zamian liczyły na pełną uczciwość i lojalność partnera. Majątek Witolda, choć imponujący obszarem (trzy folwarki, w tym tylko największy liczył 52 włóki, czyli ponad 900 hektarów), był bardzo mocno zadłużony u żydowskich odbiorców zboża. Wypłata posagu Joanny, teoretycznie sporego (matka miała podzielić między trzy córki pieniądze ze sprzedaży kamienicy w Warszawie), została odłożona na bliżej nieokreśloną przyszłość, bo matka kamienicy na razie nie zamierzała sprzedawać, powołując się na złą koniunkturę na rynku nieruchomości.

Po ślubie przenieśli się do majątku w Kościelnej Wsi. Witold dopiero wtedy zdradził Joannie, że oprócz znanej już żonie córki z pierwszego małżeństwa ma jeszcze trzech synów, a Joannę i na wsi dognała paryska przeszłość. W szlacheckich dworach Kujaw stołeczną emancypantkę przyjęto z daleko posuniętą rezerwą, „...nie odróżniała indyczki od perliczki, na prosięta wołała «taś, taś», natomiast żywo interesowała się literaturą i polityką, a także lubiła wypić kieliszek dobrego koniaku, pałac papierosa” - wspominał matkę Waldorff. Doszło nawet do pojedynku między Witoldem Preyssem a jednym z sąsiadów, który nie potrafił okazać kobiecie szacunku. Być może była to ta sytuacja, którą

Waldorff opisał we wstępie do książki Magdaleny Samozwaniec - Na ustach grzechu.

Matka, nawykła do obyczajów paryskich, z papierosem w jednej i kieliszkiem koniaku w drugiej dłoni, wdała się w zastrzeżoną w Poznańskim wyłącznie dla mężczyzn dyskusję polityczną. Zapachniało skandalem, bo nie dość, że kobiety, jako „głupsze” i „niezdolne do ogarnięcia płytkim umysłem spraw państwowych” w ogóle nie były do takich debat dopuszczane, to jeszcze Joanna pozwoliła sobie sprostować relację z ostatniej sesji sejmiku wygłoszoną przez kogoś z miejscowych politycznych autorytetów. Ten oblał się purpurą i rzekł: - Moja droga! Nie opowiadałabyś pierdółków, tylko szła lepiej do kobiet.

Powód był wystarczający, by mąż poczuł się w obowiązku stanąć w obronie honoru żony. Pojedynek był poważny, na pistolety. Kulę wyjętą z nogi ojca najpierw matka, a potem Waldorff przechowywali niemal do końca drugiej wojny światowej. Przepadła w powstaniu warszawskim.

Z Kościelnej Wsi pochodzi pierwsze zdjęcie urodzonego 4 maja 1910 roku Jerzego Waldorffa. „Był to prawdziwy potworek, miał główkę spłaszczoną i żółty był jak Chińczyk, ale mnie się wydawał najpiękniejszym dzieckiem na świecie” - opisywała narodziny syna Joanna Preyss. Miał cztery miesiące, kiedy sfotografowano go w beciku na trzcinowym fotelu. Z tego samego 1910 roku pochodzi zdjęcie matki Jerzego, na koniu przed frontem rozłożystego, ale parterowego dworku, który Waldorff uparł się nazywać pałacem. A jeden z pierwszych zapamiętanych przez niego z dzieciństwa obrazów to niania strasząca trzyletniego brzdąca, który nie chce zasnąć: „Śpij mi zaraz albo przyjdzie po ciebie Paskiewicz!”. Księżę Iwan Paskiewicz osiemdziesiąt lat wcześniej okrutnie stłumił powstanie listopadowe i w potocznej świadomości, zwłaszcza niań, doskonale nadawał się do straszenia nieposłusznych dzieci.

Nękanym przez wierzycieli Witold pozbywał się kolejnych folwarków. Wreszcie, krótko przed wybuchem wojny w 1914 roku, sprzedał Kościelną Wieś i kupił parę kamienic przy ul. Wilczej w Warszawie, by chyba natychmiast znów zatęsknić do ziemi. Wielka wojna, którą dopiero później zaczęto nazywać pierwszą wojną światową, zastała czteroletniego Jerzyka Waldorffa wraz z matką, babką i młodszą o dwa lata siostrą na wakacjach w modnym nadmorskim kąpielisku Kolberg

(dziś Kołobrzeg). Siostra z opowieści rodzinnych zapamiętała, że byli na wakacjach gdzieś w Bawarii, ale prawdopodobnie były to tylko kolejne etapy tej samej podróży.

Kolberg był kurortem niemieckim, Preyssowie - obywatelami Rosji, z którą Niemcy weszły w stan wojny, a więc potencjalnymi szpiegami. Na wszelki wypadek najpierw zostali internowani, a potem - uznani za niegroźnych - otrzymali zgodę na powrót do Warszawy, z jakiegoś powodu jednak okrężną drogą: przez Rugię, Szwecję, Finlandię i Rosję. Na Bałtyku

mały stateczek, na który ich zapakowano, wpadł w sztorm i matka z babką doszły do wniosku, że to już koniec. Gdy dwuletnia Marysia zemdląca, babka poradziła: „Nie cuć jej! Lepiej niech nie wie, że będzie umierała”. Ale szczęśliwie dopłynęli do Szwecji, a stamtąd już łądem, przez Helsinki i Sankt Petersburg dotarli do Warszawy.

Z podróży przez północ Europy zachowały się dwa telegramy wysłane przez kobiety do Witolda Preyssa. Nadany 30 sierpnia na Rugii z prośbą o przesłanie pieniędzy do Uddevalli w Szwecji. I drugi, nadany 31 sierpnia z Petersburga, o szczęśliwym przybyciu do Rosji, gdzie po żonę i dzieci przyjechał Witold. Opisując po latach telegramy, siostra Waldorffa zdziwiła się, że podróż trwała tylko dwie doby. Tyle lat słuchała opowieści o „straszliwej przeprawie przez Bałtyk podczas sztormu na małym stateczku bez kabin”, że była przekonana, iż musiało to trwać znacznie dłużej.

Podczas wojny Witold Preyss pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej, kierując Wydziałem Repatriacji. „To był ogromnie ważny i rozbudowany wydział, tuż po okupacji - nim powstały ministerstwa - mający na głowie np. repatriację tysięcy «kresowiaków», którzy uciekali do Polski przed bolszewicką rewolucją” - pisał do siostry Waldorff. Witold pracował też w Towarzystwie Macierzy Szkolnej i Towarzystwie Schronisk dla Dzieci RGO.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości ojciec zdecydował, że wracają na wieś. Przeprowadzili się więc - „mimo sprzeciwów zakochanej w Warszawie matki”, z ul. Wilczej w stolicy pod Trzemeszno w Poznańskim, do stosunkowo niewielkiego (liczył 600 morgów, czyli ok. 330 hektarów) folwarku o brzydkiej nazwie - jak uważał sam Waldorff - Rękawczyn, za to ze ślicznym małym dworkiem, „...tam się wychowałem z pacholęcia przez podrostka w mężczyznę” - dodał. Tam matka pokazała mu pierwsze gamy na pianinie, zaangażowana mademoiselle zaczęła, uczyć go podstaw francuskiego, a Froulein niemieckiego. Tam uczył się kolejnych języków: angielskiego i włoskiego, stamtąd wyjeżdżał z rodzicami do Belgii, Holandii i Paryża. „Wszystko to - powtarzała mu wielokrotnie matka - czego nauczysz się i wbijesz sobie do głowy przed trzydziestką, będzie twoim kontem bankowym, z którego w miarę potrzeby odcinać będziesz jeno kupony”.

- Rękawczyn to jest miejsce na ziemi do dziś dla mnie święte, jak dla chrześcijan Jerozolima i Nazaret - wspominał po latach Waldorff.

Dwór w Rękawczynie wyglądał tak, jak powinien wyglądać dwór z przełomu wieków. Prostokątne podwórze pozwalało dziedzicowi kontrolować nawet z okna sypialni, czy wszystko w obejściu jest w porządku, czy który z koni nie zerwał się od żłobu i nie kłusuje samopas, skąd bierze się nagły kwik w chlewiku i czy nocny stróż nie zaniedbuje aby swoich obowiązków. W wozowni, wciśniętej między spichlerz i stajnię, stało kilka powozów:

otwarty wolant na lato, jednokonka z dwoma dyszlami i służąca do dłuższych wypraw całą rodziną obszerna „pianka” (ochrzczone tak od niemieckiej nazwy planwagen), z miejscem na bagaż i podnoszoną budą.

Było kilkoro służby. Niezbyt bystrej, ale uczciwej. I, co istotne, konie pod wierzch. Nie było tylko światła elektrycznego, co zwłaszcza jesienią i zimą skazywało mieszkańców na długie godziny spędzane jedynie przy filującym świetle lamp naftowych. Cierpiała przez to zwłaszcza matka Waldorffa, „...co robić?! Oczy tracić, czytając przy lampie naftowej, lub - na zmianę - klepać pasjanse, kiedy się przywykło do ruchliwej Warszawy, a jeszcze wcześniej był Paryż” - wspominał.

Po śniadaniu, a jeszcze przed wyjściem do szkoły, dzieci musiały ucałować rękę ojca. Zwracały się do niego: „proszę ojca” i nie przeszłoby im nawet przez głowę, by powiedzieć „ty”. W wigilijną noc ojciec w otoczeniu rodziny i domowników obchodził kolejno stajnię, oborę i owczarnię, a nawet chlewnię, by podzielić się opłatkiem ze zwierzętami. Te jednak, choć dzieci co Wigilię zasadały się, by podsłuchać mówiące ludzkim głosem konie i krowy, uparcie milczały.

Na honorowym miejscu wigilijnego stołu zasiadała babka, która była w rodzinie najważniejsza, i to ona decydowała, kiedy pora zacząć uroczystą wieczerzę. Władza w Rękawczynie niepodzielnie, nie podnosząc nigdy głosu, a i tak wszyscy bez protestu się jej władzy poddawali. „Nawet wybuchy pasji ojca gasły pod jej wzrokiem chłodnym i zdumionym” - wspominał Waldorff. Od babki też ojciec zaczynał świąteczny rytuał dzielenia się opłatkiem.

Po obu stronach babki, wedle starszeństwa, zasiadali kolejni domownicy, w tym wuj Achilles, który z jakiegoś powodu „się zmarnował” i mieszkał w Rękawczynie na łaskawym chlebie, a w drugim końcu stołu młodzież. Na czele z kuzynem Alikiem, podporucznikiem 15. Pułku Ułanów, w którym kochały się wszystkie okoliczne panny, a na Wigilię wpraszały się nawet dalekie kuzynki z Lisic.

Dwór, utrzymywał, jak należy, kontakty z księdzem dobrodziejem i oburzał się - jak wszyscy - na pannę Kazię z sąsiednich Barcic, która zamiast czekać na oświadczyzny przeznaczonego jej przez rodzinę majątnego wdowca - wdała się w awanturę jak z romansu dla kucharek. Uciekła z domu z porucznikiem ułanów, który w końcu i tak, jak to ułani mieli w zwyczaju, rzucił ją dla innej.

Gdy Jerzyk zaczął dorastać, wyruszał, najpierw w asyście ojca, a potem już samodzielnie, na polowania w okolicznych lasach. Z ulubioną wyżlicą Halną i gotową do strzału dubeltówką, prezentem od ojca, najchętniej chodził na samotne polowania „na

pomyka”. Zachowało się zdjęcie Waldorffa z 1929 roku, z przytroczoną do pasa zabiją kuropatwą i Halną przy nodze.

Z Rękawczyna do Warszawy jeździło się tylko na specjalne okazje. Po raz pierwszy w życiu do opery (na Jasia i Małgosię Engelberta Humperdincka) i na takie wydarzenia, jak uroczysty przejazd przez Warszawę wracającego w styczniu 1919 roku z Ameryki Ignacego Jana Paderewskiego. Ojciec Waldorffa, chcąc zapewnić rodzinie możliwość przyjrzenia się wielkiemu Polakowi, wynajął stolik w witrynie Kawiarni Galińskiego na rogu pl. Trzech Krzyży i Alej Ujazdowskich. Co prawda ośmioletni chłopiec mało co widział przez uniesione w górę ręce i kapelusze wiwatujących tłumów, ale „...wydarzenia tego przedpołudnia wbiły mi się w pamięć z mocą nie do zatarcia!” - zapewniał po latach. Wiosną tego samego 1919 roku uczestniczył jeszcze w koncercie w Filharmonii Warszawskiej, połączonym z kwestą na tworzony Skarb odrodzonej Rzeczypospolitej, na czele której stał wówczas premier Paderewski. Przybyli na koncert goście wchodząc na widownię, składali na tacach przyniesione kosztowności: sznury pereł, kolie, pierścienie z brylantami, złote łańcuchy i papierośnice, nawet ślubne obrączki.

Podczas jednego z kolejnych pobytów w Warszawie, gdy Preyssowie zjechali do krewnych matki na Wielkanoc 1925 roku, Jerzy pierwszy raz zobaczył i usłyszał Jana Kiepurę. Wybrali się we troje do Teatru Wielkiego na Fausta. Partię tytułową śpiewać miał Andrzej Dobosz - jedna z ówczesnych gwiazd Wielkiego, więc spektakl zapowiadał się atrakcyjnie. Ale tuż przed uwerturą na tle kurtyny pojawił się inspicjent, by powiadomić słuchaczy, iż w zastępstwie niedysponowanego tenora wystąpi mało jeszcze wtedy znany Jan Kiepura. „Pamiętam ów szmer rozczarowania, jaki przeszedł widownię - wspominał Waldorff - i rosnący zachwyt niemal od pierwszych tonów podanych przez młodego śpiewaka; zachwyt, który z aktu na akt potężniał, żeby się przemienić na koniec we frenetyczną owację”. Słyszał Kiepurę na żywo jeszcze kilkakrotnie, m.in. tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, na rynku Starego Miasta w Warszawie, gdzie tenor dał jeden ze swoich słynnych plenerowych koncertów. A pół wieku po obejrzeniu Fausta napisał o nim książkę, która jak zwykle była książką tyleż o Kiepurze, co o samym Waldorffie.

Muzyka w szlacheckim domu odgrywała rolę bardzo ważną. Podczas pierwszego Konkursu Chopinowskiego, gdy zbliżała się pora transmisji radiowej z sali filharmonii w Warszawie, mieszkańcy dworu gromadzili się przy radioodbiorniku, wrywając sobie słuchawki, by wsłuchiwać się w grę kandydatów, „...a potem długo dyskutować, który grał najlepiej” - wspominał Waldorff.

Gdy ukończył lat dziesięć, wyruszył z Rękawczyna do gimnazjum w Trzemesznie,

gdzie zamieszkał na stacji u proboszcza Kowalskiego. „Dni nudy i tęsknoty...” - zapamiętał pobyt w miasteczku oddalonym od rodzinnego domu zaledwie o 14 kilometrów, które wtedy jednak wydawały się odległością niemal kosmiczną. W niedzielne poranki służył księdzu Kowalskiemu do mszy, a wieczorami, w zamkniętej po nieszporach katedrze wygrywał z pulchną i muzykalną siostrą proboszcza na organach arie operetkowe i najmodniejsze fokstroty.

Miał pokój w części plebanii oddzielonej od głównej nawy trzemeskiej katedry tylko drzwiami. Proboszcz Kowalski wymagał od lokatora asystowania sobie podczas nabożeństwa, co było szczególnie uciążliwe, zwłaszcza zimą, gdyż pierwsza msza zaczynała się już o 6.00 rano. Ksiądz miał jednak do chłopca zaufanie szczególne. Każdego ranka wręczał mu klucz do kościelnego skarbca w piwnicy pod organami. Tam Jerzy Waldorff dostępował zaszczytu niewyobrażalnego. Obowiązkiem ministranta było wycieranie miękką ściereczką katedralnych skarbów. Przede wszystkim relikwiarza, w którym zamknięte były największe skarby księdza Kowalskiego: ręka świętego Wojciecha oraz kielich królowej Dąbrówki.

Z czasów trzemeskich zapadły w pamięć chłopca dwa wydarzenia. Piwo wypite w gospodzie „Pod Orłem” ze starszymi kolegami z gimnazjum, z czego musiał potem gęsto tłumaczyć się matce; szukając syna rodzicielkę rybak znad pobliskiego jeziora „uspokoił” najlepiej, jak potrafił: Jerzyk: Oho, ten frechowny szczun musiał się zaś ale utopić. Jak pani chce, siądę w czołno i przeszukam dno bosakiem”. I egzorcyzmy w katedrze, podczas których ksiądz Kowalski osobiście wypędził całą gromadę diabłów z ciała rzekomo opętanej przez szatany dziewczyny.

Podczas ceremonii mały Jerzy wraz z innymi ministrantami miał za zadanie machać kadzielnicami, tak by wonny dym spowijał ludzi i wypełnił katedrę po sam sufit. Skutecznie przepędziwszy Belzebuba, Lucyfera, Bafometa, Lewiatana, Beliala i pozostałe szatany proboszcz przemówił do wiernych, wzywając do modłów, większej pobożności oraz pokuty za grzechy trawiące miasto, „...a także przypomniał, że na puste rozrywki ludzie pieniędzy nie skąpią, zaś na święte dzieło Kościoła dawać ich się wzbraniają” - wspominał Waldorff. Po latach doszedł do wniosku, że opętana cierpiała zapewne na epilepsję i po odprawieniu egzorcyzmów ktoś, być może nawet sam ksiądz Kowalski, odwiózł ją do jakiegoś oddalonego szpitala.

Z pobytom w Trzemesznie wiązał Waldorff swe późniejsze zamiłowanie do cmentarzy, które na koniec zamieniło się w walkę o ratowanie Powązek. Czas wolny od nauki i służby w kościele spędzał z kolegami na grze w berka pośród grobów na trzemeskim cmentarzu. Przysiadywał wtedy, by odpocząć, na kamiennych płytach nagrobków,

„...odnosząc się poufale do nieboszczyków. Polubiłem ich życzliwie niemą obecność” - opowiadał Andrzejowi Lisowskiemu.

W tomie Harfy leciały na północ pochwalił się, że pierwszy rok w gimnazjum w Trzemesznie zakończył z chlubnym świadectwem, na którym widniały same piątki, z wyjątkiem czwórki... ze śpiewu. Nie stanął na przeszkodzie promocji nawet konflikt z nauczycielem, którego z jakiegoś powodu - po latach nie potrafił już sobie przypomnieć, co to był za powód - nazwał „pistacjową małpą” i matka została wezwana przed oblicze ciała pedagogicznego. Rozsierdzony belfer groził wyrzuceniem bezczelnego ucznia ze szkoły i dużo trzeba było zachodu, by od zamiaru odstąpił, „...jakieś nawet zdaje się kosze z prowiantami wożono z Rękawczyna” - wspominał Waldorff.

Co naprawdę było przyczyną konfliktu z nauczycielem, nie sposób już ustalić. Ale świadectwo z Trzemeszna po trzecim okresie (rok szkolny podzielony był wówczas na cztery okresy) wcale nie wyglądało tak świetnie, jak pisał Waldorff. Ocena bardzo dobra była tylko jedna, z nauk przyrodniczych. Poza tym same dobre i jedna dostateczna, z gimnastyki.

Miał już lat czternaście, gdy matka przeniosła jego i siostrę do gimnazjum w Poznaniu. Po trosze, by dać lepszą, bo wielkomięjską edukację dzieciom w gimnazjum św. Marii Magdaleny, a po części dlatego, że sama miała serdecznie dość Rękawczyna i pod pozorem konieczności czuwania nad nauką syna i córki mogła częściej wyrwać się z wiejskiej nudy do świata. W końcu - dzieci dorastają! - przeprowadziła się do Poznania sama. Mieli przecież w mieście kupioną w tym samym czasie, co majątek w Rękawczynie, czynszową kamienicę przy Grottgera 5, więc mieszkanie czekało. „Odtąd jeździliśmy do Rękawczyna tylko na wszystkie święta i wakacje” - wspominał Waldorff.

Najpierw jednak trafił na stację przy ul. Ogrodowej, prowadzoną przez zaprzyjaźnioną z matką starą doktorową Drobnikową. Zamieszkał z dwoma braćmi Korytowskimi, z podobnej jak jego ziemiańskiej rodziny, więc i o podobnych przyzwyczajeniach. Którejś nocy chłopcy urządzili polowanie na pluskwy, w które mieszkanie doktorowej obfitowało. Strzelali z przywiezionych pistoletów śrutem na kaczki. Zbudzona i rozzłoszczona opiekunka zebrała o północy winowajców w nocnych koszulach i za karę kazała każdemu napisać sto razy: „Nie wolno strzelać z pistoletu do pluskiew”.

Doktorowa nie spełniła jednak oczekiwań matki. Miała prowadzić małego podopiecznego do opery i teatru, a sprawdzała jedynie czystość uszu i zezwalała na wyprawy na ślizgawkę na Przypadku, gdzie Jerzyk popisywał się podarowanymi przez ojca butami z przytwierdzonymi na stałe łyżwami. Po roku matka zdecydowała o zmianie stacji. Ale ani ta, ani następna nie okazała się wystarczająco dobra, więc w końcu rodzicielka podjęła decyzję,

że musi zająć się dziećmi sama.

Wtedy też Waldorff zmienił nie bardzo lubiane gimnazjum św. Marii Magdaleny na gimnazjum im. Marcinkowskiego. Pierwszą szkołę znienawidził przede wszystkim za sprawą niejakiego Michała, szkolnego osiłka i awanturnika, który będzie przekleństwem małego Jerzego jeszcze przez kilka następnych lat. Michał z jakiegoś niewiadomego mu powodu nie przepuścił żadnej okazji, by go przewrócić, kopnąć albo przynajmniej zdzielić pięścią, „...a Fidrek - trzeba to wyznać, chociaż przykro - do odważnych nie należał. Bądźmy szczerzy: był tchórzem” - wspominał Waldorff.

Fidrek to było domowe imię Jerzego Waldorffa. Imię nadane przez matkę, którym zwracali się do niego domownicy. Nie wzięło się z przekształcenia imienia Jerzy ani nie miało z nim specjalnego związku, ale przyłgnęło do Waldorffa na lata, podobnie zresztą jak do jego matki, Joanny - imię Punia. Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych pisał nostalgiczną, opartą na własnej biografii powieść, zatytułował ją właśnie Fidrek. Nie chciał, by traktować Fidrka jako autobiografię. Podkreślał wiele razy, że to tylko historia osnuta na pewnych faktach z jego życia, jednak bardzo wiele z wydarzeń opisanych w tej książce w innych podawał jako fakty z własnej przeszłości. Dzieciństwo w Rękawczynie, lata nauki, a potem studia w Poznaniu. Zgadzały się nawet szczegóły, takie jak podróż samolotem w nagrodę za zdaną szczęśliwie maturę. Dlatego krytyka zgodnie uznała Fidrka za zbeletryzowaną, nieco zakamuflowaną, ale jednak biografię pisarza. I rozliczano Waldorffa z życia Fidrka.

A i on sam pisał: „Tamten Fidrek, czyli ja w głębi czasu... (...). Obserwując go z mojego niemal już podziemia skalnego, wiem, że to byłem ja i niby nadal jestem, ale przecież nic mnie z chłopakiem nie łączy, oprócz zawiści, że on tam został aż do tyła młody, gdy ja tu, na tej krawędzi bytu?”. Przetykał opowieść obrazami własnej starości („Kiedy zaczniesz się dla niego druga wojna światowa, będzie się bał, czy ją przetrwa. Ja wiem, że tak, ale co z tego?”), a czasem wprost zwracając się do siebie z przeszłości: „...słuchaj, Fidrek! Idąc swoją najtrudniejszą polską drogą, będziesz otoczony przez diabły w komżach, dzwoniące na różne msze, ale wszystkie będą mówiły, że pragną stworzyć raj na ziemi, i w imię przepięknych haseł będą chciały zmusić ciebie, żebyś odmawiał ich pacierze. Ty się nie daj przymusić!”.

Obszerne mieszkanie w kamienicy przy Grottgera 5 zajmowali we trójkę (matka, Fidrek i Marysia). Położona w pobliżu ogrodu botanicznego elegancka kamienica wybudowana została w sąsiedztwie innych równie eleganckich domów przy pięknej ulicy, skąd dzieci miały do nowej szkoły tylko dwie przecznice. Przed domem stał na podwyższeniu kamienny niedźwiedź z tarczą w łapach, jakby czekając na umieszczenie w niej herbu właścicieli.

Waldorff miał na Grotgера pokój z oddzielnym, otoczonym kamienną balustradą balkonem, z którego mógł obserwować sąsiadów. Zwłaszcza prof. Ikonowicza, mieszkającego z dwiema dorastającymi córkami i młodą kobietą, wzbudzającą wśród innych lokatorów wiele emocji i nazywaną przez co bardziej wścibskie sąsiadki z oburzeniem „konkubina”. A matka miała swoją ukochaną operę, teatr i wieczory brydżowe, na które zapraszała zwykle około dwunastu osób (grano na trzech stolikach). Sama była szczęśliwa, unieszczęśliwiła jednak syna, wynajmując mieszkanie w kamienicy rodzicom owego Michała, od którego szykan Fidrek miał nadzieję po zmianie szkoły wreszcie się uwolnić. Na próżno, zdecydowały pieniądze, które ojciec Michała gotów był zapłacić. Wrócił strach i rzadko udane próby uniknięcia Michałowych pięści.

Nauka w „Marcinku” szła mu, oględnie mówiąc, średnio. Na którejś z wystawianych na koniec kwartału cenzurek przyniósł aż pięć ocen niedostatecznych. Ojciec spokojnie kazał mu wtedy rozesłać wschodni kobierczyk, opuścić spodnie i położyć się. „...po czym własnoręcznie wlepił mi pięć dyscyplin, po jednej za każdy zły stopień” - wspominał Waldorff. Na koniec roku na miejsce każdej z dwój przyniósł ocenę „dobrze”. W „Marcinku” zasmakował też takich szkolnych przyjemności, jak pierwszy papieros wypalony w gimnazjalnej ubikacji i pierwsza kara wymierzona przez dyrektora, który przyłapał ucznia na występku. Za promocję z piątej do szóstej klasy dostał pierwszą naprawdę cenną nagrodę: wymarzony od dawna rower.

Miał szesnaście, a może siedemnaście lat, gdy rodzice zdecydowali się zabrać syna i córkę w podróż dookoła Europy. Pieniądzy w domu nigdy nie było w nadmiarze, „ojciec bardzo źle gospodarował tym, czego sam się dorobił i co wziął był za matkę” - pisał Waldorff, ale tego rodzaju inwestycję w kształcenie dzieci rodzice uważali za konieczność. Być może zresztą akurat tego roku w Rękawczynie był wyjątkowy urodzaj i pojawiły się dodatkowe pieniądze, dość, że w grudniu wyruszyli. Przez Wiedeń, Wenecję, Mediolan, Genuę, Niceę i Paryż. Były obowiązkowe muzea, galerie, teatry, opery, balety, „...udręka zwiedzania, według planu starannie ułożonego jedna godzina po drugiej, od rana do wieczora” - Waldorff wspominał, jak bardzo wtedy nienawidził ojca za mękę zaliczania kolejnych punktów programu. A w dodatku także on sam ciągnął rodziców i siostrę na cmentarze w kolejnych miastach, na których dłutami największych rzeźbiarzy zapisana była pamięć o przeszłości. Na mediolańskim Campo Santo niemal jak atrakcję turystyczną oglądali najnowocześniejszy piec do kremacji zwłok, a na Pere-Lachaise w Paryżu zgodnie z wieloletnią tradycją ojciec zostawił wizytówkę na tacce przy grobie Fryderyka Chopina.

- Gdziekolwiek później podróżowałem, zawsze szczególnie interesowały mnie

omentarze - opowiadał Waldorff po latach Andrzejowi Lisowskiemu.

Paryż zapamiętał jako miejsce pierwszego prawdziwego buntu przeciwko ojcu, który miał ciągnąć się aż do śmierci Witolda. Jednakowo wybuchowe temperamenty i nieumiejętność wyciągnięcia dłoni do zgody powodowały, że nie potrafili dojść do porozumienia. „Ojciec, zniechęcony do cna bojami, wydziedziczył mnie wreszcie, o czym dowiedziałem się z testamentu po jego śmierci” - wspominał Waldorff w Tańcu życia ze śmiercią.

W Fidrku napisał, że ścierali się jak dwa koguty: stary, szykujący się do ataku dziobem od góry, i młody, zjeżony, z łbem nieustępliwie opuszczonym. Żaden nie chciał zrozumieć, że do starć między nimi dochodzi nie z powodu różnic, ale ze względu na podobieństwo charakterów.

Ten pierwszy raz miał miejsce, gdy Jerzy kategorycznie odmówił wyprawy do Wersalu, gdzie zdaniem ojca rodzina powinna wspólnie zachwycić się portretem Marii Leszczyńskiej, Polki, która zasiadła na tronie francuskim. Waldorff nazwał królową starą babą, powiedział, że nie ma zamiaru jej oglądać i po dłuższej chwili wrzasków postawił na swoim. To znaczy ojciec oświadczył, że syn za karę zostanie w hotelu, o co Jerzemu właśnie chodziło. Zresztą zakazu i tak nie respektował, spędzając czas na tarasie kawiarni na Polach Elizejskich.

Jedno ze zdjęć utrwaliło wygląd nieopierzonego amanta, jakim wtedy był. Spięte pod kolanami bufiaste spodnie-pumpy w szkocką kratę, prążkowane podkolanówki i półbuty, krótka marynarka i sportowa czapka z wielbłądziej wełny. Włosy ze starannie zaczesanym i wypomadowanym przedziałkiem a la Adolphe Menjou, bardzo modny wówczas amerykański aktor. „Jakież byłem zabawny” - skomentował fotografię Waldorff.

Na Polach Elizejskich nie doczekał się wymarzonej podczas bezsennych chłopięcych nocy miłosnej przygody; namiastką była wizyta w słynnym kabarecie Folies-Bergere, bo odwiedziny w świątyni erotyzmu ojciec przewidział w paryskim planie także. Wybrał co prawda nie program wieczorny, ale popołudniowy, licząc, że w ciągu dnia mniej w nim będzie golizny, ale nadzieje okazały się płonne. Już od pierwszej minuty programu na scenie tańczyły, maszerowały, tarzały się i pieściły nagie, piękne i młode dziewczyny. Dla rozerotyzowanej wyobraźni chłopca tego było za wiele. Spuścił głowę z zawstydenia. „Na jakimże monstrualnym posłaniu miałbym je pieścić naraz wszystkie?! - a gdybym jedną obejmował, pozostałe śmiałyby się tymczasem” - zapamiętał Waldorff myśli nastolatka.

Paryskie atrakcje były ważne, ale jeszcze ważniejsza była możliwość zadawania szyku wśród przyjaciół, zwłaszcza pośród zaprzyjaźnionych panien, szczególnie przed rudą córką

znajomych, w której się podkochiwał. „...ja - podobny cielakowi młodemu wśród jałówek - muczę i ryczę ogromnie zadowolony: - Gdy byłem w Paryżu! Działo się to w Paryżu! Jak znam Paryż!...”. Potem jeździł do Paryża jeszcze wielokrotnie, zwłaszcza po śmierci ojca, gdy zarządzanie rodzinnym majątkiem przejęła matka i skończyły się kłopoty finansowe, spowodowane kolejnymi „świetnymi” pomysłami Witolda, ale ten pierwszy raz pozostał na długo niezapomniany.

W maju 1928 roku ukończył naukę w „Marcinku” i przystąpił do matury. Egzamin z języka polskiego, matematyki i religii zdał na ocenę dobrą, z historii i francuskiego na dostateczną. „Matury za moich czasów przebiegały na poziomie dzisiejszych egzaminów magisterskich (...) magisteria zdawaliśmy na poziomie dzisiejszych doktoratów...” - wspominał po latach z dumą.

..NA CO DZIEŃ ZACHOWYWAŁEM SIĘ JAK PRETENSJONALNY IDIOTA”
WSPOMINAŁ CZASY STUDIÓW, CHOĆ ZARAZ ZASTRZEĞŁ, ŻE JEDNOCZEŚNIE
CZYTAŁ W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU MARCELA PROUSTA.

Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości przyszedł czas na przekroczenie prawdziwego progu dorosłości - pierwsze samodzielne łowy w poznańskich nocnych lokalach i burdelach. Wyprawa na pierwszy w życiu dansing nie powiodła się kompletnie. Gwiazdą miała być szeroko reklamowana w poznańskiej prasie egzotyczna tancerka brzucha; matka bała się nawet, by syn, rozpalony ujrzanym po raz pierwszy w życiu skrawkiem nagiego damskiego ciała, nie zechciał tancerce się oświadczyć. Nie miał jednak okazji. Wielki kryzys ekonomiczny w Ameryce uderzył rykoszetem także w Polskę i rozpoczynając się właśnie w Poznaniu Powszechną Wystawę Krajową, planowaną ze szczególnym rozmachem, bo odbywała się w dziesięciolecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Ze stu tysięcy zapowiadanych gości przyjechało niewielu, co skutecznie zmroziło atmosferę w pustawych salach restauracji i dansingów. Nie było ani gości, ani zapowiadanych egzotycznych artystek.

Jeszcze gorzej poszło podczas, powtarzanej przez kolejne „wypusty” maturzystów, rytualnej wyprawy do podłego baru przy ul. Wrocławskiej. Prowadzeni przez nauczyciela języka polskiego, na co dzień raczej despotycznego - co można było jednak złożyć na karb męczącego i permanentnego kaca, na którym prowadził lekcje - uczniowie mieli tam otrzymać ostatnią naukę, w jaką na nową drogę życia chciała wyposażyć ich szkoła. Generalnie kiepskiej opinii lokal miał bowiem tę zaletę, że na „młodych panów” czekały w nim prostytutki!

Waldorffowi trafiła się szczupła brunetka, dość jeszcze młoda i niezniszczona, ale wyraźnie doświadczona w fachu. Szybko przejęła inicjatywę w niewielkiej kabinie, do której

zaciągnęła Waldorffa. Nie zważając na hałasy dobiegające zza cienkich przepierzeń, za którymi inne dziewczyny wprowadzały w „prawdziwe” życie innych niedawnych gimnazjalistów, chciała uczynić to samo. Ale Waldorff dostrzegł na jej białym udzie dziwną krostę, żółtą w czerwonej otoczce, widomy znak choroby towarzyszącej uprawianemu przez dziewczynę zawadowi. Wybiegł ze spelunki i zatrzymał się dopiero przy poznańskiej Kordegardzie.

Nagrodą od rodziców za zdaną maturę była wyprawa samolotem z Warszawy do Poznania. To było przeżycie, do którego Waldorff wracał wielokrotnie przy najrozmaitszych okazjach. Pierwszy w życiu lot. I jeden z pierwszych rejsów LOT-u w ogóle, „...jednym z pierwszych przed laty polskich Ikarów, może jedynym do dziś jeszcze żywym, a nie wypchanym, jestem JA” - pisał Waldorff w 1998 roku, w siedemdziesięciolecie powołania Polskich Linii Lotniczych LOT. W Fidrku przyznał się, że lot był częścią przemysłnego planu rodziców, chcących przekupstwem i szantażem skłonić go do nauki przed zbliżającą się maturą. A podniebna wyprawa warta była paru tygodni spędzonych nad podręcznikami. Drugą częścią zachęty do nauki była wizyta w Operze Poznańskiej na przedstawieniu Madame Butterfly Giacomo Pucciniego z prawdziwą Japonką w roli tytułowej. Spektakl był wydarzeniem, które zgromadziło cały Poznań.

Lot aeroplanem był ukoronowaniem parotygodniowego pobytu w Warszawie, gdzie osiemnastoletni Jerzy już za zgodą rodziców miał zaznać prawdziwego dorosłego życia, „...młodość po maturze winna się wyszumieć” - uznał bowiem rodzinny areopag. A to za sprawą „najsprośniejszego z wujów”, którego starszyzna rodzinna uczyniła odpowiedzialnym za stworzenie sprzyjających „szumieniu” okoliczności. W tym celu wyposażono młodzieńca w odpowiednie stroje wieczorowe i komplet podróży. Bufiaste pumpy, marynarkę z wielbłądziej wełny, buty i rękawiczki ze świńskiej skóry, a do ręki laseczkę z jasnego bambusa. Był gotów, by zdobywać świat.

W pierwszej kolejności „najsprośniejszy” z wujów zaprowadził młodego krewniaka do zakazanej wcześniej operetki, gdzie Waldorff po raz pierwszy i ostatni w życiu ujrzał na scenie Wiktorię Kawecką, legendarną diwę tej sceny, w której kochała się cała Warszawa. Już samo to było symbolicznym przekroczeniem progu męskości, ale wuj na tym nie poprzestał. Po spektaklu zaprowadził krewniaka naprzeciwko, do nocnego lokalu „Pod Kogutem”, pełnego czarownych pań, w dodatku bardziej niż Kawecką dostępnych, „...gotowe były nie tylko upaść, ale także nauczyć maturzystę techniki upadku najpikantniejszego” - wspominał Waldorff. Zaś po upadku miał unieść się najwyżej, jak było to wtedy wyobrażanie, bo samolotem pod same niebiosa.

Samolot odlatywał o trzeciej po południu z lotniska na Polu Mokotowskim, a o pierwszej Jerzy zaproszony został na obiad do ciotki Zofii Kurmanowej. Był vol-au-vent z mózdzkiem, consommé z pieczarkami, kurczęta z mizerią, a na deser - tort hiszpański. Jedz, moje dziecko, bo jak się raz znajdziesz w powietrzu, Bóg jeden raczy wiedzieć, dokąd was zechcą wiatry zagnać i co tam będziesz mógł dostać do zjedzenia” - słowa ciotki i tak nie mogły uspokoić przerażonego młodzieńca.

Na lotnisko odprowadzało Waldorffa kilkanaścioro kuzynek i kuzynów, chcących choć pośrednio zaznać lotniczych emocji. Z jeszcze liczniejszą świtą przybył drugi pasażer „stalowego ptaka”, jak wówczas pisano, ponadsiedemdziesięcioletni grubawy staruszek, który też postanowił zaznać rozkoszy lotu w przestworzach. Byli jedynymi pasażerami ośmio-osobowej awionetki marki Farman. Wreszcie wystartowali. „Podczas gdy farman przeskakiwał z jednej fali powietrznej na drugą, zapadał się w «dziury» i podrywał wzwyż, twarz moja poczęła szarzeć, żółknąć, aby wreszcie zzielenieć” - wspominał Waldorff. Staruszek z drwiną przyglądał się, jak współtowarzysz podróży rozstawał się ze zjedzonym obiadem, zaś po wylądowaniu matka zakazała synowi opowiadać sobie, jak było na górze, bo bała się, że nie zaśnie przez całą noc.

Studia Jerzy Waldorff rozpoczął jednocześnie w Konserwatorium Poznańskim (dyrektorem był wówczas Zdzisław Jahnke) i na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. „Graj, tańcz, śpiewaj, ale najpierw musisz zdobyć wiedzę dostateczną na zarobienie pieniędzy dla rodziny: jakiś praktyczny zawód na życie” - przekonywała matka.

W konserwatorium śpiewał w uczelnianym chórze, który towarzyszył 7 marca 1929 r. prawykonaniu Stabat Mater Karola Szymanowskiego w obecności kompozytora, uczestniczył wraz z kolegami z klasy fortepianu w koncercie Artura Rubinsteina w Teatrze Wielkim w Poznaniu i pełnił funkcję wiceprezesa studenckiej organizacji samopomocowej „Bratnia Pomoc”. Był współorganizatorem jednego z karnawałowych balów Bratniaka w najelegantszym w Poznaniu (w innym nie wypadało!) hotelu „Bazar”, pod patronatem samego prezydenta miasta. Wspomnieniem po balu jest fotografia, która przetrwała wojenną zawieruchę. Waldorff we fraku, lakierkach i białych skórkowych rękawiczkach, ze starannie przystrzyżonym wąsikiem i fryzurą a la najsłynniejszy wówczas filmowy amant, Rudolf Valentino, „...szczeniak bajecznie elegancki, młody i głupi (...) na co dzień zachowywałem się jak pretensjonalny idiota” - napisał, choć zaraz zastrzegł, że jednocześnie czytał W poszukiwaniu straconego czasu Marcela Prousta, i to w oryginale. To było konieczne, tłumaczył, bo z ówczesnymi pannami należało w tańcu rozmawiać o wrażeniach z lektur -

Czarodziejskiej góry, Lochów Watykanu lub Czerwonych tarcz. Zdradzając, że nie jest się na bieżąco z literackimi nowościami, można było narazić się wyłącznie na pogardę.

Nie zapamiętał, jak miała na imię dziewczyna z tej samej balowej fotografii (nazywał ją Ewelina, bo tak wydawało mu się wykwintniej), która towarzyszyła mu na balu. Była śliczną brunetką, o rysach jak z rzeźb Praksytelesa, choć nieco za drobną. „Gdyby miała wynioślejszą figurę, mówiliby się o niej w Poznaniu, że to grecka piękność...” - napisał.

Bal odbył się ze wszystkimi szykanami, polonezem, walcem z kotylionami, białym mazurem, ale zaczął się od gafy. Młodzi organizatorzy nie zauważyli, że na zaproszeniach wszędzie tam, gdzie powinien znaleźć się skrót mgr, od licznych w Poznaniu magistrów, znalazł się inny - msgr., od monsignore, oznaczający po łacinie „prałat”, co nie każdemu musiało się podobać.

Waldorff przetańczył z Ewelina całą noc w kolejnych slow-foksach, tangach argentyńskich i shimmy, a kiedy nad ranem dziewczyna poprosiła go do mazura, przyrzekli sobie, że będą się kochać przez całe życie, „...co trwało rok, ale mocno!” - wspominał. Potem związek rozpadł się, a po ukończeniu studiów w konserwatorium stracił pannę z oczu na kilkadziesiąt lat. Do dnia, gdy zaproszono go, sławnego już na całą Polskę redaktora, nieustraszonego bojownika o muzeum dla Karola Szymanowskiego i o Powązki, na odczyt do Bydgoszczy.

Odczyt się skończył, gdy podeszła do niego niemłoda, siwa i bardzo tęga kobieta. Niskim, chrapliwym głosem zapytała:

- Czy pamiętasz?

Nie potrafił sobie przypomnieć, skąd ją zna. Dopiero po dłuższej chwili w przygasłych oczach, wśród fałd i rozlewisk tłuszczu na twarzy i szyi zobaczył ją, Ewelinę, „...jak szczątki świetnej ongiś architektury dostrzegalne wśród ruin” - napisał. Kobieta musiała zauważyć w twarzy Waldorffa niechęć do wskrzeszania przeszłości i może nawet coś w rodzaju obrzydzenia, bo szybko się wycofała z poufałego tonu.

- Chciałam panu tylko przedstawić moją córkę - powiedziała.

Zobaczył młodą dziewczynę. Niezbyt wysoką, czarnowłosą i czarnooką, o białej cerze, odcinających się od niej czerwonych ustach i rysach, jakby wprost z greckiej rzeźby. Przez chwilę wydało mu się, że to właśnie jest prawdziwa Ewelina. I że za chwilę podejdzie do niego, przytuli się bardzo mocno i wróci czas balu w konserwatorium.

- To jest pan Waldorff, o którym ci mówiłam - przedstawiła go kobieta.

Wyciągnął do dziewczyny obie ręce, ale ona tylko zmarszczyła się i zapytała z całą młodzieńczą bezwzględnością: - Pan naprawdę jeszcze żyje?

Uczestniczył także w balach organizowanych przez studentów Konserwatorium Warszawskiego, które odwiedzał podczas pobytów w stolicy. Tam, być może ośmielony większą niż w Poznaniu anonimowością, a przede wszystkim bardziej liberalną niż w Wielkopolsce atmosferą, przeżywał inicjacje alkoholowe i erotyczne, „...łykaliśmy wczesne kieliszki wódki, a także wprawialiśmy się niezdarnie w pierwsze podmacywanie koleżanek, wywijając modne wówczas fokstroty, tanga i walce” - wspominał. Bywał też w znanym poznańskim kabarecie artystycznym „Różowa Kukułka”, założonym przez przybyłego z Paryża rzeźbiarza Ludwika Pugeta. Konferansjerem „Kukułki” był znany satyryk, parodysta i poeta, Artur Marya Swinarski, teksty pisali m.in. Marian Hemar i Antoni Słonimski, scenografię projektowała Maja Berezowska, a gwiazdami były Helena Grossówna, później wielka gwiazda przedwojennego kina, i Tola Korian, na poły recytująca, a na poły śpiewająca songi Bertolta Brechta.

Koniec drugiego roku studiów zapisał się w życiu Waldorffa pierwszym prawdziwym pojedyńkiem. Poszło o honor. Waldorff, zaproszony przez jedną z korporacji studenckich na komers - bal, mający zachęcić go do przystąpienia do stowarzyszenia, oświadczył, że z taką gromadą osłów i durniów, którzy zajmują się głównie piciem piwa, nie chce mieć nic wspólnego. Powiedział to w niewielkim gronie, ale wieść o obeldze dotarła do korporantów. Zażądali satysfakcji. Pojedynek miał odbyć się na szable, do pierwszej krwi. Termin wyznaczono za sześć tygodni, żeby strony miały czas podszkolić się w fechtunku. Waldorff brał lekcje u opłaconego przez ojca wachmistrza rębajły z 15. Pułku Ułanów Poznańskich. Przeciwnikiem okazał się zniechęcony od lat Michał, winowajca - jak wyszło na jaw - prowokacyjnego zaproszenia korporantów. Jerzy na swego sekundanta wybrał zaprzyjaźnionego od czasów gimnazjalnych Isia.

Do pojedynku ostatecznie jednak nie doszło, choć w Fidrku Waldorff opisał go bardzo plastycznie. Chwalił się, że machał szablą tak gwałtownie i chaotycznie, iż poranił Michała do krwi. Naprawdę wszystko skończyło się polubownie. Sąd honorowy stwierdził, że spór był wynikiem nieporozumienia. Wyzwany na pojedynek, czyli Waldorff, mówiąc o korporacji, wcale nie miał na myśli gromady osłów, ale orłów. Pozywający korporanci poczuli się usatysfakcjonowani.

Kiedy jednak o niedoszłym pojedyńku dowiedziała się matka, zdecydowała, że syn musi wyjechać. Co najmniej na kilka miesięcy, żeby ludzie przestali gadać. Najlepiej za granicę, żeby zejść ludziom z oczu. Na przykład przez Austrię do Włoch, żeby po drodze zaliczyć parę muzeów i nabrać ogłady. W naradach, jako ten, który mężnie stawał przy Fidrku w chwilach grozy, uczestniczył Isio, najbliższy przyjaciel Waldorffa, a jak miało się we

Włoszech okazać, nie tylko przyjaciół. To Isio zaproponował, żeby wspólnie wyjechali do jego ciotki, aktorki, która wyszła za bogatego Włocha, ma willę w Amalfi nad Morzem Śródziemnym i jest spragniona polskiego towarzystwa, bo zazdrosny mąż zabronił jej występów w teatrze.

W maju, gdy tylko zdał egzaminy kończące drugi rok studiów, Waldorff wyjechał. Przez Wiedeń, Florencję, Rzym, Neapol, do Amalfi, gdzie czekał już Isio. To miały okazać się najbardziej pamiętne wakacje - o czym osobno - w życiu Jerzego Waldorffa.

Ale najpierw było kilka tygodni w Rzymie. W pensjonacie na Monte Pincio, w połowie drogi między kościołem św. Trójcy i willą Medyceuszy. Śniadania jadano na tarasie z widokiem na Koloseum, „...klientelą były przeważnie stare włoskie hrabiny i markizy, zbyt biedne na własne pałace, a tutaj otoczone pozorami wykwintu” - wspominał Waldorff.

W 1932 roku zdał ostatecznie egzaminy prawnicze (większość na oceny dostateczne) i został magistrem prawa. W konserwatorium poszło gorzej. Przerwał studia na ostatnim roku, potem wyjechał do Grudziądza, żeby odbyć obowiązkowe przeszkolenie wojskowe i nigdy koniecznych do ukończenia studiów muzycznych egzaminów nie złożył.

Do kawaleryjskiej podchorążówki w Grudziądzu trafił latem 1933 roku. „Połączenie zadziornej fantazji z koszmarem” - wspominał. Zapamiętał drastyczny kontrast między wyjściowym efektownym mundurem, pobrzękującymi ostrogami i błyszczącą srebrzyście szablą, kiedy podchorążowie wyjeżdżali na urlop, a szarą i łachmaniarską codziennością pod nadzorem grudziądzkich wachmistrzów sadystów. Wojsko pod każdą długością i szerokością geograficzną wygląda tak samo. Także w Grudziądzu absolwenci wyższych uczelni, z dyplomami magisterskimi w kieszeniach, musieli odebrać swoją porcję wyzwick od kaprali i sierżantów robiących błędy w najprostszych zdaniach, ale chwilowo ustanowionych panami ich życia i śmierci. Musieli też wylać litry potu, zdobywając w błocie i śniegu wzgórze, za którymi „skrył się wróg”. Bez koni oczywiście, żeby kawalerzyści poczuli prawdziwy znój walki, „...co słabsi z nas myśleli o samobójstwie” - wspominał Waldorff. Dlatego, gdy tylko była okazja, podchorążowie symulowali kontuzje i choroby, by w wojskowym lazarecie złapać choć chwilę wytchnienia. Z tego okresu zachowało się kilka fotografii Waldorffa w szpitalnym szlafroku.

Zapamiętał dwóch podchorążych, którzy razem z nimi odbywali służbę w Grudziądzu. Jana Dobraczyńskiego, przyszłego katolickiego pisarza i kolegę z redakcji „Prosto z mostu”, oraz Bolka Jaruzelskiego z Lubelszczyzny, którego daleki kuzyn miał w przyszłości decydować o losie Polski. Z tego okresu zachowała się fotografia zrobiona w domu na Grotgera 5. Pięciu zawadiackich ułanów z szablami i w butach do konnej jazdy,

obstalowanych na miarę u słynnego na całą Warszawę szewca Hiszpańskiego, siedzących na balustradzie balkonu dawnego pokoju Waldorffa. Wyrwali się - wspominał - na przepustkę z poligonu w Biedrusku, gdzie jednostka z Grudziądza odbywała akurat letnie ćwiczenia.

Jeden z urlopów spędził w Warszawie, gdzie rodzina - współczując niedoli biednego chłopca - znów oddała go pod opiekę wuja lamparta. Wuj zabrał krewniaka i paru jeszcze jego kolegów do słynnej wówczas restauracji „Oaza” przy pl. Teatralnym. Szampańska zabawa przeciągnęła się do rana. Wracali do domu dwiema dorożkami. W pierwszej wuj lampart, Waldorff i koledzy, w drugiej orkiestra z „Oazy”, grająca im przez całą drogę Całuję twoją dłoń, madame.

Po ukończeniu podchorążówki otrzymał awans na podporucznika 11. Pułku Ułanów Legionowych im. Marszałka Rydza-Śmigłego w Ciechanowie, o którym jedna z żurawiejek opiewających przewagi pułków kawaleryjskich głosiła: „Lampas z gaci, pas z gałganów/Jedenasty Pułk Ułanów”. Inna była bardziej życzliwa: Jedenasty w pole rusza/ /Drży ze strachu wraza dusza”. Pozostałe, już znacznie mniej cenzuralne, opiewały męskie przymioty ułanów i sukcesy wśród panien w kolejnych miastach. A Waldorff nigdy nie przestał być dumny ze swej przynależności do kawalerii.

Wkrótce po powrocie z wojska przeprowadzili się z matką i siostrą do Warszawy. Ojciec, który zmarł w styczniu 1932 roku, nie mógł już się sprzeciwić.

Patrząc w Isiowe oczy ciemne i rozszerzone...

Isio nie był tylko szkolnym przyjacielem Waldorffa. Przede wszystkim był jego pierwszą wielką miłością. Miłością niespełnioną jeszcze fizycznie, ale miłością, która pozwoliła chłopcu przepoczwarczającemu się właśnie w mężczyznę doświadczyć wszystkich emocji związanych z rodzącym się uczuciem, jego rozkwitem, wreszcie dość gwałtownym końcem.

Jerzy Waldorff nie opowiedział o tej miłości w żadnej z książek, w które tak często wplatał wątki osobiste. Może bał się, że wyrządzi w ten sposób przykrość Mieczysławowi Jankowskiemu, z którym kilka lat później związał się na całe życie? Może nie chciał, by Mietek kiedykolwiek pomyślał, że jest zamiast? Opisał tamto uczucie dopiero w Fidrku, kiedy był już człowiekiem blisko osiemdziesięcioletnim i nie musiał bać się ludzkich języków. Albo kiedy były mu one już całkowicie obojętne. I nie pozostawił cienia wątpliwości, że Fidrek to on. Ani że miłość do Isia wydarzyła się naprawdę.

„Nigdy nie zaprzeczałem, że wolałem ładnych chłopców od ładnych dziewczyn - mówił pod koniec życia w wywiadzie dla «Nowych Książek». - Tyle mogę powiedzieć. Ale

przecież niejeden Isio był w moim życiu”.

Poznali się rok przed maturą, podczas lekcji tańca, wymyślonych przez matkę Waldorffa do spółki z przyjaciółką, dyrektorową Banku Rolnego, która miała córkę w tym samym wieku co Jerzy. Damy uradziły, że wyruszające za moment w dorosły świat pociechy powinny otrzymać umiejętność tak w tym świecie podstawową, jak umiejętność zatańczenia poloneza, mazura czy walca. A nawet, choć z lękiem, czy zwłaszcza młodej dziewczynie to przystoi... tanga, zdobywającego właśnie parkiety stolicy. Na wszelki wypadek zasięgnięto jednak w tej sprawie opinii kurii arcybiskupiej. Sprzeciwu nie było.

W lekcjach, które odbywały się w willi dyrektorostwa na Jeźyczach, brał niestety udział także znienawidzony Michał, ale przede wszystkim nowy uczeń gimnazjum, który do Poznania przybył wraz z rodzicami z Warszawy - Isio. Obiekt westchnień dziewcząt i zawiści chłopców, dopatrujących się w przybyszu ze stolicy zagrożenia dla ustalonego już w szkole porządku.

Tylko Fidrek z jakiegoś powodu od początku nowego kolegę idealizował, „...rozmyślając o nim z zachwytem, widział go jako Achillesa” - pisał Waldorff. Kiedy zaczęła zbliżać się matura, postanowił się nie uczyć, bo przecież... Isio też demonstracyjnie lekceważył nadchodzące egzaminy.

Lekcje tańca były jednocześnie okazją do podziwiania Isia i szansą na pierwszy bardzo bliski kontakt z dziewczętami. Kontakt zwłaszcza w tangu bardzo fizyczny, czego, jak się okazało słusznie, obawiały się matki, „...czuł ją całą przy sobie, jak wiła się w urywanym rytmie muzyki, chwilami jej udo między swymi, co go wprawiało w panikę. Dlaczego ona to robi? (...) Jezus Maria! - chce mu się oddać” - opisywał Waldorff przerażenie Fidrka podczas pierwszego tańca z córką dyrektorowej banku, upozowaną na wampa Melą.

Dla młodych mężczyzn lekcje tańca były okazją do puszenia się nie tyle przed onieśmielającymi ich swymi strojami i udawaną dorosłością dziewczętami, ale przede wszystkim przed sobą. Isio niemal od razu wzbudził podziw dziewcząt, w tym nawet Meli, która przecież jeszcze przed chwilą tuliła się do Waldorffa, i nienawiść chłopców, chwając się, że przeczytał właśnie Kapitał Marksa. Pytanie, czy może ktoś jeszcze książkę czytał, wzbudziło wśród młodzieży konsternację. Nikt nie mógł się pochwalić znajomością tak poważnej lektury. Nawet, ku uciesze Fidrka, udający wszechwiedzę Michał.

„Ja czytałem Kapitał Marksa” - Waldorff chyba sam nie mógł uwierzyć w kłamstwo, które nieoczekiwanie nawet dla siebie wypowiedział. Ale nagrodą był uśmiech Isia (zachwycającego Fidrka wszystkim: tym, jak mówił, jak się poruszał i jak wyglądał - pisał Waldorff) i wywołująca dwuznaczne rumieńce obietnica, że muszą się wobec tego umówić,

żeby o książce pogadać. Tylko „głupi” Michał źle odczytał intencje Jerzego, sądząc, że chce popisać się przed... Melą. Gdy zostali sami, zagroził nawet, że jeśli się od Meli nie odczepi, doniesie o jego lekturach księdzu katechecie. Chciał nawet bić Fidrka, ale wtedy pojawił się Isio. Do domu wracali razem, okazało się, że nowy kolega zamieszkał niedaleko kamienicy na Grotgera. Żegnając się, Isio zapytał, czy Waldorff naprawdę przeczytał dzieło Marksa? Gdy usłyszał prawdę, pocieszył go: „Nic się nie martw! Ja także nie czytałem”. Przyjaźń została zawarta. I przetrwała nie tylko ostatnią klasę gimnazjum i maturę, ale także rytualną wyprawę maturzystów do burdelu, z której Fidrek najzwyczajniej uciekł.

Trzymali się razem także podczas pierwszych lat studiów. Aż do wakacji, które spędzili razem we włoskim Amalfi nad Adriatykiem, niedaleko Sorrento, w pobliżu Capri.

W Amalfi Isio zamieszkał w willi ciotki, niespełnionej aktorki, Fidrek w nieodległym starym młynie. Oddalenie nie przeszkadzało im jednak w codziennych spotkaniach, wędrówkach między skałami na odludne plaże, gdzie mogli się kąpać wolni od wścibskich spojrzeń innych turystów, i wycieczkach w głąb lądu. Podczas jednej z nich wyprawili się do stojącej w dzikim zagajniku figowym starej, zrujnowanej, pozbawionej dachu i okien maleńkiej świątyni. Może sama nie byłaby warta oglądania, gdyby nie marmurowy posąg Ganimedesa wewnątrz. Pozbawiona rąk rzeźba mitycznego młodzieńca, którego Zeus pokochał i porwał na Olimp, by uczynić nieśmiertelnym, musiała podziałać na wyobraźnię coraz bardziej zbliżających się do siebie Isia i Fidrka. Na wyobraźnię Fidrka podziałała na pewno. Nawet to, że przez wieki posąg nagiego Ganimedesa utracił ramiona.

„...wyglądało jakby Zeus nadmiernie gwałtowny w pożądaniu chwycił Ganimeda za owe ramiona, szarpnął i porwał je, a chłopiec został na ziemi, do dziś tęsknie wypatrując boskiego uwodziciela. Daremnie piękny, skoro władzę nad światem objęły tymczasem siły wrażliwsze na inne rodzaje miłowania” - opisywał Waldorff po latach swe wrażenia.

Od czasu tamtej wycieczki patrzył na Isia już inaczej. „Łapał się na porównywaniu Isia z posągiem w Dolinie Świątyń (...). Czy on, Fidrek, mógłby grać przy nim rolę Zeusa? (...). Dokądże miałby unieść swojego Ganimeda? Gdzie by się ukrył z nim i jakimi piorunami bił w świat...” - pisał w innym miejscu. Patrzył z uwielbieniem na rozwibrowaną w słońcu, mieniającą się coraz to innym odcieniem złota skórę, na piersi Isia podobne mosiężnym tarczom, unoszące się równomiernie, gdy leżeli obok siebie, odpoczywając po pływaniu. Nie wiedział tylko jeszcze, czy powinien się tego podziwu i tych porównań wstydzić, czy traktować jako coś absolutnie naturalnego.

W noc, na którą przypaść miała pełnia Księżycy, Fidrek zaprosił Isia na wspólne rozkoszowanie się widokiem z leżaków na tarasie młyna, w którym mieszkał. Siedzieli

zasłuchani w dźwięki nocy, w koncert żab skrytych wśród liści i szum skrzydeł latających wokół nietoperzy. Nagle Fidrka otoczył szyję Isia ramieniem; chwilę tak trwali wtuleni w siebie coraz mocniej. „Fidrka obrócił głowę, patrząc w Isiowe oczy ciemne i rozszerzone, jak żeby się czegoś spodziewały, więc ją pochylił się nad nimi coraz niżej...” - pisał Waldorff. Isio sprawiał wrażenie, jakby chciał też zarzucić Fidrce ramiona na szyję, ale w końcu przerażony wybiegł. Następnego dnia nie pojawił się ani na plaży, ani w barze, gdzie się spotykali. Zamiast niego spotkała się z Fidrkiem włoska ciotka Isia, donna Laura. Chciała koniecznie rozmawiać o Isiu.

- On jest moim kochankiem - oświadczyła bez ceregieli. Dodała jeszcze: kosztownym kochankiem, któremu zamierza zafundować wyprawę do Ameryki. Ale jeśli Fidrka stać na spełnianie kaprysów Isia, to proszę bardzo...

Następnego dnia Waldorff pierwszym statkiem, na który mógł kupić bilet, wyjechał z Amalfi. W Rzymie czekała już na niego depesza z wiadomością o chorobie ojca. Niedługo potem wyprowadzili się z matką do Warszawy. Przez następne pół wieku Isia nie spotkał. Z każdym mijającym rokiem narastało przekonanie, że nie spotka go już nigdy.

Przeszłość odezwała się niespodziewanie. W latach osiemdziesiątych Waldorff przebywał w Zakopanem na kuracji, gdy zatelefonowała znajoma jeszcze sprzed wojny, zapraszając na obiad. Będzie gość z Kanady, mister Bradley, którego być może Waldorff chętnie sobie przypomni - zapowiedziała. Ale Waldorff nie rozpoznał w panu Bradleyu nikogo znajomego. Do momentu gdy zostali sami. Gość zapytał o Michała z Poznania. Ale i to nie była jeszcze wystarczająca podpowiedź. Dopiero pytanie o hotel „Santa Clara” nie pozostawiało wątpliwości. „Ja jestem... - głos mu się załamał, więc odchrząknął - ja byłem wtedy Isiem” - zanotował Waldorff słowa Bradleya.

Pierwsze wrażenie to była złość na niepotrzebnie po latach rozdrapywaną, dawno zabliznioną ranę - wspominał Waldorff. I lęk przed powrotem w świat przeszłych uczuć. Nie wiadomo, czy całkiem wygasłych, ale na pewno pozbawionych tamtego żaru.

Stary człowiek z Kanady chciał jednak wyrzucić z siebie wszystko, co wydarzyło się po tamtej nocy, gdy uciekł z tarasu. Następnego dnia znów był we młynie, szukał Fidrka, bez skutku. Dopiero wtedy ciotka opowiedziała mu o swej rozmowie z Waldorffem. Myślała, że będzie pośredniczką między obu młodzieńcami, tymczasem nagle ta niespełniona aktorka postanowiła odegrać największą rolę swego życia, „...dowiedziałem się, że ją skusiło, aby zagrać taką rolę, jakiej dawno chciała w teatrze” - opowiadał stary Isio równie staremu Fidrce.

Dawne wspomnienia wróciły. Wrócił młyn i hotel „Santa Clara”, wróciły piaszczyste

plaże Amalfi i szafirowa tafla Morza Śródziemnego. I wróciło wspomnienie o utraconej bezpowrotnie miłości, która mogła zmienić ich życie.

„Łzy nasze to było wszystko, na co mogliśmy się zdobyć pochyleni nad grobem dwóch chłopców, którzy ongiś chcieli pokochać się na śmierć i życie, ale im nie wyszło, a teraz dawno już ich nie było na tym świecie” - napisał Waldorff w Fidrku.

W nagranej dwa lata przed śmiercią radiowej audycji Życie z muzyką w tle wyraźnie chciał opowiedzieć o tym jeszcze raz.

„Isio to jest moja pierwsza miłość w życiu - mówił. - I nie ma co ukrywać, że to była miłość do pięknego chłopca (...). A najtragiczniejsze jest to spotkanie dwóch starych ludzi pod Tatrami, gdzie okazuje się, że to oni - ci, którzy się kiedyś kochali, kiedy mieli po osiemnaście lat. A teraz spotykają się dwie ludzkie ruiny. On nagle zapytał: «Czy pamiętasz Amalfi? Czy pamiętasz młyn?». A ja się nic nie odezwałem, nic nie miałem do odpowiedzi, tylko łzy w oczach i on też. Tak bywa w życiu”.

Młodości własnej, głupiej, można się wstydzić, ale nie należy jej ukrywać...

Po przeprowadzce do Warszawy zamieszkali z matką i siostrą w obszernym mieszkaniu na piętrze kamienicy przy Pięknej 20. Jerzy, zgodnie z wolą matki, rozpoczął aplikanturę w znanej kancelarii adwokackiej profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Włodzimierza Kozubskiego, specjalisty od prawa rzymskiego. Nie na długo jednak starczyło mu adwokackiego zapału; oczywiście, jeśli w ogóle ten zapał kiedykolwiek w nim był. W jednym z listów podczas przedłużającego się pobytu we Włoszech informował matkę: „Kozubskiemu napiszę expres, że się rozchorowałem i dlatego muszę parę dni opóźnić przyjazd”.

Już pierwsze prawnicze doświadczenie było zniechęcające. Patron przydzielił młodemu aplikantowi sprawę krawca, który zgłosił się do kancelarii po pomoc w sprawie zniszczenia dzieła sztuki. Krawiec, jak twierdził Waldorff, był być może mistrzem w swoim fachu, ale na nieszczęście miał jeszcze ambicje mecenasa i kolekcjonera sztuki. I to tylko z tego powodu, że zdarzało mu się szyć spodnie i koszule malarzom. W zamian za usługę brał od nich obrazy; w efekcie zgromadził ich ponad sto, czasem dobrych, częściej złych. O jedno z tych płócien - kicz, na którym widniała przystrojona liliami dziewczyna w trumnie na katafalku - szedł spór, w którym krawca miała reprezentować kancelaria prof. Kozubskiego, czyli właśnie... Waldorff.

Krawiec oddał obraz wyspecjalizowanej firmie do renowacji, a tam wraz z brudem zmyto część kiepsko najwyraźniej położonej farby. „Nie miałem ani chwili wątpliwości, że

renowator, zniszczywszy okropieństwo, przysłużył się kulturze ojczystej” - pisał Waldorff, nie zmieniało to jednak faktu, że krawiec poczuł się mocno poszkodowany i żądał zadośćuczynienia.

Waldorff wywiązał się z powierzonej mu roli bardzo dobrze. W płomiennej mowie przekonał sąd, że dopuszczono się zbrodni przeciw narodowej kulturze, niszcząc dzieło godne pędzla Rembrandta albo Rubensa, w związku z czym krawcowi bez wątpienia należy się odszkodowanie. „I zażądałem 4 tysięcy złotych odszkodowania, mówiąc, że to na otarcie jednego oka” - opowiadał po latach Waldorff Tomaszowi Raczkowi. Cztery tysiące złotych to była równowartość dzisiejszych 10 tys. dolarów.

Sąd uwierzył, krawiec dostał odszkodowanie, a Waldorff honorarium, „...jednocześnie wzięło mnie takie obrzydzenie do tego, co robię, że z dnia na dzień rzuciłem aplikaturę, postanawiając oddać się wyłącznie pisarstwu i muzyce” - wspominał. Trochę „poprawił” rzeczywistość. Wytrzymał w kancelarii Kozubskiego prawie trzy lata, jednocześnie jednak próbując sił w dziennikarstwie i krytyce.

To właśnie wtedy obok aplikanta adwokackiego Jerzego Preyssa pojawił się redaktor Jerzy Waldorff (podpisywał się jeszcze wtedy - Walldorf). Chciał uniknąć ośmieszającego i w jednym, i w drugim środowisku określenia: „najlepszy adwokat wśród muzyków i najlepszy muzyk pośród adwokatów” - tłumaczył po latach.

Zadebiutował jako recenzent muzyczny na łamach „Kuriera Porannego” w połowie roku 1935. W 1937 był już szefem działu krytyki muzycznej dziennika, a rok później, gdy na serce rozchorował się kierownik działu literackiego, Jerzy Hulewicz, objął funkcję redaktora kolumny literackiej, zatytułowanej szumnie „Apel”. Po latach pochwalił się, że jako redaktor starał się przestrzegać zasady, że liczy się wyłącznie wartość tekstu, a nie przekonania autora. „Między innymi Broniewski drukował tam Bagnet na broń” - pisał z prawdziwą dumą.

„Kurier”, oficjalnie prorządowy, próbował z różnym skutkiem wybijać się na niezależność, „...był jakby prorządowy, ale raczej mieszczański z kokietowaniem rządu, bo od rządu liczył na różne zamówienia i pieniądze” - wspominał Waldorff. Ale dość karkołomne wyczyny, by utrzymać pozory dziennikarskiej rzetelności, a jednocześnie dochować wierności politycznym i finansowym mocodawcom, nie były łatwe i nie zawsze się udawały. W efekcie dziennik coraz częściej kontestował poczynania rządu. Waldorff jednak nie angażował się w polityczne spory toczące na pierwszych stronach dziennika przez liderów sanacji, zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego. Publikował przede wszystkim felietony i recenzje muzyczne.

Pióro od początku miał ostre. Przedrukowane po dwudziestu kilku latach w zbiorze

Zbuntowane uszy teksty z „Kuriera Porannego” zatytułował Bezczelny smarkacz.

W felietonie poświęconym koncertowi w Warszawie francuskiej pianistki Jeanne Manchon-Theis najpierw wydrwił przekonanie Francuzów, że Polska to kraj wypełniony kurnymi chatami, wozami drabiniastymi i Kozakami urządzającymi pogromy, więc nie trzeba się specjalnie starać, a następnie boleśnie skrytykował występ. Artystka, która egzamin do Konserwatorium Warszawskiego niechybnie by oblała - pisał - Appassionata Beethovena „odbębniła”, utwory Debussy’ego „wyrąbała”, Ravela „sknociła”, a Etiudy symfoniczne Schumanna „odgrzmociła”; „...zrobiłaby najlepiej, zostając premierem w swoim kraju; postąpi zaś najgorzej, upierając się przy dalszej karierze artystycznej” - podsumował występ.

Recenzując książkę Władysława Fabrego Moniuszko, nie pozostawił cienia wątpliwości, że to książka zła. Pełna błędów faktograficznych, gramatycznych i stylistycznych. „Taka sobie pocziwa, taka pocziwa grafo - panie tego - mania” - napisał na koniec. A gdy do Warszawy przyjechał wywodzący się z Polski żydowski pianista, Ignacy Friedman, Waldorff uległ dość powszechnej w ówczesnym społeczeństwie niechęci do Żydów i napisał, że sposób, w jaki Friedman gra Chopina, „to jest ubój rytualny na wielkim polskim romantyku”.

Władze Warszawy (bardziej zasługujące na miano wujów niż ojców miasta, pisał) bezpardonowo zaatakował za nieudolne zarządzanie operą. Opera nigdy nie była i nie będzie przedsiębiorstwem dochodowym, przekonywał, i żeby ją mieć w mieście, trzeba do niej dokładać..Jeśli tego nie chcecie, o wujowie, to otwórzcie tam lepiej walki bokserskie. Operą nie można handlować jak koncesją na wyszynk” - pisał. Zaś podsumowując muzyczny sezon 1937/1938, załamał ręce nad Filharmonią Warszawską, jej poziomem („więcej niż niskim”), repertuarem („przynoszącym więcej szkody niż pożytku”) i polityką programową („szarpiącą się na szlagiery”), wreszcie nad ubóstwem, na jakie skazani są polscy muzycy. „Opera już nie istnieje - pisał - w przyszłym sezonie upadnie filharmonia, dorastające pokolenia nie mając dostępu do wielkiej muzyki, odejdą do stolików brydżowych”; „...będziemy chodzić słuchać «muzyki» na dansingi” - spuentował. Zwrócił też uwagę na polityczny aspekt kryzysu muzyki.

„Na Śląsku, Pomorzu i w Poznańskim - pisał - odbywa się niebezpieczna ofensywa niemieckiej muzyki i niemieckich zespołów filharmonicznych. Do Warszawy jednak zespoły te nie docierają. Ich zadaniem jest działanie na terenie byłego zaboru pruskiego” - alarmował.

O Wandzie Vermińskiej, wielkiej diwie ówczesnej sceny operowej, napisał w swoim przekonaniu dowcipnie („szczeniak bezczelny zgoła!” - przyznał po latach): „...pani Vermińska dysponuje tak szerokimi możliwościami wokalnymi, iż pozwalają jej one na

śpiewanie ról sopranowych, mezzosopranowych, altowych, tenorowych, barytonowych, basowych i kontrabasowych”.

- Gdybym mogła, byłabym wtedy pana udusiła! - wyznała mu po latach słynna artystka.

Po kilkudziesięciu latach tłumaczył, że tak pisać było trzeba. „Kurier”, jeden z trzech największych wtedy w Rzeczypospolitej dzienników, miał zaledwie 10 tys. egzemplarzy nakładu i każdego dnia musiał walczyć o przetrwanie na rynku prasowym. Dlatego zarówno tytuły, jak i treść recenzji musiały przyciągać czytelników. Dowcipem, ostrością sformułowań, nawet agresją; „...byle zahaczyć oko anonimowego czytelnika” - mówił Waldorff.

Z tego powodu także o procesy prasowe było wtedy jeszcze łatwiej niż dziś. W 1938 roku Waldorff uczestniczył (tym razem jako świadek, obok kilkudziesięciu innych krytyków i sprawozdawców muzycznych) w procesie wytoczonym przez znanego warszawskiego adwokata, Zygmunta Hofmokla-Ostrowskiego, słynnemu tenorowi, Janowi Kiepurze. Podczas konferencji prasowej Kiepura powiedział, że gdyby nie był tenorem, zostałby adwokatem, a gdyby zarabiał tak źle jak artyści Opery Warszawskiej (zespół opery, któremu od kilku miesięcy nie wypłacano gaż, rozpoczął właśnie strajk), wolałby świnie pasać. Porywczy mecenas Hofmokl (wcześniej zasłynął strzelaniem z pistoletu do policjanta na sali sądowej) rozumiał jedynie, że jakiś śpiewak, niech by nawet sławny, porównuje szacowny zawód adwokacki do pasania trzody chlewnej i zażądał zadośćuczynienia. Z procesu ubaw miała cała Warszawa, rada adwokacka wydała nawet oświadczenie, że wcale nie czuje się obrażona, a wszyscy uczestnicy konferencji prasowej Kiepury wzywani byli na świadków tego, co tenor powiedział naprawdę. Pamiątką po procesie zostało wycieczkowe w klimacie zdjęcie świadków na schodach sądu.

Gdy zostawał szefem działu literackiego „Kuriera”, miał niespełna dwadzieścia osiem lat. Według obowiązujących w przedwojennej prasie standardów był młodzikiem, aspirującym dopiero do poważniejszej pozycji w zawodzie. Tymczasem dzięki nominacji jednego dnia został szefem takich publicystycznych tuzów, jak Tadeusz Breza, recenzent literacki „Kuriera”, Maria Jehanne Wielopolska, zajmująca się filmem, a przede wszystkim Tadeusz Boy-Żeleński, pisujący w dzienniku o teatrze. Takiej okazji do kontaktu z legendą nie mógł przegapić, „...przeplącałem gońca, aby zamiast niego móc biegać do Boya po rękopis” - wspominał po latach. A mistrz wielkodusznie nie okazał wcale zdziwienia, że zwykły goniec wdaje się z nim w głęboką dyskusję na temat powieści W poszukiwaniu straconego czasu Marcela Prousta, którą w dodatku musiał czytać w oryginale, bo Boy

dopiero zaczynał tłumaczyć ją na polski.

Redaktorska funkcja dawała rozmaite przywileje. Dzięki niej mógł na przykład uczestniczyć w „skandalicznym”, jak ocenił po latach, warszawskim koncercie Filharmonii Berlińskiej pod dyrekcją wielkiego dyrygenta i nieco mniejszego człowieka, Wilhelma Furtwänglera. Skandalicznym dlatego, bo na raut, wydany po koncercie przez ambasadora III Rzeszy w Warszawie, Hansa von Moltkego, po raz pierwszy w historii II Rzeczypospolitej nie zaproszono Żydów. Waldorff był także wśród osób przyjętych w 1935 czy 1936 roku przez Ignacego Jana Paderewskiego. Siedemdziesięcioletni już wtedy Paderewski, tytułowany Panem Premierem (w 1919 roku był premierem rządu odrodzonej Rzeczypospolitej) ograniczył się do podawania ręki gościom, „...miał w sobie coś z ożywionego pomnika mozartowskiego Komandora” - wspominał Waldorff.

Dla „Kuriera” relacjonował m.in. rywalizację młodych pianistów z całego świata podczas Konkursu Chopinowskiego w 1937 roku, gdy trzecią nagrodę zdobył zaprzyjaźniony z Waldorffem Witold Małcużyński. W ciągu dnia słuchał wirtuozerskich wykonań utworów Chopina, wieczory zaś spędzał w salonie matki, do którego zapraszał tyle co poznanych młodych pianistów i krytyków. Przy klawiaturze zasiadała śliczna Japonka Chieko Hara, a na parkiecie uwagę wszystkich przykuwali Małcużyński z inną uczestniczką konkursu, a później jego żoną, Francuzką Colette Gaveau. Ale nie tęsknił za porzuconym konserwatorium ani za niepewną karierą pianistyczną, okupioną morderczym wysiłkiem podczas codziennych wielogodzinnych ćwiczeń, „...a ja - młodzik wtedy - beztróska wbijałem się w smoking, nieco do tego modnych perfum i już byłem gotów z doskonałą beztróską wydawać sądy o tym, co dobiegało do mnie z estrad lub scen” - wspominał.

W „Kurierze Porannym” wypatrzył go Stanisław Piasecki, endecki działacz i publicysta, twórca i redaktor naczelny ukazującego się od początku 1935 roku tygodnika „Prosto z mostu” (wcześniej ukazywał się on jako niedzielny dodatek literacko-artystyczny do związanego z Obozem Narodowo-Radykalnym dziennika „ABC”). Pismo szybko zdobyło opinię bardzo ciekawego i dobrze redagowanego, ale jednocześnie najbardziej kontrowersyjnego tygodnika II RP. Redakcja składała się z najbardziej wojowniczych, endeckich publicystów w rodzaju Jana Mosdorfa, Adolfa Nowaczyńskiego, Adama Doboszyńskiego, Józefa Kisielewskiego czy Wojciecha Wasiutyńskiego oraz z salonu odrzuconych przez lewicujące (czasem posądzane wręcz o komunizowanie) „Wiadomości Literackie”: Jerzego Andrzejewskiego, Bolesława Micińskiego i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Wiersze tego ostatniego, jak twierdził Waldorff, osobiście utracił w „Wiadomościach” zazdrosny Antoni Słonimski. „I pchnął [Słonimski - M.U.] nas wszystkich

w ramiona Piaseckiego” - powiedział po latach. Już w pierwszym numerze „Prosto z mostu” swoje teksty opublikowali także: Kazimiera Iłakowiczówna, Janusz Minkiewicz i Witold Gombrowicz. Gałczyński pojawił się w tygodniku w numerze 17., Waldorff zadebiutował rok później, artykułem Na piwko czy do muzeum. Mógł, tak jak zawsze marzył, napawać się widokiem swego nazwiska na łamach, „...dla początkujących pisarzy stronice tygodników literackich zawsze pociągające były nie mniej od łóżek z najpiękniejszymi dziewczynami” - napisał.

Dzięki takiej mieszance „Prosto z mostu” szybko stało się najpoważniejszym, momentami nawet dorównując im nakładem, konkurentem dla „Wiadomości Literackich”. By przyciągnąć do pisma czytelników i prenumeratorów, Piasecki uczynił ze swego tygodnika pismo atrakcyjne literacko (oprócz już wymienionych publikowali w nim m.in. Karol Irzykowski, Teodor Parnicki, a nawet Wojciech Żukrowski i Leon Kruczkowski), ale radykalne politycznie, agresywne i świadomie sięgające po retorykę antysemicką. Z jednej strony znajdowało to pozytywny odbiór wśród dużej części ówczesnego społeczeństwa, a z drugiej pozwalało wyraźniej odróżnić się od redagowanych „przez Żydów” „Wiadomości”. Piasecki nie zmienił linii pisma nawet wtedy, gdy jemu samemu zaczęto wytykać żydowskie pochodzenie. Nie wierzył w możliwość asymilacji Żydów, uważał, że jedynym rozwiązaniem „kwestii żydowskiej” jest ich emigracja do Izraela. Nie wpłynęły na tę opinię nawet napływające do Polski informacje o losie Żydów w rządzonej przez Hitlera III Rzeszy. Na tym tle doszło do ostrego konfliktu i rozłamu w redakcji.

„...był postacią przedziwną, nikomu nie stawiał żadnych warunków politycznych (...). Każdy miał prawo mieć własne zdanie” - wspominał Waldorff Piaseckiego, który w 1941 roku zginął zamordowany przez Niemców w Palmirach. Bronił także pisma. Pisał, że w PRL skrzywdzono „Prosto z mostu”. Napiętnowano je jako pismo reakcyjne i żydożercze, a przecież świat nie był jeszcze wtedy ani tak jednoznaczny, ani tak czarno-biały, jak chciała przedstawiać go komunistyczna propaganda.

Przez pierwsze pół roku pracy Waldorff opublikował w „Prosto z mostu” siedem artykułów, nieporównanie mniej niż choćby Jerzy Andrzejewski. W dodatku, z jednym wyjątkiem, nie były to teksty szczególnie znaczące dla tygodnika.

Pisał przede wszystkim o sztuce. O tym, żeby nie zniechęcać nieobitej jeszcze z wysoką kulturą publiczności w muzeach zbyt skomplikowanymi wykładami przewodników, bo przestanie przychodzić w ogóle. O nierozumianym przez ludzi rzeźbiarzu, Stanisławie Szukalskim. O złej sytuacji na rynku książek, coraz mniej czytanych i kupowanych, a w dodatku tępionych przez władze stolicy, które nękały ulicznych sprzedawców literatury na

równi z handlarzami owoców i krawatów. Recenzji muzycznych, których można by się było spodziewać, nie pisywał w „Prosto z mostu” w ogóle. Od muzyki był w tygodniku kompozytor i... indolog, Szwajcar z pochodzenia, Konstanty Regamey.

Jesienią 1936 roku Jerzy Waldorff wyjechał w podróż do Francji, Holandii i Belgii. W reportażu z Holandii napisał o zaręczynach holenderskiej księżniczki Juliany, które przyprawiły o ekstazę ośmiomilionowy naród, bo oto wreszcie znalazł się kandydat do ręki brzyduli na wydaniu. W korespondencji z Antwerpii pisał o przypominającym park pięknym cmentarzu, a paryskie przedstawienie Szkoły żon Moliera porównał z warszawską inscenizacją sztuki w reżyserii Stefana Jaracza w Teatrze „Ateneum”.

Już po powrocie do Polski opublikował interwencyjny reportaż, w którym ujął się za żyjącą w Paryżu w skrajnej biedzie i samotności, ponad siedemdziesięcioletnią słynną malarką, Olgą Boznańską. Wystąpił ostro przeciw polskiemu rządowi, który po interwencjach ludzi, poruszonych biedą, w jakiej żyła wielka artystka, zaproponował Boznańskiej jedynie miejsce w przytułku dla starców, kompromitując siebie i Polskę. „Z popieraniem żywych artystów jakoś w Polsce nie idzie. Za to niech tylko który umrze! Co za pogrzebik, co za mówka, co za nagrobek!!!” - drwił Waldorff. I dodał coś, co wtedy być może nie brzmiało jeszcze tak dziwnie jak dziś, gdy o słowności i dobrych intencjach Adolfa Hitlera wiadomo wszystko. „Zrozumiał to Hitler i powiedział, że w III Rzeszy artystę należy szanować na równi z żołnierzem. W ustach pana Adolfa to ma swoją wagę”. W odpowiedzi otrzymał z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (odrębnego ministerstwa kultury wtedy nie było) obszerną wyliczankę nagród, subwencji i orderów, które malarka otrzymała, oraz obrazów, zakupionych od niej do państwowych zbiorów. Urzędnik, przygotowując odpowiedź, nie zapomniał nawet o opiekunce opłacanej przez ambasadę, gdy artystka złamała rękę.

Ale najistotniejszym, a być może z punktu widzenia redakcji jedynym istotnym, bo zaanonsowanym w najbardziej eksponowanym miejscu - na pierwszej stronie, nad winiętą pisma, był wywiad z przywódcą belgijskich faszystów, założycielem nacjonalistycznej organizacji Christus Rex, Leonem Degrelle'em. Waldorff nie krył swojej fascynacji przywódcą ruchu, który zyskiwał coraz większe poparcie Belgów. Był pewien, że zawładnie Belgią, zanim ludzie zdążą wyjść z podziwu, że ktoś taki w ogóle się znalazł. Bo Degrelle to pierwszorzędnny materiał na dyktatora.

Dziś, wiedząc o Waldorffie znacznie więcej, niż wiedziano wtedy, łatwo snuć podobne domysły, ale była w sposobie, w jaki opisywał dyktatora, fascynacja wręcz erotyczna. „Wysoki, piękny, trzydziestoletni mężczyzna o ujmującej twarzy i energicznych,

wysportowanych ruchach - pisał Waldorff. - Czarne, bujne włosy uwydatniają doskonale blask wspaniałych oczu. Od postaci jego bije tak diabelna energia, taki dynamizm, że przysięgałbym, iż otoczony jest warstwą ciągle wirującego powietrza, że nie on drzwi otwiera, lecz drzwi w panice otwierają się przed nim, że nie ja wstaję na powitanie, lecz że podrywa mnie i rzuca w stronę Degrelle'a siła, podobna tej, która podrywa gwoździe do magnesu”.

Ten wywiad, podobnie jak antysemityzm i książkę o włoskim faszyzmie, wypominano Waldorffowi do końca życia. Degrelle w czasie drugiej wojny światowej opowiedział się po stronie Hitlera i utworzył ze swoich zwolenników tzw. Legion Waloński, który walczył w ramach Waffen SS (po wojnie został za to skazany w Belgii na karę śmierci, ale ukrył się w frankistowskiej Hiszpanii), łatwo więc było wykorzystać entuzjastyczny ton wywiadu przeciw Waldorffowi. Jeszcze w czerwcu 1999 roku, pół roku przed śmiercią, odpowiadał na atak jednego z efemerycznych pism: „Podrzucanie mi więc «świni», że wielbię do dziś Degrelle'a, jest bardzo śmiesznym połączeniem głupoty z pewnością siebie”.

Artykuły, które opublikował w „Prosto z mostu” przez pierwszy rok współpracy były podpisywane różnie. Walldorf (5 razy), Waldorff (raz), Waldorf (też raz), a raz nawet Malldorf. Było to pewnie raczej skutkiem braku w redakcji porządnej korekty niż potrzeby sztucznego powiększania liczby współpracowników pisma, ale błędy w pisowni nazwiska powtarzały się także w kolejnych latach. Już współpracując z tygodnikiem, zaangażował się w kolejny projekt Piaseckiego. Wszedł w skład redakcji założonej w październiku 1936 roku popołudniówki „Jutro”, której redaktorem naczelnym został najpierw Wojciech Wasiutyński, później sam Piasecki. Nowy dziennik należał do prasy sensacyjnej, tzw. pięciogroszowej, odpowiadającej dzisiejszym tabloidom. Była adresowana do najniższych warstw społeczeństwa, bardzo tania i w założeniu wysokonakładowa. „Jutro” nie odniosło jednak sukcesu, nakład wahał się w granicach zaledwie od 4 do 5 tys. egzemplarzy. Po kilku miesiącach dziennik zniknął z rynku.

Przez jedno lato współtworzył też z przyjaciółmi z „Prosto z mostu” kabaret. Pomysł był pułkownikowej Zofii Arciszewskiej, która najpierw założyła w oranżerii przy ul. Królewskiej w Warszawie kawiarnię o dość pretensjonalnej nazwie „Sztuka i Moda”, w skrócie SiM, a potem jeszcze wymarzyła sobie w tej kawiarni kabaret literacki. A ponieważ miała znajomości w „Prosto z mostu”, to zaproponowała zorganizowanie scenki Stanisławowi Piaseckiemu. Zaś Piasecki zaprosił do współpracy swoich autorów, wśród nich Gałczyńskiego i Waldorffa, aby wygłosił na początku programu druzgocącą satyrę na Polską Akademię Literatury, z którą „Prosto z mostu” od dawna miało na pieńku. Być może nawet

był to ten sam tekst, który „Prosto z mostu” opublikowało na Prima Aprilis w 1938 roku.

„Wczoraj wieczorem... akademicy zamiast jak zwykle zasnąć podczas przemówienia generalnego sekretarza Kadena-Bandrowskiego, obudzić się, gdy skończy i opuścić pospiesznie lokal - uchwalili jednomyślnie OKUPOWAĆ GMACH DO ZWYCIĘSTWA” - pisał Waldorff.

Nazwę dla teatrzyku także wymyśliła energiczna pułkownikowa. Kabaret „Chór piór” - „...niechże tę nazwę Pan Bóg pani pułkownikowej wybaczy!” - pisał Waldorff - miał występować na małej estradzie kawiarni dwa razy w tygodniu, wieczorami. Zgasił śmiercią naturalną już po drugim programie, autorzy zaś i aktorzy zaczęli na wszelki wypadek spotykać się w innej kawiarni.

Późnym latem 1937 roku Waldorff wyjechał do Włoch. Efektem podróży była książka Sztuka pod dykturą (na okładce i stronie tytułowej nazwisko autora widniało w formie - Walldorf). I jeśli ktoś po wcześniejszych publikacjach autora miał jeszcze wątpliwości, jakie były wówczas jego poglądy, po tej książce musiał ostatecznie się przekonać, w którą stronę zdaniem Waldorffa powinna iść Polska.

Włosi zrobili wszystko, by przekonać dziennikarza z Polski, że ustrój faszystowski w ich wydaniu jest najlepszą rzeczą, jaka może przydarzyć się państwu, a już na pewno artystom w nim żyjącym. W liście do matki Waldorff pisał, że jest traktowany jak oficjalna osobistość i wszyscy wokół niego skaczą. Został przyjęty przez ministra propagandy Włoch i dostał do dyspozycji trzech urzędników, których jedynym zadaniem było oprowadzanie go, dostarczanie potrzebnych informacji i spełnianie życzeń. „Myślę, że i do Mussoliniego dostanę się” - pochwalił się matce. Ostatecznie jednak dyktator go nie przyjął, „...niestety, z powodu nawału zajęć, które ma w związku z wyjazdem do Berlina” - donosił dwa tygodnie później. Bardzo przejął się swoją rolą i opiekuńczością Włochów. Nie ma mowy, abym wyjechał, nie ukończywszy pracy, zapewniał matkę, „...skompromitowałbym siebie i Polskę” - tłumaczył i zdaje się, że naprawdę w to wierzył.

Stanisław Piasecki był dumny z efektów wyprawy swego współpracownika. W ostatnim październikowym numerze z 1937 roku „Prosto z mostu” opublikowało fotografię Waldorffa na tle kolumnady placu św. Piotra, informując, że dziennikarz wrócił właśnie z dwumiesięcznej podróży do Włoch i wkrótce w piśmie pojawi się seria artykułów poświęconych sztuce włoskiego faszyzmu. Pierwszy ukazał się już miesiąc później. A na początku 1939 wyszła książka Sztuka pod dykturą.

„Ciężki i głęboki kryzys przeżywa europejska sztuka - brzmiało pierwsze zdanie Wstępu - (...) Spadła na wadze Europa, spod skóry jej wyszły żebra, na pomarszczonej szyi

zacinął się dławiący pas sowieckiej granicy”. Na ulicę wyszły wyjące z głodu tłumy ludzi, które zamiast chleba dostają granaty, by zabijaniem zarobić na strawę, pisał Waldorff. Tych ludzi już nie interesuje dawna sztuka: estetyzująca, próżniacza i bezużyteczna w swej urodzie. Potrzebują czegoś nowego. Przywódcy europejskich państw musieli więc dać ludowi sztukę, którą on zechce zrozumieć i zaakceptować. Sztukę podkreślającą miłość do ojczyzny i zamieszkującego ją narodu, wzmacniającą narodową tożsamość i narodową dumę.

Takie właśnie zadanie zostało postawione przed artystami wielu, krajów. Mieli odtąd tworzyć nie dla elit, nie dla „estetyzującej klasy posiadaczy”, ale dla ludu. Stworzyć nową sztukę. Narodową sztukę dla mas. Rozpoczął się więc wyścig, kto szybciej i lepszą sztukę dla ludu stworzy - tłumaczył Waldorff. W III Rzeszy na czele tego wyścigu stanął sam kanclerz Adolf Hitler, potępiając „zwyrodniałą sztukę” awangardy i zakazując wolnej krytyki artystycznej. „Dla wielu ludzi w Europie był to dowód - pisał - że sztuka może się rozwijać tylko w krajach demokratycznych, a ustroje totalne są synonimem zagłady”.

We Włoszech Waldorff doszedł do wniosku, że krytycy faszyzmu nie mają racji. „Nieprawdziwość tego twierdzenia rzuca się w oczy. «Ustrój totalny» jest bowiem tylko nową odmianą dawno znanych form rządzenia - pisał. - (...) Papież Juliusz II był satrapą stokroć bezwzględniejszym od Hitlera”. Bił Michała Anioła, zamykał go w Kaplicy Sykstyńskiej, by zmusić do malowania fresków, ale to przecież dzięki niemu mamy dziś genialny Sąd Ostateczny. A w wielu krajach, nawet bardzo demokratycznych, wielka sztuka nigdy nie istniała i nie istnieje. To dowód braku szczerości tych, którzy krytykują ustroje totalne - tłumaczył (nie używano jeszcze wtedy terminu „totalitarne”), „...nie tyle chodzi im o sztukę, ile o zwalczanie także za jej pomocą ruchów narodowych, krystalizujących się w formach totalnych”.

Taka będzie nieodległa przyszłość także Polski, wieszczę. Wciśnięta między dwa totalitaryzmy: sowiecki i hitlerowski, Polska będzie musiała wybierać. Albo pogodzi się z utratą niepodległości, albo przyjmie także we własnym kraju ustrój totalny.

„Wtedy na pewno my, polscy artyści, nie zawahamy się poświęcić swobód osobistych dla ratowania kraju” - deklarował Waldorff, choć nie wiadomo do końca w czyim imieniu. Dlatego lepiej od razu przemyśleć zadania i cele sztuki w przyszłej narodowej Polsce. Po to właśnie pojechał do Włoch. Przyjrzeć się, jak najstarsza w Europie faszystowska dyktatura Mussoliniego poradziła sobie z najstarszą w Europie tradycją artystyczną. „Faszyzm panuje w Italii od lat szesnastu, jego ideologia powstała dwadzieścia przeszło lat temu, nadszedł więc już czas wydawania sądów” - pisał.

Był włoskim faszyzmem wyraźnie zafascynowany. Drwił z przeciwników faszyzmu,

uważających, że ulicami miast w rządzonych totalnie państwach płyną strumienie krwi, w których zanurzone są głowy pomordowanych zwolenników demokracji. Ziemia w opisach antyfaszystów drży od uderzeń obcasów wojskowych butów, ironizował, a powietrze przenikają apokaliptyczne wrzaski na cześć krwawych dyktatorów, przysłuchujących się temu z balkonów zagrabionych pałaców. Artyści gniją w więzieniach, gdzie na ścianach malują arcydzieła ogarkami świeczek albo na skórkach chleba notują wiekopomne myśli i strofy. Które potem i tak zjadają szczury, kpił. Sztuka nie istnieje, bo jakże ma w takich warunkach istnieć?

A przecież we Włoszech wszyscy są szczęśliwi, przekonywał. Cywile tylko udają żołnierzy, każdym gestem i miną buntując się przeciw militarnemu zglajchszaltowaniu. A mimo to, zapewnił, „dziś faszyzm to jest Italia”. I nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się być przeciw. Przecież to dzięki Mussoliniemu zelektryfikowana została kolej, zbudowano sieć świetnych szos, osuszono błota pontyńskie, na których wybudowano cztery miasta, wyliczał Waldorff sukcesy władzy duce. Nad morzem, w górach i nad jeziorami, najlepsi architekci wystawili dziesiątki pałaców-sanatoriów dla dzieci włoskich robotników. Bo robotników szlachetny dyktator ukochał i otoczył troskliwością najbardziej. Między płacą robotnika i ministra, zachwycił się, jest mniejsza różnica niż w innych państwach rozpiętość między płacami dwóch urzędników w tym samym urzędzie. Mussolini z narodu włóczęgów i leni uczynił w piętnaście lat mocarstwo, które wbrew całemu światu podbiło przecież Abisynię.

Nie lubić Mussoliniego mogą więc tylko bankierzy, którym odebrał banki, i obłożona podatkami burżuazja. „Naturalnie są we Włoszech ludzie mimo wszystko zwalczający faszyzm, ale - zgódźmy się, że to nie jest opozycja, lecz po prostu wrogowie narodu, których trzeba tępić” - podsumował. Uważał, że w prawdziwej opozycji wobec Mussoliniego są ci, którzy są jeszcze bardziej niż on w faszyzmie rozkochani i uważają, że dyktator jest za mało zdecydowany w dążeniu ku świetlanej przyszłości.

Gdyby opis Waldorffa nie był tak śmiertelnie poważny, można by go uznać za satyrę. Duce, opisywał, wiedzie życie skrajnie drobnomieszczańskie. Wieczorami, po pracy, zamyka się z córką w pokoju i grają razem na skrzypcach. A ponieważ rzymianie chcą naśladować ukochanego wodza, więc wieczorem Rzym pustoszeje. Wszyscy grają na skrzypcach i gawędzą z dziećmi. Po czym idą spać.

Dyktator kocha artystów. Dbą, by byli szczęśliwi, mieli gdzie mieszkać i tworzyć, kupuje powstające dzieła. „W zamian żąda niewiele: formalnej przynależności do reżimu” - pisał śmiertelnie poważnie Waldorff. Oczywiście, pospieszył zapewnić, nie jest wcale

prawdą, jakoby kompozytorzy musieli dwa razy w tygodniu grywać marsze wojskowe na bębnach, a malarze w maskach przeciwigazowych ćwiczyć strzelanie.

Opisał w książce swoje spotkania z przedstawicielami faszystowskiej sztuki. Bo to właśnie sztuka, uważał, przygotowała włoską rewolucję. To artyści nadawali faszyzmowi kształt, który przekonał do niego zwykłych ludzi, a faszyzm nie zapominał o artystach, gdy najbardziej tego potrzebowali. Nawet o tych, którzy jak poeta Filippo Tommato Marinetti, zaczęli od futurystycznej awangardy i formalnych dziwactw. Bo droga od futurystycznych manifestów do faszystowskich odezwo okazała się we Włoszech wcale niedługa. Hasła futuryzmu: prężność, umiarkowanie, synteza stały się hasłami faszyzmu. Włoscy znajomi Waldorffa zgodzili się z nim także, że wrogi sztuce i artystom faszyzm Hitlera wraz z jego publicznym paleniem książek (choć „Kancelerza III Rzeszy podziwiam i nie mam przeciw niemu żadnych zastrzeżeń” - deklarował dziennikarzowi z Polski Marinetti) ma niewiele wspólnego z przyjaznym sztuce faszyzmem Mussoliniego. „...i wyrządza niezmierną szkodę idei nacjonalizmu” - wtórował rozmówcy Waldorff.

W umieszczonej w książce dyskusji o faszyzmie (odbyła się w kawiarni „Greco”), w której wzięli udział Malarz - typ apostoła, Architekt - trzeźwy i rzeczowy, Poeta - dowcipny alkoholik o podłożu romantycznym i Literat - doktryner, autor mógł bez kłopotu umieścić wszystkie pochwały faszyzmu.

„Literat: Mussolini jako jedyny wśród dzisiejszych mężów stanu zrozumiał, że do historii najłatwiej i na najdłużej wchodzi się przez sztukę, więc ją popiera.

Poeta: Faszyzm przygotował mającym dopiero urodzić się geniuszom wszystko. Począwszy od kołysek, a skończywszy na trumnach.

Malarz: Chcemy, żeby pozwolono nam być faszystami, bo faszyzm pasuje do Italii jak parlamentaryzm do Anglii.

Architekt: Gdyby w państwach takich jak sowiecka Rosja, które demokratyczne formy swoich rządów przeciwstawiają tyranii dyktatorskiej, rządzili «tyran» w rodzaju Mussoliniego, około 4 milionów ludzi uniknęłoby śmierci głodowej”.

Waldorff usprawiedliwił nawet obowiązującą we Włoszech Mussoliniego cenzurę. Faszyzm to ustrój młody, trwa ledwie szesnaście lat, pisał, a ludzie mają skłonność do niesprawiedliwego idealizowania przeszłości, więc chętnie wspominają „dawne, dobre czasy”. „Czy można się dziwić, że Mussolini tych skrytych marzeń nie chce podsycać, że pilnuje literatury, by kroczyła po wytkniętych przez faszyzm ścieżkach? - Waldorff nie ukrywał, że uważa to pytanie za retoryczne. - (...) Nie żądajmy od Mussoliniego za wiele. Nie może być samobójcą”.

O faszyzmie, literaturze i cenzurze rozmawiał z Curzio Malapartem, żołnierzem, dyplomatą i pisarzem. Od początku zwolennikiem faszyzmu, choć od czasu do czasu wdającym się w spory z władzą, za co był nawet na dwa lata zesłany do obozu odosobnienia na wyspie Lipari. Argumenty Malapartego, mające uzasadnić potrzebę istnienia cenzury, przypominają radość skazańca z pryczy w więziennej celi. Cenzura uwolniła wreszcie literaturę od konieczności zajmowania się polityką, przekonywał gościa z Polski. Pisanie o sprawach Kościoła jest mało istotne, a o historii w ogóle niepotrzebne. O trójkątach małżeńskich i samobójstwach, to prawda, pisać też nie wolno, ale kiedy Malaparte tworzył sztukę, którą chciał zakończyć samobójstwem, poprosił o zgodę Mussoliniego i już mógł bohatera swego dramatu uśmiercić. A w ogóle to literatura włoska stanie się ostatecznie literaturą nadrealistyczną i wszyscy będą zadowoleni. Władza nie będzie musiała pisarzy nadzorować, a literaci będą mogli pisać, co tylko zechcą. Oczywiście w wyznaczonych ramach. A rząd już wtedy zadba o nakłady i honoraria.

Waldorff, mimo apoteozy włoskiego faszyzmu, dostrzegł jednak także jego wadę. Jedną! Faszyzm, jego zdaniem, był za dobrze zorganizowany, nadmiernie opiekuńczy, zbyt doskonały! Dawał artystom niemal wszystko, wymagając w zamian „tylko” akceptacji. Noszenia w butonierce odznaki przynależności do partii faszystowskiej. W takich warunkach nie narodzi się geniusz, który ze swej natury nie może ścierpieć żadnego zaszeregowania, pisał Waldorff. Nie zaistnieje twórca na miarę Dostojewskiego, Cezanne’a czy w Polsce Stefana Jaracza, który porzucił oficjalny teatr, wyniósł się do robotniczej dzielnicy i stworzył tam najlepszy teatr w Polsce. W uporządkowanych, zorganizowanych, faszystowskich Włoszech żaden z nich nie mógłby tworzyć poza oficjalnymi strukturami kontrolowanymi przez państwo. „Twórcy - jeśli tego sam chce - nie wolno odbierać prawa do trudnego życia” - uważał. We Włoszech tymczasem, mimo stworzonych artystom przez faszyzm cieplarnianych wręcz warunków, wielkiej sztuki i wielkich talentów nie ma. Czy pojawią się, kiedy nowy ustrój wnuknie już głęboko w psychikę narodu i stanie się dla kolejnych pokoleń czymś tak naturalnym jak przed wielką wojną demokracja, o czym przekonywał Waldorffa spotkany we Włoszech przyjaciel, nie wiadomo.

„Niech nasi wnukowie kończą dyskusję - pomyślałem” - zakończył książkę, która, jak wielokrotnie się żalił, stała się przekleństwem jego życia. Jeszcze zanim się ukazała, na artykuły w „Prosto z mostu” zareagował Antoni Słonimski. „Mamy nowego faszystę”, napisał. „Ów wielki dzień zapamiętałem jako datę pasowania mnie na publicystę” - wspominał Waldorff. Opinia takiego autorytetu, nawet skrajnie negatywna, była dla początkującego pisarza nobilitacją, „...przecież ja latami starałem się tak podjudzić

Słonimskiego, żeby cokolwiek o mnie napisał” - wyznał kiedy indziej. Ale po wojnie, w innej już Polsce, przyszło mu za tę nominację zapłacić wysoką cenę. Kiedy jego polemikom i przeciwnikom brakowało argumentów, zawsze mogli sięgnąć do przeszłości, kompromitującej w ustroju, który nastąpił. „Gdy tylko trzeba było narobić mi na głowę, to natychmiast robiono ze mnie faszystę, który napisał przecież pochwałę faszyzmu” - skarżył się. Za każdym razem przywoływał na swoją obronę ostatni, szósty rozdział książki, w którym - tłumaczył - przecież wyraźnie napisał, że „sztuka może się rozwijać tylko w absolutnej wolności”. Ale nikt nie chciał słuchać.

Recenzenci też nie mieli wątpliwości, co myśleć o Sztuce pod dyktaturą. „Książka Walldorfa jest niewątpliwie afirmacją «sztuki pod dyktaturą»” - chwalił w „Kurierze Porannym” Czesław Straszewicz. „Walldorff chwali faszyzm” - potwierdził w „Kronice Polski i Świata” Jan Bajkowski. „Autor nie tai swej sympatii dla faszyzmu, ale słusznie przeciwstawia artystyczną politykę Mussoliniego - polityce Hitlera” - dodał w branżowym miesięczniku „Nowa Książka” Mieczysław Treter. „Choć Walldorf nie jest bynajmniej antyfaszystą, wprost przeciwnie, zdradza wyraźne ku niemu sympatie...” - wtórował Konstanty Troczyński w „Dzienniku Poznańskim”. „Trudno zatem podzielać przypuszczenie p. Walldorfa, że kiedyś będzie się mówiło jednym tchem: «Renesans, Barok, Faszyzm»,” - pisała w organie Polskiej Partii Socjalistycznej, „Robotniku”, Julia Pelcling. Jej artykuł powtórzyły także regionalne pepe-esowskie dzienniki.

O reklamę zadbał sam Waldorff. „Kurier Poranny” poinformował czytelników, że oto w dwóch największych włoskich dziennikach: „Il Popolo di Roma” i „Il Messagero” ukazały się bardzo przychylne omówienia jego książki. Wiadomość była prawdziwa częściowo. „Omówienia” były jednobrzmiącymi krótkimi notatkami nadesłanymi przez warszawskiego korespondenta włoskiej prasy.

W „Prosto z mostu” Adolf Nowaczyński napisał: „...instruktywna, sumienna i spokojna praca Walldorfa”. Jerzy Waldorff nie był już wtedy członkiem redakcji. Jesienią 1938 roku odszedł z pisma. Razem z Jerzym Andrzejewskim, Bolesławem Micińskim, Karolem Irzykowskim i kilkoma jeszcze współpracownikami. Uznali, że nienawistna postawa tygodnika wobec Żydów wypędzonych przez Hitlera z III Rzeszy przekroczyła granicę antysemityzmu, który był dla nich do zaakceptowania. Wiele lat po wojnie na marginesie artykułu poświęconego „Prosto z mostu” Waldorff zanotował: „Wyszliśmy dlatego, bo Piasecki oznajmił nam, że z pozycji antysemityzmu przenosi się na rasizm”.

Ale „pozycji antysemityzmu” Waldorff nie zamierzał zmieniać.

Na początku marca 1939 roku wziął udział w wyprawie grupy literatów na Zaolzie.

Rząd zaprosił pisarzy, żeby pochwalić się sukcesem. Kilka miesięcy wcześniej polska armia dokonała wspólnie z Niemcami częściowego rozbioru Czechosłowacji, zajmując Śląsk Zaolziański. Pojechała na Zaolzie Zofia Nałkowska, pojechali Juliusz Kaden-Bandrowski, Klemens Szaniawski, Jerzy Andrzejewski, Konstanty Ildefons Gałczyński i Jerzy Waldorff. Po powrocie wybuchnął entuzjazmem dla wszystkiego, co zobaczył. W ogłoszonym w „Kurierze Porannym” artykule pisał o rozpalonym po obu brzegach Olzy polskim patriotyzmie, o łączeniu się prastarej, piastowskiej krwi Zaolzia z krwiobiegami Rzeczypospolitej, o Ślązakach zaolziańskich, od których pisarze polscy będą odtąd czerpać moc.

Jerzy Putrament, przed wojną członek poetyckiej grupy „Żagary” i przyjaciel Czesława Miłosza, który po wojnie zamienił niewielki talent literacki na korzyści z udziału we władzy, wyśmiał we lwowskich „Sygnałach” patriotyczne uniesienia pisarzy, którzy wzięli udział w zjeździe. Ironicznie dodał, że nieprawdą jest, jakoby nie było wśród literatów zawieszonych na Zaolzie Żydów. Byli! Na przykład Waldorff. Z profilem, „w którym wspaniale mełamedzką krzywizną nosa daremnie starały się zatuszować wąsiki a la Hitler” - pisał Putrament. Po tych słowach w prasie zawrzało. Przez kilka tygodni mogło się wydawać, że niewiele jest w Polsce tematów równie ważnych jak nos Waldorffa.

Waldorff odpowiedział Putramentowi w „Prosto z mostu”. I to bardzo pryncypialnie. Z dumą pochwalił się, że może wykazać się genealogią szlachecką i aryjską „o parę wieków zapewne dłuższą od tej - Putramenta”. Że wszyscy jego przodkowie mieli nosy orle!, których tylko cymbał nie odróżnia od żydowskich. Przyzwoity człowiek, zanim postawi komuś oszczerczy zarzut „żydowskości”, pisał, najpierw powinien to sprawdzić, ale widocznie Putrament przyzwoity nie jest. Oskarżył wileńskiego poetę o napisanie paszkwilu na nową część Rzeczypospolitej, stwierdził u niego „dyspepsję cerebralną zwaną inaczej wodogłowiem” i postulował zamknięcie „za odpowiednią kratą”. Nawymyślał Putramentowi więcej niż ktokolwiek inny, pisano. Notkę na temat „nosa pana Walldorfa” zamieścił w przeglądzie prasy „Wiadomości Literackich” nawet Mieczysław Grydzewski.

W obronie Putramenta stanął Teodor Bujnicki, poeta, a także, jak i on, żagarysta. Wyśmiał oskarżanie kolegi o brak patriotyzmu, napisał jednak, że Putrament nie ma racji, nazywając nos swego adwersarza „mełamedzkim”. Jednak i Waldorffowi odmówił prawa do nazywania swego nosa orlim, aryjskim i sarmackim. Jest to nos po prostu przełamany, dość nieregularny i niedający się określić jakimś specjalnym epitetem klasyfikacyjnym. Nie powiedziałbym, że to nos specjalnie aryjski - raczej dostrzegłbym w nim sporo cech armenoidalnych” - przeprowadził analizę anatomiczną nosa Waldorffa Bujnicki.

Kilka miesięcy później, w opublikowanym w „Kurierze Porannym” artykule Obsesja osesków. Judeofobia, Waldorff najobszerniej i najbardziej precyzyjnie wyłożył swe poglądy na obecność Żydów w polskiej kulturze. Niektórzy publicyści w zaciętrzewieniu i judeofobii właśnie przypisują żydowskim twórcom znaczenie większe niż to, na jakie zasługują, pisał. Tymczasem w sztuce Żydów nie ma niebezpieczeństwa dla kultury polskiej, „...impotencja twórcza leży u samych podstaw psychiki żydowskiej” - przekonywał. „Międzynarodowy naród”, pozbawiony ojczyzny, przepędzany z miejsca na miejsce, nie jest w stanie stworzyć prawdziwej sztuki, tłumaczył. Pożerani przez „właściwą ich rasie nienasyconą ambicję” stworzyli, owszem, namiastki geniuszu, fałszywych proroków, ale to dopiero Polacy przez swą nienawiść przypisali im znaczenie, na jakie „rasowi grafomani żydowscy” absolutnie nie zasługują. Lepiej więc dać w gazetach miejsce prawdziwym polskim twórcom, przekonywał Waldorff, takim jak na przykład Konstanty Ildefons Gałczyński. Gdyby cała prasa, pozostająca dziś w służbie judeofobii, zaczęła któregoś dnia głosić jednym tonem, że najlepszym polskim poetą jest Gałczyński, przyniosłoby to skutek lepszy niż codzienne powtarzanie, nawet w najbardziej negatywnym kontekście, nazwisk „żydowskich cadyków artystycznych”. Trzeba wziąć przykład ze straganiarzy, którzy też muszą zmagać się z żydowską konkurencją, pisał, „...nie rozbijać straganów z tandetą żydowską, lecz stawiać obok i reklamować zaopatrzone w rzetelny towar artystyczny stragany polskie”.

Na odzew nie musiał długo czekać. W „Naszym Przeglądzie”, największym przedwojennym dzienniku żydowskim, zaatakował Waldorffa Mieczysław Braun, futurystyczny poeta, który w czasie wojny zginął w warszawskim getcie. Oskarżył autora Judeofobii o rasizm i nieudolne dążenie do „odżydzenia” polskiej literatury i sztuki podkutym butem judofobów. „Rasizm, oparty na niemieckim dogmacie niższości rasy żydowskiej, ze szczególną pasją deprecjuje twórczość duchową” - pisał. Przy okazji uderzył w najczulsze miejsce każdego, kto żywi własne ambicje twórcze, a przecież Waldorff niewątpliwie takie ambicje miał. Autor Judeofobii, napisał Braun, nie jest pisarzem, więc trudno orzec, w jakim stopniu impotencja twórcza leży u podstaw także jego psychiki. I gdyby nie Żydzi i antysemityzm być może nigdy nie dowiedzielibyśmy się o jego istnieniu, szydził. Ma Waldorff za to nieodpartą chęć wyrokowania o twórczości innych, co, według jego własnych słów, jest „marzeniem wszystkich impotentów”. A w kolejnym numerze „Naszego Przeglądu” Braun zapytał już wprost: „...kto zdoła wykazać jakkolwiek różnicę między antysemityzmem Streichera a Walldorfa”. Juliusz Streicher był hitlerowskim gauleiterem Frankonii, wydawcą nazistowskiego pisma „Der Sturmer” i zwolennikiem bezwzględnej eksterminacji Żydów. Po drugiej wojnie światowej został przez Trybunał w Norymberdze

skazany na śmierć.

Także Antoni Słonimski zareagował w „Wiadomościach Literackich” na artykuł „...jakiegoś p. Waldorffa”, jak napisał, który uważa Żydów za naród lichy, jałowy i absolutnie bezpłodny pod względem twórczym. I twierdzi to człowiek, zdziwił się Słonimski, który sam nosi niepolskie nazwisko. „Mógłby mu ktoś niegrzeczny wytknąć germańską pychę i niemieckie barbarzyństwo - dodał. - Stosowanie kryteriów rasowych to bardzo śliska droga”. Na koniec wyciągnął opublikowany kilka dni później także w „Kurierze Porannym” artykuł, którego autor zachwycał się dokonaniem uczonych żydowskich i ich zasługami dla ludzkości. „Nie trzeba nas tak strasznie kołować - napisał. - Człowiek trochę wrażliwszy może dostać zawrotu głowy i nie daj Boże, mdłości”.

Waldorff odpowiedział tekstem Mój kuzyn Adolf. Tłumaczył, że pisząc swój artykuł, nie miał wcale na myśli Słonimskiego, bo Słonimski w ogóle „nie jest artystyczny”. Wyżywa się w trywialnych kronikach tygodniowych, ale każda jego próba poetycka, prozatorska czy teatralna kończyła się klapą. „P. Słonimski jest, rzecz można, klinicznym przedstawicielem impotencji twórczej Żydów” - pisał. Nawet Mieczysław Braun, kontynuował, jest od Słonimskiego zdolniejszy, ale za to naiwny, bo uwierzył, że Hitler naprawdę nazywa się Hitler. „To jest tylko jego dyktatorski pseudonim. W istocie nazywa się Adolf Waldorff!!!” - dodał.

Wycinki z najbardziej antysemitkami tekstami własnymi i atakami na siebie Waldorff zgromadził w oddzielnej kopercie. Wiele lat po wojnie umieścił na niej odręczną notatkę „Przedwojenne zadziwiające wycinki prasowe (młodości własnej, głupiej, można się wstydić, ale nie należy jej ukrywać. Trudno! Taka była...) J. Waldorff.

Już w wolnej Polsce, po 1989 roku, próbował wytłumaczyć swoim krytykom, nękającym go oskarżeniami o rasizm, różnicę między antysemityzmem Romana Dmowskiego, którego był przez lata zwolennikiem, a nienawiścią rasową. Wcześniej, uważał, to tłumaczenie nie miało sensu. Władze PRL postrzegały świat w barwach wyłącznie czarnych lub białych. Nie zaprzeczał, że przed wojną był antysemitą. Uważał w ślad za Dmowskim, że w trzydziestomilionowej Polsce trzy miliony Żydów - „...ludzi o wiele sprytniejszych, obrotniejszych od reszty ludności” - to za dużo. Właśnie dlatego endecja popierała emigrację żydowską, „...tuż po wojnie, kiedy przyszli ci straszliwi Żydzi, Bermany i Różańscy, to wystarczyło, żeby mnie napiętnowali jako antysemitę” - mówił w 1989 roku. Przyszło to jego wrogom tym łatwiej, że musieli dobrze pamiętać postawę Waldorffa sprzed września 1939 roku.

Po opuszczeniu „Prosto z mostu” Waldorff trafił na krótki i niewiele znaczący

moment do sympatyzującej z sanacją, a naprawdę utrzymywanej przez bogatych ziemian z kresów, „Polityki” (dawnego „Buntu Młodych”) Jerzego Giedroycia. O muzyce pisywali w „Polityce” Stefan Kisielewski i Witold Rudziński, więc dla Waldorffa ostatecznie miejsca zabrakło. Być może także dlatego, że w tekście, który Giedroyc jednak opublikował, Waldorff z uporem pisał o potrzebie „operowego totalizmu” i obecności „wodza” w operze.

Był już daleko od „Prosto z mostu”, gdy wdał się w medialną awanturę z recenzentem muzycznym „Dziennika Narodowego” prof. Piotrem Rytlem, przy którego antyżydowskich poglądach przekonania Piaseckiego i jego tygodnika mogłyby się wydawać wręcz filosemickie. Był kwiecień 1939 roku, Warszawa szykowała się do Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej pod patronatem Societe internationale de la musique contemporaine, pierwszego tej rangi w Polsce, więc wyczekiwanego z wielkimi nadziejami. Zaś Rytel napisał, że festiwal to impreza żydokomunistyczna, zaproszona do Warszawy słynna francuska kompozytorka i dyrygentka, Nadia Boulanger, to agentka Kominternu, Igor Strawiański to Żyd, a Karol Szymanowski mason.

Waldorff mógł puścić płazem obelgi pod każdym adresem, nawet swoim, ale ataku na Szymanowskiego, którego kochał miłością najpierwszą, darować nie mógł. A Rytel „...posługiwał się argumentami jaskrawo niesłusznymi, muzycznymi i pozamuzycznymi, żeby tylko wroga unicestwić w opinii społeczeństwa” - wspominał Waldorff. Nazwał w „Kurierze” pisaninę Rytla rechetem zawistnych żab w głębi bagna, za co urażony Rytel wytoczył mu proces o zniesławienie. „W naszym ówczesnym kodeksie karnym między pojęciem «słusznego zarzutu» i «obelgi» istniała granica dość niejasna” - napisał. Jeden i drugi wynajęli najgłośniejszych w stolicy adwokatów (Waldorff za pieniądze matki) i czekali na rozpoczęcie procesu. Mecenas Waldorffa uważał, że sprawa jest przegrana - obelga była ewidentna - więc grał na zwłokę, próbując oddalić dzień skazania swego klienta. Taktyka okazała się bardziej skuteczna, niż można było oczekiwać. 1 września wybuchła wojna i do procesu nie doszło. Ponownie Waldorff zobaczył Rytla już po wojnie, późną jesienią 1945 roku, w opustoszałych wieczorem i przypominających cmentarzysko Alejach Ujazdowskich. „Bez słowa, ze łzami w oczach, padliśmy sobie w ramiona” - napisał Waldorff, „...byliśmy tylko dwoma Polakami, którzy spotkali się na mogile stolicy swego kraju” - dodał w innym miejscu.

Jerzy Kisielewski: - Wielokrotnie wracał do tego spotkania. W jednej chwili wybaczyli sobie wszystko.

Ostatnie tygodnie przed wojną spędzili z Mieczysławem Jankowskim w Krynicy. W powietrzu czuło się nadchodzącą wojnę, pisał. Coraz więcej przyjaciół miało już w portfelach

karty powołania do wojska. „Chociaż staraliśmy się trzymać fason i ufać defensywnej propagandzie” - wspominał. Jednak Niemcy nie przestraszyli się mocarstwowych haseł, że nie dostaną od Polski nawet guzika. Pod koniec sierpnia Jankowski pojechał do Wilna do rodziców, a Waldorff wracał na łeb, na szyję do Warszawy, żeby zdążyć zameldować się w punkcie mobilizacyjnym i pobrać skierowanie do jednostki. Tymczasem okazało się, że podporucznik rezerwy 11. Pułku Ułanów, Jerzy Waldorff, wcale nie jest armii potrzebny.

Na dwie godziny zapominaliśmy, że jesteśmy zwierzyną ściganą przez Niemców...

Wojna trwała już w najgorsze, a podporucznik ułanów Waldorff, w mundurze i krótką bronią przy pasie, jak setki innych oficerów rezerwy, meldował się każdego poranka w Rejonowej Komendzie Uzupełnień na Pradze, czekając na jakikolwiek przydział. I jak co dnia odchodził z kwitkiem. Ci, których zmobilizowano w pierwszej kolejności, od dawna byli na froncie, o uzupełnieniach nikt nie miał już czasu myśleć. Tempo, w jakim toczyła się wojna i świadomość, jak bezradna wobec niemieckich czołgów i samolotów okazała się opiewana przez wojskową propagandę polska armia, podziałały paralizująco nawet na tych, którzy byli odpowiedzialni za mobilizację rezerw. Czując, że czekanie w Warszawie na coraz bardziej niepewną przyszłość nie ma dłużej sensu, posłuchał apelu pułkownika Romana Umiastowskiego i opuścił bombardowane miasto, „...na własną rękę, idąc piechotą wedle zaleceń podanych przez radio - w stronę Bugu, szukałem jakiejś wojskowej jednostki, która chciałaby wziąć mnie do szeregu” - pisał. Nadaremno. Trudno byłoby zresztą spodziewać się, że w połowie września ktoś jeszcze zechce zawracać sobie głowę błakającym się po Polsce rezerwistą. „Znajdowałem się pod obstrzałem. Leżałem w bruździe kartoflanego pola, między wieloma uchodźcami pędzonymi przez Polskę bezmyślnym rozkazem wojskowym” - wspominał po latach.

Zawrócił. Po ucieczce rządu i dowództwa armii do Rumunii, nieoczekiwanym ataku Związku Sowieckiego na Polskę i błyskawicznym marszu przez Polskę Niemców stolica była jednak ostatnim i symbolicznym miejscem, którego należało bronić. Zdążył, ale 28 września skapitulowała także Warszawa.

Niemiecka komenda miasta wezwała polskich oficerów, którzy zostali w Warszawie, do ujawnienia się, ale żołnierze wiedzieli już, że rejestry rezerwistów zostały ze stolicy wywiezione albo zniszczone i Niemcy nie będą wiedzieli, kogo szukać. Należało więc się zastanowić, jak przetrwać, czekając na kontrofensywę aliantów, gdy zamknięte zostały polskie gazety i inne instytucje, w których Waldorff zarabiał na życie. Bo nadzieja, że Anglia i Francja, które co prawda wypowiedziały Hitlerowi wojnę już na początku września, wyruszą

szybko na pomoc Polsce, stawała się z dnia na dzień coraz bardziej płonna.

Pół wieku po wybuchu wojny i blisko pół wieku po jej zakończeniu Waldorff powie: „Do bolszewików ziałem ogromną nienawiścią, a jednak ich wkroczenie nie załamało mnie tak silnie jak przegrana Polski w trzydziestym dziewiątym roku”. Po latach przyznał się, że naprawdę wierzył w propagandowe hasła II Rzeczypospolitej: „Silni, zwarci, gotowi”, „Nie oddamy ani guzika” i w opowieści warszawskiej ulicy, że niemieckie czołgi są tak naprawdę zrobione z tektury.

Okupacyjna przyszłość rysowała się źle. Dochody z rodzinnego majątku w Poznaniu, które włączono do Rzeszy, urwały się, czynsz z kamienicy w Warszawie topniał wraz z wojenną inflacją i musieli wraz z matką zmienić piękne, ale kosztowne mieszkanie przy ul. Pięknej na tani Mokotów, gdzieś daleko za Królikarnią. Waldorff musiał też przeprosić się z porzuconą ledwie rok wcześniej aplikacją adwokacką i prof. Kozubskim, „...okazał życzliwą wyrozumiałość i przyjął syna marnotrawnego na łono kancelarii” - napisał. Ale w okresie okupacji nie było to zajęcie przynoszące jakiś szczególny dochód.

Przygotowywali się więc z matką do wojennego biedowania, wspominał Waldorff, gdy Joanna Preyssowa przypominała sobie, że powinna przecież mieć na Mokotowie jakieś place odziedziczone po dziadku, Franciszku Szustrze. Waldorff sprawdził w rejestrach hipotecznych. Były! Co prawda nie obejmowały słynnego pałacyku Szustrów, który po śmierci pradziadka Franciszka trafił w ręce innych przedstawicieli rodu, ale były! Żyli ze sprzedaży kolejnych działek (a i tak jeszcze nie wszystkich) wojennym dorobkiewiczom aż do powstania warszawskiego, mogąc jeszcze pomagać innym, m.in. żonie Konstantego Gałczyńskiego.

Pierwsze tygodnie okupacji były szokiem. Najpierw dlatego, że klęska nastąpiła tak szybko. Później dlatego, że potomkowie Bacha i Beethovena wraz z przywdzianiem mundurów w kolorze feldgrau potrafili być tak okrutni wobec potomków Chopina. Ci, którzy pamiętali jeszcze, jak wyglądała okupacja niemiecka podczas pierwszej wojny światowej i liczyli na humanitaryzm Niemców, szybko tracili złudzenia. A pierwsze zbiorowe egzekucje przypadkowo wyłapywanych ludzi kazały spodziewać się rzeczy jeszcze gorszych.

Kilka dni po kapitulacji Waldorff poszedł do redakcji „Prosto z mostu”. A właściwie do lokalu, który po redakcji pozostał. Archiwum było uprzątnięte, rękopisy ukryte, nawet meble poprzeszawiano, tak że redakcja mogła udawać zwykłe mieszkanie. Piasecki nie miał złudzeń co do przyszłości. Upierał się, że wojna potrwa nawet sześć lat. Przewidywał, że Niemcy podbiją Francję, a następnie zaatakują Rosję, „...dopiero wspólnym, najcięższym wysiłkiem Anglii, Ameryki i Rosji uda się je pokonać” - wspominał w 1946 roku jego słowa

Waldorff.

Pod koniec października wyruszył do Wilna, gdzie od końca sierpnia przebywał Mieczysław Jankowski. „Wojna już wisiała w powietrzu. Powiedziałem do Jerzego: - Jadę do Wilna pożegnać się z rodzicami i pierwszym pociągiem wracam do Warszawy. Ale wrócić już nie zdążyłem” - opowiadał Jankowski Jarosławowi Kurskiemu. Waldorff czekał tydzień, dwa, trzy, każdego dnia wychodził na Dworzec Wileński, wypatrując przyjaciela, wreszcie postanowił po niego pojechać.

Ustanowiona po 17 września granica między Niemcami a Rosją Sowiecką nie była jeszcze zbyt szczelna, a w Wilnie, oddanym przez Rosjan Litwie Antanasa Smetony, zebrało się sporo Polaków. Aktorzy, literaci, dziennikarze. Śmietanka przedwojennej Warszawy. Wśród nich: Hanka Ordonówna, Jan Kurnakowicz, Ludwik Sempoliński, Janusz Minkiewicz, Światopełk Karpiński, Władysław Surzyński, z młodszych: Hanka Bielicka, Jerzy Duszyński, Zygmunt Kęstowicz, Franciszek Walicki i Leopold Tyrmand.

„Włożyłem mocne buty, skórzaną kurtkę, plecak i do kieszeni wojskowy kompas” - wspominał Waldorff. Szedł z Janem Ekierem, pianistą, narzeczonym, a później mężem aktorki, Danuty Szaflarskiej, i znajomym o nazwisku Tyszkiewicz. Długo był przekonany, pisał nawet o tym po wojnie, że towarzyszył mu hrabia Michał Tyszkiewicz, który chciał dołączyć do swej żony, Hanki Ordonówny. Ale po latach okazało się, że to nie mógł być hrabia Michał. Szedł z innym Tyszkiewiczem.

Szli głównie nocami, czasem tylko korzystając z pociągów i wiejskich furmanek. Wilno po wrześniowych nalotach i zajętej przez Niemców Warszawie wydawało się oazą spokoju. Wydawało się jeszcze, że relacje z Litwinami można będzie jakoś ułożyć. Miało się okazać - na krótko. Litwini chcieli odreagować dwadzieścia lat polskiej okupacji - jak twierdzili - swojej stolicy.

Drugiego dnia po przybyciu Waldorff spotkał młodzieńką absolwentkę warszawskiej szkoły teatralnej, Danutę Szaflarską.

- Jezus Maria! Przecież ciebie zabito... Myśmy już się tutaj modlili! - wykrzyknęła na jego widok.

Opowiadając o tym samym wydarzeniu w innym miejscu, nieco bardziej zdarzenie udramatyzował. - Jakim prawem, jakim prawem ty żyjesz?! - miała zawołać Szaflarska.

Jedna z gazet ukazujących się w Wilnie, opierając się na pogłoskach (przynoszonych przez uchodźców z Warszawy, poinformowała, że uciekający z Warszawy redaktor „Kuriera Porannego”, Jerzy Waldorff, i znany poeta, Konstanty Ildefons Gałczyński, zostali zabici przez bombę zrzuconą przez niemiecki samolot na most Poniatowskiego, „...ów

opublikowany akt zejścia raczej przekornie - zapewnił mi długowieczność” - wspominał Waldorff.

W Wilnie w porównaniu z Warszawą było jeszcze w miarę normalnie. Wychodziły polskie gazety, w Teatrze na Pohulance mógł słuchać zakazanych już przez Niemców w Warszawie utworów Chopina, granych przez dyrektora Konserwatorium Wileńskiego, Stanisława Szpinalskiego, a także wierszy Słowackiego i Mickiewicza, recytowanych przez Władysława Surzyńskiego. „...przepełniona widownia zalewała się łzami” - wspominał.

Część Polaków skorzystała już z okazji, by uciec dalej, do Szwecji, a stamtąd - jeśli pojawiła się możliwość - do USA, statkami odpływającymi z portu w Kłajpedzie. Tak uczynili aktorzy: Jadwiga Smosarska i Henryk Conti oraz przyjaciel Waldorffa, Bolesław Miciński. Waldorff po odnalezieniu Mieczysława postanowił wracać do Warszawy, „...wiedziałem, że bez kraju obyc się nie potrafię - napisał - chory na skazę psychiczną, zwaną przez Francuzów mai du pays, a przez Niemców Heimweb”. Znow przedzierając się nocami przez zieloną granicę, unikając najpierw posterunków sowieckich, a potem hitlerowskich, na Boże Narodzenie 1939 roku dotarli do Warszawy.

Pierwsza okupacyjna zima była bardzo surowa. Miasto marzło i głodowało. Pozbawieni pracy profesorowie wyższych uczelni, artyści, pisarze i dziennikarze imali się różnych sposobów i zajęć, byle tylko przetrwać. Waldorff wielokrotnie wspominał orkiestrę nędzarzy, którą zobaczył któregoś zimowego dnia na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Dyrygował zsiniały od mrozu Stefan Śledziński, który przed wojną był kierownikiem działu muzycznego w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a po wojnie prorektorem Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. „Taką” wyższą kulturę” przynieśli nam ci sami Niemcy, z których wielu żyje do dziś spokojnie, marząc o «odwiecie», - pisał Waldorff kilkanaście lat po wojnie.

Najprostszą i najbardziej skuteczną metodą zdobywania pieniędzy na życie wydawał się handel. Szybko jednak okazało się, że tylko pozornie. Waldorff postanowił zająć się handlem biżuterią. Podstawą miały być kosztowności matki. „Niebawem, haniebnie oszukany, wycofałem się z kariery kupieckiej w popłochu” - napisał.

Zapamiętał zorganizowaną w suterenie gmachu „Zachęty” przez plastyków Marię Eysmondową i Stanisława Miedzę-Tomaszewskiego, tanią stołówkę dla artystów. Każdego dnia na gęstą zawieszistą zupę, która zwykle stanowiła całość okupacyjnego obiadu, zbiegali się tam coraz bardziej przerażeni i bezradni ludzie, niewiedzący, co ze sobą dalej począć, „...pełni lęku próbując swój rozbitý świat zebrać w jakiś kształt zrozumiały” - pisał Waldorff. Do zupy, taniej i jedzonej w pośpiechu, bo na miejsce przy stole czekali już kolejni wojenni

rozbitkowie, przygrywali muzycy, którzy w ten sposób zarabiali na swój obiad.

Grono młodych artystów zbierało się w Ipsie, kawiarni Instytutu Propagandy Sztuki, rozmawiając o potrzebie utworzenia w stolicy jakiegoś komitetu samopomocy artystów. Któregoś dnia podszedł do ich kółka Karol Irzykowski i z charakterystycznym dla niego ironicznym uśmiechem powiedział im, że właściwie powinni być z wojny zadowoleni, bo wreszcie będą mieli parę lat na porządną pracę. Porządną, to znaczy wolną od przyjęć, bankietów, premier, dyskusji w prasie, na co wcześniej trwonili czas. Waldorff zapamiętał to spotkanie bardzo dobrze, a po latach przyznał Irzykowskiemu rację.

Życie w okupowanej Warszawie to była konieczność codziennego zabiegania o najbardziej podstawowe rzeczy, pozwalające przeżyć, i unikanie coraz częstszych łapanek, które oznaczały wywózkę do obozu, a w skrajnych przypadkach śmierć. Pierwszą łapankę Waldorff przeżył w sierpniu 1940 roku, uciekając z otoczonego przez gestapowców centrum przez plac Trzech Krzyży, ulicami Książęcą i Czerwonego Krzyża pod most Poniatowskiego, gdzie się przyczał.

Po blisko pół wieku opowiadał Tomaszowi Raczkowi, że w pewnym momencie zatrzymał go niemiecki patrol.

- Ausweiss - zażądali żołnierze.

Pokazał papiery i staranną niemczyzną powiedział, że jest aplikantem adwokackim u profesora prawa rzymskiego na Uniwersytecie Warszawskim. To, w zestawieniu z niemiecko brzmiącym nazwiskiem, spowodowało, że żandarm natychmiast zmienił formę, w jakiej zwracał się do Waldorffa, z Du (ty) na Sie (pan).

- Pan jest Niemcem - powiedział.

- Nie, Polakiem - odparł Waldorff.

- Jak to, takie nazwisko, i tak pan mówi po niemiecku?

- Proszę pana, ja o wiele lepiej mówię po angielsku i francusku.

„Niemiec tak zdębiał, że mnie puścił” - wspominał po latach.

Później do okupacyjnych zajęć doszła jeszcze dość naiwna na początku konspiracja, za którą płacono niewspółmierną do zysków liczbą ofiar. Ale konspiracja pozwalała zachować wiarę w ostateczne zwycięstwo, w sytuacji gdy jednym z podstawowych celów okupanta było pozbawienie Polaków nadziei.

Taką terapeutyczną rolę odgrywała w środowisku Waldorffa kawiarnia Arkadia, otwarta przez Stanisława Piaseckiego i Jana Mosdorfa (głównie za pieniądze matki Mosdorfa) przy ul. Moniuszki 5, na parterze niezburzonego podczas bombardowań skrzydła filharmonii. Plafon kawiarni namalował bezrobotny rektor warszawskiej ASP, Tadeusz Pruszkowski,

kelnerką była Natalia Gałczyńska, na fortepianie przygrywał recenzent muzyczny „Prosto z mostu”, Konstanty Regamey. „Była niewątpliwie najwytworniejszym lokalem w Warszawie” - wspominał Waldorff - (...) a to wszystko obładowane tajną bibułą, gazetkami, artykułami i wierszami antyniemieckimi”. Gościom Arkadii konspiracja mogła na początku wojny wydawać się jeszcze niegroźną zabawą.

Prawie przez cały rok 1940 Arkadia była niemal oficjalną czytelnią i punktem dystrybucji podziemnego pisma „Walka”, które redagowali Piasecki z Mosdorfem. Ponieważ bywały w niej niemal wyłącznie osoby znajome i zaprzyjaźnione, praktycznie nie kryto się z lekturą, komentując między stolikami co cenniejsze i bardziej antyniemieckie artykuły. Czasem tylko, wspominał Waldorff, gdy przypadkiem wszedł ktoś nieznanymi i wyglądający podejrzanie, panowie chowali „Walkę” w rękawy, a panie za dekolty. Wszyscy byli pewni, że to wystarczy, bo głupi Niemcy i tak się nie zorientują. „Aż do grudniowego popołudnia, gdy wtargnęło gestapo i wygarnęło pod brezentowe budy ciężarówek publiczność kawiarni wraz z obsługą” - napisał Waldorff, którego szczęśliwie tamtego dnia w Arkadii nie było. Aresztowane kobiety zostały szybko zwolnione, podobnie jak posiadający szwajcarski paszport Re-gamey. Piasecki, aresztowany dwa dni wcześniej po wpadce drukarni, w której odbijano kolejny numer „Walki”, został rozstrzelany w czerwcu 1941 roku w Palmirach. Waldorff był na tajnym nabożeństwie za jego duszę. Mosdorf zginął w Oświęcimiu.

To był kolejny dramatyczny dowód, że chcąc przeżyć, przede wszystkim nie wolno Niemców lekceważyć. Po wojnie, we wspomnieniu o Piaseckim, Waldorff zastanawiał się, czy redaktor „Prosto z mostu” swoim demonstracyjnym lekceważeniem zasad konspiracji świadomie nie prowokował śmierci. Czy w pewnym momencie nie uznał, że właśnie on, czołowy przedstawiciel polskiej myśli totalitarnej, powinien zapłacić za swoje poglądy życiem, „...aby dość jasno zaakcentować, że z tym totalizmem wydania niemieckiego można jedynie toczyć śmiertelną walkę” - pisał.

Kawiarnie i restauracje, gdzie można było posłuchać muzyki, i to nawet w wykonaniu filharmoników, a także ciągnących do stolicy artystów ze Śląska i Poznania, zaczęły powstawać w Warszawie już jesienią 1939 roku. W listopadzie w antykwariacie Salon Sztuki przy Nowym Świecie otwarto kawiarnię pod muzyczną opieką prof. Bolesława Woytowicza, a w grudniu ruszyły koncerty w kawiarni Lardellego przy Polnej i w oranżerii SiM przy Królewskiej. Wiosną 1940 muzycy pojawili się w Gastronomii na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich, a później w kolejnych lokalach, w których podtrzymywano, przynajmniej w szczątkowym zakresie, życie muzyczne stolicy. Pod koniec roku 1940, wspominał Waldorff, ambicją i snobizmem właścicieli nawet bardzo pospolitych knajp i kawiarni było posiadanie

własnego zespołu muzycznego.

Grali w nich nierzadko najwięksi wirtuozi przedwojennych scen, śpiewały takie gwiazdy opery i operetki, jak światowej sławy bas, Adam Didur, dyrygowali mistrzowie batuty, jak Zygmunt Latoszewski, dyrektor Opery Poznańskiej. A także młodzi, z których wyrosli później najwięksi polskiej muzyki: Witold Lutosławski i Andrzej Panufnik. „Przychodząc do Salonu Sztuki, na dwie godziny zapominaliśmy, że jesteśmy zwierzyną ściganą przez Niemców...” - pisał Waldorff. Nie trwało to jednak długo. Na koncertach w kawiarniach pojawili się Niemcy, w dodatku w mundurach. A niektórzy z artystów zaczęli zabiegać o uznanie nowych panów Warszawy. Po latach miało to zaowocować stawianymi bardzo poważnie zarzutami, że ludzie uczestniczący w muzycznym życiu okupowanej stolicy ocierali się niemal o kolaborację.

Takie wątpliwości zaczęły pojawiać się nawet we wspomnieniach ludzi, którzy sami brali udział w organizowaniu okupacyjnych koncertów. Waldorff odpowiedział im esejem Zagrożeni niesławą, będącym częścią tomu Czarne owce dla Apolla. Pisał go - nie ukrywał tego - zirytowany krzywdzącymi uproszczeniami. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego z taką łatwością przekreśla się znaczenie, jakie miała podczas okupacji muzyka. Szczególnie dla pozbawionej dostępu do kultury inteligencji. Zwłaszcza muzyka grywana podczas koncertów organizowanych w kawiarni Lardellego i w Salonie Sztuki - bojkotowanych rzekomo przez warszawiaków. Władze niemieckie, starając się ograniczyć możliwość nieformalnych kontaktów polsko-niemieckich, podzieliły lokale w stolicy na trzy kategorie. Nur für Deutsche (tylko dla Niemców), wyłącznie dla Polaków oraz erlaubt für Deutsche, w których mogli pojawiać się Niemcy, ale wyłącznie w mundurach. Kawiarnia Lardellego i Salon Sztuki należały do tej trzeciej kategorii. Stawianie znaku równości między kolaboracją a koncertami w tych właśnie lokalach nie miało zdaniem Waldorffa żadnych podstaw..Jedno nieodpowiedzialne sformułowanie, a ileż krzywdy wyrządzonej Bolesławowi Woytowiczowi, który stał w czołówce muzycznego ruchu oporu” - irytował się. Bronił w pewnym sensie także siebie. Był przecież współorganizatorem życia muzycznego w okupowanej Warszawie.

Pierwszym wydarzeniem muzycznym, które współtworzył, były obchody rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego. Odbyły się w niedzielne marcowe popołudnie 1941 roku w niewielkim mieszkaniu jego matki, przy Kredytowej 1, na tyłach gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Zebrało się kilkadziesiąt osób, poroządzanych w jadalni i salonie. Kompozytor i skrzypek, Roman Padlewski, wygłosił prelekcję o Szymanowskim, Ewa Bandrowska-Turska zaśpiewała kilka Pieśni kurpiowskich, Eugenia Umińska zagrała Źródło Aretuzy, a Zbigniew Drzewiecki Wariacje fortepianowe h-moll z góralskim marszem

żałobnym. „Było podniosłe, rzewnie i smutno” - zapamiętał Waldorff.

Spotkanie poprzedziło nabożeństwo w kościele Świętego Krzyża, gdzie przy dźwiękach Stabat mater Szymanowskiego celebrowano obrzędy żałobne, wspominał po czterdziestu z górą latach Jerzy Andrzejewski, który uczestniczył w spotkaniu na Kredytowej, „...zebranie”wtajemniczonych” odbyło się zaraz po mszy w mieszkaniu Jerzego Waldorffa” - napisał.

Podobną uroczystość rok później odnotował w swoim dzienniku Jarosław Iwaszkiewicz. „Wczoraj odbyła się tajna akademія w piątą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego. Zebrało się nas ze czterdzieści osób, jak zwykle w mieszkaniu Jerzego Waldorffa” - zapisał 30 marca 1942 roku. Zagrali Drzewiecki, Ekier, a na skrzypcach Ewa Dubiska, zaśpiewała Ewa Turcka, wspomnienie o kompozytorze wygłosił sam Iwaszkiewicz. Zbieramy się tu, mówił, jak pierwsi chrześcijanie w swoich katakumbach, aby w ukryciu odprawiać wspominki po naszych wielkich artystach.

Koncerty organizowane w prywatnych mieszkaniach szybko stały się bardzo ważną częścią okupacyjnego życia muzycznego. Odbywały się m.in. w ogromnym mieszkaniu dyrektora fabryki czekolady „E. Wedel” - Stefana Wiśniewskiego, przy Baudoina 4. Kończyły się zawsze tak samo. „...pan domu wręczał artystom po kopercie zawierającej okazałą sumę honorarium” - wspominał Waldorff.

W mieszkaniu Marii Morawskiej, wdowy po Kazimierzu Morawskim, rektorze Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesie polskiej Akademii Umiejętności, przy Czackiego, odbywały się wieczory literackie, w których uczestniczył m.in. przyszły głośny pisarz, Andrzej Szczypiorski. „Panowała tam atmosfera skupienia i dobrego tonu, która wznosiła nieprzebyty mur, oddzielający nas na kilka kwadransów od straszliwej rzeczywistości wojennej (...)...poznałem tam Annę Kowalską, Andrzejewskiego, Piętaka, Waldorffa, Dygata” - wspominał. Waldorff z salonu pań (była jeszcze i córka) Morawskich zapamiętał Jerzego Andrzejewskiego czytającego opowiadanie Noc, poświęcony muzyce esej, wygłaszany przez Konstantego Regameya, wreszcie swoje własne wystąpienie.

Z odczytem wystąpił także któregoś czerwcowego popołudnia 1942 roku podczas domowego koncertu w mieszkaniu dr. Stanisława Gerleckiego przy ul. Górskiego. Grano - jak zapamiętał - II Kwartet smyczkowy Grażyny Bacewicz i Kwintet smyczkowy Regameya, co znaczyło, że musiało koncertować co najmniej pięcioro wykonawców. Waldorff wygłosił odczyt o stanie polskiej twórczości kompozytorskiej pod okupacją, pisany na podstawie informacji zebranych pracownicy od samych twórców. Maszynopis odczytu, w formie listu do przyjaciela, przetrwał powstanie warszawskie i bombardowanie kamienicy przy Kredytowej.

Kilkadziesiąt lat po wojnie Waldorff opublikował jego treść w jednej z książek.

Dlaczego zastosował taką dziwną formę? Po latach sam nie pamiętał; sądził, że być może dla bezpieczeństwa, na wypadek najścia gestapo w trakcie odczytu. Dlaczego akurat taka forma miałyby w podobnej sytuacji coś zmienić? Tego też nie wiedział. Przypuszczał, że uległ obowiązującym modnym rytuałom konspiracji. „Jak to bywa wszędzie, gdzie ludzie: prawdziwe bohaterstwo zaprawia się szczyptą kabotyństwa” - wspominał. Własny salonik prowadziła także matka Waldorffa. Sprzedając kolejne działki po dziadku Szustrze, mogła nie tylko utrzymywać siebie i syna, ale i włączyć się w działalność kulturalną.

Nie wszystkie jednak okupacyjne rozrywki przebiegały w sposób równie dystyngowany, jak wieczory wypełnione muzyką klasyczną w najlepszym wykonaniu. Waldorff wspominał jedne ze swoich wojennych imienin, na które wódkę kupił u prof. Regameya. Kompozytor i indolog próbował rozpaczliwie zarobić na życie pędzeniem bimbru, choć kompletnie tego nie potrafił. Bimber jednak musiał być bardzo mocny, bo mniej więcej po godzinie gości ogarnęło alkoholowe szaleństwo.

„...na przyjęciu u Jerzego Waldorffa tańczyliśmy z Czesławem [Miłozsem - M.U.] Bolero, oczywiście do Ravela (...)...był to taniec może, a nawet na pewno niezgodny z elementarnymi zasadami choreografii - wspominał Andrzejewski - ale był to taniec wspaniały i porywający. Niech Jerzy Waldorff zaświadczy”. Zaświadczył. Podczas spotkania Piotr Perkowski i Zbigniew Turski zaczęli grać na cztery ręce na fortepianie Bolero, pisał, które tańczyli rozebrani do pasa i z nożami w zębach: Jerzy Andrzejewski, Antoni Bohdziewicz i Czesław Miłosz. A kiedy pianiści zegrali finałowe akordy, Andrzejewski wyskoczył w górę i zawisł pod sufitem uczepony żyrandola, „...pijatyki ratowały nas przed terrorem śmierci” - usprawiedliwiał zachowanie kulturalnej elity Waldorff. \

Latem 1941 roku zaczął działać w warszawskiej filii Rady Głównej Opiekuńczej. RGO, która centralę miała w Krakowie, opiekowała się dziećmi żołnierzy przebywających w obozach jenieckich, więźniami, prowadziła we wszystkich dzielnicach stolicy tanie stołówki dla ubogich, w tym słynną kuchnię dla literatów przy Foksal.

Pieniądze na działalność zdobywano, m.in. organizując koncerty. Pierwszym zadaniem Waldorffa było więc wyszukanie miejsca, gdzie mogłyby się one odbywać. Dzięki kontaktom prof. Kozubskiego - którego aplikantem formalnie wciąż jeszcze był - znalazł odpowiednią salę w suterenie gmachu Kasy Spółek Rolniczych przy Wareckiej. Salka była mała, mieściło się w niej niewiele ponad sto osób, ale już jesienią 1941 roku zaczęły odbywać się w niej pierwsze koncerty. Między innymi występ niecodziennego duetu fortepianowego Lutosławski - Panufnik. Jeden z fortepianów, na których grali, został wypożyczony z firmy

Granke, mieszczącej się przy ul. Szpitalnej, drugi przywieziono z mieszkania Waldorffa. Zapowiadające koncerty programy i afisze, które rozwieszane były w największych kawiarniach i restauracjach Warszawy, rysowali (Niemcy nie pozwolili drukować plakatów) Eryk Lipiński z żoną oraz Jerzy Srokowski, włoskie libretta pieśni wykonywanych przez śpiewaków tłumaczyła na język polski wybitna poetka, Anna Świrszczyńska.

Jedną z osób najbardziej zaangażowanych w charytatywną działalność RGO była księżna Ludwika z Krasieńskich Czartoryska zwana Wielką Jałmużnicą Warszawy. Współpracowała między innymi z komisją muzyczną Rady. „Odwiedzałem księżnę przy Kredytowej dość często...” - pisał Waldorff; pałac, w którym rezydowała, stał niedaleko jego domu. Księżna pomagała przy organizowaniu koncertów, wspierała finansowo artystów pozbawionych dachu nad głową i środków do życia, czasem nawet osobiście wprowadzała w muzyczny świat utalentowanych debiutantów. Któregoś dnia nobliwe grono zaproszonych do pałacu gości zachwyciło się puciołowatą nastolatką Basią, która bez tremy zasiadła do fortepianu w salonie. Po latach Basia okazała się „...czcigodnym profesorem stołecznej Akademii Muzycznej, Barbarą Hesse-Bukowską” - wspominał Waldorff.

Salka przy Wareckiej szybko okazała się za małą, bo organizowane przez RGO koncerty cieszyły się ogromną popularnością. Jesienią działalność została przeniesiona do pięciokrotnie większej sali przedwojennego Konserwatorium Muzycznego przy Okólniku, gdzie w czasie okupacji mieściła się zawodowa szkoła muzyczna, kierowana przez dyrektora Niemca. Władze okupacyjne, spokojne, że wszystko odbywać się będzie pod kontrolą, zgodziły się na przeniesienie dobroczynnych koncertów RGO. Nie dały co prawda zgody na uruchomienie w sali centralnego ogrzewania, ale znów pomogła księżna Czartoryska, załatwiając wypożyczenie dużego pieca z klasztoru sióstr wizytek, którego przełożoną „przypadkiem” była kuzynka księżnej.

W sprawozdaniu z działalności warszawskiej filii RGO za sezon 1942/1943, dyrektor jej biura, Czesław Dańczak, zawarł informację, iż komisja muzyczna Rady, w składzie pp.: Stanisław Kazuro, Henryk Rydzewski, Edmund Rudnicki, Piotr Perkowski i Jerzy Waldorff w okresie od października do kwietnia zorganizowała 25 koncertów, które przyniosły łącznie 41 500 zł dochodu. Pieniądze przeznaczone były na działalność statutową RGO, a częściowo, dzięki fałszowaniu kontrolowanych przez Niemców sprawozdań finansowych, szły na potrzeby podziemia. Udawało się też uszczknąć niewielką część dochodów na potrzeby środowiska muzycznego. „Komisja zyskała podwójny charakter: oficjalnego zespołu RGO i tajnego, po trosze samowolnego zarządu Związku Muzyków, ale czyż można było myśleć o formalnych wyborach?” - pisał Waldorff.

Programy koncertów przypominały regularne, organizowane w znacznie bardziej normalnych warunkach wieczory filharmoniczne. Grano muzykę: Czajkowskiego, Beethovena, Rossiniego, Schuberta, Bizeta, Pucciniego, Griega, Liszta, Verdiego i Mozarta. Z Polaków Niemcy pozwalali grać Moniuszkę, Szymanowskiego i Karłowicza, zakazany był jedynie Chopin. „Prowadził te koncerty, jak zwykle z wielką swadą, J. Waldorff” - wspominał ćwierć wieku po wojnie Zdzisław Skwara. Odbywały się także występy taneczne. W 1943 roku w koncercie na rzecz RGO zadebiutowała Alina Janowska, „...zapowiadał Jerzy Waldorff, a na dwa fortepiany grali Andrzej Panufnik i Witold Lutosławski” - wspominała.

Sala przy Okólniku pozwalała nie tylko na organizowanie koncertów dużych zespołów muzycznych (zwłaszcza po rozbudowaniu estrady), ale i występy śpiewaków operowych, których głosy w niewielkich salkach kawiarni nie znajdowały dość przestrzeni. Choć oczywiście władze niemieckie, które zatwierdzały plany koncertów, utrzymywano w przekonaniu, że w konserwatorium odbywają się wyłącznie koncerty kameralne. Jak było to ważne, Waldorff przekonał się dopiero po dwóch latach, gdy dowiedział się, że przebudowanaстрада służyła nie tylko muzykom. Była jednocześnie składem broni, ukrytej tam w oczekiwaniu na wybuch powstania. To o tym właśnie fakcie pisał Jarosław Iwaszkiewicz, recenzując książkę Waldorffa *Diabły i anioły*. „A cóż dopiero mówić o czasach okupacji, kiedy muzyka i muzycy odgrywali taką rolę, przykrywając kwiatami armaty, rozpylając rany i najboleśniejże straty”.

Ważną częścią działalności muzycznej RGO szybko stały się koncerty dla dzieci. Były odpowiedzią na przedstawienia dziecięce w koncesjonowanych przez Niemców teatrzykach i kabaretach. Zwykle na niskim poziomie, by - jak pisał Waldorff - „...od samego progu życia unieczemniać Polaków”. Podczas koncertów przy Okólniku grano klasyczne „dziecięce” utwory w rodzaju *Dziada* i *baby Moniuszki* czy *Symfonii dziecięcej* Leopolda Mozarta, a popularny przed wojną aktor, Mariusz Maszyński (znany m.in. z komedii *Każdemu wolno kochać*) opowiadał dzieciom najpiękniejsze polskie bajki. Maszyński występował także podczas koncertów dla dorosłych, przeplatając muzykę recytacją fragmentów poezji i prozy.

Większość koncertów prowadził Waldorff. Układał programy, zapowiadał artystów, zachęcał do korzystania z bufetu, z którego dochody bywały wyższe niż ze sprzedanych biletów, „...niezapomniany i uroczy konferansjer podziemnych koncertów warszawskich” - wspominał go po latach aktor Jan Ciecierski. Wśród niewielu dokumentów, jakie udało się Waldorffowi ocalić z płonącej po powstaniu Warszawy, było podziękowanie, skierowane do niego przez Literacką Komisję Kwalifikacyjną przy Radzie Opiekuńczej Miejskiej w listopadzie 1943 roku. „...za okazywaną nam przyjazną, wielce ofiarną uczynność koleżeńską,

której doznajemy w związku z organizacją naszych koncertów w Konserwatorium (...), umożliwiając zyskiwanie środków na cele charytatywne”. Podziękowanie podpisali m.in. Adolf Nowaczyński i Ferdynand Goetel.

Podczas jednego z koncertów przy Okólniku miało miejsce wydarzenie, które po latach wspominał ze szczególną satysfakcją. Władze

Generalnej Guberni wyraziły zgodę na koncerty organizowane przez RGO, pod warunkiem że będą to przedsięwzięcia wyłącznie dla Polaków. Tymczasem któregoś wieczoru na recitalu organowym Feliksa Rączkowskiego w sali konserwatorium pojawił się Niemiec. W dodatku w mundurze! Przerażeni i zbulwersowani bileterzy przybiegli z wiadomością do Waldorffa. „Drogą olśnienia zdałem sobie sprawę, że oto będę mógł - przynajmniej sam dla siebie - wziąć odwet za wszystkie warszawskie zakazy Nur für Deutsche” - wspominał.

Na sali siedział młody żołnierz Wehrmachtu, w okularach, lekko kluchowaty. Waldorff przypuszczał, że w cywilu jest pewnie organistą w jakimś bawarskim kościele i przyszedł zwabiony zapowiedzią muzyki, którą sam grał przed wojną. Niemiec sadowił się na krześle, gdy usłyszał:

- Verzeihen sie mir, mein Herr. Ten koncert jest dozwolony tylko dla Polaków! Nur für Polen!

Niemiec odwrócił się na pięcie i karnie wyszedł, „...a ja jak paw! Przez salę! Wśród spojrzeń pełnych podziwu! Szczęśliwy aż do łaskotania w głębi brzucha” - wspominał Waldorff.

Przyszedł jednak moment, gdy Niemcy, próbując złamać solidarność środowiska, zaczęli domagać się od polskich artystów grania także dla siebie. Muzycy stanęli przed wyborem szekspirowskim. Zgoda oznaczała oskarżenie o kolaborację, odmowa groziła w najlepszym wypadku wywózką do obozu. Zwłaszcza że wśród artystów nie brakowało Polaków żydowskiego pochodzenia, a inni mieli żony Żydówki. Konspiracyjny Wydział Kultury Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj podjął decyzję, że każdy z muzyków powinien zdecydować sam. Ci, którzy zostaną przez Niemców zmuszeni, siłą lub szantażem, niech zagrają. Problemem musiała zająć się także komisja muzyczna RGO.

...ustąpiliśmy - wspominał Waldorff decyzję podziemnego samorządu muzycznego - niech grają, abyśmy mieli z kim zaczynać muzykowanie symfoniczne w Warszawie po wojnie”.

I tak się stało. Wielu muzyków ustąpiło przed szantażem i występowało dla Niemców. Ewa Bandrowska-Turska przedstawiła niemieckiej intendencji teatralnej zaświadczenie o

chorych strunach głosowych i została kawiarką w restauracji „Adria”. Skrzypaczka Eugenia Umińska postanowiła uciec. Ale podczas pożegnalnego koncertu Edmund Rudnicki, przed wojną dyrektor muzyczny Polskiego Radia, a podczas okupacji pracownik Delegatury Rządu w Londynie na Kraj wręczył jej bukiet róż. W środku był fałszywy ausweiss na nazwisko Anna Kwiatkowska. Z tym dokumentem przetrwała okupację w Warszawie.

Sytuacja w Warszawie stawała się coraz trudniejsza. Niemcy próbowali ukrywać złe wiadomości nadchodzące z frontu wschodniego, coraz brutalniej też reagowali na akcje polskiego podziemia. Po objęciu władzy policyjnej w Warszawie przez generała SS, Franza Kutschere, łapanki i uliczne rozstrzeliwanie ludzi stały się codziennością. „Na chodniku dużymi plamami stała krew, po brzegach już ciemniejąca, lecz środkiem purpurowa, zdawała się żywa i jeszcze ciepła” - zapamiętał Waldorff przerażający widok ul. Piusa, między Marszałkowską i Kruczą, którą szedł zaledwie godzinę po zbiorowej egzekucji.

Komisja muzyczna RGO znów musiała zadać sobie pytanie, a przede wszystkim odpowiedzieć na nie: co w tej sytuacji robić? Kontynuować koncerty czy na znak żałoby i protestu zawiesić działalność? I czy ten protest w ogóle Niemców obejdzie? Bo, że pozbawi warszawiaków jednej z ostatnich możliwości uwolnienia się od nieustannego lęku przed łapankami i śmiercią, było pewne. Waldorff był przekonany, że o to właśnie Niemcom chodzi. O sprowadzenie Polaków do roli zwierzyny łownej, która nie jest już w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o swoim strachu. „Niemcy chcieli demoralizować ludność strachem, my postanowiliśmy ją uspokajać i podtrzymywać na duchu - muzyką” - pisał.

Zdecydowano, że koncerty mimo wszystko nadal będą organizowane. Zmieni się jednak repertuar - grane będą kompozycje wyłącznie poważne, a Mariusz Maszyński będzie czytał kolejne księgi Pana Tadeusza. Tak też się stało, „...wypełniona sala - mimo nieustających łapanek i rozstrzeliwań - była dowodem, że postępujemy słusznie” - napisał Waldorff.

Ostatni koncert w sali przy Okólniku odbył się 21 lipca 1944 roku. Półtora tygodnia później wybuchło powstanie warszawskie. Maszyński został zamordowany przez Niemców już w pierwszym tygodniu walk.

Lato 1944 roku Waldorff miał spędzić w Łomiankach, na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, gdzie wynajęli z Mieczysławem Jankowskim dwa pokoje w dużej drewnianej willi z wielkim, pełnym starych drzew ogrodem. Waldorff miał tam pisać planowaną powieść, czekając na sygnał powrotu do Warszawy. Rosjanie dotarli już do linii Wisły, coraz częściej słychać było strzały radzieckiej artylerii, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że walka o wyzwolenie stolicy rozpocznie się lada dzień, „...obmyśliliśmy wszystko, żeby nas

uprzedzono zawczasu. Potem, nagle...” - wspominał Waldorff. 1 sierpnia 1944 o godz. 17.00 wybuchło powstanie, które Warszawa miała przyplacić niemal całkowitą zagładą.

Waldorff i Jankowski zostali uwięzieni w Łomiankach. Niemcy otoczyli czołgami i dodatkowymi posterunkami pobliskie lotnisko wojskowe, co wykluczało próbę przebijania się do umierającej stolicy. Po okolicy krążyły wozy opancerzone, strzelające bez ostrzeżenia do ludzi pojawiających się w polu i na drodze. Na dźwięk silnika wojskowego pojazdu należało jak najszybciej przywrzeć do ziemi i poczekać, aż Niemcy przejadą. „Mogliśmy tylko, po kilka razy dziennie, wychodzić na brzeg parku i patrzeć, jak dymy i płomienie nad Warszawą gęstnieją, rozszerzają się...” - pisał Waldorff.

Mieszkańcom drewnianej willi, zamkniętym w trójkącie między Wisłą, Puszcą Kampinoską i ginącym miastem, szybko zaczął dokuczać głód. Najpierw zabrakło mięsa, potem chleba, coraz trudniej było nawet o zwykłe kartofle. Jedli pomidory i pieczarki zbierane w parku. Któregoś dnia byli już tak głodni, że Jankowski ukradł w sąsiednim gospodarstwie kurę. „...narażając dobre imię i w strachu” - pisał Waldorff. Na koniec w garnku wygłodniałych uchodźców z Warszawy znalazły się nawet dwa ulubione żółwie Waldorffa i Jankowskiego: Pamfila i Dezydery.

Na przełomie sierpnia i września ktoś - oczywiście ktoś zaufany, ale lepiej wtedy nie było zbyt nachalnie dopytywać się, w czym imieniu występuje - poprosił Waldorffa o nasłuch angielskich rozgłośni radiowych i przygotowywanie z nich komunikatów. Kto był ich ostatecznym odbiorcą? Domyślał się, że operujące w puszczy oddziały Armii Krajowej, a być może załoga polskiego szpitala polowego, który uruchomiono w pensjonacie na skraju lasu.

Konspiracja była pełna, zwłaszcza gdy na parterze willi zamieszkał niemiecki oficer. Waldorff na stryżku słuchał alianckich wiadomości i przygotowywał komunikaty, które następnie odbijali z Mietkiem na podręcznym powielaczu.

- Stolica płonęła, dolatywały do nas popioły, resztki spalonych gazet, wieczorem nad miastem stała krwawa luna - to był koszmar - opowiadał Jarosławowi Kurskiemu Jankowski.
- Na strychu Jerzy prowadził nasłuch radiowy, a na parterze urzędował Wehrmacht. Co dzień rano przyjeżdżała rowerem dziewczyna z Puszczy Kampinoskiej z bańką na mleko i zabierała maszynopisy Jerzego.

Waldorff wspominał szok, jaki przeżył, gdy któregoś dnia po nasłuchu nie wyłączył od razu odbiornika. Po audycji Radia Londyn, zakończonej graną jak hymn melodią Z dymem pożarów... usłyszał zapowiedź transmisji muzyki tanecznej z hotelu Savoy. Usłyszał gwar rozbawionej publiczności i orkiestrę grającą najmodniejszego wtedy slow-foksa Sentimental Johnny. Wyjrzał przez okno. W oddali płonęła Warszawa, ogień falował

nierównomiernie, jedne domy dopalały się, inne płomienie zaczynały dopiero obejmować. Od czasu do czasu słychać było wybuchy pocisków wystrzeliwanych przez Rosjan. „A tam ludzie tańczyli” - napisał.

Po upadku powstania Niemcy zarządzili ewakuację ludności cywilnej z terenów uznanych za frontowe. Przed willę w Łomiankach zajechały ciężarówki. Pod okiem trójki niemieckich żołnierzy lokatorzy zostali załadowani na przykrytą brezentem platformę. Wywożono ich do podwarszawskich Włoch.

Kiedy przyjechali na miejsce, ciężarówkę otoczyli żołnierze o wyraźnie wschodnich rysach twarzy, „...ujrzałem ich skośne oczy: Kałmucy z oddziałów renegata Własowa” - pisał Waldorff. Mylił się, tzw. własowcy, żołnierze z oddziałów utworzonych przez byłego generała Armii Czerwonej, Andrieja Własowa, który przeszedł na stronę Niemców, mimo krążących po wojnie legend nie brali udziału w pacyfikacji powstania. Ale mogła to być jedna z cudzoziemskich jednostek SS, złożonych z Kozaków, Azerów lub Ukraińców, które walczyły z oddziałami AK właśnie w rejonie Puszczy Kampinoskiej.

Eskortujący Polaków Niemcy wyraźnie też przestraszyli się otaczających ciężarówkę Kozaków i nakazali natychmiastowy odwrót, „...to byli pierwsi w zwyczajny sposób przychylni bliźnim ludzie, z jakimi po pięciu latach okupacji zetknąłem się na ziemi polskiej wśród Niemców” - napisał Waldorff.

Gromadka Polaków została wywieziona poza zasięg łapanki, do Brwinowa. Noc spędzili na słomie w sali brwinowskiego kina, a następnego dnia stanęli przed dylematem: co dalej? Powrót do Warszawy był niemożliwy, przypuszczali zresztą, że mieszkanie na Kredytowej i tak nie istnieje. Nie mieli pieniędzy, mogli tylko liczyć, że ktoś zechce im pomóc. Waldorff postanowił zakolatać do drzwi nieodległego Stawiska, majątku należącego do Jarosława Iwaszkiewicza, który poeta dostał w posagu, żeniąc się z Anną Lilpopówną, córką bogatego warszawskiego przemysłowca i mecenasa kultury Stanisława Wilhelma Lilpopa.

Roman Jasiński, który trafił na Stawisko na przełomie października i listopada 1944 roku, wspominał, że zastał tam sporo zasiedziały już znajomych. W tym Waldorffa „...ze swoim nieodstępnym przyjacielem, tancerzem, Mieciem Jankowskim”.

Iwaszkiewicz utworzył na Stawisku rodzaj hotelu dla wysiedlonych z Warszawy pisarzy i artystów. Gdy trafił tam Waldorff, dworek pełen już był rozbitków bez dachu nad głową. Zgnębionych, siwych, nagle postarzałych i poszarzałych, poubieranych w dziwne nieraz stroje, otrzymane z łaski od kogoś znajomego, bo do własnego domu nie mieli już szansy się dostać. Byli na Stawisku: Pola Gojawiczyńska, Zofia Nałkowska i Stanisław

Lorentz. Roman Jasiński otrzymał miejsce do spania na podeście schodów.....znalazłem się jak pośród maskarady sproszonej na Stawisko, tym bardziej upiornej, że brali w niej udział posępni goście, porozumiewający się z rzadka, półgłosem” - pisał Waldorff.

Rozmawiano głównie o tym, co nastąpi wcześniej. Czy wpadną na Stawisko Niemcy i rozstrzelają wszystkich bez wyjątku, czy szybciej nadejdzie śmierć z głodu, wycieńczenia i nękających ludzi chorób. Gospodarz starał się, choć z różnym skutkiem, podtrzymywać gości na duchu. Rano schodził z sypialni na piętrze do pełnego już hallu zawsze starannie ogolony, w jedwabnym kolorowym szlafroku i w tureckim fezie na głowie. Na rytualne pytanie zebranych, jak przedstawia się wojenna sytuacja, spokojnie odpowiadał, że jest korzystniejsza niż dzień wcześniej. Nierzadkie na obiad ziemniaki ze zsiadłym mlekiem, które stanowiły cały posiłek, podawano na lilpopowskich srebrach i porcelanach. A wieczorami Jarosław Iwaszkiewicz organizował dyskusje na tematy kulturalne albo siadał do fortepianu i grał utwory Chopina.

Starali się zachowywać pozory normalności.....we wschodniej Podkowie w jakimś barze z Rudnickim, Waldorffem i Mietkiem, dalszy ciąg Pod Lipkami. Tym razem zalałem się nieźle” - zanotował w listopadzie

Roman Jasiński. Innego dnia zapisał „...wieczorem brydż (Męciński, Waldorff, Karpiński)”.

A wieczorami, w męskim już tylko gronie, organizowano godziny zwierzeń. Zwierzenia były opowieściami o najniezwyklejszych przygodach erotycznych, które przydarzyły się kolejnym narratorom. Że zaś wśród opowiadających byli sami mężczyźni, którzy sporo w świecie bywali, więc i opowieści były, jak pisał Waldorff, „pochutliwe”. „...tłumaczę je sobie - dodawał - podświadomą może samoobroną wobec napierającej zewsząd śmierci, wynaturzoną i nieco dziką, ale takie było wszystko wokół”. Pośród tymczasowych mieszkańców Stawiska wielu było mężczyzn o mniej lub bardziej oczywistych preferencjach homoseksualnych, w tym i sam gospodarz, ale Waldorff nigdy nie napisał, czy opowieści obejmowały także przygody z własną płcią. Napisał jedynie, co można wszakże interpretować wieloznacznie: „...ścierały się parne namiętności ciał o różnej barwie, grały temperamenty rozedrgane osobliwymi nieraz żądzami”.

Te duszne wyznania zapamiętał też Jasiński. Któregoś wieczoru najpierw Iwaszkiewicz, a potem on opowiadali o swoich erotycznych przygodach. „Uśmieliśmy się co niemiara” - zanotował.

Bezdomnych uciekinierów z Warszawy z każdym tygodniem w Stawisku przybywało. Dla kolejnych zaczynało brakować miejsca. Dla starszych starano się znaleźć nocleg na

podłodze w domu, młodszych, jak Waldorffa i Jankowskiego, upychano na sianie na stryżku stodoły. Było jednak oczywiste, że zimy w takich warunkach przetrwać się nie da. Oprócz tego przeszkadzały szczury. W szlafroku, który Jasiński pożyczył Waldorffowi do przykrywania się w nocy, wygryzły kilka wielkich dziur.

Waldorff znalazł ostatecznie miejsce w odległym od Stawiska o kilkanaście kilometrów Ojrzanowie, majątku należącym do rodziny Dziewulskich, „...pożegnalna feta urządzona przez Waldorffa - zapisał Jasiński 4 listopada. - Znów grzybki i znów wódka”.

Już z Ojrzanowa dwukrotnie przebijał się do opustoszałej i czekającej na zrównanie z ziemią Warszawy. Te wyprawy były częścią zakrojonej szeroko akcji prof. Stanisława Lorentza, która miała na celu wywiezienie z Warszawy jak największej liczby książek, obrazów i niewielkich eksponatów muzealnych, skazanych w innym przypadku na zagładę. Dzięki łapówkom grupkę, do której należał Waldorff, skrzypaczki Irena Dubiska i Eugenia Umińska oraz pianista Jan Ekier, udało się „wkręcić” w szeregi robotników fabryki czekolady E. Wedla, których Niemcy skierowali do Warszawy, żeby przed zburzeniem miasta wywieźli z zakładów maszyny i dokumentację. Nadzorował akcję dyrektor fabryki Wedla, Stefan Wiśniewski, ten sam, w którego salonie odbywały się wspomniane przez Waldorffa koncerty, hojnie opłacane przez gospodarza.

Wyruszali ciężarówkami spod bramy obozu przejściowego w Pruszkowie, potem przez Wolę wjeżdżali do śródmieścia Warszawy, gdzie robotników przejmowali Niemcy z oddziałów wyznaczonych do niszczenia miasta. Jechali pustymi ulicami, wzdłuż lejów po bombach i gruzowisk, w które zamieniono wysokie dawniej kamienice, „...w długim ciągu ulicy zaczynały przerażać trupim bezruchem i pustką, w upiorny sposób jak gdyby też fascynując” - pisał Waldorff. Poruszali się w całkowitej ciszy, po drodze mijając opustoszałe powstańcze barykady, gniazda niemieckiej artylerii i rozkładające się ciała.

Punktem zbornym ekipy prof. Stanisława Lorentza był dom Wedla na rogu ulic Szpitalnej i Hortensji. Dopiero stamtąd każdy miał iść w swoją stronę; Waldorff do domu na Kredytowej. Szedł eskortowany przez kolejnego przekupionego Niemca. Okazało się, że kamienica stoi, tylko zamiast jadalni mieszkania Waldorffów jest wielka dziura - skutek uderzenia bomby. Po starym gdańskim zegarze pozostała tylko pognieciona tarcza, wciśnięta między cegły. Brakowało także części książek. Wydania Pism Jana Kochanowskiego z 1611 roku i pierwszego wydania Pana Tadeusza z autografem Adama Mickiewicza. Najwyraźniej zajął się nimi już ktoś wcześniej. „Może dzięki Bogu?... Jeżeli odniósł do pobliskiego uniwersytetu...” - napisał po latach Waldorff.

Zaczął wycinać z ram i pakować do przyniesionego worka ukryte w głębi kominka

portrety przodków, lekko tylko posiekane kulami. Na ten widok towarzyszący mu Niemiec ściągnął z pleców i zarepetował karabin:

- Jesteś złodziejem, zaraz cię zastrzelę - zagroził.

Waldorff wspominał, że nigdy jeszcze nie był tak blisko śmierci. Przyszedł mu do głowy pomysł zaskakujący, ale - jak miało się okazać - skuteczny. Przekonał Niemca, że obrazy, które zabiera, to portrety przodków samego dyrektora Wedla i jeśli dyrektor ich nie otrzyma, to na pewno przestanie produkować swoją famose Schokolade dla żołnierzy

Wehrmachtu. „Niemcowi tylko taka głupia chmura przeszła przez głębę, zawołał: Schneller, schneller i znów byłem ocalony” - pisał.

Najbardziej mu było żal miniaturki pistoletu (mieszczącej się w pudełku od zapalek). Otrzymał ją od grupki żołnierzy z batalionu „Zośka”, dla których przed powstaniem miał tajne wykłady z polskiej literatury i historii. „Jakiemu złodziejowi mogła spodobać się ta miniaturka”

- ubolewał jeszcze ponad pół wieku po wojnie.

Powrót na Szpitalną, potem do Pruszkowa i dalej do Ojrzanowa odbył się już bez większych przygód. „Waldorff urządził wielką wyprawę i przywiózł parę worków swoich książek, które na razie leżały u nas”

- zanotował w dzienniku 24 listopada 1944 roku Iwaszkiewicz.

W Ojrzanowie razem z Jankowskim i paroma jeszcze zaprzyjaźnionymi osobami doczekali najpierw końca roku 1944 (uciekiniery z Warszawy wystawili nawet w miejscowej szkole jasełka, wyreżyserowane przez znaną przedwojenną tancerkę - Ziutę Buczyńską), a parę tygodni później wejścia Armii Radzieckiej. Natychmiast też pojawili się w Ojrzanowie przedstawiciele nowej władzy, którzy zaczęli dzielić się z ludźmi tym, co do nich nie należało. Tematem rozmów prowadzonych na Stawisku stała się pewnie przyszłość, czekająca zgromadzoną tam arystokrację, choć wtedy nikt jeszcze nie mógł spodziewać się, co wydarzy się naprawdę. „Po południu Jarosław, Waldorff i ja u White-headów na herbacie i przyjemnej pogawędce...” - zapisał Roman Jasiński 24 stycznia. Było to równo tydzień po zajęciu przez Rosjan lewobrzeżnej Warszawy.

Któregoś styczniowego czy może już lutowego dnia Waldorff zobaczył we wsi młodego agitatora, który, stojąc na beczce, opowiadał gromadzie wsłuchanych w jego słowa chłopów o czekającej ich bogatej i świetlanej przyszłości. Na widok Waldorffa, w czapie z zajętych skór i baranim kożuchu, kupionym na targu w Grodzisku za bransoletkę matki, agitator zeskoczył z beczki i zapytał:

- Wy kniaź, iz pałaca?

Wkrótce po wyzwoleniu Warszawy wyruszyli z Mietkiem Jankowskim zobaczyć, co zostało ze stolicy i z mieszkania przy Kredytowej. Szli w szarym tłumie warszawiaków zamienionymi w morze ruin Alejami Jerozolimskimi. Waldorff zapamiętał nadchodzących z naprzeciwka, od mostu Poniatowskiego polskich żołnierzy, tych, którym pół roku wcześniej sowieccy dowódcy zabronili ruszyć na pomoc ginącej w powstaniu Warszawie.....oni szli zrozpaczeni! To było wojsko ze zwieszonymi głowami. (...) Tłum odwracał głowy na ich widok - wspominał po latach. - (...) I oni, i my byliśmy ofiarami tego samego szatana”.

Witam drugiego syna w domu..

Poznali się w Warszawie w roku 1938. Mieczysław Jankowski przyjechał do stolicy odwiedzić kuzynkę. U wspólnej znajomej spotkał Waldorffa.

- Po pierwszym spotkaniu wyjechałem do Wilna bez żadnego wrażenia - opowiadał w 2000 roku, krótko po śmierci Waldorffa, Jarosławowi Kurskiemu. - A potem znów przyjechałem i zaczęły się wrażenia (...). 1 maja zeszłego roku minęło sześćdziesiąt lat, jak żyliśmy razem, dzień po dniu.

Pojechali razem do Krynicy Górskiej. Była z nimi jeszcze Krystyna Nowosielska, znajoma obydwu. Matka Waldorffa długo miała nadzieję, że syn ożeni się właśnie z Krysią. Na części fotografii z Krynicy Waldorff jest z piękną smukłą dziewczyną, na innych z młodzieńcem o kręconych blond włosach. Na niektórych są we troje. Można wyobrazić sobie napięcie narastające w trójkącie, w którym każdy z osobna dobrze wie, o jaką stawkę toczy się gra.

W końcu Waldorff postanowił powiedzieć matce prawdę.

- W pierwszej chwili była zrozpaczona, że Jerzy nie żeni się z Krysią. Ale gdy wyznał, co i jak, mama powiedziała: - Jest jak jest - opowiadał Kurskiemu Mieczysław Jankowski.

Zgodziła się, żeby syn przyprowadził przyjaciela do wspólnego domu. Był 1 maja 1939 roku. Gdy Jankowski wszedł do przedpokoju mieszkania przy ul. Piusa, czekała.

- Już w progu przełamała lody: - Witam drugiego syna w domu.

- To była takiej klasy kobieta - opowiadał Mieczysław Jankowski.

- Ona mnie rzeczywiście traktowała jak drugiego syna, zawsze z największą czułością.

I tak było aż do jej śmierci. Waldorff i Jankowski odwiedzali ją po wojnie najpierw w Poznaniu, a potem pod Warszawą, kilka razy spędzili razem wakacje.

Reszta rodziny dowiedziała się o wszystkim podczas uroczystego obiadu, na który zaprosiła krewnych matka Waldorffa.

- Mówił mi o tym sam Waldorff - wspomina Zofia Kucówna. - Po dwóch stronach

stołu dwie rodziny: Preyssowie i Szustrowie. I jego matka, wspaniała pani, oficjalnie przedstawia Mietka, nie ukrywając, co łączy go z jej synem. To był rodzaj confirmacji.

Jerzy Kisielewski: - Nie wszyscy to od razu zaakceptowali. Mietek opowiadał mi o gehennie, jaką przeżył po przyjeździe do Warszawy. Większość rodziny Waldorffa albo nie zauważała go w ogóle, albo demonstracyjnie nie podawała mu ręki. Cierpiał, ale znosił to, bo Waldorffa kochał. Oprócz matki jeszcze tylko pani Kurmanowa, twórczyni szkoły dla panien, miała na tyle otwarty umysł, że Mietka zaakceptowała od razu.

Z rodzicami Mieczysława Jankowskiego też poszło dobrze. Od dawna domyślali się, że jedyny syn nie przyprowadzi do domu żony. Miał kilkanaście lat, gdy zaczął uciekać na lekcje baletu do szkoły tańca pani Muraszowej.

Jerzy Kisielewski: - W Wilnie kochał się w Mietku pewien tancerz. Po prostu oszalał na punkcie pięknego chłopca. Po wojnie też znalazł się w Warszawie i długo nie mógł pogodzić się z tym, że Mietek wybrał innego. Był zazdrosny, nienawidził Waldorffa, prześladował go, pisał donosy. A kiedy zmarł, Waldorff wyrwał z gazety stronę z jego nekrologiem. Nie chciał, żeby Mietek ją zobaczył.

Ojciec Jankowskiego, sędzia Sądu Grodzkiego w Wilnie, pierwszy zorientował się, co dzieje się z synem. Powiedział kiedyś nawet, że ma czwartą córkę. Choć mimo wszystko musiało być dla niego szokiem, kiedy po syna przyjechał znany już redaktor i pisarz z Warszawy.

Jerzy Kisielewski: - Jedna z sióstr Mietka, najstarsza i najbardziej zaniepokojona, zaciągnęła Waldorffa do Ostrej Bramy i kazała przysiąc, że nie zrobi bratu krzywdy.

Po wojnie rodzice Jankowskiego zamieszkali w Olsztynku. Jankowski i Waldorff jeździli do nich w odwiedziny.

- Byli szczęśliwi, uwielbiali go, Jerzy podbił ich serca - opowiadał po latach Kisielewskiemu Mieczysław Jankowski.

Późnym latem 1939 roku, Jankowski, czując nadchodzącą wojnę, pojechał do Wilna pożegnać się z rodzicami. Ale wrócić już nie mógł. Rosjanie i Niemcy podzielili Polskę między siebie. Przekazane Litwinom Wilno i Warszawę odgrodziły graniczne kordony. W październiku Waldorff wyruszył po Mietka. Na taką szaleńczą odwagę zdecydowali się wtedy tylko ci, których wojna rozdzieliła z najbliższymi. Wracali tą samą drogą. Na Boże Narodzenie byli już znowu w Warszawie.

Podczas okupacji nie rozstawali się. Waldorff organizował pod szyldem Rady Głównej Opiekuńczej koncerty muzyczne, Jankowski chodził do nielegalnej średniej szkoły baletowej (Niemcy dali zgodę tylko na szkołę podstawową), mieszczącej się na rogu

Mokotowskiej i Wilczej. Uczył się u legendarnego tancerza, Leona Wójcikowskiego, solisty porównywanego tylko z Waławem Niżyńskim. Jesienią 1943 absolwenci szkoły składali publiczny egzamin. Oprócz Jankowskiego byli wśród nich jeszcze m.in. Maria Krzyszkowska, po wojnie primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie oraz Witold Borkowski, choreograf Teatru Wielkiego w Łodzi.

- Na egzaminy końcowe Waldorff przyszedł z bukietem fiołków. Mietek to często wspominał - opowiada Jerzy Kisielewski.

Kiedy w lutym 1945 w Warszawie utworzono Zespół Artystyczny Centralnego Domu Żołnierza, a w nim grupę taneczną, Jankowski zgłosił się i został przyjęty. Występował w zespole przez kilka lat, później był tancerzem Teatru Wielkiego w Warszawie, wreszcie wykładowcą tańca klasycznego w Państwowej Szkole Baletowej w Warszawie. Ale w podstawowym dla powojennej historii polskiego baletu Almanachu baletu polskiego 1945-1914 Ireny Turskiej, w rozdziale zawierającym z górą setkę biogramów najwybitniejszych artystów polskiego baletu, jego nazwiska nie ma.

Przyszłość była niewiadoma, przeto można ją było faszerować nadzieją..

Na przełomie lutego i marca 1945 roku Waldorff wyruszył z Ojrzanowa przez Brwinów, Warszawę i Koluszki do Łodzi, „...chciałem się dostać do Łodzi, gdyż podobno tam urządzono zastępczą stolicę” - wspominał. Wydawało się, że Warszawa, zamieniona po powstaniu w morze ruin, długo nie zdoła podnieść się do istnienia.

Znalazł się na stacji kolejowej wśród kilkunastu innych osób, przytupujących z zimna i niepewnie wypatrujących, z której strony nadjedzie jakiś pociąg; czy nadjedzie w ogóle i przede wszystkim, czy zatrzyma się na stacji. To, kiedy nadjedzie, było mniej ważne, zresztą Waldorff i tak nie miał zegarka, który dawno wymienił na żywność. Przedwiośnie 1945 roku było wyjątkowo mroźne, więc plecak, w którym miał cały dobytek: puszkę z cukrem, herbatę, chleb owinięty w ściereczkę mającą chronić go przed wysychaniem, kilka chusteczek do nosa i zapasową parę butów był dodatkową osłoną przed wciskającym się wszędzie wiatrem.

Pociąg przyjechał dopiero późnym wieczorem, z zachodu, więc była nadzieja, że pojedzie w stronę Warszawy. Kiedy? To znów nie było najważniejsze; znacznie bardziej istotne było znalezienie miejsca w którymś z ciemnych i pozamykanych przedziałów, „...niemal we wszystkich powybijane były szyby, zastąpione tułowiami ludzkimi albo jakimiś betami, co razem upchano we wnętrzach do granic ich pojemności” - wspominał Waldorff. Ściśnięci w przedziałach szczęśliwcy nie reagowali na dobijanie się kolejnych pasażerów.

Kiedy pociąg ruszył, zdążył w ostatniej chwili złapać się jakiegoś uchwyty i stanąć na

oblodzonych stopniach progu jednego z wagonów. Jechał z duszą na ramieniu, czekając, kiedy, zmarznięty i szarpany gwałtownymi podmuchami wiatru, odpadnie od wagonu na którymś z zakrętów. Gdy wydawało mu się, że dłużej już na pewno nie wytrzyma, pociąg stanął. Usłyszał:

- Warszawa! Dalej nie jedziemy!

Kolejarz z latarką w dłoni, ostukujący koła wagonów, powiedział, że w stronę Łodzi, a potem dalej, ma jechać pociąg towarowy, stojący na razie kilkaset metrów stąd, za zerwanymi przez wybuch bomby szynami. Kiedy? Tego nawet sam Pan Bóg nie wie.

Znalazł pociąg i miejsce w wypełnionym ludźmi bydlęcym wagonie. Po kilku godzinach oczekiwania i opłaceniu przez pasażerów pijanych kolejarzy skład wyruszył w stronę Łodzi. Procedura powtarzała się co kilka stacji, pociąg stawał, z lokomotywy schodził maszynista i z czapką w rękę szedł wzdłuż pociągu, zbierając pieniądze „na węgiel”. Na miejsce skład dotarł po trwającej w sumie dwanaście godzin podróży.

Wydawało się, że do Łodzi przyjechała połowa wszystkich warszawiaków, którzy przeżyli wojnę. „Kto późno do Łodzi, ten sam sobie szkodzi” - cytował Waldorff powtarzaną wtedy często opinię. W Łodzi była władza i byli artyści. Futrem z popielic zadawała szyku Zofia Nałkowska, między kawiarnianymi stolikami snuł się wybitny aktor, Józef Węgrzyn, szukając kogoś, kto zafunduje mu kolejny kieliszek wódki. Gwiazda „Qui Pro Quo”, Mira Zimińska, wraz z mężem, Tadeuszem

Sygietyńskim, snuli plany założenia jakiegoś bliżej nieokreślonego zespołu ludowego, który miał stać się przyszłym „Mazowszem”, a poeta Adam Ważyk paradował w oficerskim mundurze, „...nieskończenie ko- - miczny, chociaż usiłował być groźny” - wspominał Waldorff.

Szybko znalazł zatrudnienie i ściągnął do Łodzi Mieczysława Jankowskiego, ale pobyt w tymczasowej stolicy nie trwał długo. Ktoś szybko rozpoznał w referencie, Jerzym Waldorffie, z wydziału kultury i sztuki urzędu wojewódzkiego, którego nazwisko zaczęło w dodatku pojawiać się na łamach jednego z łódzkich dzienników, tamtego Jerzego Walldorfa z „Prosto z mostu”.

W „Głosie Ludu”, organie Polskiej Partii Robotniczej, która szykowała się właśnie do objęcia w Polsce władzy, ukazała się notatka Prosto z mostu o ABC, podpisana „Zez”. W notatce nie wymieniono żadnego nazwiska, ale trudno było mieć wątpliwości, że opisany w niej redaktor tygodnika, który przed wrześniem był „organem polskich hitlerowców”, człowiek, który doskonale opanował abecadło faszyzmu i autor „zalatującej swastyką” książki Sztuka pod faszyzmem („czy jakoś tak”, napisał Zez), a teraz „wypłynął w wyzwolonej

Łodzi”, to właśnie Waldorff. Uważa najwidoczniej, donosił Zez, że wieloletnie doświadczenie w propagowaniu faszyzmu uprawnia go do wpływania na opinię publiczną także w „odrodzonej, antyfaszystowskiej, demokratycznej Polsce”. Zez postulował, Przyszłość była niewiadoma, przeto można ją było faszerować nadzieją... żeby „tak prosto z mostu” uświadomić Waldorffowi i tym, którzy pozwalają mu pisać, że w nowej Polsce „jawni, zastarzali faszyści nie mają i nie będą mieli prawa do określania, w jakimkolwiek zakresie, polityki państwa i (...) kształtowania opinii publicznej”.

W kwietniu 1945 roku, kiedy wojna jeszcze trwała, ale nowy podział Europy został już postanowiony i nie było wątpliwości, kto będzie rozdawał karty w Polsce, taki donos musiał brzmieć jak wyrok, „...zmykać musiałem z Łodzi przed już mnie szukającym UB pod opiekę Związku Muzyków w Warszawie, gdzie dopiero otrzymałem atest uczciwości obywatelskiej” - wspominał Waldorff. Wracął, tak jak przyjechał, znalazłszy miejsce na żelaznej ławeczce z przodu lokomotywy, a nogi opierając o bufory. Obok siedział elegancko ubrany Francuz, któremu Waldorff pomógł wsiąść na lokomotywę, gdy miotał się bezradnie po stacji Łódź Fabryczna, wołając: Au secours! Au secours! „...wtedy się ujawniło, że to jest pierwszy konsul Francji jadący objąć placówkę w naszej stolicy wyrwconej ludową podszewką do góry” - pisał.

Donosu w „Głosie Ludu” nie puścił płazem. Pozostawienie takich zarzutów bez reakcji oznaczałoby zgodę na banicję z życia publicznego. Skierował sprawę do sądu koleżeńskiego Związku Zawodowego Muzyków. W złożonym w sądzie pozwie podkreślił, że jeśli nawet w Sztuce pod dyktaturą zawarł wiele fałszywych ocen i opinii, to pisał książkę mając zaledwie dwadzieścia siedem lat, będąc pod wpływem „dwóch zakłamanych propagand”: faszyzmu włoskiego i rządu sanacyjnego. „Ob. Walldorf [tak cały czas jeszcze pisano jego nazwisko - M.U.] stwierdza, że wojna była głębokim wstrząsem moralnym, który jemu, podobnie jak i wielu innym ludziom, otworzył oczy na zupełnie nową rzeczywistość” - relacjonował postępowanie przed sądem koleżeńskim „Głos Ludu”. Ostatecznie sąd stwierdził, że w okresie okupacji „...obywatel Walldorf (...) zachowywał się jak prawy Polak, pracował tajnie dla sztuki polskiej i położył dla niej w tym okresie duże zasługi”. A w dyskusjach o odbudowie sztuki polskiej po wojnie zajmował stanowisko przeciwne wszelkim koncepcjom faszystowskim.

W połowie września redakcja „Głosu Ludu” opublikowała kolejną notkę. Informowała, że zrewidowała swój stosunek do Waldorffa i zgadza się ze stanowiskiem, że nawet ludzi błakających się w II RP po manowcach teorii faszystowskich należy oceniać według tego, jak zachowywali się podczas okupacji. „Przepraszamy ob. Walldorfa za

wyrządzoną mu mimowolnie krzywdę moralną” - brzmiała puenta oświadczenia.

Po powrocie do Warszawy i umieszczeniu matki i siostry w Poznaniu, Waldorff znalazł pracę w radiu (anonimową, jak podkreślał, żeby przez jakiś czas nie drażnić „trefnym” nazwiskiem komunistów). Załatwił mu ją Roman Jasiński, po wojnie szef działu muzycznego Polskiego Radia. To dzięki obecności w radiu Waldorff mógł spełnić prośbę Stefana Kisielewskiego o nadanie poza kolejnością komunikatu, że Kisiel przeżył wojnę, wrócił do Warszawy i czeka na wywiezioną do Niemiec żonę i syna.

W tamtym czasie w radiu trzeba było być wszystkim. Dziennikarzem, spikerem, dźwiękowcem i postacią w słuchowisku, „...szumem wiatru, tętentem kawalerii i kwileniem niemowląt” - pisał Waldorff. Po latach wspominał, że najdumniejszy był z roli krowy, którą przyszło mu w tym czasie odgrywać. „Ryczałem genialnie, byłem krową fenomenalną, choć nie dawałem mleka” - chełpił się.

Pokój dla siebie i Jankowskiego znalazł w ocalałej z pożogi prawobrzeżnej części miasta, w kamienicy w alei Waszyngtona. Do radia, mieszczącego się początkowo na dwóch piętrach czynszowej kamienicy przy Targowej, chodził tętniącymi życiem uliczkami Pragi. Z tej perspektywy ruiny na lewym brzegu Wisły wydawały się martwe. Ale jesienią radio przeniesiono do nieistniejącego dziś pałacyku Czetwertyńskich w Alejach Ujazdowskich. Okazało się, że także w ruinach mieszkają ludzie, próbujący od nowa organizować sobie życie, „...właśnie tu, w samym środku niezmiernego cmentarzyska” - wspominał.

Z jednej strony Wisły na drugą można było przedostać się tylko po moście pontonowym, utworzonym na wysokości zniszczonego mostu Poniatowskiego. Gdy wysoka woda uniemożliwiała przeprawę po pontonach, przewożono ludzi ciężkimi krypami do przewozu piasku. Oczekiwanie w kolejce na miejsce w krypie trwało czasem po trzy godziny; most łączył nie tylko dwie części miasta, ale także wschód z zachodem kraju. A potem wcale nie było lepiej, „...rzeczne wiry znosiły nas w stronę kamiennych filarów mostowych, a myśmy się zastanawiali, czy jeszcze tym razem ocalejemy” - zapamiętał Waldorff.

Wracając któregoś wieczoru z radia, spotkał wśród ruin Zygmunta Mycielskiego, którego nie widział od czasów wspólnego koczowania na Stawisku. Mycielski miał na sobie półwojskowy uniform, Waldorff brezentowe buty, żółte spodnie i damski, zielony sweter z darów UNR-RA. „...dobroczyńcy z Ameryki nie wysilili się zbytnio na pomoc dla społeczeństwa, które zwali pięknie «sumieniem narodów»,” - napisał po latach. Rzucili się sobie w ramiona, nie dowierzając, że to dzieje się naprawdę.

Postanowili uczcić spotkanie w barze, który w ruinach na pl. Trzech Krzyży prowadziła ciotka Mycielskiego, hrabina. Przed wojną wielka pani, pisał Waldorff, po

wyzwoleniu, chcąc przeżyć, zajęła się obsługiwaniem robotników odbudowujących Warszawę, dorożkarzy i szoferów. W dodatku musiała znosić zamówienia składane bez należytej rewerencji:

- Pani starsza! Ćwiartki czystej i korniszony. Tylko na jednej nodze!...

Dystans dzielący ją od klienteli baru hrabina Mycielska podkreślała, wydając pomagającym jej w barze córkom polecenia po francusku:

- Ces messieurs désirent une carafe d'eau-de-vie et les concombres. Panowie życzą sobie karafkę wódki i ogórki.

Waldorff i Mycielski spędzili w barze cały wieczór, potem wzięli jeszcze po butelce wódki, by dokończyć wojenne wspomnienia w jakimś innym miejscu. Mycielski koniecznie chciał dowiedzieć się, jak wygląda życie muzyczne w Warszawie. Widząc zniszczone miasto, nie chciał uwierzyć, że na Pradze koncertuje już orkiestra złożona z muzyków filharmonii, a artyści Opery rozglądają się za miejscem, w którym mogliby dać pierwsze przedstawienie.

Idąc przez ciemne ulice, zobaczyli ognisko rozpalone w ruinach jednego z domów na Brackiej. To robotnicy odbudowujący kamienicę postanowili w niej przenocować, by nie tracić czasu na powrót do odległych kwater gdzieś na przedmieściach. Mieli chleb i słoninę, Waldorff i Mycielski wódkę, więc chętnie przyjęli ich do swego grona.

2 grudnia 1945 roku Jerzy Waldorff zadebiutował w „Przekroju”. Felieton Pierwszy nalot (podpisany jeszcze nazwiskiem w formie przedwojennej - Walldorf) był zabawną opowieścią o sensacji, jaką stała się bomba zrzucona na Warszawę w 1914 roku. Po dywanowych nalotach podczas drugiej wojny światowej i bombach atomowych, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki, historyjka o pocisku, wyrzuconym przez lotnika z okna samolotu, który zrobił na rogu Hożej i Kruczej półmetrową dziurę, brzmiała jak sentymentalna bajka. Tym bardziej że, jak zapewniał Waldorff, lej pokazywano później odpłatnie jako atrakcję turystyczną.

Kilka tygodni później był już redaktorem „Przekroju”. To Stefan Kisielewski, osadzony od paru miesięcy w krakowskim tygodniku, najwyraźniej postanowił odwdziżyć się przyjacielowi za cudownie odnalezioną w Niemczech rodzinę.

Jerzy Waldorff zachował w swoim archiwum list Kisiela, niedatowany, ale musi pochodzić z końca listopada, bo Kisielewski zapowiada w nim druk w „Przekroju” felietonu Waldorffa, który ukazał się w pierwszym grudniowym numerze tygodnika z 1945 roku.

W imieniu redaktora naczelnego „Przekroju”, Mariana Eilego, przed wojną sekretarza redakcji legendarnych „Wiadomości Literackich”, Kisiel zaproponował Waldorffowi stałą posadę w tygodniku, na miejsce Gwidona Miklaszewskiego.

„...pensja 3000 zł, «boki» - około 6000 - razem 9. - przy tym różne ciekawe okazje i możliwości. Chciałbym bardzo, żebyś to wzięła...” - pisał Kisielewski. Roztoczył przed Waldorffem wizję „wzięcia”Przekroju” w łapy” i w ogóle rozmaitych wspólnych działań, m.in. w „Ruchu Muzycznym”, który Kisiel niedawno założył i redagował, a Waldorff zasilał korespondencjami, „...korespondencja ostatnia była już nazbyt frywolna, pisz jednak trochę poważniej, bo nas tu objeblą” - prosił Kisielewski w liście.

W kolejnym liście Kisiel precyzował, że praca Waldorffa w „Przekroju” polegać będzie na a) adaptowaniu i skracaniu artykułów, b) robieniu podpisów pod fotografie, c) projektowaniu tematów artykułów, reportaży, fotomontaży, dowcipów, kronik itp., d) projektowaniu doboru materiałów i układu stron, e) redagowaniu krótkich wzmianek, tekstów, pisaniu odpowiedzi od redakcji., czytaniu listów itp., f) redagowaniu tytułów. Wszystko to w zamian za pensję 3200 zł, obiady (bardzo dobre!), kartki żywnościowe I kategorii i od czasu do czasu przydziały. Ale oprócz tego będzie można jeszcze wyciągnąć ok. 2000 zł wierszówki za własne artykuły, reportaże i felietony oraz 3000 premii za pomysły i inne prace redakcyjne.

Kolegium redakcyjne składać się będzie z Eilego, pani Ipohorskiej („bardzo bycza niewiasta”) i Waldorffa, pisał Kisiel. „Inni na ogół mało co robią” - ocenił i dodał: „...zapewniam Cię, że jeśli weźmiesz się do pracy dziko i ujmiesz tym Eilego, który jest «tytanem» pracy, to zarobisz masę forsy i uzyskasz duży wpływ”.

Dopiero po jakimś czasie Waldorff dowiedział się, jaki był prawdziwy powód złożenia mu przez „Przekrój” oferty pracy. Stefan Kisielewski miał już propozycję przejścia do „Tygodnika Powszechnego” i Eile szukał kogoś na jego miejsce. Kisiel powiedział mu o Waldorffie, „...długo się wahałem, bo on pisywał w «Prosto z mostu» przed wojną i był taki okrzyczany, bo zabawną książkę, Sztuka pod dyktaturą, wydał” - wspominał potem w Abecadle Kisiela. Eile też wcale nie był przekonany do przedwojennego współpracownika endeckiego tygodnika.

- Mam dość tych pańskich faszystowskich znajomości - miał oświadczyć Kisielewskiemu. „Po czym jednak się zgodził na tego Waldorffa. I Waldorff się rozwinął” - napisał Kisiel.

Formalnie Waldorff został pracownikiem „Przekroju” już 1 grudnia, ale przyjechał do Krakowa dopiero w sylwestra 1945 roku. Zatłoczonym, nieopalanym i pozbawionym szyb pociągiem, w którym jedynym miejscem, jakie udało mu się zdobyć, za to siedzącym, było W.C. Miał kozuch z baranich skór, zajęczą czapkę i buty z Unry, a na grzbiecie plecak, zawierający dorobek jego życia. W kieszeni miał kartkę, która określała jego przyszłość na

kolejnych blisko pięć lat. „Na podstawie decyzji Dyrekcji Delegatury Krakowskiej Sp. Wyd. «Czytelnik» powierzamy obywatelowi pełnienie obowiązków redaktora «Przekroju» z uposażeniem zł 3200”. Podpisali wspólnie dyrektor Delegatury, radca prawny i kierownik wydziału personalnego.

To, co zobaczył po wyjściu z krakowskiego dworca, było szokiem, „...ujrzałem miasto całe. Całe! Całe!” - pisał. Świeciły latarnie, po szynach jechały tramwaje, ulicami spieszyli na bale sylwestrowe elegancko ubrani ludzie z balonikami w rękach.

Niemal wprost z pociągu, wypatrzony przez zastępczynię Eilego - Janinę Ipohorską, pisującą w „Przekroju” jako Jan Kamyczek, trafił na sylwestrowy bal prasy. Tam wreszcie spotkał Kisiela i pisarzy, Andrzejewskiego i Stefana Otwinowskiego, którzy, jak wielu innych, przyjechali do nietkniętego przez wojnę Krakowa w poszukiwaniu mieszkania i pracy. Zaczęli wspominać, „...wrażenia zacierały mi się z każdym nowym kieliszkiem coraz bardziej, promienniejsz, najwspanialej bezmyślnie” - zapamiętał Waldorff.

Dostał (niedługo potem przyjechał Mieczysław Jankowski) mansardowy pokój na piętrze nad drukarnią „Przekroju”, przy ul. Marszałka Piłsudskiego (a wkrótce Manifestu Lipcowego), w którym wcześniej mieszkali Kisielewscy, i mógł przystąpić do pracy.

„Przekrój” miał szybko stać się legendą polskiej prasy. Eile miał ambicję wydawać za pieniądze marksistów niemarksistowskie pismo, napisał Kisielewski. „Całe życie marzył, żeby stworzyć coś w rodzaju polskiego «Playboya» i stworzył «Przekrój», - dodał. Eile był redaktorem naczelnym tygodnika przez dwadzieścia cztery lata. Wyjechał z Polski po antysemickiej nagonce w 1968. Gdy wrócił, nie było już dla niego w „Przekroju” miejsca.

Nieustannie lawirując między koniecznością płacenia politycznych serwitutów na rzecz ustroju, który narzucono Polsce, a chęcią zachowania więzi z kulturą europejską, Eile zdołał przyciągnąć do pisma niemal wszystkie najwybitniejsze pióra polskiej literatury. Już w pierwszym roku istnienia tygodnika w „Przekroju” pisywali m.in.: Zofia Starowieyska-Morstinowa, Mira Zimińska, Władysław Broniewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Miłosz, Jan Parandowski, Ksawery Pruszyński, Julian Przyboś, Antoni Słonimski, Leopold Staff i Julian Tuwim. W kolejnym roku doszli do tego grona jeszcze m.in.: Jerzy Andrzejewski, Maria Dąbrowska, Kornel Makuszyński, Paweł Jasienica i Jan Kott. W „Przekroju” zaczęły ukazywać się Kwiaty polskie Tuwima, a w maju 1946 wybuchła bania z poezją Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. „Znakomici pisarze, którzy (...) nie mieli jeszcze zaufania do nowego ustroju i jego oficjalnych periodyków, chętnie przyjęli ofertę drukowania w «Przekroju», - pisał Waldorff.

Dzięki pozycji, którą wypracował sobie Marian Eile, mogli realizować pomysły nawet

bardzo prowokacyjne wobec chcącego ingerować we wszystko ustroju. Na przykład propagować w sztuce awangardę, i to wbrew obowiązującemu socrealizmowi. Przyszło im to tym łatwiej, że za socjalizmem opowiedział się sam Pablo Picasso, który trzy lata później przyjechał do Polski na wrocławski Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, by potwierdzić swe zaangażowanie na rzecz nowego ustroju.

Pierwsze miesiące po wojnie to był czas euforii, że znów tyle można. Nie trzeba bać się śmierci, gestapo, łapanek, nie trzeba przestrzegać godziny policyjnej. Przyszła pora odrabiania czasu straconego przez prawie sześć lat okupacji. Noc przeznaczona była na zabawę i wędrówki po knajpach, dzień na pracę, by zarobić na kolejną nocną eskapadę, „...przyszłość była niewiadoma, przeto można ją było faszerować nadzieją; a byliśmy jeszcze młodzi i zdrowi, sił więc dość było i na robotę, i zabawę” - pisał Waldorff.

Tym bardziej że praca i zabawa wzajemnie się przeplatały. Redaktorzy „Przekroju” zaczynali dzień od spotkania w redakcji, bo trzeba było omówić kolejny numer i przystąpić do zamawiania i pisania tekstów, ale już koło piętnastej szli na obiad i pierwszą wódkę do knajpki naprzeciw hali krakowskiego „Sokoła” albo do „Europejskiej”. Stamtąd na kolację „Pod Snopa” na Sławkowską, a ze „Snopa”, oczywiście ani na chwilę nie przerywając rozmów o piśmie, do jakiegoś nocnego lokalu. Do „Feniksa” na ul. Świętego Jana, do „Cyganerii” vis-a-vis Teatru Słowackiego, albo do cieszącego się największą popularnością, bo prywatnego, „Casanovy” przy Floriańskiej. Gdzie, bywało, zabawa przeciągała się tak długo, że niemal prosto z knajpy wracali do redakcji.

Chcieli się śmiać i bawić, nawet kosztem innych. „Pod Snopem”, który był lokalem niewielkim, ale bardzo eleganckim, prowadzonym przez tzw. bezetów (byłych ziemian) dla gości z ich sfery, pozwolili sobie kiedyś na żart dość gruby. Podmienili kartę dań na przygotowaną wcześniej własną (dzięki „przekrojowej” drukarni fałszywe menu wyglądało bardzo prawdziwie), w której zmienili nazwy wszystkich potraw. „Kura” w rosole z kury została uzupełniona o literkę „w”, w giczy cielejącej literę „g” zastąpiło „p”, a jako przekąska pojawiły się jąderka po góralsku. Podrzucili kartę do sąsiedniego stolika i ze złośliwą satysfakcją przyglądali się wścieklej awanturze, którą przybyła na romantyczną kolację para urządziła właścicielowi. Ten od razu domyślił się, kto był winowajcą, „...wszystko razem skończyło się, oczywiście, jakimś wspólnym nieprawdopodobnym pijaństwem” - wspominał Waldorff po latach.

Starali się udawać normalność, wierzyli pewnie, że wszystko będzie „jak przed wojną”, choć coraz mniej było wątpliwości, w którą stronę zmierzać będzie rządzone przez komunistów państwo. Nawet Julian Tuwim, który w 1946 roku wrócił do Polski, bo uznał, że

właśnie ludowa Polska będzie ojczyzną, którą sobie wymarzył, nie pozostawił Waldorffowi wątpliwości.

- To wszystko, kochany panie Jerzy, bardzo ciekawe, ale nudne. Gdzież owe miłe czasy przed wojną, kiedy Adolf Nowaczyński mógł wymyślać mi od gudłajów, a ja go publicznie nazywałem starym endekiem i plotkę jeszcze puszczałem, że sypia z margrabiną Wielopolską - mówił Tuwim podczas spotkania w „Wierzyńku” na krakowskim Rynku Głównym.

Kraków był dumny z „Przekroju”, „...ale na bardzo szczególną modłę” - wspominał Waldorff. O „Przekroju”, owszem, mówiło się, szczególnie gdy zaczął cieszyć się sławą ogólnopolską, komentowano poszczególne artykuły, gratulowano autorom tygodnika celnych sformułowań, ale nie znaczyło to, że dopuszczano ich - zwłaszcza przybyszów z Warszawy

- do towarzyskiej zażyłości. Szacownych krakowskich mieszczan bulwersowały zwłaszcza urządzane przez „przekrojowców” pijatyki i rozróby, na miarę tych z okresu okupacji, „...krakowianie, którzy jednak wojnę przeżywali spokojniej, widzieli samą jeno rozpustę, ruję, no i poróbstwo”

- wspominał Waldorff. W „Wierzyńku”, po wódce, mogło czasem dochodzić do bratania się obu środowisk, ale do prywatnego krakowskiego domu Waldorff był przez cztery lata zaproszony tylko raz. Bariere złamali profesorostwo Estreicherowie.

Jerzy Waldorff nie wypierał się swej przedwojennej przeszłości, oczywiście zwłaszcza w pielęgnującym pamięć o II Rzeczypospolitej Krakowie. Po ekshumowaniu w maju 1946 roku zwłok zamordowanego przez Niemców w Palmirach Stanisława Piaseckiego, opublikował w „Tygodniku Powszechnym” wspomnienie o redaktorze „Prosto z mostu” - Trudne bohaterstwo. Uznał, że to mu się należy, choć ich drogi się rozeszły. Uważał, że swoją postawą podczas okupacji Piasecki odkupił wszystkie przedwojenne przewiny i zadośćuczynił za gotowość do sojuszu z Niemcami. Dlatego nie zasłużył na głucho milczenie, w jakim był ponownie grzebany, „...postanowiłem spisać wszystko, co wiem o Stanisławie Piaseckim, skoro tak się powszechnie milczy o tym wielkim w swej uczciwości i odwadze Polaku” - napisał na zakończenie wspomnienia.

A jednak żona Piaseckiego, Irena, i katolicki pisarz, Jan Dobraczyński, zaprotestowali, twierdząc, że szef „Prosto z mostu” nigdy o sojuszu z Niemcami nie myślał, a wręcz przeciwnie - „od zawsze” protestował przeciw proniemieckiej polityce władz II Rzeczypospolitej. Waldorff odpowiedział, że przecież dobrze pamięta argumenty Piaseckiego, gdy ten cenzurował wszelkie antyhitlerowskie akcenty i złośliwości w odcinkach Sztuki pod dyktandem, drukowanych w tygodniku. „Łatwo to sprawdzić, porównując tekst

książki i odcinków z «Prosto z mostu», - pisał. Piasecki przekonywał, że nie należy drażnić silniejszego sąsiada, „...najlepszym wyjściem z naszej trudnej sytuacji byłby sojusz polsko-niemiecki” - miał mu tłumaczyć. Przecież podobnie myślał niemal do śmierci Piłsudski, argumentował Waldorff. Może to dowodzić jedynie tego, że Piasecki był złym politykiem, pisał, ale nigdy tego, że był złym Polakiem. Przecież dopiero przebieg drugiej wojny światowej odsłonił prawdziwy układ sił w Europie, „...i pozwolił zorientować się, jakie jedynie słuszne i możliwe sojusze istnieją dla Polski” - dodał.

Pisząc to, Waldorff nie tylko bronił pamięci Piaseckiego; odpowiadał też na zarzuty, które pewnego dnia mogły zostać postawione jemu samemu. Nie tyle o gotowość do sojuszu z Niemcami, ile o sympatię dla faszyzmu włoskiego, któremu także historia odmówiła racji. Ale taki błąd, to za mało, żeby człowieka przekreślić, pisał. Przecież Piasecki zrozumiał swoją pomyłkę i odpokutował najbardziej, jak to było możliwe. „Ze zwykłą sobie uczciwością i bezkompromisowością podjął walkę z Niemcami najtrudniejszą, twarzą w twarz, jako jeden z pierwszych i jako jeden z pierwszych zginął” - napisał. Sam Waldorff nie zginął, ale wielokrotnie potem powtarzał, że wojna kazała mu inaczej spojrzeć » na Polskę sprzed 1939 roku i na to, co wówczas pisał. I powinien być oceniany przede wszystkim za to, co robił podczas okupacji.

Współpraca z „Tygodnikiem Powszechnym”, w którego redakcji siedział przecież Kisiel (on z kolei był częstym autorem „Przekroju”), była zresztą szersza. Przez cały 1946 rok Waldorff publikował krótkie artykuły w felietonowej rubryce „Bez ogródek”. Nawoływał między innymi, by po pokonaniu Niemców militarnie, nie przegrać z nimi wojny kulturalnej, którą sąsiedzi zza Odry właśnie rozpoczęli. Przenoszą z głębi Niemiec do miast nadodrzańskich całe uczelnie, artystów, zespoły teatralne, przesiedlają badaczy, których jedynym zadaniem jest produkowanie dowodów na „pragermańskość” Ziemi Zachodnich, zajętych przez Polskę, szerzenie nienawiści do wszystkiego, co polskie, i dowodzenie wyższości niemieckiej kultury. „A wszyscy oni - i ludzie nauki, i sztuki - oczekiwac będą nadejścia nowego Hitlera, który by pomścił «krzywdy» niemieckie i na czele nowych niemieckich wojsk podjął nowy Drang nach Osten” - pisał. Dlatego właśnie, przekonywał, Rzeczpospolita powinna uczynić wszystko, by przygotować się do nowej walki. Rok po zakończeniu wojny takie argumenty musiały padać na podatny grunt.

W „Przekroju” także pisał o tym, co w 1946 roku ciągle jeszcze było żywe i ważne. Na przykład o kolaboracji części polskiego środowiska aktorskiego z teatrami zakładanymi przez hitlerowców. „...żądając pełnej i surowej weryfikacji aktorów polskich” - odnotował Kazimierz Koźniewski. Nawoływał czytelników tygodnika do politycznego realizmu. Nie ma

co liczyć, że Zachód pomoże Polsce w odzyskaniu utraconych Wilna czy Lwowa, przekonywał. Przecież Anglia i Ameryka zgodziły się oddać Związkowi Radzieckiemu wschodnie kresy Rzeczypospolitej bez zmużenia oka i z taką samą obojętnością, jak w roku 1939, gdy Polacy wypatrywali pomocy aliantów po niemieckiej napaści. A może być jeszcze gorzej. Anglicy od początku odmawiali Polsce prawa do Śląska i Ziem Zachodnich, proponując w zamian za polskie Kresy wyłącznie tereny tzw. Prus Wschodnich, a ostatnio podobne głosy słyhać także z USA. „Od tej chwili stałem się wrogiem Anglii - pisał Waldorff. - (...) Odtąd będę wrogiem i USA. Jako Polak będę wrogiem każdego, kto odmówi memu krajowi warunków niezbędnych do bytu”.

Te niezbędne warunki, to Polska silna i tak duża, jak to możliwe. Skoro więc została pozbawiona Kresów, musi swą zachodnią granicę oprzeć na linii Odry i Nysy Łużyckiej. Inaczej zmieni się w zduszoną wąską kluskę, wciśniętą między ogromne Niemcy i gigantyczny ZSRR. „Taka Polska byłaby skazana na zagładę!” - pisał. Dlatego należy uczynić wszystko, żeby odbudować i jak najszybciej zagospodarować Dolny Śląsk i Pomorze Zachodnie. Trzeba połączyć je gospodarczo i politycznie z resztą kraju i wytrącić wrogom z rąk argument, że Polska nie jest w stanie dać sobie z nowymi ziemiami rady. Temu właśnie ma służyć Danina Narodowa, przekonywał, dobrowolna ofiara, którą powinni złożyć wszyscy Polacy, niezależnie od przekonań politycznych, przynależności do partii i stosunku do rządu. Trzeba ją zapłacić, bo utrzymanie Ziem Zachodnich to podstawowy warunek rozwoju kraju. To warunek dalszego istnienia Polski. „Dlatego w moich oczach człowiek, który uchyla się od zapłacenia Daniny, nie będzie przeciwnikiem rządu - pisał. - Będzie po prostu - świnia”.

Wspólnie z Janiną Ipohorską oceniał pierwszy powojenny polski film, Zakazane piosenki. Ipohorska filmu broniła, Waldorff oskarżał o miałość i historyczną nieprawdę. Pisał o procesach japońskich zbrodniarzy wojennych i sędzie nad francuskim lekarzem, który palił ciała zamordowanych i ograbionych Żydów w piecu własnego domu. Informował czytelników „Przekroju” o arogancji amerykańskich żołnierzy wobec polskich sojuszników (prasa emigracyjna opisywała, że na terenach okupowanych Amerykanie traktują Polaków tak samo jak Niemców) i o ignorancji zachodniej prasy na temat Polski. „Na Zachodzie bez zmian...” - napisał. „O muzyce było zdumiewająco mało, jak na fakt, iż Jerzy Waldorff był obok Eilego i Ipohorskiej trzecią osobą w piśmie” - pisał Koźniewski.

W połowie roku zaczął redagować satyryczną kolumnę „Rozmaitości”, pojawiającą się początkowo w środku pisma, dość szybko jednak przeniesioną na ostatnią stronę tygodnika. Publikowane tam teksty sygnował różnie: J. W.-ff, Afi (tak miał na imię jego ukochany srebrzysty cocker-spaniel) albo Ciocia Ficia. „Zresztą nieważne było, jak je

podpisywał, bo gdyby ich nawet w ogóle nie sygnował, to i tak można je było natychmiast poznać po specyficznym stylu” - wspominał Ludwik Jerzy Kern. Oprócz felietonów umieszczał w „Rozmaitościach” złośliwe komentarze do urzędowych absurdów i nadsyłanych przez czytelników wycinków z przykładami głupstw wypisywanych w prasie. Kern, który przejął redagowanie rubryki, gdy Waldorff wyjechał z Krakowa, zapamiętał komentarz do instrukcji obsługi pralki, z którego wynikało, że przed rozpoczęciem prania należy ustalić, czy odczyn namoczonego prania jest kwaśny, czy zasadowy i w zależności od tego wsypać odpowiedni proszek. Instrukcja doradzała także, jak ocenić rodzaj odczynu: należy po prostu wziąć trochę wody (po namoczeniu prania!) do ust. „Przytoczywszy ten punkt instrukcji, Waldorff dopisał komentarz:”Wolę na tarce zetrzeć sobie ręce po łokcie, niż pić rosółek z gaci” - zapamiętał Kern.

Jednego wycinka, zalił się Waldorff po latach, nie mógł jednak wykorzystać. Czytelnik przysłał mu znaną w gazecie notatkę o tym, jak bardzo uroczyście obchodzono na Wydziale Weterynarii Uniwersytetu Wrocławskiego siedemdziesiątą rocznicę urodzin chorążego pokoju i przywódcy wolnego świata, generalissimusa, Józefa Wissarionowicza

Stalina. Informacja brzmiała bardzo prowokacyjnie, bo - jak donosił dziennikarz - po oficjalnej akademii ku czci jeden z profesorów wygłosił specjalistyczny referat zatytułowany: „Jak leczyć zołzę u starych koni?”.

W felietonach grymasił, bywał krytyczny, a nawet złośliwy, ale była to złośliwość „przekrojowa”. Dość łagodna, sięgająca raczej po język humoreski niż ostrej satyry. „«Przekrój» był pismem agitacji pozytywnej. I wyłącznie takiej” - pisał Kazimierz Koźniewski. Inna sprawa, że agitacja niepozytywna była z każdym miesiącem coraz mniej możliwa.

„Przekrój” słynął za to z inicjowania rozmaitych akcji, które ukochał Eile. Waldorff przypominał sobie, że miał wuja, który przez lata pił napar ze skrzypu i twierdził, że znakomicie robi mu to na sklerozę, czyści żyły i arterie. „Więc ja wszcząłem akcję picia skrzypu i pół Polski piło skrzyp - wspominał. - A myśmy dalej pili wodę, oczywiście”. Ale Ludwik Jerzy Kern zapamiętał, że Waldorff też pił napar będący wynalazkiem wuja. Każdego ranka wychylał kwartę świeżo zaparzonego skrzypu i dopiero wtedy zasiadał do pisania felietonu. Za jego przykładem poszli w redakcji inni. „...okazało się, że nie ma nic lepszego na likwidację nadużyć poprzedniej nocy” - wspominał Kern.

Na początku 1947 roku wyprawił się do zakładu psychiatrycznego w podkrakowskim Kobierzynie, by zebrać materiał do reportażu o obłąkanych, którzy trafili do szpitala w wyniku okupacyjnej traumy. Nie krył, że także w tym miejscu szuka winy Niemców. Znalazł.

„Co drugi chory z przybyłych po wojnie do Kobierzyna wpadł w obłąd na skutek prześladowań niemieckich: tortur, obozów, utraty najbliższych czy zsyłki...” - pisał. Reportaż Medycyna walczy z obłądem był bogato ilustrowany. Pod zdjęciami autor umieścił oskarżające podpisy. Młoda artystka, której Niemcy wymordowali całą rodzinę. Studentka filozofii, zesłana na roboty do Hamburga. Chora aresztowana i wysłana do obozu koncentracyjnego. Obłąkany, któremu Niemcy zamordowali narzeczoną.

Spotkał w Kobierzynie m.in. kobietę, muzykologa, z którą zaczęli rozmawiać o symfonii Brahmsa. Okazało się, że chora zna i potrafi precyzyjnie zanalizować każdą nutę utworu.

- Dlaczego pani o tym nie napisze - zapytał.

- A czy pan myśli, że ktoś wydrukowałby tekst kochanki papieża - usłyszał.

Na pozór bardzo przytomnie i rzeczowo rozmawiający z dziennikarzem góral nagle zdradził mu w tajemnicy, że jego teściem jest sam Pan Bóg. Granica między obłądem a rzeczywistością okazała się bardzo płynna, „...w tym Kobierzynie byłem trzy dni z rzędu od rana do wieczora, a potem przez trzy miesiące leczyłem się u pewnego psychiatry, ponieważ nie byłem pewien, czy sam nie zwariowałem” - opowiadał Waldorff Kernowi. Kilka miesięcy później opublikował trzyczęściowy reportaż o gruźlicy, opisując minuta po minucie przebieg operacji w jednym z sanatoriów w Zakopanem, w której uczestniczył. Gruźlica była w wycieńczonym przez wojnę społeczeństwie jednym z najważniejszych społecznych problemów. „Gruźlica: nasz straszny wróg - pisał Waldorff w nagłówku tekstu. - Musimy zjednoczyć wszystkie siły, aby go poznać i zwalczyć”.

To Waldorff przyprowadził do „Przekroju” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Jeszcze jeden „faszysta” z „Prosto z mostu”, miał najpierw oburzyć się Eile, ale Waldorff nie musiał go specjalnie przekonywać do zaangażowania poety. Przed wojną w „Wiadomościach Literackich” dla Gałczyńskiego miejsca nie było, w „Przekroju” znalazło się natychmiast.

„Neofitów zaś nowej wiary politycznej w ogóle przyjmowano z otwartymi ramionami” - pisał Waldorff, choć Eile mówił raczej o jego „gorących perswazjach”, by przyciągnąć Gałczyńskiego do „Przekroju”. Udało się. Pierwsza odsłona Teatryku „Zielona Gęś” i pierwsze Listy z fiołkiem ukazały się jeszcze w maju 1946 roku, błyskawicznie stając się znakiem firmowym tygodnika. Poeta pisał z każdym miesiącem więcej, nie tylko w „Przekroju”, bo kolejne redakcje widząc, że nie ma oporów, by wspierać piórem nowy ustrój, zabiegały o jego teksty. Ale kojarzony był przede wszystkim z krakowskim tygodnikiem. Kiedy więc zrodził się pomysł, żeby siłami „przekrojowych” autorów stworzyć kabaret, było oczywiste, że Gałczyński będzie jednym z jego filarów.

Kabaret miał cofnąć czas. Podobnie jak „Przekrój” próbował przywrócić w nowym stroju tradycję „Wiadomości Literackich”, tak wymyślona przez Eilego satyryczna scenka miała być godnym następcą legendarnego „Qui Pro Quo”, którego podporami literackimi byli Julian Tuwim i Marian Hemar, a scenicznymi: Hanka Ordonówna, Mira Zimińska, Zula Pogorzelska i Fryderyk Jarosy. Eile „umyślił sobie odrodzić tutaj warszawskie owo” „Qui Pro Quo”, a my - para wiernych jego poddanych: Kamyczek i ja - uwierzyliśmy, że się to uda” - napisał Waldorff.

Skoro gwiazdą kabaretu miał być Gałczyński, oczywiste było, że scenka nazywać się będzie także po „gałczyńsku”, czyli... „Zielona Gęś”. Waldorff nie zapamiętał, czy pomysł poddał sam poeta, czy może Natalia Gałczyńska, dość, że przygotowania do premiery szły pełną parą pod tą właśnie nazwą. Inna sprawa, że pomysł nazwania teatryku tą samą nazwą, pod jaką ukazywały się w „Przekroju” absurdałne felietony teatralne Gałczyńskiego, był próbą bronięcia poety, coraz gwałtowniej atakowanego zarówno przez partyjnych nadzorców prasy, jak i katolicki „Tygodnik Powszechny”. Antoni Gołubiew wezwał w nim poetę, by zweryfikował swą twórczość; nawet Stefan Kisielewski nazwał „Zieloną Gęś” kosmicznym bełkotem.

Kabaret był przedsięwzięciem absolutnie prywatnym, z jednej strony dlatego, że nie bardzo chcieli przyjmować urzędowy patronat, a co za tym idzie obowiązek dostosowywania się do wymogów państwowego mecenasu, a z drugiej państwowy mecenas wcale nie palił się do finansowania satyrycznej, a więc z definicji podejrzanej działalności. „Antrepyza finansowana z naszych własnych kieszeni” - napisał Waldorff. Oszczędności wyłożyli po równo: Marian Eile, Janina Ipohorska (Kamyczek), Roman Szydłowski, dziennikarz, który pełnił wówczas w Krakowie funkcję szefa cenzury, i Waldorff. „Mnie dostarczyła pieniędzy niewyczerpane pobłażliwa matka moja, sprzedając jedyny ocalały z wojny pierścionek ze sporym brylantem” - pisał.

Siedzibę scenka zdobyła dzięki koneksjom ojca Eilego, pułkownika w ludowym już wojsku. W świetnym punkcie, bo tuż przy Plantach, w budynku kasyna oficerskiego przy Zyblikiewicza 1 (róg Potockiego). Ale piosenki, monologi i skecze szykowali w wynajętym od rodziny Niedzielskich dworku w podkrakowskich Śledziejowicach. Kiedyś malował w nim swe dzieła sam Artur Grottger, a teraz zaadaptowany został na „dom pracy twórczej i wypoczynku «Przekroju»”. Trafili do Śledziejowic dzięki znajomościom matki Waldorffa, „...który nieomylnie wywęszył to miejsce pełne oznak rozkładu klasowo-politycznego” - jak pisał Aleksander Ziemny. Dworek został przez Gałczyńskiego przechrzczony na Waldorffowo, ale przy pisaniu tekstów kabaretowych ostateczne słowo, podobnie jak w

redakcji, należało do Eilego.

Problemów było wiele. Poczynając od autorów - oczywiście tych dobrych, bo grafomanów jak zwykle nie brakowało - po aktorów. Waldorff przypomniał sobie o Irenie Kwiatkowskiej, która debiutowała krótko przed wojną, a po wojnie przez chwilę współpracowała z nim w warszawskim radiu. Zgodziła się natychmiast. Jej partnerem został, wezwany przez Eilego, Tadeusz Olsza, przedwojenny gwiazdor słynnej rewii „Morskie Oko”, który właśnie wrócił z emigracji do kraju, „...stanowił dla Ireny tło korzystne rozkwitu, na wzór południowego muru dla rozpiętej na nim brzoskwini” - pisał Waldorff.

Wykształcony muzycznie Waldorff zobowiązał się skomponować finałowy szlagier, marsza-fokstrota, który poniósłby wychodzącą z przedstawienia publiczność, „...z odwagą skazańca pierwszy, a także ostatni raz w życiu runąłem w kompozycję!” - pisał. Przypomniał sobie oglądane przed wojną kabaretowe finały z „Casino de Paris” i „Folies Bergere”, „Qui Pro Quo”, „Bandy” i „Morskiego Oka” i napisał (do słów, oczywiście, Gałczyńskiego):

„Zielona Gęś” to teatr jest wspaniały

„Zielona Gęś” dziś dla Krakowa gra

„Zielona Gęś” najlepsze ma kawały

„Zielona Gęś”, „Zielona Gęś”, „Zielona Gęś” - ha, ha!

Muzykę do pozostałych numerów napisała oschła, surowa i wymagająca Anda Kitschmann, przed wojną w czasach prosperity dyrygentka Operetki Warszawskiej i Opery we Lwowie, a w czasach chudych kapelmistrzyni rozmaitych chórów na Śląsku. Podczas przedstawień teoretycznie była tylko akompaniorką, ale potrafiła jednym spojrzeniem znad okularów śmiertelnie zmrozić widzów, którzy mieli nieszczęście nie dość uważnie słuchać występu. Pytanie, które zwykle wtedy padało: „Może ja państwu przeszkadzam?”, wystarczyło za piekielną awanturę, wspominał Waldorff. Publiczność milkła.

Pierwszy program Muzycznego Teatru Miniatur Autorów i Malarzy Tygodnika „Przekrój” Siedem Kotów (tak ostatecznie brzmiała oficjalna nazwa scenki) miał premierę 4 października 1946 roku. Nosila tytuł Trzy razy Miau, co było oczywistą aluzją („podlizaniem się władzom” - napisał Waldorff) do propagandowego hasła, którym władza wezwała obywateli do głosowania w niedawnym, tzw. referendum ludowym „Trzy razy TAK”. Zgodnie z życzeniem rządzących Polacy mieli poprzeć likwidację Senatu, wprowadzenie gospodarki socjalistycznej (choć tej nazwy jeszcze wtedy nie użyto) oraz granicę na Odrze i Nysie, co powszechnie odczytano jako pytanie o akceptację zagarnięcia przez Związek Sowiecki Lwowa i Wilna. Po referendum komunistyczna władza tryumfalnie odtrąbiła sukces, choć po latach miało się okazać, że referendum zostało cynicznie sfalszowane i tylko

na ostatnie pytanie wyborcy odpowiedzieli twierdząco, a i to z przewagą znacznie mniejszą, niż oficjalnie ogłoszono.

Reklamą wyreżyserowanego przez Krystynę Zelwerowicz spektaklu zajął się „Przekrój”. Na okładce jednego z wrześniowych numerów pojawiła się Irena Kwiatkowska, a w kolejnych wydaniach zapowiadano przedstawienia kabaretu: codziennie o 19.30, a w niedzielę dodatkowo o 17.00.

Premiera nie zakończyła się jednak szlagierem skomponowanym przez Waldorffa, bo... zmieniła się nazwa kabaretu. Eile, widząc, że konserwatywna krakowska publiczność nie bardzo akceptuje awangardową formę i absurdalny humor Gałczyńskiego, w ostatniej chwili postanowił nazwę zmienić. „Zieloną Gęś” zastąpiło „Siedem Kotów”.

A Gałczyński zareagował na łamach „Przekroju” po swojemu.

Teatrzyk „Zielona Gęś” z przykrością przedstawia „Siedem kotów”

ZIELONA GĘŚ

(z czarną chusteczką przy oczach)

Byłam ozdobą Europy, sam Kott powiedział: - O! I była zupa, były hopy i coraz lepiej szło, i coraz lepiej szło, ale niestety -

PIERWSZY KOT:

{ wchodzi przez komin)

DRUGI KOT:

(wchodzi po rynnie)

TRZECI KOT:

(wychodzi spod szafy)

CZWARTY KOT:

(wchodzi przez dziurkę od klucza)

PIĄTY KOT

(wchodzi majestatycznie)

SZÓSTY KOT:

(wjeżdża)

SIÓDMY KOT:

(zeskakuje z Wieży Mariackiej)

SIEDEM KOTÓW

(razem, do „Zielonej Gęsi”, demonstrując pazurki, mruczając i miaucząc): Ach, jaka smaczna!! Ach, miam-miam! lepsza niż winogrona! (miaszcząc i chrupiąc „Zielona Gęś”) Jakże smakuje gąska nam, tym bardziej że zielona.

PIERWSZY KOT:

(chrupie i mlaszcze)

DRUGI KOT:

(mlaszcze i chrupie itd. aż do siedmiu)

GŻEGŻÓŁKA

(całkowicie zabandażowany, włosy stoją mu dęba): Z gniewu się, muzo moja, trzęś, i z pasją wrzeszcz niezwykłą, o tym, jak „Koty” zjadły „Gęś”, i co z tego wynikło - ano nic: jak zwykle: premiera w krakowskich „Siedmiu Kotach” przy ulicy Zybkiewicza 1.

Kurtyna:

I byłoby, wiecie, wszystko dobrze, gdyby nie to, że „Zielona Gęś” postanowiła jednak na własną rękę zmartwychwstać w następnym „Przekroju” - ku przerażeniu niektórych PT. Czytelników i pani Stefanii Grodzieńskiej, którą z tego miejsca pozdrawia serdecznie Konstanty Ildefons Gałczyński.

Poeta nie obraził się - był od tego zresztą jak najdalszy - na Eilego i pozostałych autorów kabaretu. Wystąpił w premierowym programie „Siedmiu Kotów”, stojąc przy kurtynie w tym samym battledressie, w którym wrócił z obozu i recytując wiersze: Na dłonie Krystyny i Dwa paszkwile na Hermenegildę Kociubińską. „...a robił to wspaniale” - wspominał Waldorff.

On sam został konferansjerem. Nie miał jednak jeszcze ani tej pewności siebie w kontaktach z widzami, jaką nabył później, przez lata występów przed żywym audytorium, ani łatwości w nawiązywaniu kontaktów, jaką miał przed wojną Fryderyk Jarosy. „Męczyłem się więc ogromnie, do «Kotów» wieczorami maszerowałem jak na ścięcie i prosiłem Boga, żeby się to rychło skończyło, co się i stało niebawem” - pisał. W innym miejscu powiedział: „Prowadziłem pierwszy program i to są najbardziej przekłete dni mojego życia”. Nie wszyscy oceniali go równie surowo, „...przede wszystkim bardzo inteligentnie i dowcipnie prowadził konferansjerkę Jerzy Waldorff - wspominał Jan Ciecierski, jeden z aktorów występujących w „Siedmiu Kotach”.

„Koty” mimo zmiany nazwy pozostały jednak z ducha „Gęsią”. Poezja Gałczyńskiego zdominowała pierwszy i kolejne programy. Kabaret pomyślany pierwotnie jako następca „Qui Pro Quo” i „Morskiego Oka”, a więc dostarczyciel przede wszystkim wdzięcznego i powszechnie akceptowanego humoru, sentymentalnych piosenek i szmoncesowych zwischenrufów, jeszcze przed premierą skrzył w stronę tradycji „Picadora”. Tego „Picadora”, z którym w 1918 roku wystartowali skamandryci, ogłaszając wymierzoną we wszelkiej maści kołtunierię, filistrów i kulturę drobnomieszczańską rewolucję poetariatu. Wyśmiewając,

obrażającą i krytykującą widzów, którzy przecież przyszli tylko spędzić miło wieczór, a następnego dnia móc błysnąć zapamiętanymi dowcipami w towarzystwie.

Krakowska publiczność nie zrozumiała absurdałnej poezji Gałczyńskiego, nie „kupiła” poczucia humoru, którym atakowana była od samego początku (w kasie już podczas pierwszego programu pojawiła się wywieszka: DARMOWE BILETY WYSPRZEDANE), nie pojęła uwielbianych przez Eilego podszytych angielskim humorem blackoutów (krótkich scenek kończonych wygaszeniem na scenie światła):

- Dlaczego pan trzyma lornetkę przy uchu?

- Bo ta aktorka tak cicho mówi...

Krakowscy mieszczenie słuchali konferansjerki Waldorffa, nie bardzo rozumiejąc, co mówi do nich ze sceny ten człowiek, który miał ich przecież rozśmieszać. I co jest zabawnego w jego zapewnieniach, że kabaret ma na składzie żelazną zieloną kurtynę... „...ludzie opuszczali teatr, niewiele rozumiejąc z tego, cośmy im proponowali, a prosty widz w podobnej sytuacji skłonność miewa obrażać się, przekonany, że pozwolono sobie z niego zadrwić” - pisał Waldorff.

„Widz «7 Kotów» wymykał się z sali na Zyblikiewicza zgnębiony i niepewny - pisał po latach Ryszard Marek Groński. - Czuł, że ten kabaret gra przeciw niemu. Atakuje jego gust i upodobania. Ba, kwestionuje jego poczucie humoru”.

Furorę wzbudziła jedynie Irena Kwiatkowska, która już po pierwszym programie stała się jedną z gwiazd polskiego kabaretu. Sierotka (także pióra Gałczyńskiego) w jej wykonaniu pozostała popisowym numerem aktorki na kolejne sześćdziesiąt lat.

Jednak mimo wysiłków Kwiatkowskiej szanse programu Trzy razy Miau, by odnieść sukces, były niewielkie. I nie odniósł. Już miesiąc później (premiera 6 listopada) „Przekrój” informował o nowej premierze „Siedmiu Kotów”: Od kankana do swingu, tym razem z inną gwiazdą dwudziestolecia międzywojennego towarzyszącą Irenie Kwiatkowskiej - Ludwikiem Sempolińskim.

Autorem scenariusza spektaklu, będącego w istocie historią kabaretu, był Waldorff, który w zamian nie musiał prowadzić konferansjerki. Napisał go na podstawie wygłaszanych wcześniej w radiu felietonów Historia muzyki. Tym razem program nawet nie próbował walczyć z gustami widzów. Był składanką tego, co publiczność lubi, rozumie i potrafi zanucić. Była więc podwórzowa Czarna Mańka (przed wojną przebój kabaretu „Momus”), była Stefania Tadeusza Boya-Żeleńskiego, był słynny wymierzony w Hitlera przedwojenny przebój Ten wąsik, wreszcie klasyczne hity operetkowe jak Madame Loulou. Publiczność dostała to, co chciała i na co zasługiwała (...uniesioną w kankanie suknię gwiazdy, humor

strażackiego romansu, czkawkę po rewii w «Morskim Oku», - pisał Ryszard Marek Groński), więc pchała się do teatrzyku drzwiami i oknami. Nie przeszkadzały jej już nawet blackout (dziś można powiedzieć montypythonowskie z ducha), z których Eile nie myślał rezygnować. Jak choćby ten:

Hrabia (do lokaja): Za chwilę moja żona ma rodzić, a przepowiednia mówi, że jeśli to będzie chłopiec, ojciec umrze. Pielęgniarka (wchodząc): Hrabina powiła dziecko płci męskiej! Lokaj (pada martwy).

Największą furorę wzbudził Ludwik Sempoliński w parodii Hitlera parodiującego Chaplina. Waldorff, który widział Sempolińskiego w tym samym numerze w ostatnim przedwojennym programie kabaretu „Ali Baba” - Pakty i fakty - patrzył na wielkiego aktora z prawdziwym wzruszeniem...Jednak szary człowiek zwyciężył! Tamten kabotyn, co podpatrzył i ukradł mu gesty, zginął. Pogrzebał siebie i swój naród pod gruzami Europy, a nie zdołał w pełni dopiąć zamierzonego celu” - pisał w krakowskim „Dzienniku Polskim”.

Salka na Zyblikiewicza była każdego wieczoru wypełniona po brzegi. Specjalnie na spektakle przyjeżdżano nawet z Warszawy. „Na tę naszą publikę spoglądaliśmy z tkliwą czułością myśliwego, co po długich podchodach jednak w końcu ustrzelił dorodnego zajęcia” - pisał Waldorff. Jednak do czasu. Kiedy wydawało się już, że przyszłość czekająca „Koty” jest jasna i pewna, Sempoliński został zaangażowany do Żołnierza królowej Madagaskaru w teatrze w Warszawie i wyjechał. Mimo powodzenia i kompletów na sali program trzeba było zmienić. Premiera kolejnego - Noworoczna wyborowa (zbliżały się wybory do Sejmu), miała miejsce w styczniu. Pojawił się w niej August BęcWalski, symbol politycznego wstecznictwa i drobnomieszczańskiego kołtuństwa, który karierę robił także na łamach „Przekroju”. Ale sukcesu nie udało się powtórzyć. W lutym 1947 nastąpiła kolejna, a w kwietniu ostatnia premiera Teatrzyku „Siedem Kotów” - Historia świata, czyli od małpy do bomby atomowej - z piosenkami Gałczyńskiego. Spektakle były, zdaniem Waldorffa, na coraz niższym poziomie, za to cieszyły się coraz większym powodzeniem u publiczności, „...co zostało praktycznym dla mnie sprawdzianem filozoficznej tezy, że ludziom nie sztuka jest potrzebna do szczęścia, ale jej przeciwieństwo - kicz” - podsumował.

Kabaret „Siedem Kotów” umarł szybko. Po jednym zaledwie sezonie i sześciu szybko zmieniających się i coraz mniej ambitnych programach. Powodów było kilka. To nie był jednak kabaret, jaki sobie wymarzyli. Kompromisy, na które musieli się godzić, były coraz bardziej dotkliwie. W dodatku cierpiał „Przekrój”, bo redaktorzy Eile, Ipohorska i Waldorff byli także podstawowymi autorami teatrzyku. A pieniędzy, które kabaret miał im przynieść, też ostatecznie nie było. Wreszcie na scenę wdarła się polityka. W powietrzu zawisło pytanie:

„...co mają koty wspólnego z socjalizmem?” - pisał Waldorff. Kabaretem miał zainteresować się sam wszechmocny podówczas w Krakowie lewicowy poseł dr Bolesław Drobner. Sam nie korzystał z zaproszeń na premiery, ale - jak podejrzewano w kabarecie - posyłał na spektakle swoją pobożną gosposię, która mu potem relacjonowała, że na Zyblikiewicza „nagie dziwki po scenie latają”. W efekcie autorzy chyba z ulgą przyjęli decyzję krakowskiej rady miejskiej odmawiającą kabaretowi koncesji na nowy sezon.

Mimo wszystko jednak krakowska scenka zapisała się mocno w historii polskiego kabaretu. „Gdyby nie «Siedem Kotów» - nie zagościliby w naszych domach Starsi Panowie - napisał historyk kabaretu, Ryszard Marek Groński. - (...) Gdyby nie «Siedem Kotów» nie mielibyśmy Kwiatkowskiej. Gdyby nie «Siedem Kotów» - kabaret byłby trupiarnią przedwojennego sentymentu”.

Mimo niepowodzenia kabaretu Waldorff nie zrezygnował z kontaktów z lekką muzą. „...wyniuchał gdzieś, że Ministerstwo Kultury ogłosiło konkurs na nowe libretta do oper” - wspominał Ludwik Jerzy Kern. Postanowił wziąć udział w konkursie na nowy tekst do Opowieści Hoffmanna Jakuba Offenbacha. Recytatywy napisał sam, ale potrzebny był mu ktoś, kto poradziłby sobie z rymami w ariach. Gałczyńskiego już w Krakowie nie było, więc tym kimś został właśnie Kern. Wynajęli w sąsiedztwie redakcji „Przekroju” pianino na godziny (instrument był konieczny, by sprawdzić zgodność rytmu z akcentami w tekście) i przystąpili do pracy. Konkurs wygrali. A Waldorff na prośbę dyrekcji Opery Bytomskiej został współreżyserem (drugim reżyserem był Henryk Cyganik) Opowieści... już z nowym librettem. Po latach wspominał rozkosz czerpaną z otrzymanej władzy na początku: „...zasiadałem w charakterze absolutnego władcy sceny, po której soliści, chór, a do pewnego stopnia nawet i zespół baletowy musieli poruszać się i gestykulować zgodnie z moimi zaleceniami”. I totalną rozpacz, gdy doszło do próby generalnej: „...wyszło na jaw, że właściwie nic nie jest jeszcze gotowe, dekoracje i kostiumy w lesie, śpiewacy nie umieją swoich partii i ról, orkiestra myli się horrendalnie”. Ale premiera, na którą do Bytomia wybrała się służbową „renówką” cała redakcja, a nawet sam naczelny „Tygodnika Powszechnego”, Jerzy Turowicz, udała się znakomicie. Waldorff miał się przekonać, że bliska hysterii atmosfera podczas próby generalnej to w teatrze najlepsza przepowiednia sukcesu. A Opowieści Hoffmanna do dziś grane są w teatrach muzycznych z librettem Waldorffa i Kerna.

Waldorff dorabiał, redagując wydawane przez Filharmonię Krakowską (dyrektorem był znajomy z czasów okupacji, Piotr Perkowski) pismo, dołączane do programów koncertów. Chcąc je ubarwić, zamówił u Kisiela felietony, które ten zaczął regularnie

dostarczać. Podpisywał swoje teksty pseudonimem dr J.E. Baka, co Waldorff akceptował, nie podejrzewając nawet miny, którą podłożył mu Kisiel, „...czytałem je z przyjemnością, nie podejrzewając, że w podpisie można wzrokiem omijać kropki po pierwszych literach imion” - napisał. Kiedy podwójnie nobliwa, bo filharmonijnie-krakowska, publiczność zorientowała się w prowokacyjnym dowcipie, wybuchła dzika awantura. U dyrektora Perkowskiego interweniowała ponoć nawet kuria arcybiskupia i pismo ostatecznie zlikwidowano. Ani redaktor, ani jego autor nie mieli czego dłużej w filharmonii szukać.

- Wylali nas obu na zbity pysk - opowiadał Waldorff Ludwikowi Jerzemu Kernowi.

Pod koniec 1948 roku ukazała się pierwsza powojenna książka Jerzego Waldorffa - powieść *Godzina policyjna*. Akcja powieści toczy się w okupowanej Warszawie, w ciągu jednej nocy, w kilku miejscach jednocześnie. W arystokratycznym salonie, próbującym mimo wojny zachować pozory normalności. W mieszkaniu, które zajmują wspólnie młody konspirator, Jerzy Grothe, i jego zaborcza matka. W ruinach zniszczonej Warszawy, gdzie ukrywają się głodne żydowskie dzieci, które uciekły z getta, wypatrująca klientów prostytutka, wspominająca lata przedwojennej świetności, i obłąkany mężczyzna. Wreszcie w siedzibie gestapo, gdzie śledczy przesłuchuje złapanego Polaka. Losy bohaterów na kolejnych stronicach splatają się i rozchodzą, a w tle dogorywa skazana na zagładę Warszawa. „Każda opowieść jest pisana inaczej, przekrój przez miasto jest zarazem przeglądem stylów pisarskich, od proustowskiego salonu pełnego krygujących się kukielek, przez brutalny naturalizm nocnej ulicy” - napisał w recenzji z powieści Wojciech Żukrowski. A Jan Józef Lipski, po wytknięciu Waldorffowi niemożliwej do spełnienia chęci opisanie w jednej książce wszystkich aspektów okupacji, powitał w nim „powieściopisarza o dużych możliwościach” i „umiejętności takiego rozmieszczenia napięć sytuacyjnych i puent, które utrzymuje czytelnika w ciągłym zainteresowaniu dla fabuły”.

Waldorff poświęcił książkę pamięci syna swej ciotecznej siostry, Andrzeja Makólskiego - „Małego Jędrka”, żołnierza Batalionu „Zośka”, który zginął 28 sierpnia 1944 roku na Starym Mieście. „Służył mi za wzór do naszkicowania postaci Jerzego Grothe, z czego nie należy wnosić, aby jego matka miała być prototypem Zofii Grothowej. Irena Makólska była bowiem kobietą dzielną i wytrzymałą i nie załamała się do końca, mimo że wojna odebrała jej nie tylko syna Andrzeja, ale także i męża” - napisał w dedykacji poprzedzającej powieść. Uczczenie w taki sposób żołnierza Armii Krajowej, gdy cała Polska zalepiona była plakatami wymierzonymi przeciwko „zapłutym karłom reakcji z AK”, było aktem odwagi. Nie uszło to, jak miało się niedługo okazać, uwagi tych, których komunistyczne państwo postawiło na straży pamięci narodu. Dobre wspomnienie o żołnierzu

powstania warszawskiego nie mieściło się już w tej pamięci.

Godzina policyjna wzbudziła sporą dyskusję. W „Tygodniku Powszechnym” stała się przedmiotem sporu między Zofią Starowieyską-Morstinową a Stefanem Kisielewskim o to, czym jest realizm w literaturze. Kisiel uważał książkę Waldorffa za przykład powieści w stopniu najwyższym realistycznej. Autor, argumentował, nawet opisując okres tak ponury jak okupacja niemiecka, starannie unika komentarzy i ocen, narzucania czytelnikowi własnej wizji i fabularnej stylizacji, beznamiętnie opisując wyłącznie fakty i relacjonując rozmowy, „...wierząc, że ich sens moralny czy ideowy musi uwypuklić się sam” - uważał Kisielewski.

„Nie ma realizmu bezideowego” - odpowiedziała mu Zofia Starowieyska-Morstinowa. Autor już choćby tylko dobierając bohaterów czy sytuacje do opisanego, syntetyzuje i zagęszcza rzeczywistość. Tak właśnie, jak uczynił to Waldorff. I nawet jeśli będzie z całych sił wystrzegał się ulegania emocjom, to i tak gdzieś w podświadomości będą działały jego sympatie i antypatie, co czytelnik łatwo zauważy. Katolicka pisarka i publicystka nie miała wątpliwości, że książka Waldorffa jest jak najbardziej ideologiczna. A w dodatku ideologia, którą prezentuje, jest ideologią złą. Autor uważa, że utrzymywanie stosunków z prostytutkami jest równie normalne jak jedzenie obiadu; czynienie w salonie erotycznych propozycji przez jednego mężczyznę drugiemu jest rzeczą absolutnie zwykłą, a zachowanie wstrzemięźliwości seksualnej przez młodego mężczyznę - niezwykłą i nienaturalną, „...sprzeciwiam się twierdzeniu Kisielewskiego, że książka Waldorffa jest obojętna ideowo. Usuwanie się od wartościowania, amoralizm, jest także postawą (...) dlatego książkę Waldorffa z punktu katolickiego ocenić musimy zdecydowanie negatywnie” - napisała hrabina Starowieyska-Morstinowa.

Tak ostra ocena z pozycji katolickich musiała być zaskakująca, bo ledwie parę tygodni wcześniej w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym” Zygmunt Lichniak zachwyił się walką autora Godziny policyjnej z „oportunizmem, z daltonizmem moralnym, z bezideowością”. Wojna w jego książce stała się czasem próby wartości ludzi, napisał. Jedni wyszli z niej zwycięsko, inni przegrali, ale podział na bohaterów i tchórzów wcale nie przebiegał tak jak można by oczekiwać. Wystarczyła jedna dramatyczna noc, żeby prostytutka okazała się prawdziwą patriotką, młody chłopak - dojrzałym bojowcem, troskliwa matka - rozhisteryzowaną snobką, kandydat na bohatera - zdrajcą, a arystokrata odmieniający słowo „ojczyzna” przez wszystkie przypadki - kolaborantami. Autora recenzji w miesięczniku jezuitów wzruszyła postawa prostytutki, którą potępiła Starowieyska-Morstinowa. Zginęła, bo spoliczkowała Niemca, który znęcał się nad Polakiem, „...najgłupsza, najtragiczniejsza, najpiękniejsza śmierć kobiety” - pisał Lichniak.

Jerzy Waldorff nigdy w późniejszych latach do Godziny policyjnej nie wracał, nie wznawiał książki, bardzo rzadko o niej wspominał, choć przecież nie miał się czego wstydzić. Nie uwzględnił jej także w wydawanych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku pismach zebranych. Po raz drugi powieść ukazała się dopiero po jego śmierci, w 2002 roku. Wydał ją w serii Majstersztyk, opatrując entuzjastyczną notą („Satyra podszyta tragizmem lub na odwrót”), Robert Stiller.

Mimo wszystko jednak najważniejszy był „Przekrój”. Praca w tygodniku, choć oddalonym od Warszawy i centrali partii komunistycznej, tylko z pozoru przypominała sielankę. Jak wszyscy chcący funkcjonować w nowej Polsce, także redakcja musiała spłacać serwituty na rzecz umacniających się komunistycznych rządów. Ale dzięki odnotowywanym na pierwszych stronach „Przekroju” oficjalnym uroczystościom i decyzjom mogli na kolejnych kolumnach próbować tworzyć pismo, jakie sobie wymarzyli. Dlatego bez specjalnego wstrętu, choć pewnie w poczuciu poświęcenia się dla celów ważniejszych, i Waldorff, i Eile uczestniczyli w organizowanych przez partię rytualnych pochodach pierwszomajowych. Z mniejszym już zapewne entuzjazmem meldowali się w krakowskim Urzędzie Bezpieczeństwa, żeby tłumaczyć się z jakichś niefortunnych zdaniem bezpieki tekstów. Jak wtedy, gdy napisali w „Przekroju”, że w Żywcu pojawił się przedwojenny właściciel Browarów Żywieckich, książę Karol Olbracht Habsburg. Bezpieka chciała się w związku z tym koniecznie dowiedzieć, co łączy dziennikarzy z podziemiem.

Starająca się zachować przedwojenny wdzięk i pozory normalności redakcja wywalczyła sobie co prawda nieco większy margines swobody niż zobowiązane do przestrzegania ideologicznej czystości tygodniki marksistowskie, ale właśnie dlatego zaczęła być dla partyjnych nadzorców mediów łakomym kąskiem.

Na początku mogło to jeszcze wyglądać niegroźnie, czasem wręcz zabawnie. Ot, jacyś partyjni czynownicy, niedokształceni i źle wychowani, próbują realizować wytyczne przełożonych, narażając się co najwyżej na drwiny tych, których rzekomo mieli nadzorować i kontrolować. Wszyscy pracownicy „Przekroju” musieli co jakiś czas pisać na nowo życiorysy, które składano następnie w teczkach personalnych, a wyznaczony urzędnik kadr analizował je w poszukiwaniu różnic. Szczegółów pojawiających się w jednej wersji, a zapomnianych (ukrytych?) w innej. „Każdy z nas napisał (...) kilkanaście, a może i kilkadziesiąt takich życiorysów” - wspominali redaktorzy „Przekroju”, składając Waldorffowi życzenia z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin.

Któregoś razu ów referent do spraw personalnych, który - co do tego nikt nie miał wątpliwości - był współpracownikiem organów bezpieczeństwa, wezwał do siebie Waldorffa.

- Słuchajcie - powiedział - wy mi tu stale wypisujecie, żeście przed wojną co i rusz jeździli za granicę i tam siedzieli po jakichś Paryżach czy innych takich podejrzanym miejscach. Czy możecie mi powiedzieć, skąd wyście na to wszystko mieli pieniądze? Kto wam na to dawał?

Podobne pytania, jak i zawarta w nich niedwuznaczna sugestia, że nie mogły to być pieniądze uczciwie zdobyte, były pytaniami niebezpiecznymi. W socjalistycznej Polsce za granicę swobodnie mogli wyjeżdżać tylko najbardziej zaufani partii komunistycznej, i to państwo dawało im na to pieniądze. Pozostali byli z punktu podejrzeni, „...to indywidualum było przekonane, że (...) te moje przedwojenne fanaberie i wojaże finansowali do spółki imperialiści z masonami i że na ich usługach pozostają po dzień dzisiejszy” - wspominali pracownicy „Przekroju” opowieść Waldorffa po powrocie z przesłuchania przez kadrowca.

Jednak w Krakowie, w pierwszych latach po wojnie, udawało się jeszcze zachować przynajmniej pozory normalności. W niezniszczonym mieście, wśród tych samych od dziesiętków lat ludzi, łatwiej było opierać się głupim pomysłom i jeszcze głupszym pytaniom. Przecież to nie mogło trwać wiecznie!

- Cóż ja mogłem temu biednemu człowiekowi odpowiedzieć, tak aby był w stanie to zrozumieć? - relacjonował współpracownikom Waldorff. - Powiedziałem mu po prostu: - Trzeba panu wiedzieć, że mój ojciec był przed wojną właścicielem sporego pegeeru w Poznaniu. Do-cho-do-we-go!!!

Ale już w 1947 roku zaczął coraz częściej bywać pod Wawelem wszechwładny i demoniczny zarządca prasy i wydawnictw, Jerzy Borejsza, tym groźniejszy, że wszyscy wiedzieli, iż jest rodzonym bratem budzącego jeszcze większe przerażenie pułkownika, Jacka Różańskiego, dyrektora departamentu śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Borejsza coraz brutalniej żądał od redaktorów opowiedzenia się po stronie reżimu, „...kolejno zmuszając nas, abyśmy na zadany temat opowiadali się za komuną, pod groźbą dymisji” - pisał Waldorff. Komunistyczna władza nie wiedzieć czemu uważała, że nic tak nie hańbi i zmusza do dalszej z nią kolaboracji jak publiczna i jednoznaczna deklaracja w druku.

Publikowane w „Przekroju” entuzjastyczne dla odbudowy, walki z analfabetyzmem i kolejnych sukcesów władzy ludowej teksty nie wystarczyły. Nie wystarczył też wieloodcinkowy reportaż Saga rodu morderców, poświęcony procesowi dr. Josefa Biihlera, szefa rządu Generalnej Guberni i zastępcy namiestnika Hitlera, Hansa Franka. Waldorff oskarżył w nim rządy II RP o współpracę z szykującymi zagładę Polsce Niemcami i o faszyzm porównywalny z niemieckim, „...trudno powiedzieć, czy Himmler wzory do

Oświęcimia brał z Dachau, czy - przez swoich agentów - z Berezyn" - pisał. W Berezynie Kartuskiej mieścił się zarządzany przez pułkownika Wacława Kostka-Biernackiego obóz, w którym więziono przeciwników rządów sanacyjnych. „Co się tyczy policji, to przynajmniej ta spod znaku Kostka-Biernackiego BYŁA PO PROSTU ODMIANĄ POLICJI HITLEROWSKIEJ” - dodał Waldorff. Nie pozostawił czytelnikom wątpliwości, że władze przedwojennej Polski były zarażone ideologią hitlerowską. Podobnie jak papież Pius XII, któremu nie przeszkadzało, gdy Hitler dopuszczał się ludobójstwa, a po wojnie zaczął grzmieć przeciwko „zbrodni” wysiedlania Niemców z „niemieckiego Wrocławia”.

Ale Borejszy wszystkiego tego było za mało. Nie wystarczył mu także napisany przez Waldorffa na kolanach pean na cześć propagandowej Wystawy Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu, która miała Polakom i światu dowiedzieć, że dopiero w polskich rękach Ziemia Zachodnie naprawdę rozkwitła, „...naprawdę są odzyskane, bo naprawdę i zawsze były w najistotniejszych swych złożach polskie, tylko ukradzione i pociągnięte od wierzchu niemieckim, już zresztą zdrapanym, nalotem” - pisał Waldorff.

Dziennikarzy, którzy nie zapłacili jeszcze wystarczającej daniny najlepszemu z ustrojów, Borejsza wzywał na rozmowy do pokoju w Hotelu Francuskim. Każdy musiał indywidualnie złożyć deklarację lojalności. Złożył ją i Waldorff, choć później usprawiedliwiał się, że był w sytuacji trudniejszej niż np. Kisiel, który czuł za sobą poparcie krakowskiej kurii i metropolity, kardynała Adama Sapiehy. A on, buntując się, nie mógłby nawet sprzedawać papierosów w kiosku, bo kioski też podlegały centralnemu zarządzaniu. Po latach napisał w Moich lampkach oliwnych, że po rozmowie z Borejszą musiał - walcząc, jak twierdził, o każde słowo! - napisać „średnioniecną felieton” przeciwko księżom, którzy nie chcieli przyłączyć się do grona tzw. księży-patriotów, którzy wbrew decyzjom episkopatu szli na daleko posuniętą współpracę z komunistyczną władzą.

Jednak artykuł Granice konfesjonatu, który ukazał się w marcu 1949 roku w „Przekroju”, wcale nie był „średnioniecną”. Nawet jeśli stalinowski terror, który wchodził właśnie w apogeum, tłumaczył strach prowadzący do czynów i słów znacznie gorszych. Był wystarczająco jednoznaczny, by nie było wątpliwości, po której stronie konfliktu, jeszcze niedawno mającego wymiar regularnej wojny domowej, opowiada się Waldorff. Pisał w Granicach konfesjonatu o księżach, którzy wspierają, święcą ryngrafy, a nawet zachęcają do zbrodni oddziały Narodowych Sił Zbrojnych, walczące z ludową władzą. W Kuf lewie w województwie warszawskim, namówiona przez księdza Fertaka grupa 12 uzbrojonych partyzantów w ciągu sześciu tygodni zabiła 6 ludzi i dokonała kilkunastu napadów, wyliczała. W Łodzi grupa „Murata”, z którą współdziałało trzech księży, zamordowała 55 ludzi i

dokonała ponad 130 napadów.

Procesy, które wytoczono w obu tych sprawach, nie są przejawem walki z katolicyzmem ani walką z Kościołem, zapewniał czytelników Waldorff. Bo nie można utożsamiać z Kościołem reakcyjnej części polskiego kleru, ani złego papieża-polityka, który popiera rewizjonistyczne pretensje Niemców do Ziem Zachodnich „Nikt nie przeszkadza nikomu w Polsce być katolikiem” - pisał. Ale rząd nie może traktować obojętnie zbrodni, tylko dlatego że stoi za nią kler.

Zgodnie z obowiązującą wówczas poetyką podobnych tekstów musieli pojawić się w nich także imperialiści. Więc pojawili się. Jako ci, którzy najżywiej zainteresowani są istnieniem i działalnością reakcyjnych band. Utrzymują je, by na rozkazy przysyłane z Zachodu niszczyły polskie fabryki i drogi, aby eksport polskich produktów nie zagroził imperialistycznym interesom. „Za funty i dolary zostały dostarczone karabiny i ryngrafy, które święcił ks. Fertak” - pisał Waldorff. Tacy jak Fertak przez wieki pod wodzą jezuitów zwalczali polską tolerancję, dodał, za Sasów wpędzali Polaków w zacofanie i ciemnotę, a przed drugą wojną hołubili dewotki-analfabetki, protestujące przeciwko kampaniom społecznym Boya-Żeleńskiego. Ale to nie tylko ich wina. Ich zwierzchnicy nie wydali na czas odpowiednich listów pasterskich, które powstrzymałyby antypolską działalność kleru. „Reakcyjna góra kleru może uważać, że nasz ustroj obecny jej nie odpowiada. To jej rzecz - kończył artykuł Waldorff. - Ale nie może pomijać milczeniem przestępczej działalności księży osądzonych w Łodzi i Warszawie, jeśli pragnie - tak jak całe społeczeństwo - żeby te procesy były ostatnimi”.

Pisząc Granice konfesjonatu, Waldorff stracił polityczne i dziennikarskie dziewictwo, choć bronił się, że stracił je w wyniku gwałtu. A potem był jeszcze jeden tekst. Bo, skoro byli zli księża, musieli być także księża dobrzy, czyli, jak ich wtedy nazywano, księża patrioci. Patriotą był na przykład ksiądz Bonifacy Woźny, augustianin, więzień Oświęcimia i Dachau, w latach pięćdziesiątych narzucony Kościołowi przez władze wikariusz generalny archidiecezji krakowskiej. Woźny bez zgody władz Kościoła spotykał się z Bolesławem Bierutem, brał od władz pieniądze „na remont kościoła” i bolał nad nieprzejednaną postawą prymasa Stefana Wyszyńskiego i innych biskupów. Polskie duchowieństwo - mówił Waldorffowi - zawsze szło z ludem i teraz też szczerze chce pójść z nim w jego nową szczęśliwą przyszłość i walkę o trwały pokój. Nawet wbrew hierarchom. „Tych codziennych, ważnych spraw odbudowy Polski i polskiego życia społecznego nie rozumie odległy Watykan. Nie liczy się więc z głosami patriotycznego duchowieństwa polskiego, prowadząc obcą interesom naszego kraju politykę” - pisał Waldorff. Wrogie Polsce ośrodki i rozgłośnie

anglosaskie alarmują o rzekomym prześladowaniu religii katolickiej w komunistycznej Polsce i rugowaniu religii ze szkół, a w parafii księdza Woźnego w Prokocimiu religii uczy aż dwóch księży, zaś jego przyjmuje prezydent Bierut, zachwalał postawę zakonnika. W 1950 roku prałat Woźny został wiceprzewodniczącym komisji księży komunistycznego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Po latach ujawniono, że był także agentem Urzędu Bezpieczeństwa.

Konsekwencje publikacji z 1949 roku ciągnęły się za Waldorffem jeszcze po śmierci. Kiedy „Życie Warszawy” zainicjowało wśród czytelników akcję zmierzającą do nadania którejś z ulic lub placów Warszawy imienia Waldorffa, narodowe media przywołały artykuły sprzed lat. Jerzy Waldorff wspierał propagandę UB, zatytułowała tekst w „Naszym Dzienniku” Grażyna Dziędzińska „...jako dziennikarz w latach najgorszego terroru stalinowsko-bermanowskiego wspierał swoimi artykułami w «Przekroju» zbrodnie UB i NKWD” - pisała, przypominając Granice konfesjonału. Gdy ubeccy oprawcy znęcali się nad ks. Fertakiem, bili go drewnianymi pałkami, kablem, wrywali włosy z brody, wrzucali nieprzytomnego i nagiego do lodowatego karceru, dodawała, Waldorff, ten usłużny hołdownik systemu totalitarnego, w pełnym jadu i pogardy paszkwilo nazywał morderstwem wyroki wykonywane na kolaborantach i łotrach z UB. Ksiądz Fertak po wyjściu w 1956 roku z więzienia wkrótce zmarł, a Waldorff przez lata zażywał szacunku, a w wolnej Polsce stał na baczność pod pomnikiem Piłsudskiego.

Major Stanisław Borodzicz, pseudonim „Wara”, podczas wojny szef sztabu Okręgu Mazowsze-Północ Narodowych Sił Zbrojnych, wystosował nawet list do premiera. Przekonywał, że Waldorffa postawić można obok komunistów-stalinowców, którzy rozstrzelali i mordowali żołnierzy AK i NSZ. „...Waldorff niszczył ich piórem, i to w okresie 1945-1949, gdy szczególnie obficie lała się krew polskiego podziemia” - dodał. Wniosek dziennikarki i żołnierza NSZ był oczywisty. Komuś takiemu nie należą się żadne honory, „...chyba że powolutku, po cichutku i pełzająco komuna nam powraca” - napisała Grażyna Dziędzińska.

A jednak mimo dowodów lojalności, za które płacił nawet po śmierci, pod koniec lat czterdziestych zaczął odwiedzać Waldorffa dziwny człowiek, ponoć urzędnik z „Czytelnika”, wydawcy „Przekroju”. Radził „życzliwie”, żeby sam zrezygnował z pracy w tygodniku, nim zmuszą go do tego władze bezpieczeństwa, które coraz bardziej podejrzliwie przyglądają się okupacyjnej działalności Rady Głównej Opiekuńczej i roli w niej Waldorffa. Zdaniem bezpieki RGO i tajne koncerty, które współorganizował, były tak naprawdę tylko przykrywką dla działalności na rzecz USA. A to był zarzut, który nie mógł wróżyć dobrze.

Ludwik Jerzy Kern podejrzewał jednak, że powód rozstania z „Przekrojem” mógł być jeszcze inny. Sądził, że Waldorff mógł pokłócić się z Eilem. I to z powodu dla innych błahego, a dla nich wartego sporu na śmierć i życie. Czyli o to, pies którego z dwu redaktorów jest mądrzejszy i piękniejszy od drugiego, „...wypytywałem i Eilego, i Waldorffa, ale żaden nie chciał szczerze na ten temat mówić” - napisał Kern. Stali się dla siebie ludźmi obcymi. Pojednali się dopiero po latach, Eile był już od dawna poza granicami Polski, kiedy zupełnie przypadkowo spotkali się na którymś z mostów w Wenecji.

Waldorff odszedł z „Przekroju” w marcu 1950 roku. Na dworzec odprowadziła go tylko Janka Ipohorska, ta sama, która cztery i pół roku wcześniej powitała nowego pracownika.

Tam jest Wald, anioł mojej rodziny..

Waldorff był zafascynowany poezją Gałczyńskiego. Zachwycił się nią, zanim jeszcze poznał autora uwielbianych wierszy. Nie ma jednak pewności, czy znał już poetę, gdy w lipcu 1936 roku pisząc w „Prosto z mostu” o nierozumianym przez publiczność i krytykę szalonym awangardowym rzeźbiarzu Stanisławie Szukalskim, porównał go właśnie do Gałczyńskiego. „Dwuch dziś widzę ludzi, którzy olbrzymią dynamiką talentu i młodości działają jak zaczyn drożdżowy na leniwą, nieurobioną masę tego społeczeństwa - przekonywał. - To Gałczyński i Szukalski”.

Wspominając po latach przyjaźń z Gałczyńskim, pisał: „Kiedy sobie wszystko obliczam i przymierzam jedno do drugiego w pamięci, wypada mi, że z Konstantym poznałem się jesienią 1936, albo wczesną, jeszcze chłodną i dżdżystą, wiosną roku następnego”.

Przy sposobności stanął też mocno u boku poety, po jego bardzo brutalnym, antysemickim ataku na środowisko „Wiadomości Literackich”, opublikowanym w „Prosto z mostu” w maju 1936. Tygodnik wydrukował List do przyjaciół z „Prosto z mostu” na stronie tytułowej. Gałczyński przeciwstawił swych nowych przyjaciół z endeckiej gazety - Tuwimowi i Słonimskiemu, gudłajom, szachrajom, alfonsom, sutenerom, obwąchującym się pieskom, wszom i trupom z „Wiadomości Literackich”. Nie wymienił ich nazwisk, „bo nie warto. Za parę lat i tak nikt już dźwięku tych nazwisk pamiętać nie będzie”. Ale w wellistach, scjentytach, przyjaciółach prostego człowieka i zsiadłego mleka, każdy musiał domyślić się Słonimskiego i Tuwima (autora wiersza Do prostego człowieka). Gałczyński zarzucił im wyszachrowaną po gudłajsku, a nie krwią poświęcenia zdobytą sławę, która trwa krótko, tak jak krótko trwa proceder szalbierza. Przyjaciele z „Prosto z mostu” byli dla

odmiany uprzejmi, dobrzy, czysti, katolicy i rozjaśnieni światłem Ewangelii.

Waldorff pewnie mógł być zaskoczony aż tak wielką furią Listu... ale poparł poetę. Gałczyński to artysta, tłumaczył go, i to co pisze, zawsze jest przepojone sztuką. Nawet gdy „wpada w gniew, w oburzenie - kiedy nie panuje nad sobą i wymyśla (...) słynny jego List do przyjaciół” z „Prosto z mostu” mimo zawarte inwektywy, mimo treść z ognia i lawy poczętą - jest w swej formie przede wszystkim dziełem artysty”.

Nie ma pewności, czy tylko bronił ukochanego poety, czy po prostu myślał dokładnie tak samo jak Gałczyński. Ale raczej nie miał wielkich złudzeń co do trwałości jego przekonań politycznych. Waldorff uważał za naiwnych, żeby nie powiedzieć gorzej - głupich, zarówno tych, którzy wierzyli w szczerą głęboko prawicowych przekonań Gałczyńskiego przed wojną, jak i w autentyczność jego nawrócenia na ideały socjalizmu po wojnie. Kpił także z tych, którzy posądzali poetę o jakiś szczególnie makiawelizm i szatański spryt. „Sądzi, że jest piekielnie mądry, gdy był w tym zgoła prostacki” - pisał. Był przekonany, że Gałczyński gotów byłby zaprzedać duszę diabłu w zamian za uznanie dla swej poezji i w zamian za pieniądze, które dano by mu, byle tylko chciał tworzyć dalej. Gdyby więc zawczasu i wystarczająco życzliwie przyjęli go do swego grona skamandryci, zostałby pewnie zachodnim liberałem w stylu Słonimskiego. A ponieważ oni nie chcieli, a endeckie i antysemityczne „Prosto z mostu” otworzyło swe łamy dla poezji Gałczyńskiego najszerzej jak tylko było to możliwe, splotał swój dług wobec „przyjaciół z «Prosto z mostu»”, najlepiej jak umiał, „...wdzięczny słowik-Konstanty zaczął śpiewać na prawicową chwałę «Prosto z mostu»”, - napisał Waldorff.

Poznali się nieco przypadkiem, na Nowym Świecie w Warszawie. Waldorff dostrzegł idącego w stronę Alej Jerozolimskich Bolesława Micińskiego, którego znał, a z nim Gałczyńskiego. Od razu rozpoznał podziwianego poetę, „...szedł bez kapelusza czy beretu, ze zmierzwioną czupryną, ogromnie czarną, i spieczonymi wargami, a po nich błąkał się półuśmiech, gdy mi podawał rękę” - zapamiętał.

Miciński skorzystał z okazji i widząc zafascynowanie Waldorffa, szybko pozbył się Gałczyńskiego. Poeta pił, powiedział tylko, i trzeba się nim zaopiekować. Najlepiej odprowadzić na dworzec i zadbać, żeby na pewno wsiadł do pociągu jadącego do Anina, bo on, Miciński, musi już wracać do własnych obowiązków. „Po chwili byłem z Gałczyńskim sam, nie wiedząc, czym go mamić, przeto zapytałem - ot, tak - byle coś rzec, gdzie mieszka?”. Pijany poeta rozejrzał się wokół nieobecny wzrokiem i wskazał na wielki neon browaru „Haberbusch i Schiele” przy pl. Trzech Krzyży. Bąknął: „Gdzie mieszkam?... Tam, w tej reklamie”.

Waldorff postanowił najpierw poetę nakarmić. Zabrał go do domu swojej matki, która przyjęła obecność ekscentrycznego gościa dzielnie, choć Gałczyński przez cały obiad prawie się nie odezwał. Raz tylko zapytał, czy jest piwo, a kiedy się dowiedział, że nie ma, milczał dalej. Po obiedzie Waldorff odprowadził nowego znajomego na dworzec, wsadził do kolejki jadącej do Anina i w poczuciu dobrze wypełnionej misji wrócił do domu. Po kilku dniach dowiedział się, że poeta jednak do żony nie dojechał. Ale znajomość została nawiązana.

Parę dni później pojechał po raz pierwszy w odwiedziny do Anina. „...żeby ulec fascynacji Domem Poety” - wspominał.

Niedługo później wystąpili razem w efemerycznym i chyba nie najlepiej wymyślonym kabarecie w oranżerii, modnej przez jeden czy dwa sezony kawiarni „Sztuka i Moda”. Waldorff mówił swój wymierzony w Akademię Literatury monolog, Gałczyński, wsparty łokciem o fortepian, recytował wiersz Inge Bartsch. Opis tego występu (w Czarnych owcach dla Apolla - tytułowy esej tomu poświęcony jest właśnie Gałczyńskiemu) dowodzi najgłębszej fascynacji Waldorffa poetą. Gałczyński był dla niego następcą największych polskiej poezji. W prostej linii kontynuatorem romantycznych wieszczów, czego do końca nie chcieli dostrzec inni, woląc widzieć w Gałczyńskim raczej błazenka i pijaczka niż poetę równego jeśli nie Mickiewiczowi i Słowackiemu, to przynajmniej skamandrytom. Owszem, ten stańczykowski rys widział w przyjacielu także Waldorff, ale postrzegał go raczej jako wynik dramatu rozgrywającego się w duszy poety, „...jednocześnie bohater i błazen epoki - pisał o przyjacielu - bo może czuł podświadomie, że takim sposobem jej skomplikowany tragizm wyrazi najpełniej. Raczej cały był podświadomością, instynktem, wycuciem, niżli rozumiał świat, który coraz posępniej kotłował się dookoła”.

Publikował wiersze Gałczyńskiego w „Kurierze Porannym”, dbał, by honoraria wypłacane poecie były jak najwyższe, spotykali się najpierw w „SiM”-ie, a później w innych kawiarniach, do których uciekali po kłapie kabaretu. Towarzyszył Gałczyńskiemu i jego żonie Natalii podczas spotkania w gmachu stowarzyszenia YMCA na Konopnickiej w Warszawie, gdzie studenci prezentowali przeniesione na scenę słuchowisko poety Mężczyzna w damskim kapeluszu. I coraz częściej bywał w Aninie. A już z samym Konstantym brał udział w całonocnych alkoholowych eskapadach. „O Kocie można tylko powiedzieć, że czynił to od innych hałaśliwiej i na pokaz” - napisał.

Został nawet bohaterem jednego z wierszy Gałczyńskiego - Insula Timor, w którym poeta przeciwstawił życie, kłębiące się w rozgorączkowanej i rozpolitykowanej Warszawie, sennej, przynębiającej i bezsensownej pustce samotnej wyspy na Pacyfiku.

Z Waldorffem, w pociągu, nocą Przeklinamy wyspę sromotną INSULA TIMOR.

W drukowanym w „Prosto z mostu” oryginale wiersza nazwisko Waldorffa miało jeszcze starą formę - Walldorf.

Próbował pomóc Gałczyńskiemu w wydaniu pierwszego tomu wierszy. Obiecywał druk Piasecki, ale zabrakło mu pieniędzy. Waldorff wpadł na pomysł, żeby użyć arystokratycznych koneksji matki. Ta zaprosiła na kolację dwóch znajomych hrabiów: Jana Tarnowskiego, znanego ze wspierania awangardowych artystów, od Karola Stryjeńskiego po Karola Szymanowskiego, i Antoniego Sobańskiego, który sam pisywał polityczne reportaże z Niemiec.

„Hrabiowie, jeśli by nawet sami w danej chwili nie dysponowali gotówką, zawsze mogli uderzyć do bogatych księżnych ciotek” - pisał Waldorff. Choć jednak hrabiowie zjedli i wypili dużo, nie ulegli magii poezji Gałczyńskiego. Oświadczyli, że nic nie rozumieją („...choć tak bardzo inteligentni i postępowi”), a druku banialuk finansować nie zamierzają. Utwory poetyckie Gałczyńskiego ukazały się w końcu jako tom piąty „Biblioteki «Prosto z mostu»”, dzięki Piaseckiemu, który wreszcie pieniądze znalazł.

Ostatni przedwojenny maj i czerwiec Jerzy Waldorff spędził z Gałczyńskimi w Aninie na spacerach w głąb anińskich lasów, kąpielach w śródleśnych stawach, opalaniu się i popijaniu na tarasie zielonej herbaty. Wojna wisiała już w powietrzu, ale jeszcze udawało się oszukać strach przed niewiadomym.

Ale kiedy Waldorff wrócił pod koniec sierpnia z Krynicy, zmobilizowanego do wojska poety już w Aninie nie było. W domu zastał tylko Natalię i kilkuletnią Kirę. Kilka dni później wybuchła wojna. Podczas okupacji, dzięki pieniądzom uzyskanym za place po dziadku Szustrze, pomagał żonie i córce przyjaciela, które tymczasem przeniosły się do Warszawy. Natalia Gałczyńska, która tymczasem zaczęła pracować jako kelnerka, prawie codziennie odwiedzała Waldorffów w mieszkaniu na Mokotowie, gdzie przeprowadzili się z kosztownego apartamentu na Pięknej, „...z Natalią zżyliśmy się byli jak z siostrą (...) matkę moją zaczęła nazywać «ciocią», - pisał Waldorff. Dostarczał jej żywność i ciepłe ubrania, które Natalia następnie posyłała do obozu jenieckiego w Altengrabow, gdzie trafił wzięty do niewoli Gałczyński.

Wiosną 1941 roku z Altengrabow nadszedł pierwszy list od Gałczyńskiego. A w nim najcześnie słowa wdzięczności za pomoc udzielaną Natalii.

„Drogi Jerzy! Z niejednej kartki Natalii dowiaduję się, że to Ty jesteś jej najlepszym przyjacielem i opiekunem. Niech Ci Bóg najwyższy da zdrowie za to, mało zdrowie! Niech Ci się tak wszystko teraz i w przyszłości ułoży, jak tylko sobie marzysz; a jak ja za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny wrócę, wtedy dam Ci konkretne dowody mojej

wdzięczności (...). Wiem, że ostatnie paczki są od Ciebie. Bóg Ci zapłać! Modlitwą Ci tymczasem odpłacam (...). Serwus, Jerzy. Do widzenia! Twój Kot”.

Potem następny: Jerzy mój! Za to jedno krótkie zdanie Twoje «Bądź spokojny o Nataszę i Kirę» niech Ci Bóg do końca dni Twoich zsyła wszystko najlepsze (...). Ilekroć ogarnia mnie niepewność o najprostsze potrzeby mojej Żony - to wtedy zaglądam do Twojej kartki i czytam, czytam to krótkie zdanie: «Bądź spokojny o Nataszę i Kirę»,.

I po kilku dniach kolejny: Jerzy mój! Twoją kartkę czytam codziennie, czasem kilka razy. Jerzy, Jerzy, ileś Ty mi dał tym jednym zdaniem: «Bądź spokojny o Nataszę i Kirę!» To zdanie jest dla mnie największym darem, jaki mogłem tutaj otrzymać”.

Było tych listów bardzo dużo. Gałczyński dziękował za każdy gest pomocy, o którym dowiadywał się od Natalii. „Bóg Ci zapłać i to do końca dni Twoich za troskę o mnie” - pisał w październiku 1941 roku. „Tyś przecie jest jak mój brat i w każdej mojej modlitwie wieczornej modlę się o Ciebie” - zapewniał w liście z 4 grudnia tego samego roku. „Drogi Jerzy, wiedz, że po Natalii Tyś mi teraz najbliższy. Ile razy zasępię się, tyle razy powtarzam sobie: tam jest Wald, anioł mojej rodziny.

144

Tam jest Wald, anioł mojej rodziny..”

- donosił w lutym 1942. „Boże mój, jakże ja Ci się odwdzięczę za wszystko?” - zastanawiał się w lipcu 1942. „Kochany Jerzy, gdybym tak mógł, bracie, tobym Cię już teraz wyściskał za Twoją całą dobroć i wierność” - napisał w ostatnim liście, który dotarł do Waldorffa.

Takich dowodów wdzięczności za pomoc udzielaną żonie i córce poety jest kilkanaście, ale Kira Gałczyńska w żadnej ze swoich książek poświęconych ojcu o nich nie pisze. Nie wspomniała o korespondencji poety z Waldorffem nawet w książce o pobycie ojca w stalagu w Alten-grabow. „Z listów, które krążyły pomiędzy Altengrabow a Warszawą, zachowało się jedynie kilka” - napisała tylko. I ani słowa więcej. Nie uwzględniła żadnego z listów do Waldorffa, choć musiała wiedzieć o ich istnieniu od co najmniej dziesięciu lat, kiedy zostały opublikowane, a prawdopodobnie wcześniej.

Waldorff nie doczekał ogłoszenia w Dziełach wybranych (ukazały się w roku 2002) Gałczyńskiego Notatnika z Altengrabow, a w nim najpiękniejszych słów podziękowania za wojenną pomoc. 2 października 1941 roku Gałczyński notował: „A Waldorff znowu, najlepszy Waldorff pyta, czy nie «potrzebowałbym czegoś do jedzenia lub papierosów-. Kochany Jerzy! Boże mój, jak to będzie cudownie kiedyś odwdzięczyć mu się za jego dobroć”.

Kolejny wpis, z 9 listopada: „Boże, zachowaj w zdrowiu, Cesarzową, Kirę, Walda, Zagórskich i wszystkich...”. Cesarzową poeta nazywał żonę, Wald, umieszczony na trzecim miejscu w ważności próśb zanoszonych do Boga, to Jerzy Waldorff. Zagórscy to poeta Jerzy i tłumaczka Maryna, zaprzyjaźnieni z Gałczyńskim. I kolejna prośba, 17 listopada, powtórzona tymi samymi słowami. I jeszcze raz, następnego dnia, przed położeniem się spać: „Dobranoc, Kiro. Dobranoc, Mamo. Dobranoc Wald i Zagórscy”. Życzenia składane w najintymniejszej formie, jaką można sobie wyobrazić. W dzienniku, prowadzonym w tajemnicy przed wszystkimi, w obozie jenieckim.

Natalia Gałczyńska pozwoliła na opublikowanie notatnika, który poeta prowadził od 18 sierpnia do 18 listopada 1941 roku, dopiero po upływie pięćdziesięciu lat od jego śmierci. Razem z notatnikiem ogłoszone zostały jenieckie listy poety, w których znów pojawiło się nazwisko Waldorffa. Pozdrowienia z marca 1942 roku i pełen troski list z grudnia 1944 roku: „Co z Maryną i Jerzym, i Waldem?”.

Miał upłynąć jeszcze rok z okładem, nim udało im się spotkać pierwszy raz po wojnie.

Kiedy ściągnięty przez Kisiele Waldorff przyjechał do Krakowa, by objąć posadę w „Przekroju”, żona poety była tam już od paru miesięcy. Była przekonana, że Konstanty nie żyje. Taką wiadomość przywiózł ktoś powracający z niemieckiej strefy okupacyjnej, gdzie ostatnio przebywał Gałczyński. Potwierdził straszną wieść eks-jeniec, który miał widzieć poetę w obozie w Altengrabow, chorego na gruźlicę i wykasującego resztki płuc. W „Tygodniku Powszechnym” ukazał się nawet nekrolog żegnający Gałczyńskiego. Żona poety coraz bardziej traciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek męża zobaczy.

Jurku, kochany mój Jurku, piszę ten list tylko do Ciebie, bo ty najlepiej zrozumiesz, jak mnie to boli - pisała do Waldorffa tuż po otrzymaniu straszonej wiadomości Natalia Gałczyńska. - (...) tak bym chciała Cię teraz zobaczyć, bo wiem, że poza mną Ty najbardziej kochasz Kota (...). Jurku, musi być drugie wydanie jego książki. Kochanie - Ty - najlepszy jego przyjaciel - pomóż mi w tem”.

List dotarł do Waldorffa na początku grudnia, jeszcze w Warszawie. Wkrótce potem spotkali się z Natalią już w Krakowie. Któregoś styczniowego dnia wpadła do redakcji „Przekroju”. Przyniosła kartkę wyrwaną z książeczki do nabożeństwa, którą dała idącemu na wojnę Konstantemu. Poeta wysłał ją do niej z Belgii 8 grudnia 1945 roku. To znaczyło, że przeżył wojnę i że gdzieś jest, nie wiadomo tylko gdzie. Waldorff zdecydował, żeby opublikować informację o tym w najbliższym numerze „Przekroju”. Poeta powinien się dowiedzieć - może ktoś mu wieść przekaże - że czytelnicy w kraju na niego czekają; a czytelnikom trzeba powiedzieć, że poeta żyje.

Wreszcie przyjechał. Oczekiwany z coraz większym niepokojem, bo do Krakowa zaczęły dochodzić coraz dziwniejsze nowiny, że Gałczyński owszem, żyje, ale... z inną kobietą. Że wraca do Krakowa, ale z tą... inną.

Któregoś dnia do Waldorffa zadzwoniła Natalia: - Przyjeżdżaj, bo ja tutaj mam Konstantego z jego drugą żoną. Liczyła, że może najlepszy przyjaciel męża poradzi jej, co powinna zrobić. Pobiegł na Basztową, gdzie mieszkała. Pierwszą osobą, którą ujrzał, był cały i zdrowy Gałczyński, szpakowaty, z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą, w badtledressie. Obok stały dwa wypakowane plecaki i młoda dziewczyna, też w wojskowym uniformie.

- Zmiłuj się. Coś ty najlepszego zrobił?! - skoczył na przyjaciela Waldorff.

„...spojrzał na mnie i raptem wybuchnął swoim ogromnym śmiechem. W tym śmiechu zaś, co było najbardziej zdumiewające, brzmiała nuta tryumfu” - zapamiętał.

Waldorff daleki był od potępiania nowych związków osób, które na wiele lat zostały rozdzielone przez wojnę. Rozumiał potrzeby ludzi, od których rygoryści domagali się erotycznej ascezy. „...czysto fizjologiczne sprawy seksu można było traktować jak inne konieczne procesy w organizmie” - napisał. Bardziej żał było mu dziewczyny, która nie rozumiała, że nigdy nie będzie tą jedyną. Że była tylko zamiast.

Ostatecznie udało się jej wyperswadować walkę o Gałczyńskiego i odtransportować do Warszawy. Poeta został przy żonie w Krakowie i w „Przekroju”. A Waldorff niemal prosto z mieszkania na Basztowej pobiegł do Eilego przekonywać go do zaangażowania poety mimo przedwojennych endeckich grzechów.

„Przyprowadził go Jerzy Waldorff, który wówczas był w redakcji na stałe” - wspominał Marian Eile. Gałczyński błyskawicznie stał się gwiazdą pisma i miasta. Waldorff zapamiętał, jak podczas juwenaliów ulicami Krakowa płynął korowód objętych wół studentów, którzy skandowali wiersze poety: „Li-ry-ka, li-ry-ka, tkli-wa-dy-na-mi-ka...”. A kiedy Gałczyński zmienił kolejny raz politycznych bogów i napisał kilka wierszy wiernopoddańczych: na cześć Lenina, Armii Czerwonej, Janka Krasickiego i Marcelego Nowotki, po emigracji Czesława Miłosza ogłosił Poemat dla zdrajcy, a biskupów porównywał do analfabetów, Waldorff nie był specjalnie zaskoczony. To przecież była tylko konsekwencja postawy, którą poeta prezentował od zawsze. Chciał tylko, by go kochano i stworzono mu warunki do pisania, a wtedy pisał dokładnie to, czego od niego oczekiwano. A po wojnie to komuniści rozdawali mieszkania, wydawali pisma i książki, decydowali o istnieniu pisarzy albo skazywali ich na śmierć przez przemilczenie. „Czyż dziwne, że w podobnie odwróconej rzeczywistości Konstanty Ildefons jeszcze raz zmienił adresata swych hymnów?” - pytał Waldorff i nie miał wątpliwości, że jest to pytanie wyłącznie retoryczne.

Razem jeździli do Śledziejowic. To Gałczyński ochrzcił dworek nazwą Waldorffowo. „...dla uczczenia odkrywcy” - wspominał Zdzisław Nardelli. Poeta, pod pozorem pisania, spędzał w Śledziejowicach najwięcej czasu ze wszystkich autorów „Przekroju”. „Gałczyński upodobał sobie Waldorffowo nadzwyczajnie” - wspominał Aleksander Ziemny. W nagłówkach kilku wierszy umieścił nawet „Waldorffowo” jako miejsce, gdzie powstały. „Myśmy go zostawiali na wsi, mając nadzieję, że on tam będzie pisał, a on, oczywiście, pił z okolicznymi chłopami” - opowiadał Waldorff. Któregoś razu po przyjeździe do Śledziejowic zastał pijanego przyjaciela siedzącego na dachu pustego, zdawało się, dworu. Tymczasem wiedział, że powinna tam być i jego matka, i stara pani Colonna-Walewska. Okazało się, że obie staruszki siedzą w zabarykadowanym pokoju, chroniąc się przed Gałczyńskim.

- Gałczyński od rana szaleje. Figurez-vous, il a voulu nous violer! Przedstaw sobie, że on chciał nas obie zniewolić - skarżyły się na Gałczyńskiego dystygowane damy.

A poetę długo trzeba było namawiać, żeby wreszcie zszedł z dachu. Matkę Waldorffa udobruchał, pisząc dla niej elegię Na odjazd Joanny Preyss:

O, ciotko mej Natalii, matko przyjaciela, gdy życiowa konieczność znowu nas rozdziela, wiedz, że z bólem całuję Twoje drogie ręce, a dni, co zbiegły, w sercu zasuszę, jak w księdze.

Waldorffowo, 20 VIII 46.

Trwały już wtedy coraz częstsze i coraz dłuższe nawroty choroby alkoholowej Gałczyńskiego. Wielu było takich, którzy stawiali sobie za punkt honoru upić poetę, niewielu takich, którzy czuli się potem odpowiedzialni za to, co się z nim dzieje później. A Gałczyński przerywał dopiero wtedy, gdy czuł, że przychodzi pora na poezję. Wojna, pobyt w stalagu, długie okresy przymusowej abstynencji nie zahamowały nałogu, „...przechodząc w dypsomanię, ciężkie schorzenie, raczej duszy niż ciała”.

Nie pił stale. Ale po kilkumiesięcznych okresach twórczości bardzo intensywnej i bogatej nadchodził czas niepowstrzymanego, szaleńczego, zabójczego picia, pisał Waldorff. Kiedy wyczerpywał się zapas poezji, który Gałczyński miał w sobie, gdy następował czas pustki i rozpacz, że to już koniec. Znikał wtedy na długie dni, potrafił zdobywać alkohol w sposób absolutnie niepojęty mimo przeszkód stawianych przez żonę i przyjaciół. Awanturował się wtedy, wywoływał burdy, znajdowano go leżącego na Plantach, porzuconego tam przez przygodnych kompanów od wódki. Pojawiał się w „Przekroju” rozchełstany, brudny, nieogolony, żądając wódki, już, natychmiast albo rozbije i rozmiecie wszystko wokół. Nikt wtedy nie mógł go powstrzymać. Musiał pić i pił tak długo, aż jego duszę znów wypełniła poezja. Aż wezbrały w niej nowe wiersze. Wtedy przestawał pić, by

dać im szansę. „Poezja tryskała teraz jak gejzer... - pisał Waldorff. -...aż do następnego ataku, za dwa lub trzy miesiące”. „To było jak piekło narzucone mu przez Zeusa czy przez Apollina i z tego piekła wyrzutów sumienia była nowa erupcja poezji” - dodał w innym miejscu.

Niewielu chciało zrozumieć, co dzieje się w duszy poety. Mimo wszystko łatwiej było drwić z brewerii i pomstować na awantury wyczyniane przez pijanego Gałczyńskiego. Zwłaszcza gdy znalazł się na celowniku partyjnych dyrygentów kultury, zdany na łaskę pisarzy o wiele od siebie gorszych, ale znacznie lepiej potrafiących wykorzystywać polityczną koniunkturę. Wtedy pierwsi odwrócili się od niego kompani od wódki. „Pamiętam aż nazbyt dobrze owe przygnębiające procesy inkwizycyjne w Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu!” - wspominał Waldorff. Od Gałczyńskiego, który z Krakowa przeprowadził się najpierw do Szczecina, a potem do Warszawy, zwabiony luksusowym mieszkaniem w alei Róż, zażądano, by zadusił małomieszczańskiego kanarka w klatce swej poezji. Okres politycznego czyścica, w którym znalazł się pozbawiony prawa do pisania poeta, trwał ponad rok. Nie mógł drukować (jego nazwisko zniknęło na blisko rok nawet z łamów „Przekroju”), wydawnictwa zwracały proponowane wiersze z jakimiś obłudnymi usprawiedliwieniami, zostawał alkohol i... Mazury, gdzie począwszy od 1950 roku coraz częściej krył się przed nieprzyjaznym światem. Klątwę z nazwiska Gałczyńskiego zdjął dopiero Jerzy Putrament, mówiąc podczas posiedzenia sekcji poezji ZLP, że cokolwiek by zarzucać Gałczyńskiemu, to jest on jak król Midas. Każdy wzięty do rąk temat przemienia w czyste złoto poezji.

Waldorff, chcąc pomóc przyjacielowi w przeczekaniu okresu banicji, przyprowadził do niego kiedyś młodego krytyka z Krakowa, szykującego się do pisania pracy o poecie. Był przekonany, że Gałczyński tęskni do kontaktów z wielbicielami, więc ten jeden da mu choć namiastkę dawnych spotkań. Ale rozgoryczony Gałczyński nie chciał z nikim rozmawiać. Milczał, pytania zbywał półsłówkami, fukał na Waldorffa, próbującego skłonić go do zwierzeń. Na propozycję, by odpowiedział na pytania pisemnie, odparł, że to niemożliwe, bo... boli go ręka. A kiedy zawiedziony krytyk wyszedł, wreszcie zadowolony Gałczyński wziął Waldorffa pod pachę: „Chodź! Natalia czeka z obiadem” - powiedział. Kiedy indziej, gdy Waldorff próbował go pocieszać, że mimo przebytego zawału wygląda coraz lepiej, poeta nie chciał pocieszenia. „Z sercem po zawale jest jak z zepsutą lampą naftową. Zaczyna filować” - powiedział kiedyś.

Na początku lat pięćdziesiątych Waldorff próbował wciągnąć Gałczyńskiego do organizowanego w salce dawnej Ymki przy ul. Konopnickiej Teatru Satyryków. Ale sprzeciwił się Antoni Słonimski. A głos Słonimskiego znaczył więcej niż innych. Nie udało

się.

Odwiedzali się w tym okresie systematycznie. Waldorff z Mieczysławem Jankowskim chodzili do przydzielonego Gałczyńskim przez ludowe państwo luksusowego mieszkania w alei Róż, Konstanty i Natalia wspinali się do przebudowanego z poddasza mansardowego pokoju na Szczuczyńskiej. Ostatni raz byli na Saskiej Kępie parę miesięcy przed śmiercią Konstantego. Przyjęcie było wystawne. „Gwoli ufetowania Gałczyńskich zrujnowaliśmy się na kupno gęsi” - wspominał Waldorff. Było dobrze, dopóki nie przyszedł ktoś, kogo poeta nie lubił. Atmosfera zgasła, Gałczyński nagle postarzał się, poszarzał i jakby zapadł w siebie. „Przyglądałem się staremu przyjacielowi, jaki jest naprawdę stary, kiedy tak siedzi z twarzą pobrużdżoną wokół tragicznych oczu i ust gorzkich” - zapamiętał poetę Waldorff.

Dramat dotkniętego chorobą alkoholową Gałczyńskiego Waldorff opisał w eseju Czarne owce dla Apolla. Był pierwotnie przeznaczony do druku w „Miesięczniku Literackim”, a następnie do tomu wspomnień *Moje cienie*, który ukazał się w roku 1979 w wydawnictwie „Czytelnik”. Ale nie ma go w książce. W jednym z wywiadów Waldorff powiedział wyraźnie, że to Kira Gałczyńska spowodowała konfiskatę tekstu: „Dlatego że ja tam chciałem pokazać tragedię Gałczyńskiego. Że to nie był zwykły pijanica, tak jak pisali przeważnie jego przyjaciele”.

Nie mogąc tekstu opublikować, złożył maszynopisy Czarnych owiec... w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Poprosił o przechowanie ich do lepszych czasów. W jednobrzmiących listach napisał, że wbrew pozytywnej opinii krytyka, Ryszarda Matuszewskiego, oraz redaktorów „Miesięcznika Literackiego”, Włodzimierza Sokorskiego i Andrzeja Kuśniewicza, Kira Gałczyńska załatwiła w KC PZPR zatrzymanie tekstu. Bo ponoć jeszcze za wcześniej na publikowanie podobnych faktów.

„Kira Gałczyńska, podobnie jak ongiś Władysław Mickiewicz, zabiega o kanonizację ojca. Niestety jest o wiele mniej inteligentna, a w zamian opatrzona mentalnością histeryczną. W rezultacie, gdy Władysław Mickiewicz starał się przekazać Adama potomności w kształcie posągu ze spiżu, Kira przerabia Konstantego na drewnianego świątka, malowanego na czerwono” - pisał Waldorff w listach. Esaj Czarne owce dla Apolla ukazał się i dał tytuł dopiero kolejnemu tomowi wspomnień Waldorffa, który ukazał się pięć lat później, w innym wydawnictwie, poza Warszawą.

W książkach Kiry Gałczyńskiej o ojcu nazwisko Waldorffa pojawia się bardzo rzadko. Jego przyjaźń z Gałczyńskim jest albo pomijana, albo bagatelizowana. Nie ma Waldorffa ani w książce Konstanty Ildefons Gałczyński - *Kriegsgefangener 5700*, ani w biografii

Gałczyński. W innych pojawia się wyłącznie w cytatach albo przy okazji wspomnień o dworku w Śledziejowicach, i to w sposób dość zadziwiający. „...K.I.G. wspaniałomyślnie przemianował Śledziejowice na Waldorffowo” - napisała Kira Gałczyńska.

Nie ma żadnego z listów Gałczyńskiego do Waldorffa ze stalagu w Altengrabow nawet w zbiorze korespondencji do i od poety - Pozdrowienia dla Czarodzieja. Waldorff jest jedynie wymieniany przez Gałczyńskiego w jego listach do Juliana Tuwima (obiecuje „wycygnąć” od Waldorffa pożądaną przez Tuwima druk), do Mariana Eilego (obiecuje „Przekrojowi” wiersz zamówiony za pośrednictwem Waldorffa), do Włodzimierza Słobodnika (jako współzałożyciel kabaretu „Zielona Gęś”, a później „Siedem Kotów”). Oraz na widokówce podpisanej wspólnie przez Mariana Eilego, Skarżyńskich, Julka [Kydryńskiego - M.U.], Jankę [Ipohorską] i Mietka [Jankowskiego]. Wygląda, jakby córka poety chciała wymazać nazwisko Waldorffa z biografii ojca.

Wiadomość o śmierci Gałczyńskiego zastała Waldorffa podczas wizyty u znajomych. Był 6 grudnia 1953 roku. Zadzwoił telefon, gospodarz odebrał, a potem załamującym się głosem powiedział:

- Umarł Gałczyński.

„Wtedy wszyscy, jak nas tam było kilka osób, zaczęliśmy płakać, wspominać i znowu płakać...” - zapamiętał Waldorff.

Mimo wcześniejszych dwóch zawałów poety i systematycznych nawrotów choroby alkoholowej nie spodziewano się najgorszego. Azyl w leśniczówce Pranie na Mazurach, odcięcie Gałczyńskiego od pokus stolicy, praca, wszystko to zdawało się nieść nadzieję, że może być tylko lepiej.....jakkolwiek Konstanty w swoich wierszach tragizował i żegnał się poetyckimi testamentami z bytowaniem na ziemi, nikt się katastrofy nie spodziewał” - napisał Waldorff.

Następnego dnia poszedł do mieszkania Gałczyńskich w alei Róż. Drzwi były otwarte, w środku pełno ludzi, których nie znał. Członkowie rodziny i starsze kobiety z sąsiedztwa, dla których śmierć kogoś znajomego była jedną z niewielu dostępnych rozrywek. Poeta leżał w pokoju, w którym zwykle pracował, na tapczanie, na którym sypiał, nakryty aż pod brodę prześcieradłem, „...miał twarz żółtą, twardą i już zupełnie obcą, czy raczej nieobecną - pisał Waldorff. - Kąciki ust osunęły mu się, co wyglądało, jakby uśmiechał się pogardliwie, a trwałość tego uśmiechu wyznaczała posępną granicę, jaka dzieli świat żywy od martwego”. Na rzęsach, w nozdrzach i włosach nad czołem widać było resztki gipsu z maski pośmiertnej, którą wykonywał rzeźbiarz, Alfons Karny. Nie udało się artyście i nie wyszła poza etap gipsowego odlewu.

Natalia Gałczyńska liczyła na państwowy pogrzeb, trumnę wystawioną w paradnej sali Pałacu Prymasowskiego, pochówek w Alei Zasłużonych i kwartet smyczkowy z filharmonii grający Arię na strunie G Bacha, którą wymarzył sobie na pożegnanie poeta. Nic z tego. Pogrzeb był bardzo skromny i smutny. Gałczyński czekał na ostatnie pożegnanie w trumnie wystawionej w ceglany budynku gdzieś na końcu cmentarza, „...tkwił jeszcze w czyścicu i nie był wybielony z różnych politycznych zarzutów” - napisał Waldorff.

Zabrzmiała tylko Aria Bacha. Zagrał ją syn dozorczy kamienicy, w której mieszkali Gałczyńscy. Brał lekcje muzyki dzięki finansowej pomocy poety.

Pisząc szpilmanowską odyseję..

Waldorff pisał, że łączyła ich przyjaźń. Syn Władysława Szpilmana, Andrzej - że najwyżej zwykła znajomość. Cokolwiek to było, skończyło się bardzo gwałtownie pół wieku po ukazaniu się w 1946 roku, nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza” opracowanej przez Waldorffa książki Śmierć miasta. Pamiętniki Władysława Szpilmana 1939-1945.

„W oryginale tytuł książki, uzgodniony ze Szpilmanem, brzmiał:”Jerzy Waldorff - Pamiętniki Szpilmana», co potem «Wiedza» zmieniła, w ogóle nie zawiadamiając nas o tym” - napisał Waldorff w odręcznej notatce wręczonej prezesowi Iskier, Wiesławowi Uchańskiemu.

W 1998 roku książka została opublikowana w Niemczech. Tytuł miała znów inny - Das wunderbare Überleben. Cudowne ocalenie. I nie było w niej informacji, że współautorem jest Waldorff. W ogóle nie było w książce jego nazwiska.

Właśnie dlatego przyjaźń, jeśli kiedykolwiek była, przestała istnieć.

„Z Władysławem Szpilmanem poznałem się i zaprzyjaźniłem w 1938 roku w Kryniczy” - wspominał Waldorff. Chodzili - poza niezbyt niezbędnymi, jego zdaniem, kąpielami i okładami z borowiny - na spacerzy i do restauracji, na koncerty przyjeżdżających do kurortu artystów i na dansingi. Kontynuowali znajomość już w Warszawie. Ich drogi musiały krzyżować się często. Mimo że jeden był Żydem, drugiego nie bez podstaw uważano za antysemitę. Pierwszy był coraz bardziej popularnym kompozytorem i pianistą w Polskim Radiu, drugi krytykiem i szefem działu muzycznego w „Kurierze Porannym”.

„Wbrew temu co napisał, nie przyjaźnił się z Władysławem Szpilmanem przed wojną, co byłoby zresztą dziwne ze względu na ogólnie znane jego przekonania polityczne w owym czasie” - napisał pięćdziesiąt lat później Andrzej Szpilman, wypominając Waldorffowi pochlebność wobec Mussoliniego i faszyzmu Sztukę pod dykturą. I nie powstrzymał się przed posłaniem w jego stronę zatrutej strzały: „W okresie powojennym zaangażowanie się w

tematykę Holocaustu mogło mieć dla Waldorffa swoiste znaczenie. Jakże? Trudno mi to dziś ocenić”.

Waldorff i Szpilman byli w Krynicy jeszcze raz, w 1939, krótko przed wybuchem wojny, kiedy głównym tematem rozmów na deptaku było pytanie, czy wojna wybuchnie jeszcze tego lata, czy jednak uda się ją odwlec. Pierwszy wyjechał do Warszawy Szpilman, wezwany przez dyrekcję radia, po nim, jednym z ostatnich pociągów, Waldorff.

Kiedy Warszawę zajęli Niemcy, widzieli się tylko raz czy dwa, przypadkiem. Szpilman, którego semickie rysy oznaczały w okupowanym kraju śmierć, starał się nie rzucać w oczy. Gdy powstało getto, znalazł się za murem, którym Niemcy odgradzili Żydów od reszty miasta. Waldorff stracił go z oczu, czasem tylko do tajnego Związku Kompozytorów dochodziły informacje, że Szpilman żyje. Kiedy getto likwidowano, udało się go przeprowadzić na aryjską stronę i ukryć w mieszkaniu Heleny Lewickiej.

Po powstaniu, gdy Niemcy wysiedlali mieszkańców Warszawy, Szpilmana wśród nich nie było. Można było pomyśleć, że zginął. Przecież ktoś o jego wygładzie nie miał szans, by przeżyć. We wstępie do Śmierci miasta znalazło się nawet mocno niezręczne stylistycznie zdanie Waldorffa: „...buntowałem się w myślach przeciw okrucieństwu losu, co kazał młodemu pianiście zginąć dopiero po pięciu latach bezcelowej udręki”.

Spotkali się już po wejściu do Warszawy Rosjan, w lutym 1945, na Pradze, w ciasnym, prywatnym mieszkaniu, pierwszej po wyzwoleniu siedzibie Polskiego Radia. W pokoiku, który był jednocześnie pokojem spikerskim, płytoteką, salą posiedzeń, palarnią i sypialnią, przy fortepianie siedział Szpilman i grał. Mimo traumatycznych przeżyć nie zmienił się. Nadal miał krucze włosy o stalowym połysku, z rzadka tylko przetykane siwizną, i jak dawniej młodą, śniadą twarz, „...i jedynie w oczach wyraz jak gdyby żalu i lęku tropionego zwierzęcia” - zapamiętał Waldorff. Przez kilka pierwszych tygodni sypiali w radiowym studiu. Szpilman pod klawiaturą, Waldorff pod ogonem fortepianu. Tylko dyrektor radia, Roman Jasiński, miał oddzielną sypialnię w wannie.

Szpilman opowiadał o miesiącach spędzonych w warszawskim getcie, wymordowaniu rodziny, potem o ucieczce. I o okresie, gdy samotnie ukrywał się w ruinach skazanej na zagładę Warszawy, z której Niemcy wygnali mieszkańców. Szpilman został, wyjście na ulicę oznaczało dla niego śmierć.

Po latach powiedział, że prowadził podczas okupacji pamiętnik, który po wojnie, za namową Romana Jasińskiego, postanowił wydać. „Zacząłem znowu nad tym pracować, miałem wtedy znakomitą pamięć, potrafiłem odtworzyć każdy dzień i godzinę...” - mówił w 2000 roku Mariuszowi Kubikowi. zaproponował opracowanie wspomnień Waldorffowi.

„Umówiliśmy się, że je spiszę, jako dyktowane przez niego pamiętniki” - twierdził Waldorff w rozmowie z Jerzym Kisielewskim.

We wstępie do Śmierci miasta Waldorff napisał, że tworzył książkę po części na podstawie opowiadania, a po części według dokładnych notatek Szpilmana. Ale nie ma w niej ani jednego faktu zmyślnego, podkreślił. „Pisząc szpilmanowską odyseję, starałem się jedynie przekazać ją czytelnikowi w takiej formie literackiej, która by oddała jak najwierniej także i treść emocjonalną opowieści mego przyjaciela, tej, jaką słyszałem” - dodał. Historia ukrywania się Szpilmana w ogarniętej wojną Warszawie jest fascynująca, pisał, ale przede wszystkim chcę oddać okrucieństwo Niemców i wymierzyć im sprawiedliwość. Z Zachodu, pisał dalej, dochodzą głosy opinii anglosaskiej, żeby ulitować się nad biednymi Niemcami, dać wiarę ich skrusze i umiłowaniu demokracji, „...i przyjąć naród niemiecki do grona miłujących Boga, sprawiedliwość i pokój” - ironizował.

Dlatego trzeba, aby te pamiętniki zostały spisane, uważał. Przejmująca historia ukrywającego się w ruinach powstaniowej Warszawy Żyda, któremu życie ratuje Niemiec, zjawiający się wśród gruzów niczym Anioł Stróż. Kapitan Wehrmachtu, Wilm Hosenfeld, poruszony Nokturnem c-moll Chopina, granym przez Szpilmana zgrabiałymi palcami na rozstrojonym fortepianie, najpierw darował muzykowi życie, a później przez kilka tygodni żywił go i chronił przed przeszukującymi ruiny esesmanami.

Fragmenty wspomnień Szpilmana zaczęły ukazywać się latem 1946 roku w „Przekroju”. Pierwszy odcinek miał tytuł W płonącym domu. Autorstwo nie budziło wątpliwości. Jerzy Waldorff: Pamiętniki Szpilmana. „Zaproponował mi któregoś dnia, abym spisał jego pamiętniki. Zgodziłem się od razu (...). Starałem się - co zresztą jest jedyną w podobnych razach metodą - pisać je najprościej, tak jak opowiadał mi o swej gehennie Szpilman” - pisał Waldorff w notce poprzedzającej tekst. Tygodnik powtarzał notę, publikując kolejne odcinki Pamiętnika. Nie było żadnego sprostowania ze strony Szpilmana.

Późną jesienią 1946 roku ukazała się książka. Po latach Władysław Szpilman stwierdził, że bez jego autoryzacji. Jeździł wtedy przez pół roku z koncertami po Szwecji. „Nie byłem jednak zadowolony z tego opracowania, było nie do końca po mojej myśli, głównie pod względem stylistycznym” - mówił Mariuszowi Kubikowi. Książka została także okaleczona przez coraz bardziej agresywną cenzurę. Nadzorcy prasy nie zgodzili się na pojawienie się w książce postaci „dobrego Niemca”. W Śmierci miasta Wilm Hosenfeld został Austriakiem, „...w niemieckim mundurze, lecz i ten nie był Niemcem” - brzmiał „poprawiony” fragment książki.

Zmieniono także tytuł książki, który pierwotnie miał brzmieć tak, jak zapowiadał

„Przekrój”: Jerzy Waldorff - Pamiętniki Szpilmana.”...a w środku fragmenty pozmieniane, niektóre dopisane przez Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego - takiego komunistę, pijanicę” - mówił Waldorff.

Wściekł się. Tak jak tylko może się wściec autor dotknięty do żywego w swoich prawach. W opublikowanym w „Przekroju” felietonie Moja sprawa zaprotestował przeciwko zmianom, dokonany bez jego wiedzy i akceptacji. Przede wszystkim przeciwko dopisywaniu fragmentów w rodzaju: „Skoro brutalna stopa bezmyślnego chama pocznie podkutym obcasem niszczyć...”. „Mam wrażenie, że ostatni z brukowców zawahałby się, nim by tak wyświechtany zwrot puścił na swe szpalty” - pisał.

Ale jeszcze większą irytację Waldorffa wzbudziła zmiana tytułu i okładki, z której zniknęło jego nazwisko. „Na literata, autora Śmierci miasta został kreowany Szpilman, będący nie autorem, lecz bohaterem książki” - pisał. Zapowiedział nawet oddanie sprawy do sądu, ale ostatecznie chyba do tego nie doszło. Nigdy nie wspomniał o procesie z wydawnictwem.

Krytyka nie miała jednak wątpliwości, kto jest autorem książki. Wojciech Żukrowski, recenzując Śmierć miasta w tygodniku „Odra”, pisał: „Waldorffowi udało się napisać książkę wolną od płytkiej, plakatowej tendencyjności”, „Waldorff jako artysta potrafi zdławić w sobie pychę twórcy”, „...wcielił tylko swoje rzetelne rzemiosło w trudny, aż nieprawdopodobny, choć ręką Opatrzności zakreślony schemat powieści”.

Potem przez ponad pięćdziesiąt lat książki nie wznawiano. Syn Szpilmana zasugerował, że to przez konflikt ojca z Waldorffem. „Władysław Szpilman przekazał Waldorffowi swoje uwagi, dalsze nakłady książki nie ukazały się i tym samym sprawa była zakończona” - twierdził. „...byliśmy ze Szpilmanem ciągle w przyjaźni (...), ale już mniej zbliżeni” - twierdził Waldorff.

Po latach, w wywiadzie dla «Observera», Władysław Szpilman powiedział, że Śmierć miasta została wycofana z księgarń, bo komunistyczne władze nie mogły tolerować książki, w której znalazły się sceny, jak litewscy i ukraińscy kolaboranci pacyfikowali Warszawę wspólnie z hitlerowcami.

Na przeszkodzie stanęły zapewne także problemy towarzyszące filmowi, którego scenariusz na podstawie opowieści Szpilmana napisali w 1945 roku Jerzy Andrzejewski i Czesław Miłosz. Zamierzony przez pisarzy obraz miał nosić tytuł Robinson warszawski i był historią skazanego na beznadziejną walkę o przetrwanie rozbitka ocalałego z powstania, „...chodziło o pokazanie samotnego człowieka w krajobrazie ruin, w dziczy stworzonej przez ludzi, ale bardziej jeszcze niebezpiecznej niż Natura dla Robinsona Crusoe” - wspominał

Miłosz.

Film wyreżyserowany przez Jerzego Zarzyckiego powstał, został nawet pokazany na zjeździe filmowców w Wiśle. Ale Polska w 1949 roku była już zupełnie inna od Polski z roku 1945 czy 1946. Cenzura zażądała „poprawek”: wprowadzenia nowych wątków i postaci, m.in. radzieckiego skoczka-telegrafisty. Ostatecznie film trafił na ekrany w grudniu roku 1950. Miał nowy tytuł - Miasto nieujarzmione, nowych scenarzystów: Andrzejewskiego i Zarzyckiego (Miłosz wycofał nazwisko) i niewiele wspólnego ani z prawdziwymi losami Szpilmana, ani z książką, ani z pierwotnym scenariuszem. Po latach Czesław Miłosz zakpił, że widocznie jednego bohatera było za mało, żeby pokazać klasowe rozwarstwienie w rodzącym się nowym społeczeństwie. „Wtedy nazwisko wycofałem” - napisał. Jeszcze później, w latach sześćdziesiątych, wraz z przybierającym na sile państwowym antysemityzmem, na losach książki mogło zaważyć żydowskie pochodzenie autora.

W 1998 roku książka została opublikowana w Niemczech. Wzbudziła sensację. W następnym roku wydano ją w Anglii, Holandii, we Włoszech, w Szwecji, Japonii i Stanach Zjednoczonych. Znalazła się na czołowych miejscach list najlepszych książek w „Los Angeles Times”, „The Times”, „The Economist” i „The Guardian”. Ale nie było w niej informacji, że Waldorff w jakikolwiek sposób uczestniczył w jej powstaniu. Nie było też wstępu, w którym tłumaczył, jak wyglądała praca nad Śmiercią miasta.

Jak gdyby Waldorffa przy tym nie było - napisał w „Res Publice Nowej” Henryk Grynberg. - (...)...co się stało z prawami autorskimi Waldorffa? Chyba nie wygasły zaraz po jego śmierci? Czy nie ma spadkobierców, którzy by się o nie upomnieli?”.

W Polsce Śmierć miasta została wznowiona w roku 2000, po sukcesach wydań na Zachodzie Europy. Ale była to już zupełnie inna opowieść. Nawet tytuł otrzymała nowy - Pianista, „...to jest przerobiona zupełnie na nowo książka” - mówił Kubikowi Władysław Szpilman.

Zmiany w niemieckim i kolejnych wydaniach książki stały się przyczyną sporu między Waldorffem a Władysławem i Andrzejem Szpilmanami.

Jerzy Kisielewski: - Przychodzę któregoś dnia do Waldorffa, żeby nagrać rozmowę do „Życia Warszawy” i widzę, że jest o coś wściekły. „W Niemczech wyszła książka Śmierć miasta - mówi. - Nazywa się - Das wunderbare Überleben i nie ma w niej o mnie ani słowa. Zadzwoń do Szpilmana i powiedz mu: - Władek, jesteś po prostu świnia”. Parę minut później zatelefonował syn Szpilmana. Coś Waldorffowi tłumaczył, ale go nie przekonał.

Rozjuszony Waldorff oświadczył, że kolejny wywiad w publikowanym przez „Życie

Warszawy” cyklu Z Jerzym Waldorffem o wszystkim będzie poświęcony właśnie temu, co zrobiono z jego, jak uważał, książką. A tytuł będzie - Hucpa.

Jerzy Kisielewski: - Przekonywałem go, że jak da taki tytuł, to ktoś na pewno napisze, że z Waldorffa, który przed wojną zachwycał się faszyzmem, wylazł w końcu antysemita. Ale uparł się. Powiedział, że albo tytuł będzie brzmiał - Hucpa, albo on wycofuje tekst.

Rozmowa zatytułowana Hucpa ukazała się w „Życiu Warszawy” w maju 1998 roku. „...pianista, przez całe długie życie kryształowo czysty muzycznie, zdecydował się, wraz z przyjaciółmi - Niemcami, zszargać końcówkę własnego życiorysu” - mówił Waldorff. Zakończył fragmentem przyśpiewki, którą - dodał - śpiewali wielkopolscy chłopcy przy piwie: Hucpa, hucpa, dana dana! Hucpa, do białego rana.

Zwrócił się do ZAiKS-u, organizacji zajmującej się ochroną praw autorskich, o pomoc. Antoni Marianowicz, ówczesny prezes ZAiKS-u, rozmawiał ze Szpilmanem, ale bez efektu, „...niestety kol. Szpilman wyklucza - po ukazaniu się Pańskiej publikacji zatytułowanej Hucpa - możliwość prowadzenia jakichkolwiek rozmów” - odpisał. Zapowiedział jednak, że odda egzemplarze Śmierci miasta i Das wunderbare Überleben do analizy, żeby ustalić, na ile się pokrywają.

W kolejnym liście Marianowicz poinformował, że ekspertyza potwierdziła identyczność obu książek, ale brak jest przesłanek, by po latach ocenić, na czym polegało opracowanie tekstu przez Waldorffa. W tej sytuacji spór o to, kto i w jakim stopniu jest właścicielem praw autorskich do książki, może rozstrzygnąć wyłącznie sąd powszechny.

To, na czym polegała współpraca nad książką, zostało bardzo dokładnie opisane we wstępie do Śmierci miasta, odpowiedział Marianowiczowi Waldorff. Właśnie dlatego ów wstęp został usunięty z niemieckiego przekładu, „...sędziwy Szpilman nie wstydzi się być w tej sytuacji oszustem, plagiatorem i złodziejem” - dodał.

Zaangażowany przez Waldorffa prawnik zażądał od Szpilmana 50 procent honorarium uzyskanego za książkę od niemieckiego wydawnictwa Econ. „...zgodnie z dawną umową między Panami w tym przedmiocie” - napisał. Szpilman odpowiedział („kategorycznie”), że jest jedynym autorem książki, a prawa autorskie dwa lata wcześniej przekazał synowi Andrzejowi.

Do procesu jednak nie doszło. Niespełna miesiąc później Waldorff i Andrzej Szpilman podpisali porozumienie. Waldorff zrzekł się praw autorskich do Śmierci miasta na czas nieograniczony i zgodził na wszelkie przeróbki oraz wykorzystywanie tekstu w każdy możliwy sposób, w tym dla potrzeb telewizji i filmu. Wkrótce miało się okazać, co to naprawdę oznacza.

W zamian Waldorff otrzymał 12 tys. marek, „wyczerpujące jego wszelkie roszczenia”, zapisano w umowie. Kwotę sporą jak na ówczesne polskie warunki wydawnicze, ale nieporównywalną z pieniędzmi, jakie pojawiły się, gdy książką zainteresowało się Hollywood.

Polskie wydanie Pianisty ukazało się z uzgodnioną w umowie adnotacją na stronie redakcyjnej, że autorem opracowania pierwszego wydania książki był Waldorff, ale „obecne wydanie tej książki jest znacznie zmienione i uzupełnione w porównaniu z wersją z 1946 r.”. Jednak uzupełnienia to przede wszystkim fragmenty pamiętnika Wilma Hosenfelda z lat 1942-1944 i posłowie Wolfa Biermanna.

Książki różnią się także językiem. Nie zawsze są to zmiany na lepsze, choć nie za każdym też razem da się obronić tekst opracowany przez Waldorffa. niesprawiedliwe jest jednak potępianie w czambuł wersji Waldorffa, co uczynił Andrzej Szpilman: „Archaizmy językowe, nieudolna składnia, tasiemcowe zdania i niejasności wypowiedzi były dla mnie przeszkodą we właściwej percepcji treści”.

Recenzenci uważnie śledzili zmiany w treści książki, dziwiąc się ich zasadności. Dlaczego w nowym wydaniu zniknęło słowo „trup”, zastąpione przez „zwłoki” albo „ciało”, w czym „współpracownik podziemia” jest lepszy od „działacza konspiracyjnego”, a czym „sprzymierzeńcy” gorsi od „aliantów”, zastanawiał się historyk literatury, prof. Jacek Leociak. Po co było zamieniać „socjalistę” na „człowieka wzniosłych ideałów”, a „ludzi z inteligencji” na „inteligentnych ludzi”? W Śmierci miasta siostra Szpilmana siada przy radiu i „szuka Londynu”, co brzmi naturalnie, bo tak się wtedy mówiło. W Pianiście siostra „zajęła się radiem, próbując znaleźć rozgłośnię londyńską”. „Niektóre zmiany deformują czy zacierają sens oryginału - napisał Leociak. - (...) Inne zmiany grzeszą nieporadnością lub osłabiają efekt stylistyczny”.

Henryk Grynberg wyliczał w „Res Publice Nowej”, jak wiele w nowym, rzekomo lepszym, opracowaniu książki, jest językowych potknięć i błędów. I cytował: „zbiór krytyk z koncertów i recenzji z dorobku...”;

„odgłos przypominający dźwięk”;

„[strzelali] pojedynczymi salwami do okien i do ludzi”;

„przykucnęła, opierając się prawym policzkiem o asfalt jezdni”.

Dla porównania pierwsze akapity pierwszego rozdziału obu książek.

Śmierć miasta:

„Tego 31 sierpnia 1939 roku wszyscy w Warszawie byli już pewni, że wojny z Niemcami nie da się uniknąć. Tylko niepoprawni optymiści łudzili się jeszcze, że Hitler w

ostatniej chwili wystraszy się zdecydowanej postawy Polski. U innych optymizm przejawiał się raczej podświadomie jako oportunizm: wewnętrzna nielogiczna wiara w to, że wojna, chociaż konieczna i już postanowiona, nie wybuchnie od razu, odwlecze się do jakiegoś terminu może niezbyt bliskiego i że będzie można jeszcze trochę pożyć, skoro życie jest tak przyjemne.

Wieczorem miasto było dokładnie zaciemnione, a po domach ludzie uszczelniali pokoje, upatrzone na schrony przeciwgazowe i dopasowywali maski do rozmiarów głów. Gazów najbardziej się obawiano.

Tymczasem za zaciemnionymi oknami kawiarni i barów grały jeszcze orkiestry, goście pili wódkę, tańczyli i podniecali się patriotycznie śpiewaniem bojowych pieśni”.

Pianista:

„31 sierpnia 1939 nie było w Warszawie już prawie nikogo, kto byłby zdania, że wojny z Niemcami można jeszcze uniknąć, i tylko niepoprawni optymiści byli przekonani, że Hitler przestraszy się nieprzejednanej postawy Polski. Ich optymizm był przejawem oportunizmu, wiary pozbawionej wszelkiej logiki, że do wybuchu wojny nie dojdzie i że będzie można nadal żyć w spokoju; życie było przecież takie piękne.

Wieczorem miasto starannie zaciemniano. W domach uszczelniano pokoje wybrane na schrony przeciwgazowe. Gazów obawiano się najbardziej. Jednocześnie za zasłoniętymi oknami kawiarni i barów grały orkiestry, goście tańczyli, popijali alkohole i nastrojali się patriotycznie śpiewaniem pieśni bojowych”.

W identyczny sposób Andrzej Szpilman przerobił 200 stron opracowania Waldorffa, pisali internauci na forach w sieci. Gdyby przynajmniej dodał coś nowego, co usłyszał później od swego ojca - napisał gość na stronie www.czytaj.net/wypisy/Pianista.htm...

Czytelnicy nie pozostawili wątpliwości, co myślą o zmianach, „...wiele (...) zmian to zwykła politura nowomowy, pod której wpływem wychowali się obecni edytorzy książki” - napisała w liście do redakcji „Rzeczpospolitej” Anna Frajlich z Nowego Jorku, „...autor nowego opracowania wspomnień zupełnie niepotrzebnie «zmodernizował» je w celu «podniesienia literackich walorów tekstu». Zniszczył tym samym to, co stanowiło o ich autentyczności: prostotę i jasność wypowiedzi. Odebrał im dramatyzm opisywanych zdarzeń. Wspomnienia nie muszą być literaturą «wysoką» (...). Zupełnie nie rozumiem, dlaczego wydawnictwo Znak zgodziło się na wydanie wspomnień Władysława Szpilmana w obecnym kształcie. Należało je zostawić w wersji pierwszej i jedynie uzupełnić o nowe informacje, odnaleziony dziennik kapitana Hosenfelda. Byłoby to lepsze dla książki, jej autora. A autorowi nowego opracowania nie przypięto by łątki «stylisty» dokumentalnych opowieści

ojca” - wtórowała Anna Mieszkowska z Warszawy. „Ilustrują one podświadomie ukrytą tezę, że nie wszyscy Niemcy byli źli. Zdarzali się też dobrzy” - pisał kolejny, „...z niesmakiem przeczytałem

Pianistę, przerobionego na język drętwego wypracowania szkolnego” - dołożył swoje Zbigniew Paweł Zagórski z Warszawy.

Co bardziej uważni czytelnicy zaczęli dostrzegać w Pianicie jeszcze inne braki. Nie ma na przykład w nowym wydaniu książki opowieści o śmierci malarza portrecisty, Romana Kramsztyka, z którym Szpilman przyjaźnił się w getcie: „Po otoczeniu domu, w którym mieszkał, nie zeszedł na gwizdek na podwórze. Wolał być rozstrzelany u siebie, pośród swoich obrazów”. Jeśli Pianista jest bardziej wierny zapiskom Szpilmana niż Śmierć miasta, to być może właśnie o takie informacje, uzasadnione pierwotnym tytułem książki, uzupełniał ją Waldorff.

Porównując obie redakcje książki, trudno oprzeć się wrażeniu, że zmian dokonano wyłącznie po to, żeby było inaczej. I żeby łatwiej było uzasadnić usunięcie z książki nazwiska pierwszego redaktora. Oczywiście nie można odmówić Władysławowi Szpilmanowi i jego synowi prawa do przywrócenia wspomnieniom pierwotnego kształtu, jeśli taki rzeczywiście istniał. Znacznie gorzej jednak byłoby, gdyby za zmianami stała tylko wizja zysków płynących ze sprzedania praw do książki Hollywoodowi. Bo o sfilmowaniu Pianisty zaczęto mówić niemal natychmiast po ukazaniu się książki w Niemczech.

W 2003 roku Pianista w reżyserii Romana Polańskiego zdobył aż trzy Oscary amerykańskiej Akademii Filmowej. Dla najlepszego reżysera, najlepszego aktora pierwszoplanowego (Adrien Brody) oraz za scenariusz adaptowany (autorstwa wybitnego angielskiego dramaturga Ronalda Harwooda). Film był nominowany jeszcze w czterech innych kategoriach, m.in. w rywalizacji o tytuł najlepszego filmu roku.

We wstępie do Śmierci miasta Waldorff napisał, że wojenne losy Szpilmana są tak nieprawdopodobne, jakby zostały skomponowane przez zdolnego scenarzystę i reżysera sensacyjnych filmów. Po latach miało się to sprawdzić.

Ja i jeszcze kilku innych „wściekłych”..

Wrócił do Warszawy. Wynajęli („półdarmo”, jak napisał) z Mieczysławem Jankowskim strych na Szczuczyńskiej na Saskiej Kępie i zaczął się okres biedowania. Bez pieniędzy, bez stałego zajęcia, a co gorsza, bez większych perspektyw na pracę. Zaczepił się na parę miesięcy jako kierownik literacki w Państwowej Operze i Filharmonii w Warszawie, ale potem znów wróciły problemy. Po mimo wszystko udanym i owocnym okresie

krakowskim Warszawa musiała jawić się jako miasto zimne i nieprzyjazne. „Bywało, że im bardziej pewien swoich sił do pracy wracałem do domu bez kawałka chleba w kieszeni, tym głośniejszy ryczałem z upokorzenia i złości” - napisał.

Przetrwać pomógł mu Rafał Praga, redaktor naczelny „Expressu Wieczornego”. Zgromadził i dał pracę w dzienniku kilku zastępom przedwojennych dziennikarzy, którzy co prawda nie bardzo pasowali do nowego ustroju, ale wiedzieli, jak robi się prawdziwą popołudniówkę. Praga, mimo żydowskiego pochodzenia („...okupację przesiedział w podziemiu tajnej drukarni” - pisał Waldorff), nie miał oporów przed zatrudnieniem dziennikarza pracującego przed wojną w antysemickim „Prosto z mostu”. A Waldorff, wspominając go w Moich lampkach oliwnych, popełnił dość zabawny błąd, pisząc, że Praga był redaktorem naczelnym „Expressu Porannego”, a nie „Wieczornego”. Połączył w jeden tytuł „Express” i endecki „Kurier Poranny”, w którym spędził kilka lat przed wojną.

Pisywał w „Expressie” głównie drobne notki na stronie miejskiej gazety. Po latach skarżył się, że dla pieniędzy musiał pisać o tym, że gdzieś pękła rura kanalizacyjna albo że koty porwały z podziemi katedry kości któregoś ze spoczywających tam Piastów. Pisywał też felietony. Na przykład o tym, że mężczyźni powinni mieć prawo do publicznego noszenia krótkich spodni, skoro pokazują nogi nie tylko młode śliczne dziewczyny, ale i stare baby o urodzie kończyn wahającej się od szparagów do nóg słonia. I o tym, że literaci powinni zająć się opisywaniem najpiękniejszej z epok, jaka mogła przytrafić się ludziom. Epoką socjalizmu, w której robotnicy mogą chodzić po salach pałaców, które były kiedyś dostępne tylko arystokracji. I powinni stworzyć na ten temat dzieło na miarę powieści

Balzaka. Praca w „Expressie” nie była może zajęciem najbardziej prestiżowym i satysfakcjonującym, miała jednak podstawową zaletę, przynosiła niewielkie, ale pozwalające przetrwać pieniądze.

Zapelował na łamach „Expressu” o utworzenie w Warszawie teatru muzycznego, w którym można byłoby wystawiać klasyczne operetki. To prawda, że operetka to sztuka, która była wyrazem tanich tęsknot burżuazji (szampan i dziwki jako ostateczny cel życia), wywodził, ale przecież w Budapeszcie, a nawet w Moskwie teatry operetkowe są i mają się bardzo dobrze. Przekonywał, że powinny też istnieć w operetkowych librettach wszyscy ci śmieszni książęta i hrabiowie, bo nonsensem byłoby demokratyzowanie ich na siłę i zastępowanie hrabin przodownicami pracy. Argumenty, których używał, były na miarę czasów i języka obowiązującego w stalinowskiej prasie. Można przecież, pisał Waldorff, mądrą reżyserią „tak naświetlić hrabiowskie środowiska operetkowe, aby nie oddziaływały szkodliwie na naszego dzisiejszego widza”. Można partie recytowane uzupełnić o nowe

satyryczne teksty, które nie tylko skutecznie ośmieszają operetkową arystokrację, ale „będą także omawiać z pożytkiem dziś interesujące zagadnienia”.

Każde zajęcie było wtedy dobre, żeby dorobić, a w filmie pieniądze zawsze były większe niż w prasie. 4 marca 1951 roku na ekrany kin wszedł film *Warszawska premiera*, w reżyserii Jana Rybkowskiego, według wspólnego scenariusza reżysera, Stanisława Różewicza, przy współpracy Waldorffa (pomysł filmu, co skrupulatnie odnotowano, podsunęła Mira Zimińska). Jednocześnie w księgarniach pojawiła się bogato ilustrowana książka pod tytułem *Warszawska premiera*. Opowieść filmowa napisana przez Jerzego Waldorffa. Akcja filmu i opowieści toczy się w 1857 roku w okupowanej przez Rosjan Warszawie. Grono przyjaciół, wykorzystując wpływy Marii Kalergis na dworze carskiego namiestnika, chce wbrew władzom zaborczym i strachliwej dyrekcji opery wystawić rewolucyjną na ówczesne czasy *Halkę* Stanisława Moniuszki. W filmie, uznanym za pierwszy po wojnie polski film muzyczny, zagrała ówczesna aktorska czołówka: Nina Andrycz, Barbara Kostrzewska, Danuta Szaflarska, Jan Kurnakowicz, Jerzy Duszyński, Janusz Warnecki i Jan Koecher w roli Moniuszki.

Książka Waldorffa miała wzmocnić, a jednocześnie wykorzystać oczekiwany sukces filmu. Opowiadała historię walki o *Halkę*. Historię przełamywania oporu konserwatywnej dyrekcji i zmagania z niechęcią publiczności, oczekującej od opery tylko tego, do czego była od lat przyzwyczajona. Rozbudowanej salonowej albo antycznej scenografii, nawet jeśli niewiele to miało wspólnego z historyczną prawdą, oraz włoskiego libretta, pozbawionego głębszej treści, ale pozwalającego śpiewakom popisywać się czystym, pięknym i bardzo wysokim „c”. W dziejącej się na Podhalu *Halce* Moniuszki nie było żadnego z tych elementów, a przy okazji miała ona bardzo pożądaną w 1951 roku „aspekt klasowy”, dokumentując wyzysk ubogich warstw społecznych przez arystokrację. „*Halka* to przede wszystkim uderzenie w obóz zacofania i ucisku” - pada w pewnym momencie z ekranu i w opowieści.

Waldorff splecał w książce należną czasom daninę, nawet jeśli było to podszyte wyczuwalną ironią, „...hrabia Alfred - opisywał jednego z bohaterów filmu - typowy przedstawiciel ówczesnej naszej arystokracji, która tylko tyle czasu spędzała w kraju, ile trzeba było na zebranie dochodów z rozległych majątności, a potem czym prędzej wyjeżdżała za granicę, by tam wydać pieniądze zapracowane przez polskiego chłopca i robotnika”. Nie mogło być wątpliwości, że arystokrata to postać podła i niegodna szacunku. Hrabia Alfred nosił na przedwcześnie postarzałej twarzy ślady walk stoczonych z butelkami alkoholu oraz oferującymi płatną miłość kokotami wiedeńskimi, paryskimi i londyńskimi - charakteryzował go Waldorff. Złośliwości wobec arystokracji, ziemiaństwa i kleru było zresztą więcej. „Tego

pokroju ludzie (...), którzy z gminu czerpią natchnienie, nie tylko obniżają kulturę, ale i wulgaryzują język nasz ojczysty” - mówi o Moniuszce ówczesny biskup warszawski. W końcu jednak, wbrew panoszącej się arystokracji, wbrew bogacącym się fabrykantom, mimo ucisku, który cierpią chłopci, i nędzy, na jaką skazany jest proletariatus, walka o Halke kończy się tryumfem. Z największej w kraju sceny po raz pierwszy w dziejach padają słowa w obronie ludu. Premiera opery Moniuszki, dzięki wysiłkowi prawdziwych patriotów, uwieńczona zostaje sukcesem.

Propagandowy wymiar filmu był oczywisty. „Po raz pierwszy film nasz wypróbował na temacie historycznym prawdziwość i skuteczność metody socrealistycznej” - napisał w „Nowej Kulturze” Adam Pawlikowski.

Ale film to było zajęcie pozwalające przeżyć. Jednorazowy zastrzyk pieniędzy. Lepiej zaczęło być dopiero wtedy, gdy Roman Jasiński, który nadal pełnił funkcję redaktora muzycznego w Polskim Radiu, zaproponował przyjacielowi pracę u siebie. Waldorff został kontrolerem audycji. Anonimowym, jak podkreślił. Za to płatnym. A po paru miesiącach pozwolono mu wygłaszać w radiu felietony. Musiał tylko zobowiązać się, że nie będzie wykraczać poza dozwolony temat, czyli opowieści o instrumentach muzycznych. Felietony złożyły się później na najpopularniejszą, choć, wydawałoby się, najbardziej specjalistyczną książkę Waldorffa, *Sekrety Polihymni*. Barwną, żywą, dowcipną, opatrzoną bardzo zabawnymi rysunkami Karola Ferstera. Napisaną tak, że chcieli czytać ją nawet ci, którzy nigdy muzyką się nie interesowali. I entuzjastycznie powitana przez recenzentów. Docenili ją nawet ci, którzy zgrzytali zębami na uproszczenia i dezynwolturę, z jaką Waldorff traktował niektóre wątki.

Zygmunt Mycielski napisał, że najbardziej podziwia łatwość, z jaką Waldorff porusza się po wcale niełatwej tematyce muzycznej. Bo ci, którzy dotychczas podejmowali podobne próby, wychodzili z założenia, że czytelnik jest kompletnym idiotą i analfabetą, więc trzeba mu tłumaczyć wszystko od zera. A potem i tak robili to w sposób niezrozumiały nie tylko dla studentów czwartego roku konserwatorium, ale nawet dla ich profesorów. „Autor musi kochać to, o czym pisze” - podsumował Mycielski.

Jarosław Iwaszkiewicz zachwyił się sposobem, w jaki Waldorff („z niezwykłym pedagogicznym darem” - napisał) tłumaczy czytelnikom nawet bardzo skomplikowane pojęcia muzyczne. Na dowód popularyzatorskiego talentu przytoczył fragment wyjaśniający, czym jest fuga. „Wielu z nas, jeśli nie w życiu, to przynajmniej w literaturze, zetknęło się z kumoszkami, które się zeszyły po to, aby obgadać na przykład śmierć wspólnej przyjaciółki. Siedzą, piją kawę, wzdychają, po czym jedna z nich mówi: «Więc biedna Klotylda umarła».

Po chwili to samo mówi druga, ale pierwsza nie milknie, bo już się rozgadała, plotkuje przeto na temat pogrzebu, kto był, jak się zachowywała rodzina i co komu nieboszczka zostawiła w spadku. Niebawem wszystkie kumoszki terkocą jednocześnie, żadnej usta nie zamykają się ani na chwilę i tylko co pewien czas, aby podkreślić cel zebrania, któraś rzuca kolejno ten sam główny temat rozmowy: «Więc biedna Klotylda umarła». Właśnie tak zbudowana jest fuga, z tą różnicą, że zawarta w niej treść muzyczna jest piękna i szlachetna” - cytował z zachwytem Iwaszkiewicz.

Redaktorka Sekretów... Krystyna Goldbergowa, napisała, że bała się Waldorffa i jego książki potrójnie. Po pierwsze dlatego, że to była jej pierwsza praca w wydawnictwie, po drugie, bo Waldorff był już sławny, a ona ledwie ukończyła studia, po trzecie wreszcie, bo na muzyce nie znała się w ogóle. „I tu stał się cud! Rozumiałam wszystko. Już nigdy potem nikomu nie udało się przekonać mnie, że są dziedziny wiedzy i sztuki, o których nie można pisać przystępnie” - napisała.

Tylko za życia Waldorffa książka miała osiem wydań. To ostatnie, w czterdziestolecie ukazania się Sekretów... po raz pierwszy, sam z dumą kazał zatytułować Ósme sekrety Polihymnii.

- Zapytałem, dlaczego akurat ósme? - opowiada prezes Wydawnictwa „Iskry”, Wiesław Uchański. - Bo to ósme wydanie - odpowiedział.

„To wszystko, co wszyscy piszący o muzyce w Polsce robili swoją działalnością popularyzatorską - to jeszcze nie połowa tego, co dla umuzykalnienia społeczeństwa zrobił Jerzy Waldorff - napisał Zdzisław Sierpiński.

W maju 1953 roku przeprowadził formalną zmianę nazwiska. Pseudonim, którego używał od dwudziestu lat, stał się pełnoprawną częścią nazwiska. Ale formy Jerzy Waldorff-Preyss używał tylko w oficjalnych dokumentach.

W Warszawie zaprzyjaźnił się też z legendarną diwą Operetki Warszawskiej jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, Lucyną Messal. W artystce kochała się wtedy cała Warszawa. Carski generał-gubernator, Georgij Antonowicz Skalon, na jedno jej skinienie zwalniał z więzień konspirujących przeciw władzom zaborczym studentów. Waldorff widział ją na scenie przed drugą wojną światową, ale z prawdziwym rozrzewnieniem pisał o czasach sprzed wojny pierwszej, gdy Messalka, jak uwodzicielska lwica zamiatała deski sceny trenem sukni, ukazując „w rozpasaniu bezwstydu” nogę powyżej kostki. Kiedy pozwalała wytwornym panom o ufryzowanych brodach obsypywać się złotem i brylantami, a potem uwozić karetami na kolacje z szampanem. „Dla nas, ludzi dzisiejszych, Messalka jest żywą legendą o dawnych bajecznych czasach” - pisał w 1938 roku, a operowa diwa po latach

pamiętała ten zachwyty.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, gdy Messalka bardzo rzadko już występowała na scenie, spotykali się z Waldorffem w kawiarence „Jaś i Małgosia” na Saskiej Kępie. Aktorka opowiadała mu o swoim życiu. „Starła się przy tym - co częste u wielkich miłośnic w późnych latach - przekonać mnie, że wszystkie opowieści o jej romansach to nieprawda! Dziwna chęć zaparcia się pięknych doznań człowieka: łóżka dzielonego z atrakcyjnymi partnerami” - zapamiętał. Gdy w grudniu 1953 roku zmarła, był wśród setek warszawiaków odprowadzających diwę na Powązki.

W połowie lat pięćdziesiątych rozpoczął współpracę z tygodnikiem „Świat”, gdzie gromadziło się coraz więcej autorów, którym doskwierało zglajchszaltowane oblicze peerelowskiej prasy. Powstały w 1951 roku „Świat” był początkowo hybrydą, mającą łączyć graficzny model amerykańskiego tygodnika „Life” z rewolucyjnym językiem, wzorowanym na prasie radzieckiej. „Life-Ogoniok”, jak mówili o nim czytelnicy, został pomyślany jako przeciwwaga dla drobnomieszczańskiego „Przekroju”; tygodnik nie wojował z władzą, ale redakcja starała się nie zanudzać czytelników ideologicznymi referatami. „Świat” drukował opowiadania Marka Hłaski i Adolfa Rudnickiego, artykuły Józefa Hena i aforyzmy Stanisława Jerzego Leca, reportaże Lucjana Wolanowskiego i recenzje Jerzego Pomianowskiego. To w „Świecie” wreszcie ukazał się atak Leopolda Tyrmanda na Bolesława Piaseckiego, założyciela i lidera narodowo-katolicko-prokomunistycznej organizacji PAX. Znalezienie się w takim towarzystwie na pewno Waldorffowi dogadzało. Kiedy więc było to już możliwe, rozpoczął w „Świecie” cykl publikacji - jak sam je nazwał - batalistycznych: natarć, polemik i obron. Współpracował z tygodnikiem do końca jego istnienia.

Nie zarzucił też zainteresowań satyrą i kabaretem. „Stańczyk”, w którego narodzinach uczestniczył, jako pierwszy wyczuł zbliżającą się odwilż. Wcześniej niż inni, co w końcu stało się jego przekleństwem. „«Stańczyk» pierwszy zerwał z tradycją rozpraw z kozuchem w mleku, opieszalym kelnerem i biurokrata w zarękawkach” - napisał Ryszard Marek Groński. Ale w 1954 roku było jeszcze za wcześnie na prawdziwy kabaret polityczny. Stalin zmarł ledwie rok wcześniej, a w dodatku w Polsce nie oznaczało to wcale odwrotu od stalinizmu. Aresztowanie prymasa Wyszyńskiego i zamknięcie „Tygodnika Powszechnego” nastąpiło już po śmierci przywódcy komunistycznej części świata.

Pomysłodawcą scenki był pisarz i satyryk, Artur Marya Swinarski, kierownikiem literackim i organizatorem Antoni Marianowicz. Do współpracy zaprosili najlepszych i najodważniejszych: Magdalenę Samozwaniec, Stefanię Grodzieńską, Jana Brzechwę, Janusza Minkiewicza, Eryka Lipińskiego, Wiesława Brudzińskiego, Zdzisława Gozdawę i Wiesława

Stępnia, Jana Rojewskiego i Waldorffa. „...Swinarski, Lipiński, ja i jeszcze kilku innych «wściekłych» prowadziło kabaret satyryczny” - opowiadał Waldorff Jerzemu Radlińskiemu. Występowali sami autorzy i zaproszeni aktorzy: Danuta Szaflarska, Wieńczysław Gliński, Andrzej Łapicki i Andrzej Szczepkowski.

Aby uśpić cenzurę i tzw. czynniki, nadali scenie podtytuł „kabaret literacki”. Wstęp tylko dla zaproszonych gości, żadnych biletów, ogłoszeń ani recenzji w prasie. Śmiać miano się wyłącznie we własnym gronie. Siedzibę „Stańczyk” miał na MDM-ie, w kawiarni „Pod Arkadami”. Pierwszy program oparty był przede wszystkim na parodiach. Eryk Lipiński osobiście parodiował drętwe i pełne ideologicznych zakłęb reportaże z egzotycznych podróży (aluzja była czytelna, akurat jeden z komunistycznych dygnitarzy wrócił z Chin i dzielił się w prasie swoimi słusznymi przemyśleniami). Andrzej Łapicki wygłaszał monolog Jana Brzechwy o zorganizowanym przez władzę konkursie na pieśń masową. Nadesłano nań min. pieśń zaczynającą się od słów: Polały się lzy nieczyste, rześiste / Na me dzieciństwo sielskie, anielsk Jej Na moją młodość górną i durną, / Na mój wiek męski, wiek klęski...

Jury tekst zaakceptowało, ale po pewnych zmianach, po których pieśń brzmiała znacznie optymistyczniej:

Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowyjNa me dzieciństwo polne, bezrolne,/Na moją młodość chwacką, junacką,/Na mój wiek dziarski, wiek robociarski...

W tamtym czasie trudno było sobie wyobrazić bardziej wyrazistą drwinę z agresywnej głupoty partyjnej propagandy, zwłaszcza wygłaszaną w kabarecie mającym oficjalną pieczęć cenzury. Waldorff wyśmiewał drętwotę programu radiowego. Sztydził z programu, w którym wszystko, niezależnie od tego, czy mówi się o pracy na roli, filatelistyce, straży pożarnej czy słoniach z warszawskiego zoo, ilustrowane jest arią Michała Szopskiego Kobieta zmienną jest, pieśnią Haliny Mickiewiczówny pt. Jaskółka, a na zakończenie utworem Władysława Szpilmana Dziewczyno, cóż mogę ci powiedzieć?

W innym monologu kpiał z języka gazet codziennych, przewidując, jak będzie pięknie, gdy rewolucja techniczna pozwoli wreszcie, by artykułom w prasie towarzyszyła muzyka. Czytelnik ideowego tekstu o odporze, jaki daje aktyw robotniczy złym imperialistom, podstawiającym nogę masom zmierzającym ku zwycięstwu proletariatu, usłyszy melodię: Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal / Gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal...

Wypowiedzi urzędnika wydziału kultury, deklarującego, że nie zamierza komenderować artystami, towarzyszyć będzie melodia ja bajki tak lubię szalenie... A czytelnik notatki o imponującym rozwoju sieci tramwajowej w stolicy, której przybyły ostatnio cztery nowe wozy, zostanie uraczony piosenką Wio koniku, a jak się postarasz..

Podczas kolejnych wieczorów monolog zmieniał się i rozwijał. Pojawiały się wciąż nowe cytaty z gazet, warte zauważenia i wyśmiania. „Ostatnie zdanie brzmiało: «Nasza prasa jest ciekawa: mobilizuje... pobudza... uaktywnia... zachęca do działania-. A fortepian odpowiada kołysanką: Śpij dziecinko jut..”

- wspominał „Stańczyka” Antoni Marianowicz.

Pierwszy przed październikiem 1956 roku kabaret polityczny miał tylko jeden program. Zbierał oklaski po każdym wieczorze i każdym numerze, telefony z prośbami o załatwienie zaproszenia urywały się, mimo że w prasie o „Stańczyku” nie pisano. Występy podobały się nawet tym, którzy zdecydowali, że kolejnych programów nie będzie. „Zwykle kabaret referuje to, o czym wszyscy mówią - napisał Groński - ((Stańczyk- sygnalizował problemy, o których dopiero zaczynano myśleć”. Dlatego nie miał prawa przetrwać. Marianowicza partia ukarała naganą, Waldorff przestał kpić z języka oficjalnej propagandy, ale politycznej odwilży zatrzymać się nie udało. Teksty mówione w „Stańczyku” weszły do tomu felietonów, satyr i humoresek (głównie z „Przekroju”, a nawet sprzed wojny) Dwie armaty, opublikowanego przez wydawnictwo „Czytelnik” pod koniec 1955 roku.

W październiku 1956 odbył się w Warszawie pierwszy Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”. Wymyślony przez Tadeusza Bairda i Kazimierza Serockiego, początkowo nie bez grymasów Waldorffa, że Polski na podobne fanaberie nie stać. Do stolicy zjechali muzycy z całego świata, gdy wybuchła rewolucja, która miała doprowadzić do zmiany władzy. Sytuacja zmieniała się błyskawicznie. Odbywały się wiece w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu i na Politechnice Warszawskiej, władzę w partii objął Władysław Gomułka, któremu Polacy bardzo chcieli uwierzyć, zwolniono z więzienia prymasa Polski, Stefana Wyszyńskiego. Wracała nadzieja, że jedenaście lat po zakończeniu wojny Rzeczpospolita może być wreszcie naprawdę wolna. Zmienić tego nie były w stanie nawet plotki o zmierzających już w stronę Warszawy wojskach radzieckich. „Pamiętam, jak w przerwach koncertów bieглиśmy do telefonów po nowiny, a potem wracaliśmy na salę do naszych zagranicznych gości, uśmiechnięci i pozornie spokojni, jak gdyby nic się nie stało” - wspominał Waldorff.

Wracali z nadzieją, że ta nowa Polska, która rodziła się, gdy podczas „Warszawskiej Jesieni” występował Dawid Ojstrach, będzie Polską lepszą.

Kisiel brzmi jak Wawel. I tak samo z kamienia...

O Kisielu Waldorff napisał książkę. Słowo o Kisielu, jak wszystko, co pisał, jest książką przede wszystkim o Waldorffie, a dopiero potem o Stefanie Kisielewskim, ale jest

także zapisem przyjaźni, która trwała z górą pół wieku. Byli przez te lata blisko siebie, choć bywało i tak, że nie widywali się czasem rok, a nawet dłużej.

„...a kiedyśmy się spotykali dosyć rzadko, chociaż dzieliła nas odległość jednej tylko ulicy, nie witał się ze mną, lecz od razu zaczynał mówić tak, jak gdyby od połowy zdania, które przerwał przed chwilą” - wspominał Waldorff.

„Waldorff, mój Boże, zapomniany przyjaciel! (...). W czasie okupacji nawet widywaliśmy się chyba częściej niż teraz, a toć jednak cała epoka życia ten porzucony Waldorff - pisał Kisiel w 1980 roku.

Poznali się w połowie lat trzydziestych XX wieku, Waldorff przeprowadził się właśnie z matką do Warszawy. Mogło to być na którymś z balów w Konserwatorium Warszawskim, ale Waldorff nie zapamiętał, na którym. Kisiel upierał się, że musiał to być rok 1935.....pamiętam to dokładnie” - pisał. Młodszego od Waldorffa o rok i wyglądającego jak rudy pajak studenta kompozycji i fortepianu, Kisielewskiego, nie dało się przegapić. Pijany, wszczął awanturę z kolegą z roku, Kazimierzem Serockim. Ten, nie namyślając się wiele, wziął szklanekę piwa i chlusnął Kisielowi w twarz. „Co Kisielewskiego wcale nie obraziło, tylko ubawiło. Kwiczał z radości - wspominał Waldorff. - I dalej pili spokojnie z Serockim”.

To Kisiel zaprotegował Waldorffa do przekształconej z „Buntu Młodych” „Polityki”, utrzymywanego przez ziemian i arystokrację tygodnika, który redagował ówczesny radca w Ministerstwie Przemysłu, Jerzy Giedroyc. Ale Waldorff nie zagrzeał u Giedroycia miejsca.

Potem wybuchła wojna. Po kapitulacji Warszawy, gdy pewne było już, że sny o potęgze polskiej armii można włożyć między bajki, spotkali się w jakiejś kawiarni. Był październik 1939, przy stoliku siedzieli: Kisiel, Stanisław Piasecki, Konstanty Regamey i Waldorff. Piasecki nie miał złudzeń: Niemcy pokażą teraz terror, jakiego nikt jeszcze nie widział. Ale wojnę przegrają. Wygrają Rosjanie. A potem długo z Polski nie wyjdą. Trzeba przygotować się na długą okupację.

Na początku mijali się. Kisiel przygrywał na fortepianie podczas ćwiczeń w szkole tańca Stefana Szelestowskiego. Waldorff, formalnie aplikant adwokacki w kancelarii prof. Kozubskiego, organizował koncerty pod egidą Rady Głównej Opiekuńczej. Kiedy wreszcie znów na siebie trafili, „stale piliśmy, żeby ocalić nerwy” - opowiadał Waldorff Joannie Pruszyńskiej. Spotykali się w prowadzonej przez RGO stołówce dla literatów, gdzie kelnerką była przyszła żona Stefana, Lidia. Kiedy się pobrali - „...wbrew wszelkim oczekiwaniom przyjaciół”, jak pisał Waldorff - zaczął odwiedzać już oboje w mieszkaniu przy pl. Krasińskich. Rozdzieliło ich dopiero powstanie.

Po wyzwoleniu Stefan odnalazł Waldorffa w radiu. Poprosił o pomoc. Lista chcących

nadać skierowany do najbliższych komunikat, że żyją, wrócili do Warszawy, czekają, niepokoją się o losy najbliższych, była bardzo długa. Kisiel liczył, że przyjaciel pomoże mu ominąć kolejkę i nadać wiadomość dla wywiezionej z Warszawy do Niemiec Lidii, że żyje i żeby jak najszybciej wracała do Polski.

„I stał się doprawdy cud: głos słabiutkiej, radzieckiej z demobilu radiostacji dotarł w samą głąb Niemiec” - pisał Waldorff. Ktoś powtórzył jego treść Lidii, która wróciła już nie do Warszawy, ale do Krakowa, gdzie tymczasem znalazł zajęcie Kisielewski.

Odwdzięczył się Waldorffowi, ściągając go do Krakowa i do „Przekroju”, z którego właśnie przechodził do „Tygodnika Powszechnego”. Znalazł przyjacielowi nie tylko dobrą płatną i prestiżową pracę, ale i mieszkanie, o co nawet w niezniszczonym przez wojnę Krakowie wcale nie było łatwo. A zanim Waldorff przyjechał, Kisiel próbował jeszcze umieścić jego opowiadanie Żaby na placu Wareckim w tygodniku „Odrodzenie”. Kiedy się nie udało („Żaby odebrałem od Kuryluka [Karola - M.U.], bo powiedział, że wydrukuje, ale nie wie kiedy” - informował przyjaciela), zaproponował je redakcji katolickiego tygodnika „Dziś i jutro”. „Również powieść [prawdopodobnie chodziło o Godzinę policyjną - M.U.] mógłbyś im złożyć bezpośrednio - powołaj się na mnie” - pisał Kisielewski.

W Krakowie spotykali się często. Waldorff zachodził do Lidii i Stefana na Krupniczą, do tzw. Domu 40. Wieszców, gdzie ludowa władza „skoszarowała” po wojnie literatów. Mieszkali przy Krupniczej w różnych okresach: Jerzy Andrzejewski, Jalu Kurek, Konstanty Ildefons Gałczyński, Kazimierz Brandys, Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Sławomir Mrożek, Jerzy Zawieyski i wielu jeszcze innych, bez dzielenia według poglądów i talentów. Wieczorami, przy kieliszku, Kisiel i Waldorff zabawiali się wymyślaniem komentarzy do „przekrojowych” historyjek o Auguście BęcWalskim, symbolu burżuazyjnego zacofania i niechęci do ludowej Polski. Im więcej wypijali, tym podpisy stawały się coraz bardziej zabawne i coraz mniej cenzuralne.

- Panie BęcWalski, zbieramy na Gwiazdkę dla żołnierzy polskich.

- A co, to orzełków już nie będzie?

Ku rozpaczcy Lidii Kisielewskiej i szwagierki Stefana, cioci Heleny, dziennikarze, muzycy i intelektualiści prywatnie posługiwali się językiem raczej koszarowym, co zdaniem pań było zdecydowanie niepedagogiczne wobec kilkuletniego Wacka, syna Kisielewskich. Zażądały powściągnięcia języków, więc przeklinali odtąd w językach „obcych”. „Zamiast więc Job twoju mać - z angielska: Dżob your mother, zamiast Ty ch... - z francuska: Ty buizu” - wspominał Waldorff. A Wacek i tak wkrótce zaczął przynosić ze szkoły wyrażenia znacznie gorsze.

Kisiel, pisał Waldorff, występował niejako w dwu osobach. Jako ten, od którego felietonu zaczynało się cotygodniową lekturę „Tygodnika Powszechnego”, uważny obserwator, wnikliwy analityk i surowy krytyk coraz bardziej dokuczliwej rzeczywistości realnego socjalizmu. I jako kompan do wieczornych eskapad, kieliszka, a zwykle butelki wódki, opowiadacz niecenzuralnych dowcipów i autor nierzadko przekraczających granicę dobrego smaku żartów. Ale nie można było obrazić się na siebie nawet o najbardziej psie figle, jak choćby ten z felietonami podpisywanymi J.E. Baka. „Po krótkim wymyślaniu z mojej strony, a zdziwieniu z jego, poszliśmy, kwicząc ze śmiechu, na wódkę” - napisał Waldorff.

Jerzy Waldorff wrócił do Warszawy pierwszy, Kisiel przeprowadził się dopiero w 1961 roku. Po latach spędzonych w Krakowie wracali do zupełnie obcego miasta. „Wróciliśmy do Warszawy jak do dziczy. Sowieckie miasto. Tym bardziej staraliśmy się razem trzymać. To były czasy, kiedy byłem najbliżej Kisielea” - opowiadał Waldorff. Właśnie wtedy widywali się najczęściej. W domach, u Waldorffa na Koszykowej, a potem w alei Przyjaciół, i u Kisielewskich w alei Szucha. „U Literatów” na pl. Zamkowym, u Dziennikarzy na Foksal, w kawiarni „Na Rozdrożu”, w SPATiF-ie w Alejach Ujazdowskich. „Za naszych czasów to była elegancka restauracja, gdzieśmy chodzili i upijali się” - wspominał Waldorff. Ale i tak najczęściej i najwięcej rozmawiali przez telefon. Czasem po kilka godzin, prawie każdego dnia. „Bo jeśli on napisał coś frapującego, to ja telefonowałem. A jeśli ja, to on telefonował” - opowiadał Waldorff.

Spotykali się także u znajomych. Janowi Majdrowiczowi robili dowcipy dość ryzykowne.

- Przychodzili do nas na Mokotowską i jak już wypili po parę kieliszków, stawali pod żyrandolem i zaczęli wyrzaskiwać obelgi pod adresem ustroju - wspomina Majdrowicz. - Kisiel mówił: „Ty jesteś ważny dyrektor, na pewno masz podsłuch”.

Majdrowicz był w latach sześćdziesiątych dyrektorem artystycznym firmy Artos, organizującej w całej Polsce imprezy na święta 1 Maja czy 22 Lipca.

- A Kisiel i Waldorff wrzeszczeli w stronę tego mojego żyrandola: „Mamy was w dupie!” - wspomina.

Zbiór publicystyki muzycznej Zbuntowane uszy, który ukazał się w 1962 roku, Waldorff zakończył zapisem swej rozmowy z Kisielem. Przed wydaniem książki dał ją przyjacielowi do przeczytania, „...parsknął rechetem diabła, którego cieszy kompromitacja jednego więcej anielskiego idioty. - Zwariowałeś? - rzekł. - Chcesz kompromisu z młodymi?... Przecież muszą nas nienawidzić i wpędzać do grobu, dlatego właśnie, że są

młodzi” - pisał Waldorff.

- Ojciec uwielbiał Waldorffa prowokować - mówi Jerzy Kisielewski. Pewnego razu Kisiel wpadł na Koszykową i zaczął bardzo uważnie przyglądać się portretom przodków na ścianach, z charakterystycznymi waldorffowymi nosami. Wreszcie zapytał:

- Jerzy, a właściwie czemu tu u ciebie wiszą te wszystkie Żydy? To Waldorff jeszcze zniósł. Ale po którychś imieninach omal nie dostał apopleksji. Podczas biesiady Kisiel nagle oświadczył:

- Wiesz, muszę się na chwilę położyć.

- To idź do drugiego pokoju - zgodził się Waldorff.

Po jakimś czasie poszedł sprawdzić, co się z przyjacielem dzieje. W gabinecie zobaczył Kisielewskiego wyciągniętego na sofie i przykrytego ściągniętymi ze ścian portretami przodków.

Jerzy Kisielewski: - Waldorff się wściekł, a ojciec otworzył tylko oko i powiedział: „Wiesz, Jerzy, było zimno, a przodki grzeją”.

Innym razem spotkali się na pl. Na Rozdrożu. Kisiel z młodszym synem, Waldorff z Puzonem. Ale napatoczył się jeszcze ktoś znajomy, kto o coś Waldorffa zagadnął. Kisiel wykorzystał okazję i niepostrzeżenie odpiął Puzona ze smyczy. Jamnik pognał za sukami, a Waldorff zakończył rozmowę i powiedział:

- Chodź, mój drogi Puzonie, wracamy do domu.

Długą chwilę ciągnął samą smycz, zanim zorientował się, że Puzona nie ma.

Kiedy w latach siedemdziesiątych Waldorff rozpoczął w telewizji cykl audycji Z muzyką przez lata, Kisiel zatelefonował („...po roku chyba milczenia” - napisał) z pretensją, że przecież to plagiat, bo taki tytuł nosiła jego książka z roku 1957. „...ale się moją tytułarną rewindykacją zgoła nie przejął. Zaproponowałem więc, aby następny cykl nazwał Popiół i diament” - poinformował czytelników „Tygodnika Powszechnego”.

Jerzy Kisielewski: - Któregoś wieczoru ojciec mówi mamie: „Idę do SPATiF-u na kolację z Jerzym, chyba go obrazę”. Był zirytowany o coś, co Waldorff akurat napisał. Następnego dnia dzwoni Waldorff: Jerzyku, Waldorff mówi, daj mi mamę, bo ze starym nie gadam”. Czyli plan został zrealizowany.

Jerzy Waldorff od początku towarzyszył startującemu do pianistycznej kariery synowi Kisiela, współtworzącemu z Markiem Tomaszewskim duet fortepianowy „Marek i Wacek”. To za jego namową młodzi muzycy poszli pokazać swoje nagrania w radiu.

W 1967 roku uczestniczył w publicznym egzaminie wieńczącym studia Wacka w konserwatorium, „...z przyjemnością słyszałem, jak znakomicie gra Appassionata

Beethovena” - zanotował. Wróżył synowi przyjaciela wielką międzynarodową karierę, choć pewnie nie przewidywał, jakiego rodzaju będzie to kariera. Ale już rok później entuzjastycznie opisywał w tygodniku „Świat” występ na Międzynarodowych Targach Płyt i Wydawnictw MIDEM. Tomaszewski i Kisielewski mieli szczególnie trudną sytuację, stwierdził. „Ze swą delikatną muzyką na dwa fortepiany, siak czy owak brzmieliby na tle dookólnego ryku jak szelest skrzydeł łątki, która polatuje nad stadem bawołów”.

Pisał o Marku i Wacku i chwalił duet, kiedy tylko mógł. Także wtedy, gdy samego Kisielewskiego cenzura objęła tzw. zapisem, zakazując wspomnienia o nim w mediach nawet krytycznie.....Waldorff mówił o nich w telewizji” - napisał Stefan Kisielewski 11 marca 1972 roku w Dziennikach.

A kiedy w 1986 roku Wacek zginął w wypadku samochodowym, Waldorff był przy Stefanie. Spotykali się i rozmawiali o Wacku, „...zauważyłem, że wracanie myślami i słowami do tego strasznego zajścia przynosi Kisielowi ulgę - wspominał. - (...) przez dwa tygodnie po złożeniu Wacka do ziemi pił nieprzerwanie, żeby znieczulić w sobie ból nie do zniesienia”. A kiedy to z kolei Waldorff miał na rogu Tamki w Warszawie wypadek samochodowy, Lidia Kisielewska z córką natychmiast zjawiły się na Koszykowej, by podtrzymać na duchu Mieczysława Jankowskiego.....jeśli się okazało, że ja tymczasem ducha wyzionąłem” - pisał Waldorff.

Spotykali się także na odczytach, na które zapraszani byli wspólnie. Zestawienie dwu wielkich osobowości, dwu oryginałów i ognistych polemistów dawało gwarancję, że panel będzie udany. „Aliści słowo angielskie panel znaczy też - w przekładzie polskim - «siodło na osła», - pokpiwał Waldorff.

W Słowie o Kisielu Waldorff napisał, że przez lata PRL pojawiło się przekonanie („uzasadnione” - dodał), że i on, i Kisielewski mają rodzaj „wariackich papierów”, pozwalających pisać więcej, niż wolno było innym. Miało to być dla rządów zachodniego świata dowodem wolności słowa w Polsce. Dotyczyło to przede wszystkim Kisielewskiego, a nie Waldorffa, a i w jego przypadku „papiery” pozwalające bezkarnie kontestować system w nienormalnym kraju, okazały się dość umowne. Nadszedł rok 1968. Z afisza Teatru Narodowego „zdjęte” zostały Dziady, a Kisiel publicznie nazwał coraz bardziej brutalne poczynania wszechwładnej peerelowskiej cenzury „dyktaturą ciemniaków”. Sekretarz partii, Gomułka, wziął to do siebie i w efekcie któregoś marcowego wieczoru w zaułku na tyłach katedry św. Jana w Warszawie Kisielewski trafił pod pałki i buty „nieznanych sprawców”, którzy zaczynali właśnie odgrywać coraz ważniejszą rolę w polskiej polityce.

Kiedy skatowany Kisiel wrócił do domu, Lidia zadzwoniła do Waldorffa. Prosiła,

żeby przybiegł jak najszybciej, „...oglądałem z przerażeniem szeroką na trzy palce, od boku do boku, sinozielonkawą opuchliznę” - wspominał Waldorff.

Jerzy Kisielewski: - Potwornie przejęty Waldorff uderzył w nutę dramatyczną:

„Żeby kogoś takiego jak ty tak ordynarnie pobić na ulicy! To jest po prostu skandal, to bandytyzm, to kompletne zdziczenie! Wolałbym, żeby to mnie pobili!

Ojciec, cały jeszcze zbolały, popatrzył na niego podbitym okiem i powiedział:

- Wiesz Jerzy, jak chcesz, mogę ci to załatwić!

Dopiero wtedy Waldorff naprawdę się wściekł i wybuchnął:

- Z tobą nawet w takim momencie nie można poważnie rozmawiać!”.

A ojciec po prostu uwielbiał nakłuwać ten nadmuchiwany patosem waldorffowy balon.

Oprócz pobicia i rozpuszczanych przez SB plotek, że wracającego od kochanki byłego posła napadł zazdrosny mąż, Kisielewski przyplącił słowa o „dyktaturze ciemniaków” kolejną banicją z życia publicznego. Tym razem miała trwać aż trzy lata. Pozbawiony możliwości publikowania zaczął pisać dzienniki. W głębokiej tajemnicy nawet przed przyjaciółmi, bez gwarancji, że zapiski kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, a właściwie mając niemal pewność, że w ustroju, który od ćwierć wieku panował w Polsce, nie ujrzą. Pewnie dlatego był w nich tak skrajnie szczery, nie oszczędzając nikogo. Swoją porcję krytyki odebrał także Waldorff.

W jednej z pierwszych notatek, 9 czerwca 1968 roku, Kisiel zapisał: „Wczoraj był u nas Waldorff, dziś spotkaliśmy go znowu (psy onanizowały się jak szalone). Jest zadowolony z siebie, mówi, że pisząc tylko o muzyce i sztuce, zachował uczciwość. Ma swoją rację. Mnie zgubiła polityka...”.

Ale gorczy odsunięcia na boczny tor narastała błyskawicznie. Poczucie osuwania się w przepaść, zwłaszcza że przecież jeszcze niedawno był najbardziej czytany i komentowanym publicystą w Polsce, musiało męczyć. „Był Waldorff, coraz głupszy, bo zajmuje się wyłącznie muzyką.

Muzyka ogłupia - przekonałem się wielokrotnie” - napisał 17 lipca, ledwie miesiąc i tydzień później.

Spotykali się wtedy częściej niż zwykle. Kisiel pewnie bardziej niż jeszcze parę miesięcy wcześniej potrzebował towarzystwa ludzi, Waldorff czuł, że powinien być przy przyjacielu.

We wrześniu 1968 byli we Wrocławiu, na zakończeniu festiwalu „Wratislavia Cantans”. „...zaciągnęli mnie nawet na konferencję pofestiwalową, gdzie Waldorff ucałował mnie «w imieniu rządu» - zdaje się, że nie wszystkim się to podobało” - zanotował Kisiel.

Innym razem przyjechał na zaproszenie Waldorffa do Radziejowic, na spotkanie muzyczno-malarskie i dyskusję „niezbyt mądrą”.

Wspólnie spędzili kończącego rok sylwestra, „...był Waldorff, upił się mocno i wygadywał niestworzone rzeczy” - napisał Kisiel. I sarkastycznie zauważył, że na szczęście przyjaciel ma wystarczająco charakterystyczny głos, żeby podsłuchująca ich na pewno bezpieka nie miała wątpliwości, kto co mówił.

Alkohol był nieodłącznym elementem ich spotkań. „Całą noc spędziliśmy u Waldorffa, pijąc potężnie - był uroczy, malowniczy, zabawny” - pisał Kisiel w lutym 1970 roku. A gdy przychodziły momenty zwątpienia, czy to, co robi, w ogóle ma sens, pocieszał się: „...Waldorff twierdzi, że «stare pryki nie rdzewieją»”.

Nie zapominali o sobie. Jerzy Kisielewski przekonał się o tym po raz kolejny, gdy latem 1969 roku trafił na prowadzony przez Waldorffa jeden z koncertów festiwalu pianistycznego w Słupsku. Sam odrabiał tam tzw. praktyki robotnicze, obowiązkowe przed rozpoczęciem studiów.

- Ojciec, który po Marcu '68 nie mógł opublikować niczego pod własnym nazwiskiem, wysłał do Słupska na konkurs Kołysankę, podpisaną pseudonimem Jerzy Mrugacz - opowiada. - I dostał nawet którąś z nagród.

Odczytując podczas koncertu finałowego listę laureatów, Waldorff ze śmiertelnie poważną miną ogłosił, że jeden z nagrodzonych, Jerzy Mrugacz, otrzymał kwiaty i gratulacje od samej Julii Hołyńskiej. Żart był czytelny tylko dla wtajemniczonych. Julia Hołyńska” to także był pseudonim, pod którym Kisielewski pisywał recenzje w „Tygodniku Powszechnym”.

Podczas spotkań rozmawiali o tym, co obu interesowało najbardziej. Przede wszystkim o polityce, bo muzyka dla obu stanowiła bardziej narzędzie niż cel w życiu. Waldorff zachwyił się Gierkiem, który po wydarzeniach grudniowych 1970 roku przejął władzę w partii i Polsce (bo sprawdził się, rządząc Śląskiem!) i nowym ministrem kultury, Stanisławem Wrońskim. „Podobno ciągle z nim gada (z Waldorffem), radzi się etc.” - pisał Kisiel 23 stycznia 1972 roku. Ale już 4 lutego był bardziej sceptyczny. „Drażni mnie ta pozorna «odwilż» w kulturze, na którą nabierają się ludzie, z głupim Waldorffem na czele” - wybuchnął. Kilkanaście miesięcy później był jeszcze bardziej surowy. „Byliśmy też z Lidią u Waldorffa - arogant, a po wódce plecie niestworzone głupstwa” - notował w kwietniu 1974.

Kisiel nie znosił, kiedy Waldorff zbyt łatwo ulegał urokowi roztaczanemu przez urzędników komunistycznej władzy.

Jerzy Kisielewski: - Przed jakimś koncertem w filharmonii Waldorff mówi do ojca:

„Słuchaj, Stefan, miałem odczyt w Ministerstwie Kultury o życiu muzycznym w Polsce, po którym minister Wroński zaproponował mi przejście na «ty». Wypiliśmy bruderszaft.

Stefanowi Kisielewskiemu wyraźnie się to nie spodobało. Byli już na sali, dzwoniły dzwonki ponaglające widzów do zajmowania miejsc, gdy nagle wrócił do przerwanej rozmowy.

- Więc mówisz, że Wroński przeszedł z tobą na «ty»? Ale ty pamiętasz, Jerzy, że w Polsce za kolaborację z okupantem zawsze była kara śmierci.

Waldorff zachnął się i obrażony poszedł na miejsce”.

- Siedzieliśmy dwa lub trzy rzędy za nim. Była przerwa przed kolejnym utworem, gdy ojciec zawołał: Jerzy!”, Waldorff odwrócił głowę, a ojciec wymownym ruchem ręki pokazał mu gest podrzynania gardła - opowiada Jerzy Kisielewski. - I tak jeszcze kilkakrotnie.

To był jeden z tych momentów, kiedy Waldorff, dzwoniąc do Kisielewskich, prosił do telefonu Lidię. Bo ze „starym” właśnie nie rozmawiał.

W tym samym czasie Stefan Kisielewski z wyczuwalną goryczą pisał w „Tygodniku Powszechnym”, że Waldorffowi zazdrości. Przede wszystkim tego, że potrafił znaleźć sobie w powojennej rzeczywistości miejsce, które pozwala być sobą, nie płacąc za to zbyt wysokiej ceny. Felieton nazwał O szczęśliwym Waldorffie. Znają się tak długo, że nie sposób wyobrazić sobie czasów, kiedy Waldorffa nie znał, pisał Kisiel. Poznali się przed wojną, kiedy Waldorff, dość zamożny dzięki rodzinie, szalał na balach, brylował na koncertach i podróżował po świecie. A po wojnie, jak wszyscy z jego środowiska, znalazł się na lodzie. Dziennikarz z zabazgraną przeszłością; mało znany, a w dodatku kiepsko widziany literat. Co zrobić z tak dobrze rozpoczętym i tak mizernie zapowiadającym się życiem?

Tymczasem, pisał Kisielewski, Waldorffowi się udało. Nie od razu, długo szukał dla siebie miejsca. W „Przekroju”, „Ruchu Muzycznym”, „Świecie”, „Polityce”, na estradzie, w radiu i telewizji, pisząc powieści, recenzje, opowiadania, felietony, humoreski i parodie, aż wreszcie z tej wielości form i mnogości gatunków powstała NOWA JAKOŚĆ. Nowy Waldorff. Akceptowany, ale osobny. Niby przedwojenny, a przecież doskonale wpasowany w nową powojenną rzeczywistość. Jaki właściwie jest Waldorff, zastanawiał się. Nie muzyk, nie krytyk muzyczny, nie literat ani dziennikarz, nie historyk czy kolekcjoner, nie gawędziarz ani nie nowy Papkin skrzyżowany z Zagłobą, nie gwiazda telewizji czy radia, ale wszystko to po trochu, „...całość razem organicznie spojona w nowy chemiczny związek zwany WALDORFF-izmem” - pisał Kisiel. Można się na niego wściekać za czepianie się i bufonadę, kontrowersyjność i polemiczne szarże, ale nie można nie docenić, jak kunsztownie

spaja epoki, opowiada młodym o przeszłości, ślepy o kolorach, a głuchym o muzyce. Anachronicznie staroświecki, a jednocześnie nowoczesny jak radio i telewizja. Żyjący w wymyślonym i stworzonym przez siebie azylu, „...między karetową, stylizowaną elitą a telewizyjnym, bezklasowym plebsem wielkich miast - dodał Kisiel. - (...) Zazdroszczę mu - ten ci lepszą wybrał część”.

Pisali o sobie nawzajem. Waldorff wspominał przy różnych okazjach spotkania z Kisielewskim, Kisiel chwalił w „Tygodniku Powszechnym” pierwszą powieść Waldorffa - Dolina szarej rzeki. „Język piękny, zmysł obserwacyjny zarazem mikroskopowy i teleskopiczny, tematyka bogata, a nawet bufonada czy kokieteria rozmyślna utrzymane w granicach codziennego, charakterystycznego temperamentu” - pisał.

Waldorff uważał Kisielewskiego za największego felietonistę w historii Polski. Równie wiele felietonów napisał jeszcze tylko Bolesław Prus, przekonywał, ale autor „Lalki” był zakneblowany przez carską cenzurę. Kisiel w „Tygodniku” mógł liczyć przynajmniej na pozory swobody. „To, co napisał w paru tysiącach felietonów, to niejako biblia uczciwości polskiej” - mówił Waldorff.

Kisiel wskazał Waldorffa jako jednego z kandydatów do nagrody swego imienia, ustanowionej przez tygodnik „Wprost”. „W kulturze mamy do czynienia z prawdziwą katastrofą - mówił Kisiel. - Brak krytyki, brak publicystyki. Choć jest naturalnie Jerzy Waldorff...”. Przyznane pierwszy raz w 1990 roku Nagrody Kisielewskiego szybko stały się instytucją.

Kiedy wybuchła nowa Polska, zastanawiali się, co dalej.

- Jak ty, Stefan, widzisz Polskę uwolnioną od komunizmu? - spytał kiedyś Waldorff.

- Będzie dwadzieścia lat nieludzkiego bałaganu. Może pokolenie dzisiejszych dziesięciolatków będzie umiało zrobić z Polski normalne europejskie państwo - odpowiedział mu Kisiel.

„No i tak jest...” - mówił Waldorff już po śmierci przyjaciela Tomaszowi Raczkowi.

W 1990 roku zgodził się wziąć udział w telewizyjnych „Interpelacjach”, nowym programie publicystycznym odradzającej się po okresie PRL telewizji. Głównym bohaterem bardzo agresywnego, jak na ówczesne standardy, programu był Stefan Kisielewski, który wystąpił w roli orędownika kandydatury Lecha Wałęsy do urzędu prezydenta wolnej Rzeczypospolitej. Waldorff, który wołał Tadeusza Mazowieckiego, zasiadł w ławach opozycji.

- Wałęsa jest świetnym trybunem ludu - mówił w TV. - Jeżeli nie jestem zwolennikiem Wałęsy, to dlatego że nie jest on intelektualistą i nas, inteligencji, a zwłaszcza

intelektualistów, nie lubi. Od czasów odsieczy Wiednia kultura polska nigdy nie była tak zagrożona jak obecnie.

Zarzucił Kisielowi, że parę tygodni wcześniej odmówił uczestniczenia w „Interpelacjach”, których bohaterem był redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, Jerzy Turowicz, zwolennik Mazowieckiego. Kisielewski był już wtedy w ostrym konflikcie z Mazowieckim, po pięćdziesięciu pięciu latach współpracy odszedł nawet z „Tygodnika”.

- Wysłałeś Turowiczowi impertynencki list, że jest stary, więc nie powinien zajmować się polityką, lecz siedzieć w domu i cerować skarpetki - zarzucił Waldorff Kisielowi.

Dodał, że sprawdził daty urodzenia i Turowicz jest o dwa lata młodszy zarówno od niego, jak i Kisielewskiego. A przecież Boy-Żeleński pisał: „Nie wypinaj się przed nikim, gdy też jesteś starym przykiem”. Stefan Kisielewski jak zwykle obrócił wszystko w żart.

- Wszyscy wiemy, co to jest kultura, i że trochę jest z nią źle, ale i Mickiewicz, i Słowacki, i Norwid przymierali głodem i wcale im to na złe nie wyszło.

Można się domyślać, że do domu wracali z telewizji razem.

Jerzy Kisielewski: - Był w nich obu ten sam lęk i poczucie odpowiedzialności za Polskę. Za ich życia była pod rozbiarami, przeszła przez dwie wojny, odzyskiwała i traciła wolność, była okupowana. Dlatego obaj dobrze wiedzieli, że wszystko może się wydarzyć, ale nie można się na tę Polskę obrażać, bo innej nie będzie. Ojciec napisał to w artykule Komu potrzebna jest Polska. Waldorff myślał dokładnie tak samo.

Byli chorzy na Polskę. Obaj. Jednakowo. Mieli świadomość, że żyją w państwie ułomnym, pozbawionym pełnej wolności, ale było to przynajmniej państwo, które istniało na mapach i zachowywało chociaż pozory suwerenności. A poza tym to była jedyna Polska, na jaką przez pół wieku mogli liczyć.

„Wojna jak toporem przecięła życie moje i Waldorffa na dwie połowy” - pisał Kisiel. W każdej mieli do czynienia z inną Polską. W pierwszej byli u siebie, w drugiej czuli się gośćmi nie całkiem pasującymi do otoczenia.....gość bywa grzecznie wyrozumiały, swój krytycyzm wobec gospodarzy potrafi chytrze ukryć, lecz czasem nie wytrzyma i prychnie szyderczo” - dodał.

W 1991 roku Stefan Kisielewski był w Szwajcarii, gdy dostał od syna alarmujący telegram: „Lidia, bardzo już schorowana, potknęła się, łamiąc rękę i obojczyk. Co robić?”. „Dzwońcie do Waldorffa” - oddepeszował Kisiel. Waldorff przecież potrafił załatwić wszystko. Wtedy też spowodował umieszczenie Lidii Kisielewskiej w lecznicy rządowej. Stefan zdążył jeszcze zobaczyć się z żoną, nim odeszła na zawsze.

Na pogrzebie Waldorff podszedł do przyjaciela. „Spojrzałem w jego oczy, jeszcze

bledsze niż zwykle, jak gdyby puste, i wystraszyłem się (...) w pustych oczach Stefana dojrzałem śmierć” - napisał.

- Wiesz, Jerzy, to bardzo dziwne uczucie być nagle wdowcem - usłyszał.

Od dnia pogrzebu spotykali się prawie codziennie. Żeby Kisiel nie zostawał sam, kiedy syn wychodził do pracy. Umawiali się poza domem, żeby oderwać go od wspomnień. Najczęściej w pubie na Koszykowej, bo obydwaj lubili irlandzkiego guinnessa.

- Czuł, że właśnie wtedy jest ojcu potrzebny - wspomina Jerzy Kisielewski. - Mogli nie widzieć się długo, ale w takich najtrudniejszych momentach byli blisko siebie.

Wkrótce Kisiel trafił do szpitala na Banacha.

Ostatni raz widzieli się 20 września 1991 roku. Waldorffa przywiózł do ojca Jerzy Kisielewski. „Przywitał mnie jak gdyby w radosnym zwolnieniu, wyciągnął rękę niemal szkieletu” - pisał Waldorff. Poprosił, żeby przejść do sali spotkań, za chwilę tam się pojawi, tylko ktoś pomoże mu wstać i przesiąść się na wózek. Dopiero wtedy Waldorff mógł zobaczyć, jak skrajnie wycieńczony jest przyjaciel. Jak gdyby już martwy...” - zapamiętał. Spotkanie było krótkie, Kisiel szybko się zmęczył i musiał wracać do łóżka.

Stefan Kisielewski zmarł 27 września, trzy miesiące po Lidii.

„Kisiel brzmi jak Wawel. I tak samo z kamienia” - napisał Waldorff o przyjacielu. Powtarzano to potem po nim wielokrotnie.

„...chwała Bogu, że nie doczekał gwałtownego rozkładu naszego organizmu państwowego, jaki zaczął się tuż po uroczystym pogrzebie Kisiela, trwa dotąd i nie wiadomo, czym się skończy” - tak Waldorff rozpoczął swoją książkę o Kisielu. Sam obserwował to, co się działo, jeszcze przez blisko dziesięć lat.

- Książka Słowo o Kisielu powstała w sposób dość dziwny - opowiada Jerzy Kisielewski. - Pojawił się u mnie ktoś, kto chciał wydać nuty ojca i jego książkę Muzyczny gwiazdozbiór. Poprosiłem Waldorffa o napisanie wstępu. Zgodził się, powiedział, że zrobi to w Radziejowicach, ale kiedy przyjechałem po tekst, oświadczył: „Nie będzie żadnego wstępu, bo jest za długi. Będzie książka - Słowo o Kisielu”. Człowiek, który chciał opublikować nuty, więcej się nie pojawił, ale być może bez niego książki, którą wydały „Iskry”, by nie było.

W rozmowie z Ludwikiem Jerzym Kernem kilkanaście miesięcy później Waldorff mówił, że ciągle jeszcze, gdy ogląda w telewizji mecz piłkarski, łapie się na myśli: Jaka szkoda, że Kisiel tego nie ogląda, on tak lubił oglądać mecze. „To była przyjaźń większa, niż mi się zdawało, kiedy przyjaciel żył” - dodał.

Rolę Stefana u boku Waldorffa przejął Jerzy Kisielewski.

„On jest moim przybranym synem” - mówił Waldorff. Przypominał mu przyjaciela.

Wziął po ojcu mnóstwo cech, uważał. Najbardziej niepunktualność; nigdy nie można przewidzieć, kiedy się zjawi. I nieobliczalność.

„Tyle że Jerzyk - przystojniejszy” - podsumował.

- Zbliżyła nas najpierw śmierć mamy, a potem ojca. W pewnym sensie odziedziczyłem tę przyjaźń - wspomina Jerzy Kisielewski. - Waldorffa bardzo wzruszały nasze dzieci, bo swoich nie miał, a dzieci poznańskich krewnych były daleko. Potem zaopiekowaliśmy się Mietkiem Jankowskim, bo wiedziałem, że on tego chciałby.

Niejako z namaszczenia Waldorffa Jerzy Kisielewski znalazł się w Komitecie Powązkowskim, a po jego śmierci został nawet wiceprzewodniczącym.

Pod koniec życia, kiedy z coraz większą trudnością uczestniczył w koncertach i prawie nie mógł już pisać, wpadł na pomysł, że będą to robić razem, jak pianiści grający na cztery ręce. 18 grudnia 1999 roku w „Polityce” ukazała się podwójna recenzja koncertu Krystiana Zimmermana pod wspólną winiętą Dwa Jerze... „To będzie pierwsza próba na łamach «Polityki» połączenia mego pisarstwa z próbą pisarstwa Jerzego Kisielewskiego. Niech wam Bóg błogosławi” - napisał.

Dwa tygodnie później nie żył.

Uwielbiany przez tłumy, odsądzany od czci i wiary przez niektórych znawców...

W Październiku '56 wydawało się, że oto zaczyna się inna Polska. Demokratyczna, wolna, sprawiedliwa, przyjazna ludziom. Szybko jednak miało się okazać, jak bardzo naiwne były to nadzieje. Dla Waldorffa zmiana na szczycie władzy oznaczała dodatkowo uchYLENIE żelaznej kurtyny, która dzieliła Europę. Dotąd podróżować na Zachód mogli tylko wybrańcy, sprawdzeni i dający gwarancję ideologicznej czystości. Dla kogoś, kto, jak Waldorff, spędzał przed wojną po kilka miesięcy w roku za granicą, zakaz podróżowania musiał być szczególnie dolegliwy. Teraz wreszcie mógł znów wyjechać w świat.

W pierwszą po wojnie i pierwszą po prawie osiemnastu latach podróż zagraniczną wyruszył krótko przed Październikiem, statkiem, z Gdyni do Sztokholmu. Ostatecznie jednak motorowiec „Mazowsze” wylądował w niewielkim Visby na Gotlandii, bo sztorm uniemożliwił wplynięcie do stolicy Szwecji. Na nabrzeżu miasteczka odbyła się z tej okazji parada limuzyn wypełnionych Szwedami, zaintrygowanymi pierwszym od zakończenia wojny polskim statkiem, w dodatku z komunistami na pokładzie.

Relacja Waldorffa z pobytu w Visby, a później także w Sztokholmie, była pełna sarkazmu. Przyjął postawę ubogiego krewnego, przyglądającego się w niemym zachwycie wszystkiemu, co widzi: wielkim samochodom, jasnym i pełnym towarów witrynom sklepów,

ukwieconym skwerom, czystym ulicom, a nawet przypominającym luksusowe pensjonaty domom starców. Opisywał szwedzką normalność, ale w porównaniu z rzeczywistością kraju, który próbował dopiero wydobyć się z okowów stalinizmu (ledwo kilka miesięcy wcześniej władza strzelała do ludzi w Poznaniu, a prymas Stefan Wyszyński wciąż był uwięziony; rewolucję na miarę Października trudno było jeszcze sobie wyobrazić), brzmiało to jak akt oskarżenia skierowany przeciwko rządzącym Polską, „...zdecydowany byłem po powrocie do kraju założyć sektę religijną, której członkowie wierzyć by mieli, że po śmierci pójdą do Szwecji” - ironizował. Jednocześnie, by ugłaskać cenzurę, skrzywił się na szwedzki dobrobyt, który rozleniwia ludzi, zwłaszcza intelektualnie. Bardzo dobrze wiedział, że w spragnionej choćby odrobiny zachodniego dobrobytu Polsce nikt nie weźmie takiej krytyki poważnie. Dlatego też bez specjalnego zdziwienia przyjął fakt, że sześciu pasażerów „Mazowsza” odmówiło powrotu do Polski i zostało w Szwecji. „Ustalamy więc idealny typ ludowego turysty - pisał. - To taki, co nie odmawia pacierza i powrotu”.

Jeszcze w tym samym roku odbył kolejną podróż, tym razem do Moskwy. Wrócił zafascynowany otwartością Rosjan i zdegustowany rodakami, demonstrującymi na każdym kroku swoją wyższość wobec sąsiadów ze Wschodu, „...jakby każdy miał w rodzie po trzech wojewodów i dwóch hetmanów” - napisał.

Jeździł coraz więcej, jakby chcąc odrobić wieloletnie zaległości. Podróżował do miejsc nieznanymi i poznanych podczas wyjazdów przedwojennych. W latach 1958 i 1961 był w Londynie, w 1960 w Austrii i we Włoszech, w 1961 w Paryżu, w 1963 w Bukareszcie. W następnym roku pojechał do Niemiec Zachodnich jako kronikarz wyprawy i rzecznik prasowy Opery Warszawskiej, która ruszała na podbój państwa, nazywanego wtedy oficjalnie Niemiecką Republiką Federalną. To była podróż szczególna. Jechali do państwa, które w oficjalnej propagandzie było wrogiem numer jeden Polski. Po pierwsze z powodu przeszłości, po drugie za przyczyną mniej lub bardziej wymyślanego rewizjonizmu wymierzonego w powojenne granice Polski. A po trzecie z powodu nieskrywanej niechęci do Niemców sekretarza partii komunistycznej, Władysława Gomułki.

Dlatego artyści opery mogli ponieść porażkę w każdym innym kraju na świecie; w Niemczech mieli obowiązek wspiąć się na wyżyny swoich talentów i dowieść, że to w Polsce sztuka ma lepsze warunki do rozwoju i stoi na wyższym poziomie. A Waldorff miał to wszystko szczegółowo opisać w gazetach i opowiedzieć w radiu. Nie musiał zresztą ani kłamać, ani nawet poprawiać rzeczywistości, bo Opera Warszawska została przez niemieckich widzów przyjęta owacyjnie, a recenzje w niemieckich gazetach były niemal bez wyjątku entuzjastyczne. A ów wyjątek, recenzja Klaus Geida w hamburskim „Die Wek” -

Waldorff nie pozostawił co do tego wątpliwości - nie wynikała z uczciwej i rzeczowej oceny występu Polaków, ale z głęboko zakorzenionej niemieckiej wrogości wobec Polski. Pisząc o artykule w „Die Welt”, zacytował dowcip, który opowiedział mu ktoś podczas podróży.

Rozmawia dwóch Niemców: młody i stary:

- Byłem w Warszawie - chwali się młody - To bardzo blisko.

- Co też pan mówi - powiada stary. - Warszawa jest na końcu świata.

- Nieprawda, blisko.

- Opowiada pan bzdury, to ogromnie daleko.

- No tak... - zaczyna wreszcie rozumieć młodszy - pan szedł do Warszawy na piechotę...

„Czytając recenzję Klausa Geida, przypomniałem sobie ten żart” - napisał w korespondencji Waldorff. Niespełna dwadzieścia lat po wojnie nie trzeba było nikomu tłumaczyć, kto szedł na Warszawę piechotą i dlaczego nie jest w stanie wznieść się w recenzji ponad nazistowską przeszłość.

Nie lubił Niemców, nie próbował nawet udawać, że jest inaczej, a jeśli nawet próbował, to mu się to nie udawało. Niemcy kojarzyli mu się jednoznacznie, jak owa para, którą spotkał w norweskim Bergen, gdzie w 1966 roku pojechał z Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia. Oboje paskudni, pisał, szczególnie on. „...należał do pokolenia mężczyzn niemieckich, które tak nam obrzydza pobyty w ich kraju, nasuwając zaraz myśl: gdzie też oni grasowali w czasie wojny?” - wspominał. Albo miał wyjątkowego pecha, trafiając wciąż na Niemców wrogich, aroganckich i głupich, albo też takimi właśnie chciał ich widzieć. Niemiecki kolejarz na widok polskich muzyków miał ostentacyjnie głośno zawołać: „Polacy! A czegoż oni szukają u nas w Niemczech?”. Nawet w Wiedniu, w restauracji, gdzie chciał zjeść obiad, do drzwi toalety zaczął dobijać się pijany Austriak, wrzeszcząc: Heil Hitler i Wieder die verfluchte Polen sind hier! - Znów ci przekłęci Polacy tu są.

W Londynie zetknął się z wojenną emigracją, coraz bardziej zubożałą, rozgoryczoną i skłóconą. Żyjącą przedwojennymi podziałami, śmiesznymi konfliktami o władzę i malowniczo upozowaną na kolejną Wielką Emigrację, nieporównywalną jednak z tą dziewiętnastowieczną. Pisał, że ma dla ludzi, którzy wybrali życie w oddaleniu od Polski, szacunek wymieszany z żalem i współczuciem, ale przychodzi mu to z trudem. Bo choć walczyli o Polskę najlepiej, jak potrafili, to rozminęli się z historią, „...skreśliła później najmniej dla nich prawdopodobnie, zostawiając emigrantów poza nawiasem dalszych wydarzeń” - dodał. Zamiast tryumfalnego powrotu na białych koniach, zamiast orderów i nagród pozostał im gorzki chleb wśród obcych. I dojmujące poczucie odrzucenia. Czy więc

może kogokolwiek dziwić, że zgorzkniali, pytał retorycznie?

Czuł, że widzą w nim kawałek ojczyzny. Że podchodzą do gościa z Polski nieufnie, jednak z nadzieją, że zobaczą w nim świat, do którego tak bardzo tęsknią, ale nie mogą wrócić. Bo wszystko potoczyło się inaczej, niż to sobie wymarzyli. Spotkany w Ognisku Polskim Marian Hemar, przed wojną podpora „Qui Pro Quo”, po wojnie jeden z najsurowszych sędziów wszystkich, którzy zapredali dusze komunistom (nigdy nie wybaczył powrotu do Polski Tuwimowi), rzucił się Waldorffowi na szyję.

- Jerzy! Czy pamiętasz, jak piliśmy wódkę u „George’a” we Lwowie? - zawołał.

Jeśli nawet radość Hemara była prawdziwa, to nieprawdziwy był jej powód. Nie mogli pić razem wódki, bo Waldorff był we Lwowie tylko raz w życiu, jako nastolatek, i rodzice na pewno nie pozwoliliby mu wtedy na picie wódki, nawet z kimś tak sławnym. Ale na wszelki wypadek przytaknął, „...bo w Londynie przyznanie, że się czegoś nie pamięta z przedwojennego życia ojczyzny, traktowane jest jak zdrada narodu i dowód zapredania się komunistom” - napisał.

Wyjeżdżał często, ale nie za każdym razem władze, które były w Polsce Ludowej niepodzielnym szafarzem dobra, jakim był paszport i prawo podróżowania po świecie, godziły się na to równie chętnie. W 1963 roku polskie MSZ nie zezwoliło na wyjazd Waldorffa do Stanów Zjednoczonych, choć to Amerykanie zapraszali i mieli opłacać koszty pobytu. Nie pomogła nawet interwencja Stefana Kisielewskiego, od kilku lat posła na Sejm PRL. Na interpelację Kisielewskiego wiceminister spraw zagranicznych, Józef Winiewicz, odpisał, że ministerstwo oczywiście popiera wyjazdy mające na celu propagowanie polskiej muzyki, ale można by przecież znaleźć osoby w tym względzie bardziej niż Waldorff kompetentne i reprezentatywne. Dlatego akurat on „na oficjalne poparcie MSZ dla swej podróży liczyć nie powinien”. Co w języku PRL oznaczało odmowę wydania paszportu.

Zgody na wyjazd nie dostał wtedy także Antoni Słonimski. Chodziło o to, zanotował Waldorff na odwrocie pisma z MSZ, żeby to polski rząd decydował, kto za amerykańskie pieniądze pojedzie do USA opowiadać o polskim życiu kulturalnym.

W 1958 roku nakładem „Czytelnika” miała ukazać się pierwsza po Październiku książka Waldorffa - Konsul Jego Królewskiej Mości. Dwa opowiadania. Nie ukazała się, została zatrzymana przez cenzurę. Na wydruku książki, który po śmierci Waldorffa trafił do Muzeum Literatury, widnieje pieczętka z adnotacją: „Dom Słowa Polskiego. I korekta. Wydano dn. 10.5.1958”. Daty zwrotu nie ma. Waldorff musiał już wiedzieć, że opowiadania i tak nie mają szans na druk. Zatrzymał egzemplarz z odręcznymi poprawkami na pamiątkę. Na pierwszej stronie odbitki zanotował: Jedyne egzemplarz (korekta) książki zlikwidowanej

przez cenzurę. Jak się w ostatecznym rezultacie okazało - bardzo szczęśliwie!”.

Dlaczego uznał decyzję cenzury z 1958 roku za szczęśliwą, można się tylko domyślać. Raczej nie z powodu pierwszego z dwu opowiadań umieszczonych w książce. Nostalgiczne Żaby na placu Wareckim nie powinny były raczej budzić wątpliwości. Opis wojennych zniszczeń placu Wareckiego (później nazwanego placem Napoleona, a dziś placem Powstańców Warszawy), nawet w połączeniu z apokaliptyczną wizją tego, co czeka świat w związku z rozwojem broni jądrowej, nie godził w „wartości”, na straży których postawiono cenzorów. Nie uderzał ani w wieczystą przyjaźń ze Związkiem Sowieckim, ani w komunistyczną po wsze czasy przyszłość Polski czy wszech- i jedynowładzę partii. Mógł co najwyżej przerażać.

W opowiadaniu Waldorff wieszczyl, jak miało się okazać - słusznie, że między bajki można włożyć zapewnienia uczonych, iż śmiercionośna broń pozostanie własnością mędrców o gołębih sercach. Tajemnica produkcji bomby atomowej bardzo szybko przestanie być tajemnicą. A wtedy każdy, państwo, naród czy choćby tylko człowiek dość bogaty, by opłacić laboratoria i pracę uczonych, będzie mógł wejść w jej posiadanie. A to znaczy, że o władnięty żądzą władzy szaleniec będzie mógł wypowiedzieć wojnę każdemu. Jeśli będzie neurastenikiem i - powiedzmy - zakocha się bez wzajemności, to w przyływie depresji, miast rozmieniać swą akcję na drobne bomby, od razu wysadzi kulę ziemską w powietrze. Siły atomowej wystarczy na to z pewnością, zostaje tylko pytanie, czy wystarczy ludzkiego szaleństwa” - przyszłość świata malowana przez Waldorffa była przyszłością przerażającą, ale to chyba nie był wystarczający powód, by opowiadania nie publikować.

Ale już drugie, tytułowe opowiadanie - Konsul Jego Królewskiej Mości, mogło wzbudzić wątpliwości cenzorów.

Jest rok 1950, pomieckie miasteczko nad morzem (prawdopodobnie Darłówek), w którym tylko fryzjer i przedstawiciele nowej władzy to tzw. element napływowy, Polacy „prawdziwi” od autochtonów. Mieszkańcy miasteczka, w większości rybacy, którzy po 1945 roku nie wyjechali albo nie zostali wysiedleni, mówią po polsku z twardym, obcym akcentem, ukształtowanym przez lata używania języka niemieckiego. Stara kobieta, matka gospodarzy, u których wynajmuje pokój literat z Warszawy (alter ego Waldorffa), przed posiłkiem modli się głośno: - Fater unser, derDu Ust im Himmel... - Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Do miasteczka przyjeżdża literat poszukujący tematu, który pozwoli mu zaistnieć na pisarskim rynku. Coraz trudniej bowiem odnajduje się w nowej rzeczywistości. Coraz rzadziej jego teksty przyjmowane są do druku. „Musicie pojechać w teren - poinstruował mnie odpowiedni dygnitarz, tonem zdradzającym wyraźny brak zaufania do mojej pojętności

- jedynie kontakt z terenem pozwoli wam uchwycić społeczne oblicze przemian” - pisał Waldorff, cytując być może słowa, które sam kiedyś usłyszał. Trafia na demonicznego majora Wojsk Ochrony Pogranicza, Pyszcza, który rządzi miasteczkiem twardą ręką. Pyszczek ma pokrytą rudą szczecina głowę i odstające pod kątem prostym uszy. „Nie powinien nazywać się Pyszczek. Raczej Wieprzek” - napisał Waldorff. Ale tam, gdzie powinien być ryj, major ma gruby, haczykowany nos nad odętymi wargami, dokończył charakterystykę.

Pyszczek terroryzuje nie tylko mieszkańców miasteczka, ale i letników, którzy przyjeżdżają do kurortu na wakacje. Każdy „obcy” to potencjalny kandydat na uciekiniera z Polski, a więc zdrajca i wróg Pyszcza. „Ja wam radzę zapomnieć, że jest morze! My tutaj nie lubimy amatorów pływania” - ostrzega literata. Malarzowi, który przyjechał do miasteczka, żeby malować morze, zabrania pracować. Major nie widzi różnicy między obrazem a fotografią, ale pamięta, że fotografować strefy przygranicznej nie wolno.

Konsul Jego Królewskiej Mości po raz pierwszy ukazał się drukiem dopiero w roku 1985, w zbiorze Dolina szarej rzeki. Porównanie wersji z roku 1958, która nie mogła się ukazać, i tekstu późniejszego o dwadzieścia siedem lat jest pouczające. Wygląda na to, że to, co było zakazane w roku 1958, pozostało niedozwolone także w 1985.

Pyszczek, w pierwszej wersji opowiadania major WOP, w wersji z roku 1985 był już tylko „przedstawicielem władzy, odpowiedzialnym za właściwy tok i bezpieczeństwo życia obywateli”. Polski oficer nie mógł przecież pojawić się w negatywnym kontekście. Podczas pierwszej rozmowy Pyszczek zapytał literata, czy zna niejakiego Maślińskiego. Maśliński - wytłumaczył - też kiedyś pisał... do ambasady angielskiej. W pierwotnej wersji rozmowa miała mieć ciąg dalszy. Major „zarechotał krótko, pochylił się przez biurko i dodał: - Teraz już nie pisze”.

To zdanie najwyraźniej brzmiało równie złowroźnie, w czasach gdy dobrze jeszcze pamiętano praktyki stalinowskiego UB, jak i w okresie, gdy w świeżej pamięci czytelników tkwił stan wojenny. Podobnie jak kolejne, gdy Pyszczek zagroził literatowi, że znajdzie mu miejsce, z którego morza nie widać w ogóle.

W wydaniu z 1985 roku dalszy ciąg rozmowy wyglądał następująco:

„- Nie wolno zatrzymywać ludzi bezpodstawnie!

- Ja tutaj mogę wszystko...”.

W oryginale z 1958 miał brzmieć:

„- Aresztowanie należałoby do władz bezpieczeństwa, nie do pana.

- Ja tu jestem wszystkim!”.

Takich zmian, koniecznych zdaniem cenzorów, żeby tekst mógł ukazać się drukiem,

było więcej. „Bolszewików” z roku 1958 zastąpiły w 1985 „wojska nacierające ze wschodu”. „Agenci bezpieczeństwa”, którzy w 1958 roku przyjechali do miasteczka, w 1985 byli już tylko „agentami właściwego urzędu”. Niemieckie szyldy, wyłaniające się spod cienkiej warstwy wapna, w 1958 roku miały mieć zgodne z prawdą brzmienie: Herbert Stein - Textilwaren i Schauspielhaus - Germania, w 1985 miały już nazwy, bardziej pasujące do propagandowej tezy, głoszącej powrót Polski na prastare piastowskie Ziemie Zachodnie: Herbert Sowa - Tekstylia oraz Sala Teatralna Związku „Zgoda”.

Centrum życia w miasteczku jest knajpa „Mewa”, w której wieczory spędzają major Pyszczyk, literat i stary szyper z wąsami brunatnymi od nikotyny. On jeden z jakiegoś powodu nie boi się psychopatycznego majora. Gdy inni klienci na widok oficera chyłkiem opuszczają „Mewę”, szyper pozwala sobie na uwagi, że słucha w radiu tylko audycji nadawanych z Londynu, co w 1950 roku musiało brzmieć jak antypaństwowa deklaracja.

To w „Mewie” pijany i wściekły Pyszczyk zdradza literatowi, kogo nienawidzi najbardziej. W 1958: „- Z wami, inteligentami, dogadać się można tylko przez kratki”. W 1985 i w wydaniach późniejszych została tylko niedopowiedziana pierwsza część: „- Z wami inteligentami, dogadać się...”. Kojarzenie polityki władzy wobec inteligencji z represjami i więzieniami nie brzmiało dobrze na żadnym etapie historii PRL.

Jest jeszcze w opowiadaniu tajemniczy starzec, prowadzący z literatem długie rozmowy o życiu, Bogu i Szwecji, do której uciekają z miasteczka ludzie. Stary człowiek buntuje się przeciw porządkom zaprowadzonym przez Pyszczyka w imieniu nowych władców Polski. Głośno sprzeciwia się pozbawianiu ludzi elementarnych praw. Do malowania, pisania, nawet do opuszczenia kraju. Krzyczy. W 1958 roku: „Oto są skutki uszczęśliwiania ludzi przemocą!”, co brzmi jednoznacznie, mocno i najwyraźniej niecenzuralnie. A w 1985 już nie tak jasno: „Oto co się dzieje, kiedy politykom odbiorą władzę fanatycy!”.

Starzec nienawidzi wszystkich, którzy w imię zbawiania ludzkości dokonują gwałtów. Chcąc uszczęśliwiać, a dręczą i zabijają tych, którzy nie chcą ich słuchać. W wersji opowiadania z 1958 roku stary człowiek wyrzuca z siebie: „- Czy taki opętaniec zwał się będzie Marks czy Jezus, nazwać go trzeba zbrodniarzem! Nie można chcieć, żeby ludziom było dobrze. Wolno się tylko starać, żeby im było najmniej źle”.

W opowiadaniu, które ukazało się w roku 1985, tego fragmentu nie ma w ogóle.

Jest za to inny, ilustrujący grę, którą Waldorff prowadził z cenzurą, chcąc doprowadzić do ukazania się książki. W wersji z roku 1985 dopisał akapit, którego dwadzieścia siedem lat wcześniej nie było. Miał obrazować stosunek autochtonów z miasteczka do nowej rzeczywistości. Rybacy naprawdę chcieliby, żeby złe czasy wreszcie się

odmieniły, zapewniał Waldorff. Ale nie za wszelką cenę. A przede wszystkim w zgodzie z oczekiwaniami nowej władzy. „Oczywiście nie drogą wojny i powrotu dawnych władców tej ziemi. Gospodarstwo manifestacyjnie akcentowali pragnienie, by miasteczko, skoro wróciło szczęśliwie do polskiej macierzy, ostało się przy niej na wieki wieków” - pisał.

Ten państwotwórczy akapit był w Konsulu... w wersji z roku 1985, ale z kolejnego, w roku 1993, już w nowej Polsce, został usunięty. Najwyraźniej był tylko serwitutem, który pisarz zgodził się zapłacić, żeby uratować opowiadanie.

Na koniec major Pyszczyk, który przez lata wyłapywał uciekinierów, próbujących przedostać się przez Bałtyk do Szwecji, sam ucieka. „Przemawiał zaraz przez radio. Że nie mógł dłużej znosić terroru, więc się wyrwał ze szponów reżimu”. Tak brzmiało to w wersji opowiadania z 1985 roku. W 1958 Waldorff miał jeszcze nadzieję, że będzie mógł terror nazwać po imieniu - „komunistyczny”. Ale cenzura była czujna. Nie pozwoliła.

Można oczywiście zapytać, dlaczego po 1989 roku, kiedy było to już możliwe, Waldorff nie przywrócił opowiadaniu pierwotnego kształtu. Być może uważał, że nie ma o co kruszyć kopii. Opowiadanie i tak się broni, a on nie potrzebuje pokazywania ran po komunizmie. Może uznał, że ma już zbyt mało czasu, by zajmować się przeszłością. A być może po prostu nie chciał się tłumaczyć, dlaczego w 1985 roku wyraził zgodę na opublikowanie Konsula... w wersji okaleczonej. W wydaniu z 1993 roku opowiadanie nie różniło się, poza przytoczonym fragmentem, od tego z 1985.

Tom opowiadań nie wyszedł, ukazała się za to Gorzka sława, opowieść Waldorffa i Leonii Gradstein o Karolu Szymanowskim. Gradstein była przez kilka lat sekretarką, a w ostatnich latach życia kompozytora także jego opiekunką. Nikt nie mógł wiedzieć o najważniejszym okresie życia Szymanowskiego więcej niż właśnie ona. Zaś Waldorff miał jej pomóc w przelaniu wspomnień na papier.

Postanowili zrobić to tak, by czytelnicy byli pewni, że naprawdę mają do czynienia z relacją naocznego świadka. Gradstein miała najpierw samodzielnie przypomnieć sobie i spisać jak najwięcej faktów z przeszłości, a później Waldorff brał ją „na przesłuchanie”. „Stawiając mą partnerkę w krzyżowym ogniu pytań, usiłowałem dopomóc jej pamięci” - napisał we wstępie do książki.

Szukali potwierdzenia posiadanych informacji także u innych. Zaprzyjaźnionego z Szymanowskim Zygmunta Mycielskiego wypytywali, czy kompozytor był kokainistą. To był pomysł Waldorffa, pisała Gradstein. Wśród pamiątek po Szymanowskim zachowała się mała fiolka z białym proszkiem, którą kompozytor za życia nosił zawsze przy sobie. Nigdy jednak nie mówił, co zawiera. Waldorff przekonał współautorkę, żeby podać zawartość buteleczki

analizie. Była w niej kokaina w proszku, morfina w tabletkach i tamponik do wdychania kokainowego pyłu przez nos. „Tak przygotować narkotyki mógł tylko doświadczony narkoman, bowiem kokaina, skoro minie oszołomienie, zostawia niesmak, który umniejsza zażycie morfiny w tabletkach” - pisali autorzy.

„Leonka Gradstein i Waldorff chcą pokazać Szymanowskiego en pantoufles. Nie spodziewam się rewelacyjnych rezultatów” - zanotował w swoim dzienniku Mycielski. Parę miesięcy później napisał jednak, że Waldorff „nakręca” Leonie Gradstein do pisania, a rozdział o perypetiach z paryskim wystawieniem baletu Harnasie uznał za dobry i prawdziwy. Znacznie lepszy niż obiad, na który liczył, przyjmując od Gradstein zaproszenie, „...dała cztery małe paszteciki, na które patrzyliśmy z Waldorffem tępo, przeklinając skąpstwo gospodyni” - pisał 9 stycznia 1960 roku.

Literacko materiał opracowywał Waldorff. Ale i wtedy, zapewniał w przedmowie, szczegółowo omawiał z Leonie Gradstein każdy fragment tekstu. „Dlatego całą pracę uważamy za wspólną i nie widzimy powodu, żeby rozbijać jej autorstwo na części” - napisał we wstępie. Pełnił przy pisaniu książki tę samą funkcję, co przy pamiętnikach Władysława Szpilmana, i podobnie rzecz się skończyła. Najpierw nieporozumieniami z Leonie Gradstein, potem otwartym konfliktem. Współautorka Gorzkiej sławy nie mogła znieść minchausenowskich opowieści Waldorffa o kontaktach z Szymanowskim, które w jego ustach nabierały cech bliskiej znajomości, a także przechwałek o przedwojennych paryskich znajomościach z Igorem Strawińskim i Maurice'em Ravelem.

Przyjęto Gorzką sławę chłodno. Recenzenci mieli książkę za złe przede wszystkim wstęp Waldorffa. Jarosław Iwaszkiewicz w „Życiu Warszawy” napisał, że książki się bał i sporo obaw, zwłaszcza dotyczących się dbałości o szczegóły, się potwierdziło. Ale większy żal ma do Waldorffa, że chcąc podnieść wagę wspomnień Leonii Gradstein, zdeprecjonował wszystko, co napisali o Szymanowskim inni. W tym i sam Iwaszkiewicz. Także Teresa Bronowicz-Chylińska, recenzująca książkę w „Ruchu Muzycznym” poczuła się dotknięta. Westchnięciem Waldorffa ze wstępu, że „...być może doczekamy się kiedyś skrupulatnych badaczy, takich, jakimi są uczeni niemieccy. Co jasno sugerowało, że dotychczasowe publikacje o Szymanowskim nie są wiele warte. „Autorzy Gorzkiej sławy to też Polacy” - napisała Teresa Bronowicz-Chylińska, a następnie przystąpiła do wyliczania błędów. Czasem dość łatwych do uniknięcia, jak choćby występująca w dwóch różnych wersjach data śmierci siostry kompozytora.

Nie ma dla osoby piszącej zbyt wielu gorszych obelg niż zarzut, że grzeszy brakiem schludności i precyzji myślenia, a to Waldorff zarzucił biografom Szymanowskiego, „...to

właśnie omawiana książka pisana jest bardziej sercem niż głową, a dla bardzo licznych i drażniących, psujących dobrą całość nieścisłości, nie może sobie rościć pretensji do roli dokumentu” - ocenił Iwaszkiewicz.

Spór z Leonią Gradstein nie był jedynym, jaki Waldorff wtedy toczył. Kiedy w felietonie na łamach tygodnika „Świat” zaatakował „Ars Polonę” („monopolistyczne przedsiębiorstwo handlu płodami sztuki” - jak pisał) za nieruchawość, nieudolność i obstrukcję wobec artystów, firma wniosła do sądu pozew o zniesławienie. Nie przejął się. „Tymczasem jadę nad morze, by zbierać siły na odsiedzenie tury, do której wtrąci mnie «Ars Polona»,” - informował czytelników „Świata”. Jak się okazało, nie przejął się słusznie. Nowy dyrektor wycofał skargę z sądu i zaproponował nawet krytykowi funkcję doradcy firmy. Ale „Ars Polony”, ubolewał Waldorff, nie było to jednak w stanie zmienić; zbyt była spleciona zależnością od kilku ministerstw naraz.

Felietony publikowane w „Świecie” cieszyły się coraz większą popularnością. Przede wszystkim dzięki językowi, zdecydowanie wyróżniającemu się od zglajchszaltowanego języka oficjalnej prasy. Waldorff nie przebierał w słowach, używał języka ostrego, czasem dosadnego. Przełożone przez Janusza Minkiewicza na język ulicy libretto Pięknej Heleny Jakuba Offenbacha, uznał za dowcipne, ale kompletnie odstające od muzyki. „Gdy byłem sprośnym pacholęciem, bawiłem się z kolegami śpiewaniem pierwszych taktów Marsza żałobnego Chopina do słów: „J... cię pies, k... twoja mać” - skomentował. Nikt nie mógł mieć jednak wątpliwości, że potem dorósł i więcej tego nie robił.

O krytykach nowej inscenizacji Straszego dworu, którzy odmawiali Aleksandrowi Bardiniemu i Bohdanowi Wodiczce prawa do własnej interpretacji opery, napisał: Rejtany, psiamac. Recenzentów, którzy muszą narzekać i opluwać innych, żeby lepiej spać i trawić, wyśmiał w felietonie Staropolskie oplujmy się. Tytuły innych tekstów były równie smaczne: Przeklęty noworodek, O zimnej Aszantce i zyletkach, Ty stara pyro!, Gdzieżeś, o podkasana, o wdowie i wariatach, Corrida trwa, Na koń, Upupienie doskonałe, Ob. Donosiciel, Wątpliwe łóżko hrabiny. Ponieważ nie ma żadnej gwarancji, że ktoś czyta jego muzyczne felietony, tłumaczył, musi łowić czytelników na atrakcyjne tytuły. Składając opublikowane w „Świecie” artykuły w książkę, nadał jej jedyny wyobraźalny wspólny tytuł - Ciach go smykiem! Bo, pisał we wstępie, wybór zawiera przede wszystkim „...publikacje batalistyczne: natarcia, polemiki, obrony”. Jeśli czytelnik spotka się z chwilą zadumy, będzie to, zapewniał, wyłącznie chwila odpoczynku przed kolejnym starciem. Jak podczas prawdziwej wojny.

Chwalono Waldorffa za styl, ale odmawiano mu, zwłaszcza „prawdziwi” krytycy, kompetencji i wiedzy. Polemiści, oddając, szczerze albo niechętnym półgębkiem,

sprawiedliwość talentowi popularyzatorskiemu Waldorffa, na tym samym oddechu odbierali mu prawo do przypisywania sobie muzykologicznej wiedzy. „Uwielbiany przez tłumy, lekceważony, a nieraz odsądzany od czci i wiary przez poniekórych znawców” - pisał Bohdan Pociąg, recenzując wybór felietonów Waldorffa ze „Świata”.

Pociąg, sam muzykolog i krytyk, autor wielu książek, potrafił docenić wartość tego, co Waldorff robił dla popularyzacji muzyki. Dostrzegał popełniane w felietonowym ferworze błędy, ale widział, że to właśnie sposób, w jaki pisze, jest największą wartością tekstów Waldorffa. Że bez jego dowcipu, nawet tego niezbyt wyrafinowanego, bez niewyparzonej gęby, pikantnych aluzji, bez kpin, kalamburów, wygłupów, harców, bez czasem bardzo złośliwych ataków i okrutnych porównań muzyce poważnej trudno byłoby przebić się na najbardziej poczytne łamy. Być może więc poświęcone muzyce felietony Waldorffa czytane są przede wszystkim dla ich formy, pisał, ale dzięki temu dociera do czytelników także wiedza o koncertach w Filharmonii Narodowej, o „Warszawskiej Jesieni”, o premierach w operze. A bez tych felietonów „muzyczna głuchota” Polaków byłaby jeszcze głębsza. „Zjawisko «Waldorff» jest również fascynujące przez swą cudowną anachroniczność - pisał Pociąg - jest on mianowicie postacią z rodu owych pysznych oryginałów, królujących w kawiarniach przedwojennej Warszawy czy Krakowa”.

Polem, na którym Waldorff gotów był prowadzić walkę na śmierć i życie, do ostatniego tchnienia, była sprawa umuzykalniania Polaków, zwłaszcza młodzieży. Już dziś, pisał w roku 1960, muzyki w szkołach ogólnokształcących praktycznie nie ma. Jeśli tak dalej pójdzie, starzy melomani wymrą, a Filharmonia Narodowa będzie mogła koncertować wyłącznie na Powązkach, „...rosną u nas - jedno za drugim - pokolenia głuchych” - pisał w felietonie Na koń. W relacjach z podróży zwykle opisywał odwiedzane opery, filharmonie, muzea i... Polaków, spotykanych gdzieś w świecie, którzy wyjechali, bo w Polsce zabrakło dla nich miejsca („...dlaczego wyzbywamy się tylu znakomitych specjalistów, zatrzymując wałkoni bez talentu!” - ubolewał). Wracał do tego tematu przy każdej nadarzającej się okazji. A kiedy dowiedział się, że w nowym Centrum Polskiego Radia i Telewizji na Mokotowie nie zaplanowano sali koncertowej, wpadł w furję. Jezusie, Mario, trzymajcie, bo zacznę mordować” - groził.

Nie wszystkim jednak takie metody odpowiadały.....nie lubię jego stylu, drażni mnie jego agresywność i krzykliwość” - napisał Ludwik Erhardt, z którym Waldorff wielokrotnie toczył muzykologiczne i nie tylko spory. A potem porównał felietony Waldorffa do Madame Butterfly Giacomo Pucciniego, którą, jak zdradził czytelnikom, uważa za skrajny przykład kiczu, brednię tekstową i muzyczną, oraz kliniczny okaz operowego nieporozumienia

estetycznego. Ale tak myśli tylko do momentu, gdy zacznie muzyki Pucciniego słuchać, wyznał. Wtedy zapomina o swoich uprzedzeniach i o wadach opery. Słucha jej w zachwycie, jaki może ofiarować człowiekowi tylko najpiękniejsza muzyka. Tego samego uczucia doznaje, czytając felietony Waldorffa. Śmieje się z jego dowcipów, podziwia felietonową zręczność, cieszy z ostrości sformułowań i... zapomina o niechęci. „Powraca ona dopiero później, gdy zżymam się, spostrzegając, że jeszcze raz dałem się nabrać na dość tanie chwytły i prymitywne sposoby” - poskarżył się.

Zarzucano Waldorffowi, że nie zdaje sobie sprawy z siły własnych słów. Kiedy o Janie Kulaszewiczu, wtedy dyrektorze Orkiestry Symfonicznej w Białymstoku, napisał, że co prawda muzyk z niego niezły, ale nie tak dobry jak działacz i organizator życia kulturalnego, uznano to niemal za akt artystycznego morderstwa popełnionego na dyrygencie. Przez prasę branżową przetoczyła się dyskusja nad sformułowaniem Waldorffa i nic nie pomogło mu tłumaczenie, że przecież najpierw oddał honor zasługom Kulaszewicza. Zarzucano mu, że dla publicystycznego efektu gotów jest pogrzyźć człowieka, a gdy tylko przyjdzie mu do głowy jakiś dowcip, natychmiast go wykorzystuje, nie bacząc, jaką szkodę wyrządza w ten sposób osobie, której żart dotyczy. Nikt nie chciał słuchać tłumaczeń Waldorffa, że przecież napisał, jak ważna jest działalność Kulaszewicza dla Białegostoku i w jak trudnych warunkach, bez porządnej sali i dobrych instrumentów, musi on pracować. W pamięci pozostało jedno jedyne zdanie dyskredytujące artystę.

Z jednej strony miano mu za złe, że buduje swoją popularność, szargając okadzane powszechnie świętości, z drugiej, kiedy wydał zbiór felietonów Zbuntowane uszy, złożony z tekstów raczej spokojnych i uładzonych, posypały się pretensje, że książka jest zbyt potulna, przez to nudna, a w ogóle to strasznie mało „waldorffowa”. „...zamiast frapującej kroniki wojen prowadzonych przez Waldorffa otrzymaliśmy zbiór grzecznych felietonów ukazujących autora w niezbyt korzystnym świetle; ich ładunek intelektualny jest znikomy” - wybrzydzał nie kto inny, tylko Ludwik Erhardt. Bo prawdziwy Waldorff to przecież ten, który nikogo nie pozostawia obojętnym, wielbicieli nieodmiennie zachwyca, przeciwników doprowadza skutecznie do pasji.

Zygmunt Mycielski napisał, że zdrętwiał, kiedy dowiedział się, że Waldorff pisze książkę o dyrygentach (Diabły i anioły). Zdrętwiał, ale tylko na chwilę. Bo Waldorff, pomyślał, to przecież zbyt szczwany lis, by podłożyć się fachowcom, pisząc o rzeczach, na których nawet absolwent konserwatorium w klasie fortepianu nie może znać się wystarczająco dobrze. I, okazało się, miał rację. Bo w książce co najmniej równie ważne jak sylwetki dyrygentów, było tło, na jakim pokazywał ich Waldorff. Historia Paryża i jego

najsłynniejszych gmachów, wznoszonych, gdy w stolicy Francji pojawił się Pierre Monteux. Rodzący się niemiecki nazizm i powody, dla których nawet tacy dyrygenci jak Wilhelm Furtwangler czy Herbert von Karajan nie potrafili odmówić współpracy III Rzeszy. Poruszająca samotność wdowy po czeskim dyrygencie Vaclavie Talichu, oskarżonym o kolaborację z Niemcami, „...opowieść o życiu, które było pasmem osiągnięć i klęsk, wysiłków i zmagających z potworami sztuki i sławy” - pisał Mycielski o Diablach i aniołach.

Ale nie pisał wyłącznie o muzyce, często była ona tylko pretekstem. Nie było właściwie miesiąca, żeby nie upomniał się o naprawienie jakiejś krzywdy czy głupoty, usunięcia wyrządzonego zła czy zlikwidowania biurokratycznego absurdu. Nie przebierał w słowach. W zabytkowej Bramie Wyżynnej w Gdańsku wyborowano ordynarną dziurę na przewód? Nie można było zrobić głupiej, złościł się, a ten, który taką decyzję podjął, powinien zostać skazany na dziesięć lat bicia głową w mur Bramy. Luksusowy hotel we Władysławowie wybudowano za ciężkie miliony tuż obok fabryki mączki rybnej i teraz smród wypędza klientów? Odpowiedzialnych należy zamknąć dożywotnio w tejże fabryce! Nie potrafimy pochwalić się światu kolegiatą w Leżajsku, piękniejszą niż katedra wawelska, z organami, do których te słynne w Oliwie nawet się nie umywają? No to trzeba pogonić centralnych gamoni od turystyki w diabły i zacząć samemu zapraszać amerykańskich turystów, którzy zlecą się płacić za atrakcję twardymi dolarami. Naród domaga się kar dla chuliganów i najrozmaitszej maści szkodników społecznych? „Sądzę, że równie głośno należałoby domagać się jak najostrzejszych kar dla wielkich szkodników kulturalnych i gospodarczych” - apelował. Postulował, żeby powierzyć prowadzenie hoteli i budowę autostrad wyspecjalizowanym konsorcjom zagranicznym, co po latach w przypadku hoteli udało się zrobić z dobrym skutkiem, ale w przypadku autostrad nie.

Prowokował ostrym językiem i bezkompromisowymi poglądami, odwoływaniem się do historii II Rzeczypospolitej i do zasad, które coraz mniej pasowały do powojennej rzeczywistości. To powodowało, że cenzura uważnie przyglądała się temu, co pisze. Kiedyś zapytał cenzora o powód skreślenia z felietonu jakiegoś fragmentu. Usłyszał, że to dlatego, bo wyraził się... niegrzecznie.....cenzura szlachetnym wysiłkiem sprowadziła większość naszych recenzji artystycznych, zwłaszcza w prasie codziennej, do ugrzecznienia o smaku flaków z olejem” - pisał Waldorff.

W jednym ze zbiorów felietonów cenzura bez wiedzy i zgody Waldorffa zamieniła nazwisko Stefana Kisielewskiego, na które obowiązywał właśnie „zapis”, na inne, mniej drażniące decydentów, „...ku zdumieniu własnemu i środowiska dowiedzieliśmy się, że prowadzę spór o awangardę ze Stefanem Poradowskim, Bogu ducha winnym nauczycielem

harmonii (także ongiś moim) w konserwatorium w Poznaniu” - pisał zdziwiony Waldorff. Zdziwienie było tym większe, że kiedy wcześniej polemika ukazywała się w prasie, nazwisko Kisielewskiego było jeszcze na swoim miejscu. Chciał nawet, pisał, pozwać urząd cenzury do sądu, żądając naprawienia krzywdy moralnej, jakiej doznał. Jeśli tak było naprawdę, świadczyłoby to o sporej naiwności Waldorffa, przecież z wykształcenia prawnika. „Adwokat odpowiedział, że szkoda każdego grosza, bo tej sprawy nie wygram” - wspominał.

Nawet niewinna z pozoru, wspólna z Leonią Gradstein, książka o Szymanowskim też okazała się dla cenzury niestrawna. Zygmunt Mycielski chciał opublikować w niszowym „Ruchu Muzycznym” fragment Gorzkiej sławy, ale cenzura zaprotestowała. „Powód: wymieniony jest ówczesny komisarz rządu, Jaroszewicz, w «zbyt przychylnym świetle»,” - zanotował Mycielski 15 lutego 1960 roku. Włodzimierz Jaroszewicz był przed drugą wojną światową komisarzem ustanowionym przez rząd w Warszawie.

Ingerencje cenzury bywały przede wszystkim głupie, często niezrozumiałe, zawsze irytujące, ale mogłoby się wydawać, że są granice absurdu, które raczej trudno przekroczyć. Cenzurze się to udawało. Na przykład kiedy przedstawiciel ościennego mocarstwa, aspirującego do roli przywódcy połowy świata uznawał, że felieton czy wygłoszona opinia na temat tańca jest brutalnym atakiem na jego państwo. Waldorff został na kilka miesięcy odsunięty od pisania felietonów i recenzji muzycznych w „Świecie”, gdy napisał, że współczesny balet rosyjski to szacowne muzeum, przechowujące tradycje baletu klasycznego. Podczas kolacji z Zygmuntem Mycielskim opowiedział mu, co było dalej. Sowiecki ambasador wręczył notę protestacyjną wiceministrowi spraw zagranicznych, ten przekazał protest redaktorowi naczelnemu „Świata”, Stefanowi Arskiemu, a Arski nie miał wyjścia, musiał winowajcę zawiesić. Mycielski był zresztą przekonany, że Waldorff stał się kozłem ofiarnym, który pokutował za wszystkie winy Polaków wobec muzyki rosyjskiej. Za chłodne przyjęcie rosyjskich muzyków podczas „Warszawskiej Jesieni”, za zimny stosunek do rosyjskiego baletu, za niepowodzenie wiolonczelisty, Mściława Rostropowicza, na którego koncerty w Paryżu i Londynie wałą tłumy, a w Polsce sale świeciły pustkami. „Wszystko skrupiło się na Waldorffie, który w ten sposób awansował na wroga nr 2 ZSRR (Kennedy jest nr 1!) - pisał Mycielski 8 listopada 1960 roku - ale dziś taka nota, groźna za czasów Stalina, ośmiesza tylko to wielkie państwo”.

Gdy wrócił do łask, dał się namówić na krótki romans z muzyką rozrywkową. W 1963 roku został zastępcą Kisiela w jury I Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. „Taaaaaka zabawa!” - napisał. Zgodnie nagrodzili wówczas m.in.: Ewę Demarczyk, Wojciecha Młynarskiego i Karin Stanek. A po koncercie wszyscy poszli na bankiet do słynnej wtedy w

Opolu knajpy „Pająk”. „Karin (...) tańczyła twista z samym Jerzym Waldorffem ku zazdrości innych piosenkarek” - wspomniano jeszcze po latach.

Na początku lat sześćdziesiątych zaproponował kolegom parającym się krytyką powołanie w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Muzyków samodzielnej Sekcji Krytyków, Recenzentów i Publicystów Muzycznych, „...powodowany złudną nadzieją, że w jednej zagrodzie będą się pasły zgodnie owce z wilkami” - tłumaczył.

Pisał, że chodziło mu o zmianę obowiązującego w świecie muzyki schematu dyskusji, w którym role są od lat podzielone tak samo:

Krytyk: Pan źle komponuje.

Kompozytor: A pan gwałci nieletnie!

Jako przewodniczący sekcji zorganizował głośne i szeroko komentowane seminarium poświęcone krytyce muzycznej, jej poziomowi, ambicjom i skuteczności. W książce, będącej pokłosiem debaty - Krytycy przy okrągłym stole, głos zabrali kompozytorzy, krytycy i pisarze związani z muzyką, wśród nich: Witold Lutosławski, Mieczysław Porębski, Zygmunt Mycielski, Bohdan Pocij, Stefan Kisielewski, Paweł Hertz i Artur Międzyrzecki. „Czytelnik znajdzie w niej czasem postawy skrajnie kontrowersyjne, widzenia świata i spraw jego całkiem odmienne, co da nie byle jaką przyjemność wyboru...” - zachwalał tom Waldorff. W świecie, w którym próbowano wymusić jednomyślność nawet w takich niszowych dziedzinach jak muzyka, cenny był każdy wyłom.

Godzić ogień z wodą i wilki z owcami udawało się przez sześć lat. W 1965 roku przekonał się jednak, że na dłuższą metę to niemożliwe. Do konfliktu doszło podczas VII Konkursu Chopinowskiego. Grupa krytyków postanowiła przyznać własną nagrodę, nie kryjąc, że jest przeznaczona dla artystów pominiętych przez jury. Ale „Nagroda Specjalna Polskich Krytyków Muzycznych dla Niezwykłych Młodych Talentów” rozsierdziła jurorów. „Krwawe to było starcie, a szczęk oręza brzmiał po kraju całym” - wspominał Waldorff. W efekcie władze Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków zażądały od członków Sekcji Krytyków, by na czas pracy w organach stowarzyszenia zawiesili uprawianie zawodu.

Waldorff próbował pomysł wykić. Sekcja Krytyków, by zadowolić krytykowanych, powinna pewnie zmienić się w Sekcję Lizaków, drwił w radiu, okazało się jednak, że wniosek o rezygnację z pisania jest traktowany absolutnie poważnie, „...wobec czego trzasnąłem legitymacją o stół zjazdowy, wynosząc się” - wspominał. Inni członkowie sekcji pozostali w SPAM-ie. Zgodzili się na sytuację niezgodną z naturą, uważał. Krytycy-wilcy siedzą z podwiniętymi ogonami, osaczeni przez owce, które warczą na nich i szczerzą zęby, szydził.

Przypomniał tę historię parę lat później, popierając pomysł powołania Stowarzyszenia

Krytyków Sztuki, które miało zrzeszać publicystów zajmujących się krytyką literacką, teatralną, muzyczną, plastyczną i filmową. Przeciwnicy twierdzili, że odrębna organizacja nie jest krytykom w ogóle potrzebna, bo wszystkie branżowe związki artystyczne mają w swych strukturach specjalne sekcje, a poza tym krytyka odgrywa przecież rolę służebną wobec prawdziwych sztuk. Waldorff był wśród zdecydowanych zwolenników odrębnego związku, „...rzuciłem tezę, iż krytyka spośród innych dyscyplin artystycznych wyróżnia się bardzo zasadniczo tym, że jest sztuką znienawidzoną” - przekonywał. Krytyk jest zawsze w sytuacji dwuznacznej. Jeśli napisze o artyście dobrze, ten uzna go za dobrego i kompetentnego, jeśli źle - artysta będzie raczej skłonny widzieć złą wolę krytyka niż własną porażkę. Musi więc znaleźć i dobrać odpowiednie argumenty, by przekonać odbiorców o wielkiej wartości lub nijakości ocenianego dzieła. Bo krytyka artystyczna spełnia tę samą funkcję, co szczupaki w jeziorach, „...zjadając narybek słaby i nieudany, podczas gdy dorodne ryby muszą bezustannie mieć się na baczności!” - pisał. Krytyk musi wreszcie nie raz i nie dwa stawić czoło władzy, chętniej do kreowania własnych hierarchii i wynoszenia na piedestał wiernych sobie, choć wcale nie dobrych artystów. A gdy próbuje się temu przeciwstawić, bywa knebłowany przez cenzurę, przekonywał.

Wyrobił sobie pozycję osoby niezależnej, do której opinii odwoływano się podczas sporów. W tym charakterze zaproszony został do dużego miasta (nie zdradził jego nazwy, ale była w nim i opera, i filharmonia, i operetka, co ograniczało wybór do zaledwie kilku największych w Polsce), w którym doszło do konfliktu między dyrekcją opery a miejscowym krytykiem. Recenzent miał nieszczęście negatywnie ocenić jedną z premier. „Ocena wszakże utrzymana była w tonie spokojnym, pozbawionym jakichkolwiek uszczypliwości, od których niewolne są moje felietony muzyczne” - napisał Waldorff. Mimo to rozeźlona dyrekcja rozesłała listy do wszystkich możliwych instancji, z komitetem wojewódzkim partii i władzami samorządowymi na czele, zarzucając krytykowi ignorancję, nieuczciwość i szkodnictwo. Sąd nad dziennikarzem trwał pięć godzin. Waldorff stanął w obronie prawa do wolności krytyki, przekonując zebranych, że lepiej ustalić wcześniej czytelne zasady rekrutacji recenzentów do gazet, niż pisać listy „...mające przykry charakter denuncjacji lub próbek terroru”. Argument był ryzykowny, zwłaszcza że adresatem owego donosu była przecież rządząca partia, ale najwyraźniej Waldorffowi takie słowa odpuszczano.

- Jego postawa przypominała czasem balansowanie na linie. Bo komuniści pozwalali mu na więcej niż innym, ale dość łatwo było przekroczyć granicę, po której potrafili bez skrupułów człowieka zniszczyć - wspominał Jan Majdrowicz, jeden z ówczesnych przyjaciół Waldorffa. - Jeśli jemu się udawało, to dlatego, że partyjni dygnitarze snobowali się na

kontakty z nim. Dowartościowywali się, mogąc pokazać się obok kogoś takiego jak Jerzy. A on łaskawie im na to pozwalał. Odgrywał rolę wizytówki, którą można się było pochwalić na zewnątrz... że owszem, budujemy komunizm, ale jest też ktoś taki jak Waldorff... A on to wykorzystywał i nie bał się krzyknąć: - Panie ministrze, pan nie może tak postępować, pan niszczy polską operę!

Jerzy Waldorff miał ciche wsparcie Zenona Kliszki, pierwszego towarzysza po Gomulce” - wspominał Andrzej Matynia, w latach sześćdziesiątych cenzor, a potem krytyk sztuki. Waldorff, Karol Małcużyński w telewizji, Piwnica Pod Baranami byli na specjalnych prawach. „To były uznane autorytety, takie wentyle” - dodał Matynia.

- Czasem na prośbę Jurka zapraszałem jakiegoś dygnitarza od kultury - mówił Majdrowicz - i wtedy z ich rozmowy boki można było zrywać. Bo Jurek kpił, a tamten starał się być strasznie zasadniczy i w ogóle nie rozumiał, że jest ośmieszany. A Waldorff miał ogromne poczucie humoru, co nałożone na jego arystokratyczne maniery, sposób mówienia i zachowania dawało bardzo zabawne efekty.

Ale nie zawsze chciano go słuchać. Najboleśniej przeżył odwołanie z funkcji dyrektora Teatru Wielkiego w Warszawie Bohdana Wodiczki. Uważał tę sprawę za największą porażkę w swoim życiu, jedną z dwu, obok krakowskiej Sali Saskiej, którą wbrew jego staraniom zamieniono na kino, jakie w ogóle poniósł. Pozbawienie Wodiczki stanowiska dyrektora tuż przed otwarciem odbudowanego gmachu Teatru Wielkiego uznał za zbrodnię na polskiej kulturze. W dodatku zbrodnię popełnioną z pełną świadomością jej konsekwencji. „Teatr z Wielkiego staje się małym” - napisał po latach.

Wodiczkę, kompozytora tyleż wybitnego, co kontrowersyjnego, z wielkim doświadczeniem (kierował wcześniej filharmoniami w Łodzi, Krakowie i Filharmonią Narodową w Warszawie) i o równie trudnym charakterze, mianowano dyrektorem Wielkiego na początku lat sześćdziesiątych. Ściągnięto go z Reykjavíku, gdzie szefował tamtejszej filharmonii, żeby przygotował zespół i gmach sceny narodowej do przeprowadzki z tymczasowej siedziby przy ul. Nowogrodzkiej i do uroczystej inauguracji.

Waldorff z całych sił kibicował Wodiczce. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych nie było praktycznie miesiąca, by nie pisał o jego imponujących planach. Nie miał też wątpliwości, że pod nowym kierownictwem narodowa scena zasłuży wreszcie po latach chudych na swoją nazwę. „Jego rewolucyjne posunięcia u młodych wywoływały podziw, u konserwatystów - wzburzenie” - pisał. Ale nikt, zdaniem Waldorffa, nie mógł mieć wątpliwości, że Wodiczko przywróci Teatrowi Wielkiemu rangę europejską. Będzie umiał zadbać o najwyższy poziom spektakli, o promocję muzyki polskich kompozytorów:

Szymanowskiego, Moniuszki, Różyckiego i o przyciągnięcie do opery nowych widzów. Zmieni Wielki w pełnowartościowy teatr dramatyczny, w którym aktorzy będą nie tylko śpiewać, ale i grać, bo takie wymagania stawia przed operą współczesność. Tylko Bohdan Wodiczko stworzy teatr, przekonywał, do którego będą chcieli chodzić nawet ci ludzie, którym jeszcze kilkanaście lat temu nie powstałoby w głowie tak elitarna rozrywka.

Ale Wodiczko miał też przeciwników. Znali dobrze jego trudny charakter, pamiętali kontrowersyjne decyzje, przewidywali kłopoty. „Mój Boże! Ileśmy się to napyskowali o niego, żeby przekrzyknąć jego wrogów gotowych roznieść go, kto na szablach, kto na widłach” - pisał Waldorff w felietonie Na wsiadnym. Jediną wadą, którą dostrzegł u Wodiczki, był jego brak pokory i przekonanie, że skoro chce dobrze dla polskiej kultury i wie, jak to osiągnąć, nikt nie powinien mu w tym przeszkadzać, „...za grosz nie posiadał instynktu dyplomacji” - pisał Waldorff. Pamiętał, jak Wodiczko kazał premierowi Hesji czekać na siebie ponad godzinę z uroczystym obiadem, bo prowadził próbę i tylko to było ważne.

Termin otwarcia Teatru Wielkiego wyznaczono na wrzesień 1965 roku. W grudniu 1964 zaczęły się już przygotowania do przeprowadzki, gdy zmienił się minister kultury. Tadeusza Galińskiego zastąpił Lucjan Motyka, a dyrektor generalny w Ministerstwie Kultury, Stanisław Balicki, który, jak twierdził Waldorff, nienawidził Wodiczki, wykorzystał okazję, żeby go usunąć.

„Wodiczko popełnia taktyczny błąd szczytowy, katastrofalny” - napisał Waldorff. Dyrektor wysłał do nowego ministra list z żądaniem spełnienia jakichś próśb (zdaniem Waldorffa bez znaczenia), informując, że inaczej nie będzie mógł poprowadzić Teatru. Zaś Balicki przedstawił ministrowi list jako szantaż i akt faktycznej dymisji. Wodiczko z dnia na dzień przestał być dyrektorem naczelnym Wielkiego. Propozycji pozostania na stanowisku kierownika artystycznego nie przyjął.

Nie mógł przyjąć, uważał Waldorff. Pracował trzy lata, żeby podnieść Operę Warszawską z poziomu zaścianka na europejskie szczyty i udało mu się. Stworzył ambitny plan repertuarowy, którym zachwycił się cały świat, i zaczął budować zespół, który podołałby ambitnym zadaniom. Tymczasem i repertuar, i termin otwarcia Teatru Wielkiego stanęły pod znakiem zapytania. „Odpowiedzialny artysta, jakim jest Wodiczko, nie mógł na to się zgodzić, więc odszedł” - przekonywał Waldorff.

W połowie lat sześćdziesiątych nie mógł napisać, jaki był prawdziwy powód odejścia Wodiczki. Cenzorzy dbali, by w prasie nie pojawiały się opinie podważające decyzje władz, „...cenzurze dano zlecenie, żeby w moich drukowanych tekstach likwidowała odtąd dwa

słowa: Bohdan Wodiczko” - pisał Waldorff. - I oto czytelnicy moi prawo mieli pomyśleć z obrzydzeniem: co za łajdak!” - napisał. Ale po latach nie pozostawił wątpliwości, że Wodiczko został z Wielkiego sprytnie usunięty.

Następcą został Witold Rowicki. Głupi Balicki, napisał Waldorff, usunął Wodiczkę, żeby zrobić miejsce „średniemu dyrygentowi”, Witoldowi Rowickiemu (Waldorff uważał, że jeśli ktoś już musi zastąpić Wodiczkę, to Robert Satanowski). Nie zostawił na Balickim, „jednym z największych wrogów sztuki w Polsce”, suchej nitki. Uważał, że był doskonałym dziennikarzem i redaktorem krakowskiego „Dziennika Polskiego”, ale nagle zapalał kompletnie niezrozumiałą miłością do teatru, a teatr to uczucie odrzucił. Dlatego postanowił się zemścić.

Rowicki otworzył narodową scenę i po paru miesiącach porzucił. „I jak upadła w 1965 roku, tak do dziś nie może się podnieść” - mówił Waldorff Tomaszowi Raczkowi po blisko trzydziestu latach. Jediną rzeczą, którą mógł zrobić wtedy, była odmowa przyjęcia na uroczystość otwarcia Teatru Wielkiego. Demonstracyjnie zwrócił przysłane bilety. „Dzwonił nawet do mnie minister kultury i pytał dlaczego. Powiedziałem mu, że nie będę patronował morderstwu artystycznemu i wyjechałem z Warszawy” - wspominał.

- Powtarzał, że jak tak dalej pójdzie, to dyrektor Balicki będzie musiał sam zatańczyć łabędzia w Jeziorze Łabędzim i zaśpiewać partię Carmen w operze Bizeta - opowiada Jerzy Kisielewski.

Nie wybaczył Balickiemu do końca życia. „W spisie osobowym przestępców, którzy opierając się na partii, zawinili najciężej wobec narodu własnego i jego sztuki teatralnej, powinien by znaleźć się na pierwszym miejscu Stanisław Witold Balicki” - pisał w 1991 roku w posłowie do wspomnień Marii Gordon-Smith, wdowy po Arnoldzie Szyfmanie, którego wcześniej Balicki wysadził z funkcji dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie. Dziś, kiedy Balicki nie żyje, nie ma już sposobu, żeby się dowiedział, „jak nim gardzimy”, dodał. Waldorff wyraźnie nie uznawał zasady De mortuis aut bene aut nihil za zasadę słuszną.

W 1967 pojechał na pierwszy Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku i zachwyił się tym, co zobaczył. Po powrocie napisał, że zapaleńcy, którzy uparli się i wbrew niechęci urzędników z wojewódzkiego Koszalina stworzyli w powiatowym Słupsku coś wielkiego, zasługują na największe uznanie. Zorganizowali festiwal z żarliwością i pasją, jaką mają tylko ludzie „...jeszcze nieprzeżarci cynizmem, niezdemoralizowani asekurancem, zakochani w swoim regionie i pragnący dla niego sztuki tak, jak się chce widzieć sznur pereł na szyi uwielbianej kobiety” - pisał z zachwytem. Dość szybko zaczęto jego nazwisko łączyć ze Słupskiem. Pojawiał się na kolejnych festiwalach i dbał, by przyjeżdżali tam najwięksi.

Bywali w Słupsku: Halina Czerny-Stefańska, Barbara Hesse-Bukowska, Piotr Paleczny i Krystian Zimerman. A w 1981 roku Krzysztof Jabłoński, „...szczególnie fascynował grą ten ostatni, szesnastolatek o wrodzonej, lecz i prawidłowo ustawionej technice tak bajecznej, że w zeszłym wieku nazwano by go «młodocianym fenomenem klawiatury-» - pisał Waldorff. Ściągnął do miasteczka nad Słupią Witolda Małcużyńskiego i przekonał miejscowych działaczy do wystawienia pomnika Karolowi Szymanowskiemu. „I to jest do dzisiaj jedyny pomnik Szymanowskiego w kraju. Warszawa go nie ma” - mówił z dumą pod koniec życia.

Zasługi Waldorffa dla Słupska musieli uznać także jego najbardziej zawzięci przeciwnicy. Nawet jeśli łatwo wyczuć, jak bardzo robią to niechętnie.

- Waldorff nigdy nie protestował, gdy mu przypisywano autorstwo rozmaitych przedsięwzięć, ale to nie on wymyślił festiwal w Słupsku - mówił Jarosławowi Kurskiemu Ludwik Erhardt. - Twórcą tego festiwalu było Słupskie Towarzystwo Muzyczne z panem Bytnerowiczem na czele, który zaprosił Waldorffa dopiero na drugą lub trzecią edycję. Waldorffowi to się spodobało i zaczął tam przyjeżdżać, wygłaszać prelekcje. Zresztą, nie przeczę, popularyzował ten festiwal.

Felietony i recenzje w „Świecie” dowodzą jednak, że Waldorff był w Słupsku od samego początku i od początku był gorącym orędownikiem festiwalu. Słupsk docenił to, obdarowując go za życia tytułem honorowego obywatela miasta, a po śmierci nazywając imieniem Waldorffa park w mieście i umieszczając w hallu filharmonii jego popiersie.

W 1968 roku pojechał z polską delegacją na Międzynarodowe Targi Płyt i Wydawnictw Muzycznych MIDEM w Cannes, gdzie po raz pierwszy zaproszono także przedstawicieli muzyki poważnej. Polskę reprezentowali m.in.: Czesław Niemen, Ewa Demarczyk, fortepianowy duet Marek Tomaszewski i Wacek Kisielewski oraz skrzypek, Konstanty Andrzej Kulka. Waldorff miał poprowadzić koncert polskiej muzyki poważnej.

Po powrocie opublikował w „Świecie” relację z MIDEM. O rozrywkowej części miał do powiedzenia niewiele. Zapamiętał potworne big-beatowe ryki, rozrywające bębny w uszach, olbrzymie głośniki o sile baterii armat każdy i zapach marihuany, stwarzającej „podczas beatowego koncertu klimat ataku szału w domu dla wariatów”. Dlatego delikatna muzyka Marka i Wacka, pisała, brzmiała jak szelest skrzydeł ważki przelatującej nad stadem bawołów. A fenomenalna Ewa Demarczyk, przewyższająca swą sztuką całe MIDEM razem wzięte, owszem, miała powodzenie, ale dziesięciokrotnie za małe, bo nieudacznicy z organizującego polskie koncerty Pagartu nie kiwnęli w tej kwestii nawet palcem w bucie.

Czytelnicy i słuchacze uwielbiali go właśnie za takie jednoznaczne i bezkompromisowe opinie. A kiedy do felietonów w „Świecie” i radiu doszła jeszcze

telewizja, o Waldorffie wiedziała już cała Polska. Wygląd, język, tembr głosu, wystudiowane manieri, demonstracyjna staroświeckość - spełniał wszystkie warunki, by stać się telewizyjną osobowością, nawet jeśli w czarno-białej TV długo jeszcze nie było widać koloru jego czerwonej kamizelki ze złotymi guzikami, którą zakładał do czarnej marynarki, „...to mój pancerz, w który się ubieram, żeby chronić się przed atakami wulgarności (...) forma obrony przed szpetotą otaczającego nas świata” - tłumaczył. Gomułkowska rzeczywistość nie napawała optymizmem, więc strój pozwalał zademonstrować dystans do niej.

Jedni to doceniali, inni nie. „Ubóstwiam prelekcje Waldorffa. Jego sposób mówienia, jego humor, jego zdrowy rozsądek sprawiają, że słucha się go zawsze z podziwem, czasem z zachwytem, zawsze z zaciekawieniem” - pisał Jarosław Iwaszkiewicz. „Znam takie osoby, które nie znoszą Twego głosu” - mówił mu Tadeusz Kaczyński. Sam Waldorff spotykał w pociągach czy samolotach ludzi, którzy byli bardzo zaskoczeni, słysząc charakterystyczny głos. Byli przekonani, że to tylko aktorska maniera wypracowana na potrzeby występów w radiu i telewizji. Długo nie chcieli uwierzyć, że na co dzień Waldorff mówi dokładnie tak samo. Z francuskim „r”, emfazą, modulując głos, tak jak w powszechnym mniemaniu przemawiała arystokracja.

Nie miał złudzeń, co decyduje o tym, że należy do najchętniej czytanych autorów „Świata”, i dlatego co roku słuchacze zaliczają go do grona pięciu najpopularniejszych autorów Polskiego Radia. Wiedział, że jest ceniony, a przez wielu wręcz uwielbiany, nie za to, co w jego felietonach jest poważne, ale za ich formę, „...przez żarty, przez tę całą otoczkę, czekoladę z lukrem, w którą opakowuję treść, aby potem - jak rycyna w czekoladzie - była przez ludzi połykana i nasycała ich muzyką” - mówił. Chwalił się, że jego Sekrety Polihymnii miały już pięć wydań i 200 tys. egzemplarzy nakładu, a Ład serca, głośna powieść Jerzego Andrzejewskiego, nagrodzona przed wojną jednocześnie przez Polską Akademię Literatury i „Wiadomości Literackie”, została wydana w nakładzie zaledwie 3 tys. Jeżeli to uznać za wynik mojego efekciarstwa, jestem z niego dumny” - mówił.

Zapraszano go na spotkania i prelekcje w całej Polsce. Do Zakopanego pojechał na zaproszenie studentów leczących się w sanatorium przeciwgruźliczym. Ubrali go w koronę ze złotego papieru i królewski płaszcz z prześcieradła wymalowanego w klucze wiolinowe. Koronowali na swego władcę i zaprosili do zabawy, „...starając się oszukać chorobę i nawet śmierć wywieść w pole” - wspominał Waldorff.

Cieszył się popularnością, która dawała ogromną pewność siebie. Czuł to i potrafił wykorzystywać. Podczas kolacji wydanej w hotelu Bristol na cześć Marleny Dietrich, która przyjechała do Polski na cykl koncertów, Waldorffa posadzono obok gwiazdy. Poskarżyła mu

się, napisał, że chciano ją ulokować w zepsutym „unowocześniająca” przebudową Hotelu Europejskim.

- W tym prosektorium? Odmawiam - miała, według Waldorffa, zakrzyknąć boska Marlena i uspokoiła się, dopiero wtedy gdy znalazła się w Bristolu. Po latach, walcząc o przywrócenie hotelowi Bristol świetności, przywołał rozmowę z pieśniarką. Nie miał wątpliwości, że nawet jeśli poprawia nieco jej faktyczny przebieg, to czyni to w najsłuszniejszym celu i w najlepszych intencjach.

Ale bywało, że ta pewność siebie, ocierająca się czasem o bufonadę i zarozumiałość, obracała się przeciwko niemu. Jak wtedy, gdy został jurorem w Turnieju Miast, jednym z najpopularniejszych w tamtym czasie programów telewizyjnych. 26 maja 1969 roku zmierzyły się dwa kaszubskie miasteczka: Kartuzy i Kościerzyna. Rywalizacja między nieodległymi miejscowościami trwała od lat i, jak to zwykle między najbliższymi sąsiadami, od równie dawna nikt nie pamiętał, co było zarzewiem konfliktu, za to wszyscy świetnie wiedzieli, że winny jest ten drugi.

Walka między miastami zapowiadała się ostra. Dorośli szykowali się do konkursów w ubijaniu masła (kobiety) i ucieraniu tabaki (mężczyźni), ludowe zespoły ćwiczyły pieśni i tańce, dzieci uczyły się okolicznościowych wierszyków. Odnawiano rynki, które miała pokazywać telewizja, malowano trawniki i myto brzozy.

Faworytem były Kartuzy, ale w konkursową niedzielę prowadzenie szybko objęła Kościerzyna. Kartuziacy zaczęli podejrzewać spisek. Podejrzenie padło na Waldorffa, który brylował w jury. „To on dolewał oliwy do ognia. Jako znawca muzyki po wysłuchaniu zespołów ludowych zawołał do członków komisji: «Ja nakazuję głosować na Kościerzynę! »,», - pisali autorzy reportażu o konflikcie, który narodził się tamtego dnia. Ktoś, kto to usłyszał, nie mógł dłużej mieć wątpliwości.

Kulminacją konkursu było wędzenie węgorzy. To wtedy Waldorff miał ostatecznie przesądzić o zwycięstwie Kościerzyny. Reporterzy, którzy trzydzieści lat po konkursie przyjechali do Kartuz pytać o turniej i konflikt między miastami, usłyszeli: - A, to o tę rybę Waldorffa wam chodzi?

Węgorzy próbowali wszyscy członkowie komisji, ale to Waldorff zdecydował. Przymknął oczy, mlasnął językiem i rozmarzonym głosem powiedział: - Fantastyczne, fantastyczne. Słyszała to cała Polska, bo Turniej Miast w telewizji, która miała tylko dwa programy, oglądali wszyscy. A Kartuzy miały ostateczny dowód spisku. I winowajcę - Waldorffa.

Rozpoczęła się kartusko-kościerzynska wojna. Milicjanci z Kartuz karali

kościerynian surowymi mandatami, w samochodach rywali przecinano opony, a na kartuskich murach malowano hasła: „Bierzmy kije do golfa i idźmy na Waldorffa”. Pamięć o doznanej „krzywdzie” żyje w Kartuzach do dziś.

Wykorzystywał swoją popularność przede wszystkim do walki o miejsce dla kultury i szacunek dla artystów. Ale przynajmniej raz użył jej we własnym interesie. Nie mógł oprzeć się chęci posiadania samochodu.

W ludowej Polsce własne auto było jednym z dóbr najbardziej pożądanych i najmniej dostępnych. Kiedy więc pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęto w fabryce na Żeraniu produkować fiaty 125p, Waldorff postanowił, że musi takiego fiata mieć. To przecież był po warszawie, skopiowanej z sowieckiej победы, i prząsnej syrence pierwszy w Polsce w miarę normalny samochód.

Ale chęć posiadania samochodu i pieniądze na koncie to jeszcze nie było wszystko. Upragniony pojazd można było zdobyć tylko na dwa sposoby. Na talony, których wyłącznym dysponentem i szafarzem była władza, lub płacąc za polski samochód dolarami USA w tzw. eksporcie wewnętrznym, nieznanym w żadnym innym systemie ekonomicznym na świecie.

Waldorff zdobył talon i pojechał na Żerań wybrać wymarzone auto. Na placu stały setki samochodów w białoszaroburzych barwach, a wśród nich ten jeden jedyny, w kolorze palonej wiśni, opowiadał Waldorff Ludwikowi Jerzemu Kernowi. Pilnujący placu strażnik oznajmił jednak, że samochody w kolorze palonej wiśni są zarezerwowane dla klientów płacących dolarami.

„Jerzy oszalał” - wspominał Kern. Wskoczył do taksówki i kazał się wieźć do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Tam, nie zważając na protesty sekretarki, wtargnął do gabinetu ministra. „- Panie ministrze - wrzeszczał, nie zapominając jednak o obowiązkowym grasejowaniu - jeśli ja natychmiast nie dostanę auta w kolorze palonej wiśni, będę wszem, wobec i każdemu z osobna rozpowiadał, że pan ma polskie pieniądze w dupie!”.

Jeśli chodzi o gotowość do wywoływania awantury na całą Polskę, można było mu wierzyć. Minister też uwierzył i Jerzy Waldorff dostał upragnionego fiata w kolorze palonej wiśni.

To był pierwszy samochód w jego życiu. Wcześniej nie miał nawet prawa jazdy. Na kurs poszli razem z młodszym synem Stefana Kisielewskiego.

- On miał lat prawie sześćdziesiąt, ja siedemnaście - opowiada Jerzy Kisielewski. - Ale chodził na zajęcia bardzo karnie.

Podczas nudnych zajęć z budowy silników czytali pod ławką „Express Wieczorny”, który Jerzy Kisielewski kupował w drodze ze szkoły. Któregoś dnia znaleźli w dzienniku

wielki tytuł: „Premier Australii zginął zjedzony przez rekina”.

Jerzy Kisielewski: - Szeptem, który oczywiście słyszeli wszyscy, powiedział do mnie: „Popatrz tylko, drogi Jerzyku, w Australii rekin zjadł premiera. A u nas nic, tylko dorsze i dorsze”. I było po zajęciach.

Podczas wykładu z przepisów ruchu drogowego prowadzący go major milicji zapytał o zasady wyprzedzania.

- Może pan redaktor zechce - poprosił uprzejmie.

- Drogi panie - zaczął Waldorff - jeśli chodzi o zasady wyprzedzania samochodów, jeszcze nie do końca je opanowałem, ale mogę powiedzieć, jakie zasady obowiązywały przed pierwszą wojną światową, kiedy jeden powóz zamierzał wyprzedzić drugi. Otóż stangret powożący pojazdem wyprzedzającym miał obowiązek zasygnalizować ten zamiar trąbką, następnie zaciął batem i przyspieszał, a stangret powozu wyprzedzanego powinien był zwolnić.

Jerzy Kisielewski: - Zrobił przedstawienie, wygłaszając to z charakterystyczną emfazą i tonem, który wszyscy znali z radia i telewizji. Sala pękała ze śmiechu.

I znów było po zajęciach.

Kochał swój samochód miłością, jaką obdarza się rzecz upragnioną i długo wyczekiwaną. Pod tylną szybą woził osadzoną w bambusowej rączce zmiotkę z piór. Taką, jakich w muzeach używa się do omiatania rzeźb. Waldorffowi służyła do odkurzania auta. Nie omieszkał też pochwalić się swoim nowym autem czytelnikom „Świata”, nie bacząc, że przy okazji donosi milicjantom z drogówki na samego siebie, „...poleciałem moją zaczarowaną jaskółką znowu do Krakowa - pisał. - (...) frunęła lekko sto dwadzieścia kilometrów na godzinę”.

Prowadził źle, rozmawiał w czasie jazdy, rozglądał się, wykonywał gwałtowne manewry. Ale oczywiście winni byli wszyscy wokół. A kiedy rozbił swojego fiata w kolorze palonej wiśni, oskarżył o to cenzurę.

Wyklócał się właśnie o coś, jak zresztą zwykle, z Ludwikiem Erhardtem, a cenzura zatrzymała felieton, w którym mocno na przeciwnika napadł. Powód ingerencji był absurdalny. Toczyły się rozmowy o uznaniu przez Niemcy zachodniej granicy Polski i cenzura pilnowała, żeby prasa nie atakowała niemieckiego kanclerza, Ludwiga Erharda.

Jerzy Kisielewski: - Waldorff próbował przekonać cenzora, że ten niemiecki Erhard to ktoś zupełnie inny, przez „g” w imieniu i bez „t” na końcu nazwiska, ale usłyszał: „Pan nie będzie nas uczyć”. Wściekły wracał z Mysiej do redakcji i na jakimś skrzyżowaniu wjechał między dwa autobusy.

Latem 1969 roku przestał wychodzić tygodnik „Świat”, w którym Waldorff spędził ponad piętnaście lat. Partyjni urzędnicy decydujący o losach prasy zdecydowali, że redakcja tygodnika nie daje gwarancji ideologicznej czystości. „Świat” „zdradził” w Marcu ‘68, kiedy ostentacyjnie nie przyłączył się do antysemickiej nagonki, a potem nie oczyścił łamów z reporterów i publicystów pochodzenia żydowskiego.

W Wydziale Prasy KC PZPR postanowiono, że nie ma sensu tygodnika zmieniać, prościej będzie go zlikwidować i powołać na jego miejsce nowy, o nowym tytule, a przede wszystkim z nowym zespołem redaktorów. „Świat” zastąpiły posłuszne i lojalne „Perspektywy”.

Tygodnik zniknął nagle, „...powinien się rozpląnąć w powietrzu, jak gdyby nigdy nie istniał” - pisał Waldorff. Współpracownikom nie pozwolono nawet pożegnać się z czytelnikami. Wydając na początku lat siedemdziesiątych książkę z wyborem felietonów ze „Świata”, wspominał: „...kiedym pytał przez posłów, czy mógłbym rozstać się z moimi czytelnikami w jakiś sposób zgodny z przyjętymi normami grzeczności, otrzymałem krótką odpowiedź: „Nie!”.

W posłowniu do książki wyliczył boje stoczone na łamach tygodnika. O „Warszawską Jesień”, o wychowanie muzyczne w szkołach, o miejsce dla muzyki w zagarniającej w coraz większym stopniu wyobraźnię ludzi telewizji, o Teatr Wielki i uznanie dla Bohdana Wodiczki, o utworzenie Sekcji Krytyków przy SPAM-ie, wreszcie o wykupienie willi Atma na przyszłe Muzeum Karola Szymanowskiego. „Dla tego wszystkiego, nie mogąc z tygodnikiem pożegnać się inaczej, stawiam mu tą książką mały pomniczek z papieru” - brzmi ostatnie zdanie tomu Ciach go smykiem.

To jest Miccio od Waldorffa...

Jankowski żył w cieniu sławnego partnera.

Wiesław Uchański: - Tak naprawdę wielu ludzi nie wiedziało nawet, jak on ma na nazwisko.

A ci, co wiedzieli, i tak mówili: „To jest Miccio od Waldorffa”. Kiedy jeszcze tańczył i dostawał jakąś większą rolę, „warszawka” szeptała: „Waldorff mu załatwił”. Dlatego starał się nie prowokować takich sytuacji. Tak było, kiedy zaproponowano mu jedną z większych ról w Krakowiakach i góralach Wojciecha Bogusławskiego. Odmówił, choć to była dla tancerza propozycja kusząca. Nie chciał, żeby znów ktoś powiedział, że to dzięki Waldorffowi. Nic nie było w stanie odwieść go od tej decyzji. Cierpiał, płakał, ale nie zatańczył. Choć było to dla niego trudne. - Ja nie byłem wielkim tancerzem - powiedział

kiedyś Jerzemu Kisielewskiemu. - Ale ja byłem porządnym tancerzem.

W pewnym momencie w ogóle przestał się z Waldorffem pokazywać. Nie lubił i nie chciał. Dlatego tak niewiele osób wiedziało o ich związku. Po śmierci Waldorffa byli ludzie, którzy pytali Jerzego Kisielewskiego: - A co z jego żoną?

„To było zdumiewające, bo z jednej strony byli razem ponad pół wieku i właściwie o tym się wiedziało, a z drugiej - on był całkowicie w cieniu - wspominał Jankowskiego Tomasz Raczek. - Nawet w operze nie stawali obok siebie, tylko pan Miecio gdzieś krążył, a Waldorff rozmawiał z kolejnymi prominentnymi osobami”.

To Mieczysław Jankowski pełnił w ich związku funkcję przypisywaną zwykle kobietom. Sprzątał, gotował i dbał, żeby Waldorff miał wyprasowany garnitur i odpowiednio dobrany krawat do koszuli.

Jerzy Kisielewski: - Robił to bez żadnej ostentacji, ale było wiadomo, jaka jest jego rola. W domu moich rodziców mówiło się: - Trzeba sprawdzić, co dzieje się u Waldorffów.

Kiedy Waldorff zaprosił do mieszkania w alei Przyjaciół Artura Rubinsteina, który pierwszy raz po latach odwiedził Polskę, to Jankowski musiał stanąć na głowie, żeby w środku Peerelu wyczarować z sardynek, wystanych w Delikatesach, wykwinne przystawki.

- To z Mietkiem wymieniało się przepisami - wspomina Zofia Kucówna. - Robił bardzo dobre kabaczki, czego nie można powiedzieć o zapiekankach. Nie dał sobie wytłumaczyć, żeby nie przykrywać garnka, bo zapiekanka musi odparować., Ja tak robię i tak będzie, bo Jerzy właśnie tak lubi” - mówił. I to był argument ostateczny.

Odwiedzający ich mieszkanie dostrzegali ten podział ról. „Atmosferę przytulności i ciepła zawdzięcza ten dom panu Mieczysławowi, który króluje wśród biedermeierowskich mebli i angielskiej porcelany w przepięknie urządzonej kuchni” - pisała dziennikarka, rysując w piśmie portret Waldorffa. - (...). Zawsze potrafi z dobrotliwym uśmiechem wskazać miejsce przebywania jakiegoś niezbędnego w tej właśnie chwili przedmiotu. To on zapewne wprowadza do tego kawalerskiego gospodarstwa pierwiastek porządku”.

- Byli jak normalne małżeństwo, tyle że dotyczyło to dwóch mężczyzn - wspomina Jan Majdrowicz, przyjaciel obu. - Nie było między nimi karesów na pokaz, ale czuło się ich bliskość, a nawet wzajemną zazdrość o siebie. Potrafili wypominać sobie, że któryś za dużo wypił, a nawet, że ogląda się za innymi.

Maciej Pinkwart, kustosz Muzeum Karola Szymanowskiego, umówił się z Waldorffem w zakopiańskiej Halamie, gdzie z Jankowskim wypoczywali. Przyszedł z czteroletnim synkiem, który na widok Waldorffa zawołał:

- Tata, a czemu ten pan ma takom okropnom pasce?

„Pan Mieciu mało nie pękł ze śmiechu i zaczął szczebiotać dowcipnie, że nareszcie ktoś powiedział głośno to, co wszyscy myślą - wspominał Pinwart. - Waldorff robił dobrą minę do złej gry, ale atmosfera się niejako zwarzyła”.

Jerzy Kisielewski: - Jak w prawdziwym małżeństwie potrafili się zreć, rozchodzili się do swoich pokoi, ale kiedy mieli już gasić światło, Waldorff przychodził i mówił: „- Mietku, nie można kłaść się spać pokłóconym. Śpij dobrze”.

To Waldorff obdarowywał Mieczysława Jankowskiego z okazji kolejnych rocznic ich związku. Trzydziestej, czterdziestej, pięćdziesiątej. Na sześćdziesięciolecie chciał zamówić mszę i zorganizować przyjęcie. Poprosił o pomoc Zofię Kucównę, było już przygotowane menu i lista gości. Nie zdążył. Zachorował i uroczystość trzeba było odłożyć. Okazało się, na zawsze.

- Byłem kiedyś świadkiem ich rozmowy. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak musiała być dla Mietka dramatyczna - wspomina Jerzy Kisielewski. - Domyślał się pewnych rzeczy i któregoś dnia powiedział:

„- Jerzy, jeśli ty potrafisz być także z kobietami, to może po prostu ożeń się.

Waldorff odpowiedział:

- Nie, bo ja cię kocham”.

Władze odwróciły się od tej akcji tyłem milczącym i obojętnym...

Waldorff nie ukrywał, że pomysł stworzenia w Zakopanem - bo gdzieżby, skoro sam kompozytor Zakopane pokochał! - Muzeum Karola Szymanowskiego, choć przypisywany powszechnie właśnie jemu, wcale nie był jego inicjatywą. Ideę rzucił w styczniu 1967 roku w „Życiu Warszawy” Zdzisław Sierpiński, dziennikarz i krytyk muzyczny, żołnierz AK, człowiek, który oddał pierwsze strzały w powstaniu warszawskim.

Już w lutym w „Życiu” ukazał się kolejny artykuł Sierpińskiego Kto zajmie się Atmą. Autor pisał, że drewnianą zakopiańską willę, w której Szymanowski spędził dziewięć ostatnich lat życia, powinien wykupić i przeznaczyć na muzeum minister kultury i sztuki, co natychmiast poparły największe tuzy ówczesnego życia muzycznego: Witold Lutosławski, Zbigniew Drzewiecki i Tadeusz Baird. Ale minister bynajmniej nie kwapił się, by wydawać pieniądze na uczczenie muzyka być może wybitnego, ale nie bardzo dającego się wykorzystać politycznie, a w dodatku homoseksualistę, „...władze odwróciły się od tej akcji tyłem milczącym i obojętnym” - napisał Waldorff.

Wtedy właśnie do akcji wkroczył ON - Jerzy Waldorff. Sierpiński ma naturę ognia, napisał, zapala się i szybko gaśnie, by za chwilę zapłonąć w innym miejscu i inną ideą. „Ja

natomiast posiadam naturę byka upartego - dodał. - Tłukę głową w mur bez przerwy...”.

Staął na czele Komitetu Społecznej Akcji „Atma”. Zaprosił do współpracy wszystkich muzycznych świąt. Prezesów stowarzyszeń: Kompozytorów Polskich, Polskich Artystów Muzyków, Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego i Towarzystwa im. Fryderyka Chopina oraz żyjących członków rodziny: siostrzenicę Szymanowskiego, Krystynę „Kicię” Dąbrowską, i kuzyna, Adama Taubego. Pierwsze zebranie komitetu odbyło się w Warszawie 11 kwietnia 1969 roku. „...Minister Kultury i Sztuki na prośbę objęcia patronatu nad akcją odpowiedział milczeniem” - napisał.

Komitet nie miał żadnych wątpliwości, że przyszłe muzeum powinno powstać właśnie w Atmie. Szymanowski zamieszkał w Zakopanem, gdy lekarze stwierdzili u niego szybko postępującą gruźlicę. To był przez dziewięć lat jego jedyny dom, jeżdżąc do Warszawy, zatrzymywał się w hotelu Bristol albo u siostry. W Atmie odwiedzali go wszyscy najwięksi w ówczesnej Polsce: poeci, pisarze, muzycy, malarze i aktorzy. Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń i Julian Tuwim. Zofia Nałkowska, Kornel Makuszyński i Witkacy. Artur Rubinstein, Maja Berezowska i Jacek Malczewski. Irena Solska, Leon Chwistek i Stefan Jaracz. W Atmie napisał wszystkie najważniejsze dzieła ostatniej dekady swego życia.

Jerzy Waldorff kilkakrotnie wspominał, że poznał kompozytora osobiście, ale nie była to - jeśli była w ogóle - znajomość bliska. W marcu 1929 był członkiem chóru Konserwatorium Poznańskiego, który towarzyszył orkiestrze podczas prawykonania Stabat Mater mistrza, ale wtedy nie mógł liczyć na więcej niż przelotne spojrzenie. Nie był też pewien, czy został mu przedstawiony podczas prawykonania IV Symfonii Szymanowskiego już w Warszawie, „...biegłem był w tłumie, żeby mu składać za kulisami gratulacje. Ale czym się wtedy na pewno do niego dopchał?” - pisał.

Bardziej prawdopodobne, że mogło to mieć miejsce któregoś wieczoru w 1935 albo 1936 roku, gdy po wysłuchaniu koncertu w filharmonii Szymanowski przeniósł się na drugą stronę ul. Jasnej, do restauracji „Nowa Gospoda”. Nie najwyższej może klasy, ale dającej muzykom miłe poczucie anonimowości. Bywał tam tylko wtedy, gdy czuł się wystarczająco dobrze, by spędzić wieczór wśród wielbicieli. Bo wraz z kompozytorem przenosił się do „Nowej Gospody” tłum wyznawców, pragnących ogrzać się w ciepłe legendy. Wśród nich początkujący krytyk i redaktor „Kuriera Porannego”, Jerzy Waldorff. Szymanowski zasiadał u szczytu stołu wśród panien Lilpopówien, córek jednego z najbogatszych warszawskich przemysłowców, potem coraz dalej siadali coraz mniej ważni admiratorzy mistrza. „Będąc wtedy młodym człowiekiem, dopiero inicjowanym w publicystyce muzycznej, siedziałem nie najbliżej kompozytora, przecie jednak mogłem obserwować jego walkę z atakującą chorobą”

- wspominał Waldorff. Ostatni raz widział go w październiku 1936 roku, tuż przed wyjazdem kompozytora do Francji, gdzie Szymanowski zmarł.

Jeszcze zanim komitet się ukonstytuował, Waldorff poprosił o pomoc w walce o muzeum swoich czytelników i słuchaczy. Zaaapelował o wpłacanie na specjalne konto pieniędzy na wykupienie willi. Wpłaty posypały się natychmiast. W pierwszym dniu istnienia Komitet Społecznej Akcji „Atma” dysponował już kwotą 200 tys. zł. Wpłacały instytucje i osoby prywatne. Nie tylko ludzie związani z muzyką. Sumy niewielkie i bardzo duże. Wiejski Komitet Frontu Jedności Narodu ze wsi Bibice pod Krakowem wpłacił 100 zł, Szkoła Podstawowa nr 9 z Tarnowskich Gór - 150 zł, studenci Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu - 662 zł. Załoga statku „Piotrków Trybunalski” zebrała 1683 zł, dr Julian Godlewski z Lugano 27 tys. zł, muzycy Filharmonii Narodowej 35 tys. zł, a Rzemieślnicza Spółdzielnia „Centrum” w Warszawie 50 tys. zł. W sumie na koncie komitetu uskładało się ponad 600 tys. zł.

Największą sensacją były pieniądze, które Waldorff dostał za występ podczas koncertu big-beatowej grupy Niebiesko-Czarni w Sali Kongresowej w Warszawie. Organizatorzy obiecali mu 50 tys. zł, jeśli wyjdzie przed kurtynę i zapowie zespół. Zgodził się, bo suma była poważna. Ale w dniu koncertu musiał stanąć przed czterema tysiącami nastolatków, którzy nie czekali na niego, tylko na swoich idoli: Adę Rusowicz i Wojciecha Korde, „...przyjęli mnie krzykiem narastającym do ryku” - wspominał Waldorff. Dopiero po chwili zrozumiał, co wrzeszcza: „Gdzie jest Puzon?! Gdzie jest Puzon?!”.

Wziął mikrofon i wykorzystując potężne wzmacniacze, ryknął, ile sił w płucach: „Kochani! Gdyby dzisiaj Szymanowski żył, to komponowałby wyłącznie rock and rolla. A Puzon zawsze z wami”. Najpierw nastąpiła absolutna cisza, a potem wybuchły gorące brawa. „Zbożne kłamstwo za 50 tysięcy!” - dodał już w innym miejscu.

W parę lat później, gdy willa była już kupiona i chodziło o uregulowanie jej statusu prawnego, wysoki urzędnik stołecznego magistratu zadał Waldorffowi niewinne z pozoru pytanie: - Kto akceptował publiczną zbiórkę pieniędzy na kupno Atmy?

Problem był poważny, bo peerelowskie prawo traktowało zorganizowanie takiej zbiórki jako przestępstwo. Wyjaśnienie złożone w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w którym Waldorff powołał się na swoją niewiedzę, nie mogło być żadnym wytłumaczeniem. Absolwent Wydziału Prawa musiał pamiętać jedną z podstawowych rzymskich zasad prawa: Ignorantia iuris nocet, nieznanostwo prawa szkodzi.

- Ależ to jest przestępstwo trzydziestolecia! Przez siedem lat działać bezprawnie, przy użyciu wszystkich państwowych środków masowego przekazu? Prasy, radia i telewizji? -

powtarzał niedowierzającym głosem wysoki ministerialny urzędnik. Trzeba było dopiero porozumienia Ministerstwa Kultury i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, żeby zbiorckę wstecznie uznać za zgodną z prawem.

Pieniędzy na konczie było coraz więcej, ciągle jednak niewiele z tego wynikało. Ani władze powiatowe w Zakopanem, ani wojewódzkie w Krakowie nie kwapiły się do zaangażowania w prywatną, jak cały czas uważano, awanturę wywołaną przez Waldorffa. Pomagali entuzjaści idei utworzenia muzeum w Zakopanem, ale wobec wyraźnej niechęci administracji nie na wiele się to zdawało.

Właścicielką Atmy była góralka, Zofia Walczakowa, wywodząca się z rodziny Stochów, od których Szymanowski wynajmował willę w latach trzydziestych. Walczakowa gotowa była Atmę sprzedać, nawet za cenę dość umiarkowaną, ale pod dodatkowymi warunkami. Jednym z nich była przeprowadzka do domu naprzeciwko willi, znajdującego się co prawda na gruncie także należącym do Walczakowej, ale zamieszkanego przez rodzinę Fortunów. „To tak jak gdyby Penderecki się uparł, że musi się wprowadzić do mieszkania Parandowskiego, i basta!” - ironizował Waldorff.

Za jęgo sprawą Zofia Walczakowa stała się na kilka lat negatywnym bohaterem mediów, opisujących zabiegi wokół Atmy. Łatwiej było uwierzyć sławnemu publicyście z Warszawy niż jakiejś pazernej, jak uważano, góralce. „Przedstawicielkę jednego z najstarszych rodów góralskich obrażano, przedstawiając jako ciemną chłópkę, osobę nierozumiejącą istoty sprawy, nieumiejącą rzekomo docenić wielkości Szymanowskiego - wspominał pierwszy kustosz Muzeum Szymanowskiego, Maciej Pinkwart. - (...) Najbardziej - jak mi mówiła - ubodło ją, gdy kiedyś publicysta zaczął ją nazywać «babką Walczakową»”. Oświadczyła w końcu, że skoro się ją obraża, nie będzie dłużej rozmawiać o sprzedaży domu.

Naprzeciw siebie stanęły „byczy” upór Waldorffa i góralski upór Zofii Walczakowej. Wydawało się, że jeśli idea utworzenia w Atmie muzeum upadnie, to z żadnego innego powodu, tylko przez zaciętrzewienie tych dwóch osób. Wszystkie inne przeszkody wydawały się do pokonania. Przełom nastąpił dopiero po grudniu roku 1970. Po zmianach na szczytach władzy w Warszawie, zgodnie z obowiązującymi w PRL regułami domina, zmieniły się władze także w Krakowie i Zakopanem. W Polsce Edwarda Gierka, przynajmniej w pierwszych latach, społeczne inicjatywy spotykały się z przyjęciem znacznie bardziej przychylnym niż w Polsce Władysława Gomułki.

Po trwającej przez cały rok 1971 korespondencji 1 maja 1972 roku Waldorff pojechał do Zakopanego na ostateczne negocjacje z Zofią Walczakową, Fortunami i władzami Zakopanego. Szykował się na walkę, której skutki trudne były do przewidzenia. „Było w tym

coś z bitwy pod Wagram” - Waldorff. Negocjacje trwały pięć godzin. „O godzinie 15 parlamentariusze zeszli się do spisania warunków pokoju” - dodał.

Okazało się, że „babka” Walczakowa wcale nie była postacią tak demoniczną, jak malował ją Waldorff w swoich felietonach, „...przy bliższym poznaniu objawiła się jako może twarda, lecz sprawiedliwa kobieta, a pamięci pana Rektora przychylna i wspominająca go rzewnie” - pisał Waldorff (Rektorem Zofia Walczakowa nazywała Szymanowskiego). Także Fortunowie nie zamierzali stawać na przeszkodzie utworzeniu muzeum i gotowi byli się wyprowadzić, gdy tylko zajdzie taka potrzeba, do zastępczego mieszkania. Dzień podpisania aktu kupna Atmy wyznaczono na 27 maja 1972 roku. Wcześniej trzeba było jeszcze tylko wydobyć odpowiednie dokumenty hipoteczne, ale to wydawało się już po pokonaniu innych przeszkód drobnostką.

W sobotnie przedpołudnie 27 maja zebrali się w Zakopanem wszyscy. Notariusz, Henryk Zarzecki, prezes Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, które formalnie stawało się właścicielem willi, Zofia Walczakowa i Waldorff, jako przedstawiciel komitetu Społecznej Akcji „Atma”. Asystowali delegat Związku Kompozytorów, Kazimierz Sikorski, oraz dyrektor Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. Akt notarialny zakupu willi Atma z przeznaczeniem na Muzeum Karola Szymanowskiego został podpisany w świetle reflektorów telewizji i „Kroniki Filmowej” oraz w asyście radiowych mikrofonów.

Otwarcie muzeum zaplanowano na rok 1973. W wianie Waldorff przekazał do zbiorów placówki blisko czterysta dokumentów: listów, telegramów, ekspertyz, aktów notarialnych i protokołów, które zgromadził przez lata walki o miejsce, w którym pielęgnowano by pamięć o ukochanym kompozytorze. Okazało się jednak, że to ciągle jeszcze nie koniec walki o muzeum, które, jak uzgodniono, miało stać się oddziałem zamiejscowym Muzeum Narodowego w Krakowie. Ostatecznie udało się je otworzyć dopiero trzy lata później. Po przepychankach między władzami lokalną, wojewódzką i centralną, w efekcie których urażony zakopiański partyjny kacyk przyjął Waldorffa, siedząc tyłem. Powód był czysto biurokratyczny. W połowie 1975 roku przeprowadzono w Polsce reformę administracyjną, powołano województwo nowosądeckie i w jednej chwili Atma stała się oddziałem muzeum znajdującego się w zupełnie innym województwie. Przez wiele miesięcy wydawało się to problemem nie do przewyciężenia. A przecież po wyprowadzeniu się dotychczasowych lokatorów trzeba było jeszcze Atmę wyremontować, zadbać o otoczenie, zebrać pamiątki, których wcale tak wiele po kompozytorze nie zostało, wybrać wreszcie godnego zaufania kustosza, który muzeum pokieruje. Został nim Maciej Pinkwart.

Uroczysta inauguracja nastąpiła w sobotę, 6 marca 1976 roku, o godz. 13.00. Wstęgę

przecięli wspólnie Krystyna Dąbrowska i Waldorff. Na otwarciu byli wszyscy, zasłużeni i mniej dla urzeczywistnienia idei muzeum, „...włącznie z tym sekretarzem, który odwracał się tyłem do Waldorffa, a teraz ścisnął mu dłoń, gnąc się przed nim w lansadach w blasku jupiterów telewizyjni” - wspominał Maciej Pinkwart. Ku zaskoczeniu obecnych nie przyjechał tylko nikt z Ministerstwa Kultury. „...Waldorff był wówczas na indeksie, bo podpisywał jakieś protesty opozycyjne” - dodał Pinkwart.

Maciej Pinkwart zapamiętał z otwarcia moment spotkania Waldorffa z Zofią Walczakową, ciągle jeszcze popatrującą na „pana redaktora” dość koso. Waldorff kurtuazyjnie witał się z gościem, gdy ta wypaliła:

- Witam mojego wnuczka!

- Co proszę? - zdziwił się Jerzy Waldorff.

- Co to, nie pamiętacie, panie, jakieście mnie nazywali „babką Walczakową”? Ale widzi mi się, że wnuczek pewno starszy od babki.

W rzeczywistości Zofia Walczakowa była od Waldorffa starsza, ale tylko o dziewięć lat. „Wśród chichotów świadków wydarzenia Zofia Walczakowa furknęła góralskimi spódnicami i odeszła, a redaktor został z dość niewyraźnym uśmiechem na twarzy” - wspominał Pinkwart.

Wraz z otwarciem w Atmie muzeum Waldorff uznał swoją walkę za skończoną. „Teraz to już wasza sprawa, ja będę miał inne sprawy na głowie. Ale zawsze proszę na mnie liczyć” - oświadczył Pinkwartowi.

Ale, jak miało się okazać, pilnie obserwował wszystko, co działo się w muzeum. Kiedy Maciej Pinkwart postanowił założyć w Zakopanem Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego, Waldorff poczuł się wyraźnie dotknięty w swych prawach do Szymanowskiego. Podczas spotkania w zakopiańskiej Halamie, gdy Pinkwart przedstawił mu pomysł, powołując się zresztą na artykuł Waldorffa w „Polityce”, ten orzekł, że będzie lepiej, jeśli to on podpisze listy zapraszające osobistości świata muzycznego do włączenia się w prace towarzystwa. Było to kłopotliwe, bo blisko setka listów została już rozesłana i na większość nadeszła pozytywna odpowiedź, pisał Pinkwart. Był i drugi powód. „Dyzio Sierpiński i Kicia Dąbrowska przestrzegali mnie, żeby to nie Waldorff organizował początki towarzystwa, bo jego nazwisko tyleż osób zachęci, ile zniechęci...” - wspomina.

Ale Waldorffa nie tak łatwo było zepchnąć na drugi plan. W imieniu Komitetu Akcji Społecznej „Atma” zażądał listy osób, do których zaproszenia już poszły (interweniował w tej sprawie nawet u dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie), a następnie wysłał do wszystkich protekcyjny w tonie list, z którego niedwuznacznie wynikało, że inicjatywa

Pinkwarta nie zasługiwałyby być może na uwagę, ale on, Jerzy Waldorff, jest skłonny ją wesprzeć. „Równocześnie Waldorff wysłał do muzeum w Krakowie donos na moje niestosowne zachowanie, zarzucając mi, między innymi, wymyślenie niewłaściwej nazwy (zdaniem Waldorffa powinna ona brzmieć Tatrzańskie Towarzystwo Muzyczne), niewłaściwy dobór listy członków założycieli, nieodpowiedzialne rozsyłanie zaproszeń i inne jeszcze grzechy. Nazywając mnie cały czas starannie Ob. Pinkwartem, apelował wreszcie do Chruścickiego (dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie - o danie mi po łapach” - wspominał Maciej Pinkwart. On z kolei, szukając sojuszników, postarał się, żeby prowadzenie zebrania założycielskiego towarzystwa powierzyć Piotrowi Perkowskiemu - kompozytorowi, uczniowi i przyjacielowi Karola Szymanowskiego, „...który z Waldorffem się wtedy serdecznie nie cierpiał, a nawet procesował przed sądem” - pisał Pinkwart. Waldorff ostatecznie na spotkanie nie przyjechał, ale z daleka próbował jeszcze forsować przynajmniej niektóre swoje pomysły, jak choćby zmianę nazwy na Tatrzańskie Towarzystwo Muzyczne. Tym razem jednak nieskutecznie.

Atma przyłgnęła do nazwiska Waldorffa równie mocno jak Powązki. Nie musiał podkreślać swoich zasług, żeby opinia publiczna i tak wiedziała swoje: Gdyby nie Jerzy Waldorff, zakopiańskiego Muzeum Szymanowskiego nie byłoby. Wystarczyło, że nie zaprzeczał.

To w końcu zirytowało Zdzisława Sierpińskiego. Po którejś z telewizyjnych audycji z udziałem Waldorffa ogłosił w „Życiu Warszawy” list otwarty. „Szanowny Panie Redaktorze, albo lepiej: Drogi Jerzy! - pisał -...zawłaszczyłeś całą zasługę inicjatywy w sprawie utworzenia Muzeum Karola Szymanowskiego i wykupienia «Atmy»,,. W liście było jeszcze o pomijaniu roli „Życia Warszawy” (nie samego Sierpińskiego), które było inicjatorem ratowania Atmy i przez pierwsze pół roku prowadziło akcję samo. Dopiero potem redakcja poprosiła o wsparcie. Wierzyliśmy, pisał Sierpiński, że popularność i siła przebiccia Waldorffa pozwoli szybciej doprowadzić sprawę do finału, „...co się, jak widać stało”.

Waldorff zareagował tydzień później. „Czcigodny bohaterze wojny 1980-1990, albo lepiej: Kochany Dyziu!” - zaczął i przywołał na swoją obronę fragment książki *Moje cienie*, w której napisał, że to Sierpiński i „Życie Warszawy” pierwsi rzucili ideę ratowania Atmy. Winą za przypisywanie mu wyłączności obarczył dziennikarzy. Dla nich jest tylko telewizyjno-radiowym towarem, tłumaczył, który trzeba jak najlepiej zareklamować. „Takie są prawa handlu i takiej reklamy mojej osoby prezenterom TV i PR zabronić nie mogę” - napisał.

Sierpiński nie żywił urazy do przyjaciela. Parę miesięcy później, w ukazującym się w

Londynie polonijnym dzienniku napisał, że kiedy po pół roku samotnej walki o Atmę poprosił Waldorffa o pomoc, odzew był natychmiastowy. Jak stary koń kawaleryjski na dźwięk trąbki ruszył z kopyta do akcji (...) i na pewno gdyby nie jego popularność, gdyby nie ta olbrzymia «siła przebicia-, chyba nic by z”Atmy” nie było...”.

Z punktu widzenia ortodoksji wypisywał straszne rzeczy...

„Mamy nowego współpracownika, Jerzego Waldorffa” - zanotował 31 maja 1969 roku w swoim dzienniku Mieczysław F. Rakowski, redaktor naczelny „Polityki”. Tygodnik redagowany przez członka władz PZPR był jednak postrzegany jako pismo starające się zachowywać w ramach obowiązującego ustroju przyzwoicie. Było to widać w Marcu ‘68. Postawa „Polityki” wyróżniała ją na tle antysemickiej histerii, w jaką wpadła większość sterowanej przez partię prasy. Mimo to pojawienie się Waldorffa właśnie w „Polityce” zostało przez Warszawę odebrane jako sensacja, pisał Rakowski. „Waldorff to duży oryginał i, jako żywo, nie ma nic wspólnego z obozem politycznym, do którego należy nasz zespół” - dodał. Pozyskanie bezrobotnego po rozwiązaniu „Świata” Waldorffa podpowiedziała mu skrzypaczka, Wanda Wiłkomirska, wtedy żona redaktora naczelnego „Polityki”.

Zaczął publikować swoje teksty pod zaczerpniętą od Arystotelesa winietą: Muzyka łagodzi obyczaje. Ale nie traktował starożytnej dewizy szczególnie zobowiązująco. Tytuły felietonów znów brzmiały jak wezwania do awantury:

Za przeproszeniem pana kierownika, Brać dziewczynę i w krzaki!, Piękna - do kozy, O wciórności, Uniesienie i kociokwik, Laurka z kolcami, „...w ustach Arystotelesa owa teza «Muzyka łagodzi obyczaje- nie posiadała charakteru aksjomatu, czyli pewnika, lecz była postulatem, a więc życzeniem” - tłumaczył we wstępie do wyboru artykułów z „Polityki”.

W 1971 roku „Polityka” ogłosiła wśród czytelników ankietę. W rankingu ulubionych i najchętniej czytanych autorów Waldorff zajął trzecie miejsce. Za Michałem Radgowskim i Maciejem Iłowieckim, a przed Mieczysławem Rakowskim, Danielem Passentem, Jerzym Urbanem i Zygmuntem Kałużyńskim. Miejsce bardzo wysokie, był przecież wśród autorów „Polityki” od niespełna dwóch lat. Ale nazwisko miał już wcześniej i sporo publikował. Tylko w 1971 roku w „Polityce” ukazały się aż 33 jego artykuły. Dwa lata później też było nieźle. Znalazł się w rankingu na miejscu czwartym. Tym razem za Passentem, Radgowskim i Urbanem, a bezpośrednio przed Rakowskim.

„Widzieliśmy w nim krytyka muzycznego, ale on z reguły wychodził przed muzykę i w felietonach dawał upust swym namiętnościom - wspominał Rakowski. - Z punktu widzenia ortodoksji wypisywał «straszne rzeczy», ale poważniejszych, godnych odnotowania,

kłopotów z cenzurą nie mieliśmy”.

Do historii prasy przeszła za to polemika Waldorffa z Ludwikiem Erhardtem, podczas której polemici ostrzeliwali się inwektywami przez kilka tygodni, jeden z szanów na łamach „Polityki”, drugi z okopów w konkurencyjnej „Kulturze”. Nie ścierali się ani po raz pierwszy, ani ostatni, ale nie było w polskiej prasie zwyczaju, żeby atakować się tak ostro, szczególnie że czynili to przedstawiciele muzyki poważnej, uważanej dotąd za ostoję wyrafinowanej kultury i dobrego smaku.....niespotykana na ogół u nas w druku brutalność” zdziwiła nawet Stefana Kisielewskiego, któremu przecież trudno byłoby zarzucić łagodne traktowanie własnych przeciwników.

Zaczął Waldorff.

W felietonie Muchy w nosie, yyy236 wywiadem, którego Erhardt udzielił tygodnikowi „Ekran”. Zrozumiał z niego, że krytyk z powodu jakichś urażonych ambicji postanowił wyrzucić z telewizji muzykę poważną. Bo muzyki się słucha, a nie ogląda. Bo wykonywanie muzyki jest wizualnie brzydkie, zwłaszcza gdy gra się na instrumentach dętych. Bo, wreszcie, muzyka poważna jest niepopularna. W Waldorffie zawrzała krew. Ludwiś Erhardt, w krótkich spodenkach i z płomienną czupryną, grał podczas okupacji na czynelach w dziecięcej orkiestrze, która ćwiczyła w moim mieszkaniu, napisał. Dziś Ludwik Erhardt, z przeredzoną czupryną, w długich spodniach i w średnim wieku, włada jednym z najwybitniejszych piór wśród krytyków, dodał chyba tylko dla znieczulenia. Bo potem było już tylko gorzej. Nazwał Erhardta „histerykiem” i „niedopieczoną starą panną z rozbzyczanymi muchami w nosie”. O muzyce mówi z takim grymasem, jakby śmierdziała mu pod samym nosem, krytykował Waldorffa. A przecież renesans opery dowodnie świadczy o tym, że ludzie chcą muzyki nie tylko słuchać, ale także ją oglądać. Jej uroda zależy przede wszystkim od tego, kto gra, a o popularności muzyki niech zaświadczą rozkwitające w całej Polsce ogniska muzyczne i już blisko ćwierć miliona nakładu pięciu dotychczasowych wydań Sekretów Polihymnii.

Erhardt zareagował felietonem zatytułowanym List do Jerzego Waldorffa, czyli dlaczego Wuj He? Waldorff był w środowisku recenzentów muzycznych nazywany Wujem od dnia imienin Ireny Wodiczkowej w 1958 roku, podczas których sam zaproponował gronu młodych krytyków przejście na „ty”. Sytuacja powstała niezręczna, wspominał Erhardt, bo z jednej strony nie wypadało propozycji odmówić, z drugiej różnica wieku mocno młodzież krępowała. Wreszcie wymyślono fortel godny Zagłoby, „...po chwili konsternacji uradowany Waldorff grzmiał na lewo i prawo sienkiewiczowskim «Mów mi wuju!», - wspominał Erhardt. Od tego wieczoru był już dla całego środowiska muzycznego Wujem.

- Ale jedynym partnerem dla Wuja w całej naszej bandzie był Erhardt - mówił Jarosławowi Kurskiemu Zdzisław Sierpiński.

„Drogi Wuju...” - zaczął uprzejmie Erhardt, ale potem zaczął wyliczać kolejne, jak pisał, paskudne łgarstwa Waldorffa. Ludzie chcą muzykę oglądać? No to niechże Wuj dowiedzie, że ludzie w operze słuchają dekoracji i napawają uszy kostiumami, pisał. Niechże potem zagra na puzonie, Erhardt chętnie popatrzy, co to jednak będzie miało wspólnego z muzyką? I niech lepiej Wuj nie popisuje się nakładami Sekretów Polihymnii, bo to tylko dowód, że zła literatura osiąga wyższe nakłady niż dobra. Wuj chciał grać w otwarte karty, zakończył Erhardt, proszę bardzo, ale karty Wuja okazały się fałszywe.

Wyraźnie rozjuszony Ludwik Erhardt zadał wreszcie przeciwnikowi cios zdradziecki, choć zrozumiały tylko dla wtajemniczonych. Mógłbym być może wyzwąć Wuja na pojedynek, napisał, ale pojedynki wyszły z mody, „...a poza tym zdaje się, że Wuj nie należy do osób, od których można żądać udzielenia satysfakcji; muszę o to spytać Hamiltona, starszy od nas wszystkich, zna się na tym i Boziewicza umie na pamięć”. Posłana w kierunku Waldorffa strzała była zatruta. Polski kodeks honorowy Władysława Boziewicza wśród „indywiduów wykluczonych ze społeczności ludzi honorowych” na czwartym miejscu wymieniał homoseksualistów.

W kolejnych odsłonach awantury nie chodziło już o argumenty, ale przede wszystkim o to, kto mocniej uderzy w przeciwnika. Waldorff odpowiedział felietonem Criticus vulgaris. Ludwik Erhardt - pisał - „...wzbudził mój podziw łatwością, z jaką prześcignął nie tylko najwulgarniejsze pióra w kraju”. Chcąc utylić przeciwnika w błocie, zdystansował nawet bywalców przedmiejskich szynków, dodał. A wszystko to pod winietą: Muzyka łagodzi obyczaje. Erhardt nie myślał być dłużny:

„...możemy sobie wzajemnie, ku uciesze gawiedzi, wylewać wiadra nieczystości na głowy” - pisał.

- Zrobiła się chryja i od tego czasu nie wolno było na Wuja mówić Wuju - wspominał Zdzisław Sierpiński. Ale najbardziej dotkliwa dla zacierzwionych polemistów musiała być opinia Kisiela, „...niezbyt zrozumiała jest przyczyna, dla której obaj panowie tak strasznie się denerwują” - napisał.

Waldorff pisał w latach siedemdziesiątych dużo, ale nie o wszystkim mógł napisać, nawet w „Polityce”. „Zadzwoił do mnie Waldorff z pytaniem, czy może w naszym piśmie «uderzyć w Szczepańskiego)»” - zanotował Rakowski 29 maja 1973 roku. Maciej Szczepański, wszechwładny zarządca telewizji z nadania nowego I sekretarza PZPR, Edwarda Gierka, wyrzucił właśnie z posady szefa Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego

Radia i Telewizji, Kazimierza Korda. I zapowiedział, że jeśli ktokolwiek z muzyków orkiestry zechce zaprotestować, także zostanie zwolniony. Waldorff zamierzał interweniować, ale Rakowski oświadczył, że wymierzonego w Szczepańskiego felietonu nie wydrukuje. W dzienniku zanotował, że to dlatego, bo chciał, żeby środowisko muzyczne samo skierowało do Gierka protest. Choć przyczyna mogła być także inna, relacje „Polityki” i telewizji Szczepańskiego były jeszcze wtedy niezłe. A muzycy, o czym Rakowski dowiedział się od Waldorffa, listu do Gierka ostatecznie nie napisali.

„Polityka”, dzięki wysokiemu nakładowi i znaczeniu, była dobrym miejscem do załatwiania spraw, na których Waldorffowi zależało. Przeniósł na łamy radiową akcję zbierania eksponatów dla Muzeum Teatralnego w Teatrze Wielkim. W powstaniu spłonął gromadzony przez z górą sto lat księgozbiór narodowej sceny, nie przetrwało ponad sto tysięcy kostiumów i rekwizytów, pisał. Wielki startował do nowego życia pozbawiony historycznej pamięci. Dlatego postanowił ruszyć na pomoc. Apelowal, kiedy i gdzie się dało, o dary.

- Po jego apelach ofiarowano muzeum kilkaset cennych eksponatów - wspomina Jerzy Kisielewski. - Tylko dlatego, że prosił o to Waldorff! W PRL nie było zwyczaju robienia prezentów państwowej instytucji, ale w tym wypadku gwarancję dawał on!

Do muzeum trafiły min. pamiątki i kostiumy Heleny Modrzejewskiej, a hrabia Michał Tyszkiewicz zapisał mu w testamencie archiwum po swojej żonie, Hance Ordonównie. Za pośrednictwem Waldorffa w muzeum znalazły się m.in. stroje żony Jana Kiepur, Marty Eggert i jedyny egzemplarz „Wiadomości Haftlingowskich”, antyhitlerowskiej satyry przygotowanej w obozie zagłady Buchenwald-Holzen przez legendarnego konferansjera kabaretu „Qui Pro Quo”, Fryderyka Jarosy’ego.

Po kilku latach mógł z dumą napisać: „...z dotychczasowych około 1500 ofiarodawców do muzealnych zbiorów jedna trzecia rekrutuje się spośród radiosłuchaczy”. Doliczył się ponad dwóch tysięcy eksponatów, które trafiły do muzeum dzięki niemu.

W wielu przypadkach bywał ostatnią instancją. Jeśli coś wydawało się nie do załatwienia, był jeszcze Waldorff, do którego można było zwrócić się o pomoc. Nawet jeśli on też nie był w stanie załatwić sprawy, to mógł przynajmniej wywołać szum w mediach.

W styczniu 1975 roku we Wrocławiu saperzy wysadzili w powietrze średniowieczne budynki młynów Św. Klary. Decyzję podjął ówczesny prezydent miasta, nie konsultując jej ani z historykami sztuki, ani z konserwatorami zabytków. Dlatego w lokalnych gazetach nie wolno było jej krytykować. Cenzura twardą ręką pilnowała dobrego imienia władz. Wtedy wrocławscy historycy poprosili Waldorffa o interwencję.

Jego macki wrocławskiej cenzury nie sięgały, a Centralny Urząd Kontroli Prasy pozwalał czasem krytykować lokalnych kacyków. „W imię Ojca i Syna, i Ducha - rozpoczął Waldorff felieton Młyny św. Klary w „Polityce” z 22 lutego. - Pytam Ministerstwo Kultury i Sztuki, czy nie należałoby tego, kto wydał tę oburzającą decyzję, postawić pod pręgierzem opinii publicznej? Właśnie jego, żeby okazać wszystkim naocznie, iż nic i nikogo nie może chronić przed odpowiedzialnością i karą za niszczenie dóbr kultury narodowej”.

W efekcie do Wrocławia zjechali posłowie i generalny konserwator zabytków, a minister kultury zażądał od prezydenta miasta wyjaśnień. Kilka miesięcy później urzędnik przestał być prezydentem Wrocławia i nie został, co od dawna planowano, wojewodą w jednym z nowych województw, które powstały po reformie administracyjnej. Waldorff tryumfował. „Niechaj to będzie przestroga dla innych, iż żadne stanowisko w PRL nie chroni przed odpowiedzialnością za niszczenie dóbr kultury narodowej” - pisał.

A gdy poznańskiemu lutnikowi, Stefanowi Niewczykowi, od pół wieku budującemu i naprawiającemu skrzypce, władze Poznania odebrały warsztat, żeby urządzić w nim punkt pralniczy, Waldorff znów ruszył do boju. Napisał, że to skandal, by mistrz taki jak Niewczyk, lutnik o złotych rękach, był wyrzucany do sutereny i musiał pracować w warunkach urągających wszelkiej przyzwoitości. Prezydent Poznania wiedział już, że jeśli Waldorff w coś się zaangażował, to nie ustąpi. I przyznał lutnikowi nowy warsztat.

Takich spraw były dziesiątki. Któryś z partyjnych dygnitarzy, zmęczony pewnie kolejną niecierpiącą zwłoki interwencją Waldorffa, wybuchnął wreszcie:

- Pan mi tu ciągle wierci dziurę w brzuchu o swoje fortepiany, a zapomina, że my nie idziemy do fortepianu, a do socjalizmu.

„Być może był to żart, ale muszę powiedzieć, że stosunek polityków do kultury był zawsze i wszędzie taki sam” - tłumaczył Waldorff Andrzejowi Lisowskiemu.

- Peerelowscy urzędnicy kultury bali się go - mówi Jerzy Kisielewski. - A on bardzo świadomie podtrzymywał swój wizerunek człowieka z innej epoki. Zachowaniem, ubiorem, sposobem wysławiania się. Stwarzał dystans, ale jednocześnie budował snobizm „na Waldorffa”. To pozwalało mu załatwiać pieniądze na jakieś kolejne muzeum czy orkiestrę.

Nie zawsze się udawało. Zarządcy partyjnej prasy i telewizji oraz cenzura pozwalali Waldorffowi na więcej niż innym, ale w ustroju komunistycznym nikt nie mógł liczyć na wolność absolutną. Za nonkonformizm trzeba było płacić, czasem słono. Zwłaszcza kiedy wykraczało się poza granice, które wyznaczyła rządząca partia.

Waldorff przekroczył tę granicę, kiedy na początku 1976 roku podpisał tzw. Memoriał 25, list środowiska muzycznego protestujący przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji

PRL. Już wcześniej nie było wątpliwości, że nie jest to konstytucja wolnego państwa, ale to, co postanowiły z ustawą zasadniczą zrobić komunistyczne władze, było odrzuceniem jakichkolwiek pozorów. W konstytucji miał znaleźć się zapis o przewodniej roli w Polsce partii komunistycznej oraz o umacnianiu przyjaźni i współpracy ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. Było to ostatecznym potwierdzeniem niesamodzielnej i wasalnej wobec ZSRR pozycji Polski. Z wielu środowisk zaczęły płynąć protesty do Komisji Konstytucyjnej Sejmu, która rzekomo zastanawiała się nad tym, co dawno zostało już postanowione w gmachu KC

PZPR. „Rozwój socjalizmu polegać może tylko na rozszerzeniu pojęcia ludu pracującego na cały naród, a nie na jego zawężaniu, tylko zaś tak można rozumieć pojęcie «przewodniej siły społeczeństwa-” - pisali sygnatariusze Memoriału 25, który oprócz Waldorffa podpisali jeszcze m.in.: Maria Fołtyn, Irena Dubiska i Julian Rogoziński. W konstytucji miał także znaleźć się zapis, iż „prawa obywateli są nieodłącznie związane z rzetelnym i sumiennym wypełnianiem obowiązków wobec ojczyzny”, dający władzom prawo do represji wobec tych, którzy nie chcieli zaakceptować drogi, wyznaczonej Polsce przez komunistów.

Protesty nie wpłynęły na decyzję sejmu. 10 lutego posłowie, przy jedynym głosie wstrzymującym się - Stanisława Stommy, uchwalili zmiany w konstytucji. A na sygnatariuszy protestów posypały się represje cenzury. Waldorff, obok m.in.: Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Barańczaka, Kazimierza i Mariana Brandysów, Zbigniewa Herberta, Stefana Kisielewskiego, Haliny Mikołajskiej, Antoniego Słonimskiego i Jana Józefa Szczepańskiego, trafił na kilka miesięcy na czarną listę cenzury. Oznaczało to w praktyce banicję z życia publicznego, bo gazetom nie wolno było publikować utworów Waldorffa ani wymieniać jego nazwiska.

Zasługi Waldorffa starannie pomijano nawet w telewizyjnych relacjach z otwarcia Muzeum Szymanowskiego w Zakopanem. Widzowie nie zobaczyli go ani w „Dzienniku Telewizyjnym”, ani w magazynie kulturalnym „Pegaz”. „Stawiam sobie pytanie: czy Komitet ds. Radia i TV miał prawo za jeden odruch niekonformizmu zabierać mi owoce dziewięciu lat pracy społecznej dla kraju?” - napisał Waldorff w liście do ówczesnego wicepremiera i ministra kultury, Józefa Tejchmy. Przecież władze wręcz zachęcały do dyskusji nad przedstawionym projektem zmian w konstytucji, więc on swój podpis pod listem uważał za akt lojalności wobec ojczyzny i dalej go za taki uważa, dodał. W kontekście prawdziwych intencji władz musiało to zabrzmieć ironicznie.

Z radia zatelefonowano, że felietony muzyczne Waldorffa zostają zawieszane.

„Komentarza odmówiono. Po dwudziestu pięciu latach mojej nieprzerwanej dla Polskiego Radia pracy! - Tak dawniej wyrzucano z pańskich dworów krnąbrną służbę” - żalił się ministrowi Tejchmie.

List przesłał do wiadomości Rakowskiemu. Ten umieścił go w swoim dzienniku pod datą 2 kwietnia. A potem poszedł do Waldorffa. Był jedynym z partyjnych dygnitarzy (był już wtedy członkiem Komitetu Centralnego PZPR), który to uczynił.

- Wystąpiono do mnie z żądaniem, żebym wyrzucił pana z”Polityki”, ale ja tego nie zrobię - powiedział. - Niech pan nadal do nas pisze.

Jesienią 1976 cenzorski zapis został anulowany i Waldorff wrócił na łamy tygodnika. Natychmiast rozpoczął kolejną walkę. Tym razem o uratowanie niszczonego w rękach miejscowego PGR-u pałacu myśliwskiego Radziwiłłów w Antoninie. Drewniany budynek zaprojektował słynny niemiecki architekt, Karl Friedrich Schinkel, a dwukrotnie na zaproszenie księcia Antoniego Radziwiłła koncertował w nim sam Fryderyk Chopin. To Waldorffowi wystarczyło. Kiedy zobaczył niszczone przez pleśń pałacyk, wściekł się. „W drewnianym pałacyku ten bydlak, dyrektor PGR, zrobił skład zboża! - denerwował się jeszcze po latach. - (...) swoim obyczajem zrobiłem piekło na cały kraj”.

Ale to nie był jeszcze koniec, bo w odrestaurowanym w wyniku awantury pałacu władze ówczesnego województwa kaliskiego zaczęły organizować bankiety i wesela. Czytelnicy „Polityki”, widząc, co się dzieje, znów wezwali na pomoc Waldorffa. „Dwukrotnie występowała w pałacu striptizerka - donosili. - Weseliska, o których pisze J. Waldorff, odbywają się w dalszym ciągu”. A Waldorff w „Polityce” komentował: „Ponownie zwracamy się do Ob. Wojewody kaliskiego z zapytaniem, czy wie o skandalu w Antoninie?”. W innym miejscu jeszcze bardziej dramatyzował siły zła, z którymi musiał walczyć, „...miejscowy wojewoda zrobił tam sobie dom, niezbyt prywatny, dla swoich uciech - z wódką i striptizem” - mówił Andrzejowi Lisowskiemu.

Jednego z lokalnych sojuszników w walce o pałacyk w Antoninie, Kazimierza Pussaka, muzykologa i nauczyciela w Ostrowie Wielkopolskim, przekonał do założenia w Ostrowie Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, które mogłoby zaopiekować się pałacem. Zapewnił, że towarzystwo będzie mogło liczyć na pomoc ministra kultury, Towarzystwa Opieki nad Zabytkami („...którego ja jestem wiceprezesem” - napisał, żeby przypadkiem ktoś nie pomyślał, że składa obietnice bez pokrycia). „Zapewniam także poparcie tow. Gawrońskiego, szefa Wydziału Kultury w Komitecie Centralnym PZPR” - dodał.

Udało się. Towarzystwo Chopinowskie powstało, a w 1982 roku (w 155. rocznicę wizyty Chopina) odbyły się w pałacyku Radziwiłłów pierwsze Dni Chopinowskie. Dziś w

antonińskim pałacu (obok hotelu i restauracji) mieści się Salon Muzyczny im. Fryderyka Chopina i odbywają się międzynarodowe festiwale „Chopin w barwach jesieni”. Pierwszym dyrektorem festiwalu był Kazimierz Pussak.

Ogłaszając zwycięstwo w walce o Antonin, zapowiedział w „Polityce” następną kampanię. Czytelnicy zaalarmowali go, że rzeczka Utrata, przepływająca w Żelazowej Woli obok domu, w którym urodził się Chopin, po prostu śmierdzi, wypełniona ściekami z zakładów przemysłowych położonych w jej górnym biegu. A na dyrektorach zakładu żadne protesty zakładów wrażenia nie robią. „No to pięknie! Weźmiemy się za Utratę od jesieni - napisał. - Jeżeli będzie trzeba, opublikujemy nazwiska winnych i postawimy ich pod Pręgierzem Opinii Publicznej”. Zwykle nawet taka zapowiedź wystarczała. Waldorffa po prostu się bano.

Dobrym przykładem ilustrującym jego relacje z władzą był list, który złożył w Komitecie Centralnym PZPR w marcu 1980 roku. Czytany bez świadomości, jak traktowano Waldorffa, mógł budzić uczucia mieszane. Od niesmaku z powodu maskowanej żartem uległości i konfidencji, po podziw dla protekcyjnego tonu, jakim zwracał się do przedstawicieli partii sprawującej faktyczną władzę w Polsce.

Na początek poinformował, że wkrótce ukończy siedemdziesiąt lat, wyliczył swoje zasługi dla polskiej kultury: Atmę, Muzeum Teatralne w Warszawie i Powązki, przywołał 20 napisanych przez siebie książek i wypomnił, że nigdy jeszcze nie dostał żadnego państwowego orderu, krzyża czy nagrody. A następnie obszernie pouczył adresatów, jaką zbrodnią wobec historii Polski i kultury narodowej byłoby przeznaczenie dwiętnastowiecznej sali koncertowej w krakowskim Hotelu Saskim na kolejne w mieście kino, co właśnie ma zamiar uczynić magistrat Krakowa. Zwłaszcza że Kraków nie posiada żadnej innej przyzwoitej sali koncertowej, a w Hotelu Saskim grali przecież: Liszt, Brahms, Paderewski i Rubinstein. Waldorff prowadził w sprawie Sali Saskiej kampanię w „Polityce”, ale widząc, że przytaczane w kolejnych felietonach argumenty nie znajdują odzewu, postanowił użyć fortelu. „W tej sytuacji, powołując się na wszystkie moje zasługi dla Polski Ludowej, proszę, aby w rocznicowym podarunku na siedemdziesięciolecie urodzin władze PRL oddały mi dla muzyki Salę Saską w Krakowie” - zakończył swój list do KC PZPR.

Przegrał. Zamiast prezentu, o który prosił, dostał wysoki order, a w Sali Saskiej i tak powstało kino. Nie przerwał jednak starań. Pojechał do Krakowa. Namówił do pomocy Henryka Jabłońskiego, w latach siedemdziesiątych przewodniczącego Rady Państwa, a potem przewodniczącego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. „Na specjalnej sesji rady miejskiej otrzymałem zapewnienie od towarzyszk Guzik, która się zajmowała kulturą w tym mieście,

że sala zostanie oddana muzyce” - opowiadał Andrzejowi Ibisowi-Wróblewskiemu. Miała w niej znaleźć siedzibę Capella Cracoviensis Stanisława Gałońskiego. Ale nie znalazła. Wtedy, rozżłoszczony już nie na żarty, Waldorff zwrócił się do rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego z ironiczną propozycją, żeby może jeszcze i aulę Collegium Novum oddał miastu na kino. Oczywiście nie byle jakie, ale takie, w którym pokazywane będą wyłącznie klasyczne filmy kowbojskie, „...a na ścianie powiesić należałoby portret Maksa Lindera, na miejsce Niki Kopernika, który nie wiadomo, co tam robi” - drwił. Krzysztofowi Pendereckiemu w tym samym felietonie zaproponował porzucenie wreszcie komponowania oratoriów i zabranie się za pisanie muzyki filmowej.

Liczył pewnie na zwycięstwo, gdy w Polsce zmienił się ustrój, uchwalono zwrot dóbr zawłaszczonych po 1945 roku przez komunistyczne państwo i Hotel Saski wrócił do prawowitych właścicieli. Ale oni wcale nie zamierzali oddawać go na niedochodową działalność kulturalną. W sali, w której grał Brahms i Liszt, urządzono bank. „...a ja, choć wygrywałem z komuchami, przegrałem z III Rzeczpospolitą, i nikt nie przyszedł mi z pomocą” - napisał po latach z wyraźnym żalem.

W połowie lat siedemdziesiątych zmienił mieszkanie. Razem z Mieczysławem Jankowskim przeprowadzili się z Koszykowej praktycznie za róg, w aleję Przyjaciół, niewielką, zamkniętą na końcu przez pałac Sobańskich, uliczkę z modernistycznymi kamienicami. Ich właściciele zostali po 1945 roku wydziedziczeni przez ludową władzę, a w ocalałych z wojny luksusowych mieszkaniach osiedlili się wysocy urzędnicy komunistycznej władzy. Sekretarze partii, ministrowie, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, potem także artyści. Jeszcze w latach pięćdziesiątych uliczka oddzielona była od reszty miasta szlabanem, przy którym stał strażnik. Mieszkali wtedy w alei Przyjaciół min. minister bezpieczeństwa publicznego, generał Stanisław Radkiewicz, słynny pułkownik UB, Józef Światło, który później uciekł na Zachód i w Radiu „Wolna Europa” zdradzał tajemnice bezpieczeństwa, premier, Józef Cyrankiewicz z żoną, aktorką, Niną Andrycz, reżyser, Jerzy Passendorfer, redaktor, a potem I sekretarz PZPR, Mieczysław Rakowski, i rodzice Adama Michnika.

- Władze przydzieliły mi to mieszkanie nie dlatego, że mnie szczególnie kochały i hołubiły - tłumaczył po latach dziennikarce „Twojego Stylu”. W zamian za większy metraż obiecał przekazać kolekcjonowane od lat antyki Muzeum Historycznemu m.st. Warszawy, a bibliotekę macierzystemu Uniwersytetowi Poznańskiemu. Na Koszykowej zbiory po prostu przestały się już mieścić.

Dziennikarzom, którzy przychodzili do niego po wywiady, z dumą prezentował zgromadzone przez lata skarby. A oni pisali potem, że mieszkanie w alei Przyjaciół

przypomina muzeum. „Dopiero po kilku minutach uświadamiamy sobie, jak bardzo chybione jest to porównanie. Wnętrza muzealne są zimne (...). Tu jest inaczej” - relacjonowała Liliana Śnieg-Czaplewska.

Miał się czym pochwalić. Bogato zdobionym hebanowo-mahoniowymi inkrustacjami pantalionem, czyli połączeniem pianina z ksylofonem, takim samym, na jakim grywał młody Fryderyk Chopin (większość dziennikarzy z rozpędu pisała, że pantalion należał do Chopina, a Waldorff uprzejmie nie przeczył). Kompletem wypoczynkowym z pałacu królowej Wiktorii, z oryginalnymi obiciami. „Wolno na niego tylko patrzeć, siadać przeningdy” - zastrzegął. Sekreterą Branickich, osiemnasto- i dziewiętnastowiecznymi zegarami, uratowanymi z powstania portretami przodków, kilkunastoma sztychami na ścianach, a wśród nich portretem Ignacego Jana Paderewskiego autorstwa Zdzisława Czermańskiego. Były jeszcze inkrustowany stół z XVII wieku i drugi, florencki, z XVIII, które już wcześniej przekazał do odbudowanego Zamku Królewskiego.

Szczególnie dumny był z kolekcji lasek, które dziennikarze opisywali z największym nabożeństwem. A Waldorff chętnie prezentował najcenniejsze egzemplarze. Wykonaną z brązu jakobińską laskę z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, służącą tyleż do podpierania, co do zabijania, za którą zapłacił w antykwariacie w Liege 15 dolarów. Szwedzką laseczkę zwieńczoną rzeźbą z kości słoniowej, przedstawiającą Heraklesa zabijającego lwa nemejskiego. Spacerową laskę króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i laskę ozdobioną królewską koroną Prus i inicjałami C.H. Waldorff uznał w związku z tym, że musiała należeć do kogoś z rodziny Habsburgów albo Hohenzollernów. Nie krył, że nie zawsze jest pewien tak ekskluzywnego pochodzenia swych zbiorów, ale - pytał - czy to naprawdę aż tak bardzo komukolwiek przeszkadza?

Wśród skarbów w bibliotece miał pierwsze wydanie Słownika muzycznego Jana Jakuba Rousseau, drukowane w 1760 roku w Amsterdamie, i nuty jednej z wczesnych oper Mozarta, należące pierwotnie do Marii Wodzińskiej, narzeczonej Chopina. Oprócz tego dwanaście autografów Gałczyńskiego i pierwsze wydanie Ferdynurke Gombrowicza.

Większość przedmiotów kupował w antykwariatach, powiadamiany przez zaprzyjaźnionych antykwariuszy, że mają coś, co „na pewno zainteresuje pana redaktora”. Część zbiorów była prezentami od ludzi, „wielbicieli mojego gadania i pisania”, mówił. Tak właśnie trafił w ręce Waldorffa pantalion, tak zniszczony, że właścicielki, trzy starszki spod Siedlec, zaproponowały, że albo weźmie go on, albo wystawią instrument na śmietnik. Świetność przywrócili mu dopiero restauratorzy z pracowni Zamku Królewskiego. Po śmierci właściciela instrument trafił do sali fortepianów im. Jerzego Waldorffa w Muzeum

Instrumentów Muzycznych w Poznaniu.

Od końca lat sześćdziesiątych coraz częściej bywał w Radziejowicach. Nawet po kilka razy w roku. Na kilka miesięcy latem, potem na święta i kiedy chciał w spokoju dokończyć pisanie kolejnej książki. Pierwszy raz przyjechał, kiedy pałacyk rodzin Radziejowskich i Krasieńskich został właśnie odremontowany i utworzono w nim dom pracy twórczej Ministerstwa Kultury, „...postanowiłem ochoczo skorzystać z zaproszenia” - wspominał.

Opowiadając i pisząc o Radziejowicach gdzie tylko się dało, rozślawił pałac. Turyści przyjeżdżali specjalnie, żeby zobaczyć apartament, w którym mieszka „sam” Jerzy Waldorff. Pokój nie różnił się od innych, tylko nad biurkiem zawisł obraz malarki ze Szczawnicy, której nazwiska Waldorff nawet nie zapamiętał. Płótno przedstawiało pisarza z jamnikiem Puzonem.

W Radziejowicach powstawały książki, w parku i w sali kominkowej nagrywał programy dla telewizji. Traktowany był jako gość specjalny, bo tyleż z Radziejowic korzystał, co przysparzał pałacowi gości i legendy. O paniach pracujących w pałacowej kuchni nie mówił inaczej, jak „księżne”, a one odwdzięczały mu się, szykując ulubione przysmaki: krem pieczarkowy z groszkiem ptysiowym, bulion z grzankami i ruskie pierożki.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, właśnie w Radziejowicach, Waldorff i Jankowski zaprzyjaźnili się z Zofią Kucówną.

- Wcześniej spotykaliśmy się w teatrze czy filharmonii, ale nie miało to jeszcze charakteru zażyłości - opowiada aktorka. - W 1979 roku dotknęła mnie choroba, która wymagała codziennych odwiedzin w szpitalu. Upalne lato, zmarnowany urlop, więc żeby nie wegetować w mieście, zamieszkałam w Radziejowicach i dzień w dzień dojeżdżałam do Warszawy. Panów Jerzego i Mietka intrygowało, dlaczego tak często podróżuję. Kiedy Waldorff dowiedział się, o co chodzi, bardzo się przejął. Podobnej troski i czułości, jakiej wtedy zaznałam od nich obu, doświadczyłam jeszcze tylko od prowadzącego mnie lekarza. Jerzy potrafił siedzieć przy mnie tak długo, aż zasnęłam. Wtedy dopiero szedł do swojego pokoju. Że nie wspomnę o rozmowach, które podnosiły mnie na duchu i wspierały głębokim widzeniem spraw ostatecznych. O życiu, o śmierci, o Bogu, o konieczności bycia pokornym tam, gdzie tego wymaga nieszczęście. „Trzeba zawsze patrzeć w dół, nie do góry. Nie żądać za dużo, a pocieszać się tym, że mogłoby być jeszcze gorzej. I cieszyć się, że jest tak, jak jest, czyli że jest do wytrzymania” - mawiał.

Kiedy wrócili do Warszawy, Waldorff zapraszał Zofię Kucównę na obiady, które oczywiście gotował Mietek. Spotykali się codziennie. Najpierw był obiad, potem herbata i rozmowy, po których Jerzy wygłaszał patetycznie: „A teraz idziesz do domu”. Aż któregoś dnia powiedział: „Musimy od siebie odpocząć”. Uznał, że dalej da sobie już radę sama, bez

nich.

- Zrobił to tak, żeby za bardzo nie bolało - wspomina Zofia Kucówna. - Wtedy dopiero zrozumiałam, jak wiele obaj dla mnie zrobili. Więzy, które wtedy powstały, istniały do końca, choć nie miały już tak opiekuńczego charakteru.

W połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęto organizować w Radziejowicach najpierw Letnie Miesiące Muzyki, a później Letnie Spotkania ze Sztuką „Dźwięk, Słowo, Barwa,”, pomyślane jako koncerty połączone z wystawami malarstwa. Waldorff zgodził się być ich gospodarzem, pod warunkiem że zostaną uzupełnione o słowo mówione, poezję i prozę. „Mnie chodziło o zrobienie z tutejszego pałacu wzorowego ośrodka lansowania sztuki polskiej na zewnątrz, takiego bijącego blaskiem i ciepłem ogniska polskiej sztuki” - mówił. Udało się. W Radziejowicach występowali: Halina Czerny-Stefańska i Janusz Olejniczak, Zofia Kucówna i Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Ignacy Gogolewski i Olgierd Łukaszewicz.

- Na początku nie chciał prowadzić tych spotkań - wspomina Jerzy Kisielewski. - Buntował się: „Przecież ja tu przyjechałem, żeby pisać, niech się odzepią ode mnie”. Jęczał, narzekał, potem mówił: „Pójdę tam najwyżej na pół godziny i zaraz wracam”. Szedł do sali koncertowej, tam witano go brawami na stojąco i... zostawał do końca. Kiedy prawie nie mógł już chodzić, właśnie to trzymało go przy życiu. Pewność, że kiedy tylko pojawi się w jakimś publicznym miejscu, zawsze spotka się z aplauzem i sympatią ludzi.

Mówił o Radziejowicach jak o ukochanym miłością największą utraconym Rękawczyni. Uważał, że to dar, którym Bóg chciał zrekompensować mu tamtą stratę. „W samych zaś Radziejowicach twierdzą, że to Bóg obdarował ich Waldorffem” - pisał Krzysztof Ptaszyński.

- Jeśli więc nawet Boga nie ma, to są pewne oznaki boskiego wpływu na życie ludzi - przekonywał w wywiadzie. - A już na pewno na życie Jerzego Waldorffa.

Zostałem właścicielem potwora..

Puzona znała cała Polska. Jamnik Jerzego Waldorffa występował w telewizji, czekał w radiu, jego zdjęcia ukazywały się w gazetach, a nawet na okładkach książek. Puzon miał utrwalone poglądy na życie i muzykę, którymi dzielił się ze swoim właścicielem, a następnie on przekazywał je ludziom. Bo Puzon wiedział znacznie więcej i lepiej niż ludzie wymądrzający się nawet w telewizji, „...gdyby Puzon nie wiedział, kto napisał muzykę do Pietruszki, to wygnałbym go z domu” - napisał Waldorff, usłyszawszy, że uczestnik teleturnieju nie wie, że to dzieło Igora Strawińskiego.

Puzon był elementem utrwalonego w mediach wizerunku Waldorffa. Bardziej niż jego

poprzednik, srebrno-czarny spaniel Afi, który towarzyszył pisarzowi co najmniej równie długo, bo od czasów „Przekroju”, ale w epoce przedtelewizyjnej o popularność było trudniej, „...przez cały psi żywot był, będąc kłapouchym aniołem, niezdolnym zrobić nic złego nawet musze” - wspominał go Waldorff.

Afi stał się częścią historii „Przekroju”, gdy razem z psem Mariana Eilego - foksterierem Fafikiem, zaczął uczestniczyć w redakcyjnym, i nie tylko, życiu towarzyskim. Obaj właściciele doszli bowiem do wniosku, że ich pupile znakomicie poradzą sobie nawet w najbardziej eleganckich krakowskich lokalach. Zaczęli od kawiarni Noworolskiego w Sukiennicach, gdzie pieski dostały po ciastku i wszystko wypadło po myśli Eilego i Waldorffa. Ale wieczorem, w „Gospodzie Aktorów”, już tak dobrze nie było. Psy były spokojne dość długo, ale kiedy na parkiet wyszła tancerka, by zaprezentować się gościom w tańcu artystycznym, oba wypadły na środek sceny i szczekając, przegoniły artystkę. „Marian musiał szorować do garderoby z kwiatami i tancerkę przeproszać” - wspominał Waldorff.

Gdy Afi, osiągnąwszy wiek sędziwy, odszedł, Waldorff postanowił, że następca spaniela będzie zupełnie inny. Nie tylko wyglądem, ale i charakterem. Spośród stadka małych jamniczków, które znalazł pod wskazanym przez Związek Kynologiczny adresem, wybrał najbardziej bojowego, który na widok obcego człowieka oderwał się od sutka matki, warcząc, podbiegł do Waldorffa i ugryzł go w czubek buta.

„Zostałem właścicielem potwora, postrachu okolicy, tyrana w domu, satrapy, który traktuje kota i mnie jak służących, kontroluje, co jem, a jeśli to lubi, zostawia mi resztki” - opisywał swego nowego psa.

Imię najślawniejszemu obok przekrojowego Fafika - a potem jeszcze tylko Szarika z serialu o czterech czołgistach - psu Polski, wymyśliła Natalia Gałczyńska. Jesteś muzykiem, powiedziała, więc twój pies powinien mieć muzyczne imię. Na przykład Puzon. W ten sposób postrach okolicy i domowy tyran został Puzonem.

Waldorff pisał o Puzonie tak, jak tylko potrafi pisać człowiek głęboko w swoim zwierzęciu zakochany, „...choć krótkie posiada łapy, biega na nich ogromnie szybko, gdyż jest polskim jamnikiem, więc z logiką nie ma nic wspólnego”, „...w nocy nie pozwala mi przewrócić się z boku na bok i zaraz warczy, ale sam przerywa kilka razy sen, żeby dla zdrowia zrobić mały spacer po mnie!”. „Puzon liże mi nos. Ma język przyjemnie chropowaty i ciepły, ale szczyrzy zęby. Jezus, Maria! Żeby mi nie odgryzł nosa...”.

Czytelnikom mogło się wydawać, że Puzon jest psem wyjątkowo, nawet jak na jamnika, długowiecznym. Pojawił się w domu Waldorffa pod koniec lat pięćdziesiątych (prawie natychmiast zadebiutował w roli bohatera felietonów na łamach „Świata”), a

towarzyszył mu jeszcze w latach osiemdziesiątych. Musiałby więc żyć z górą ćwierć wieku. Tak jednak nie było. Po prostu Puzony były dwa, pierwszego zastąpił w mieszkaniu przy alei Przyjaciół kolejny szczeniak. Dzięki temu Waldorff mógł przez wiele lat kończyć felietony frazą dość zbliżoną: „Na tym koniec. Ulżyłem sobie ogromnie. Puzon, chodź! Idziemy na spacer...”. Albo „O wciórności, Puzon wyje! Lecę szukać mu żony...”.

Puzon tak bardzo zrosł się z publicznym wizerunkiem Waldorffa, że kiedy przed koncertem grupy Niebiesko-Czarni miał przemówić do czterech tysięcy rozwrzeszczanych nastolatków, dziękując za wkład ich idoli w wykupienie Atmy, nagle cała Sala Kongresowa zaczęła skandować: „Gdzie jest Puzon?!”.

Poświęcił swoim jamnikom nowelkę Bracia mniejsi, którą umieścił w kilku zbiorach opowiadań. Opowiadanie będące wyrazem takiej miłości, którą potrafią zrozumieć jeszcze tylko inni posiadacze psów. Pełnej bezgranicznej akceptacji, porozumienia i gotowości poddawania się najbardziej nawet szalonym psim karesom.

Ale kiedy fragment, w którym Waldorff nazwał Puzona „człowieczkiem”, ukazał się w podręczniku do klasy V szkoły podstawowej, rozgorzał spór, czy aby nie przesadził i czy na pewno można traktować psa jak człowieka. „Niektórzy nauczyciele mają o to do Ciebie pretensję do tego stopnia, że nie chcą tej czytanki z młodzieżą przerabiać!” - zarzucił mu Tadeusz Kaczyński. Waldorff tłumaczył, że wcale nie ceni psów bardziej niż ludzi, to po prostu ludzki świat tak „spsiał”, że psy stały się lepsze od rodzaju człowieczego. A skoro ludzie muszą już zmieniać się w zwierzęta, niechże lepiej zmieniają się w łagodne i miłe jamniki zamiast w byki, wilki, lisy czy świny, „...ludzie powinni być dobrzy, przynajmniej tak dobrzy jak psy - skoro nie mogą być lepsi” - przekonywał.

Każdy dzień w mieszkaniu przy alei Przyjaciół zaczynał się od psiego wygrzebywania się spod kołdry, która najpierw zaczynała falować, unosić się, aż nagle wydobywała się spod niej psia mordą. Owinięty pierzyną Puzon wyglądał jak wściekła, długonosa, wiejska baba. Taka, która czeka tylko, z kim zacząć tego dnia poranną awanturę. Bo Puzon, jak przystało na psa być może niskiego wzrostu, za to wysokiej rasy, był neurastenikiem.....przed południem mało co może wyprowadzić go z ponurego nastroju” - pisał Waldorff. Chodził ze zwieszonym pyskiem i ogonem wściekły na cały świat, warczał, odmawiał nawet wspólnego z panem śniadania, „...przygląda mi się wyraźnie jak idiocie, po czym z niesmakiem włazi pod kanapę” - relacjonował właściciel. Ożywał się dopiero wtedy, gdy Waldorff postanawiał wreszcie uczynić to, do czego człowiek został stworzony, zesłany na ziemię i oddany na posługę jamnikom. Czyli zabierał swego psa na spacer.

A po powrocie znów było podobnie. Długa ruda parówka leży na podłodze

wyciągnięta i wpatrzona w pana - opisywał zwykły dzień w alei Przyjaciół Waldorff. Czekają, aż właściciel oderwie się od maszyny do pisania i zajmie się swoim psem. Przecież każdy normalny pies wie, że dzień powinien składać się głównie ze spacerów, przerywanych co najwyżej powrotami do domu na posiłki, „...a takie zwierzę, pochylone nad płytą z drewna, o tyle większe i nic nie wie: matoł, dureń, pokraka!” - domyślał się, jak ocenia go jamnik.

Puzon towarzyszył mu, kiedy jechał na wczasy do Złotych Piasków w Bułgarii („...z moim bratem i jamnikiem Puzonem” - pisał) i do Krynicy podreperować zdrowie („W pośpiechu dla Puzona wzięłem łóżko w przedziale damskim. Kłopoty aż do końca!”). Ale częściej musiał czekać. Dzień, kilka, tydzień, czasem miesiąc, a nawet dłużej. Tkwiąc pod drzwiami wejściowymi do mieszkania, nasłuchując windy, kroków na schodach, wpatrzony z nadzieją w drzwi, których mimo szmeru na zewnątrz nikt nie otwiera. Za to, kiedy pan wreszcie wrócił... „Wtedy to powitanie, to łyskanie zębami w uśmiechach spod uniesionych w górę warg, ta radość szalona... My tak nie potrafimy się cieszyć!” - pisał Waldorff.

Kiedy wracał z Targów MIDEM w Cannes, w Paryżu zmieniał samolot linii szwajcarskich na maszynę LOT-u. Na pokładzie czekał na niego... Puzon! A stewardesa podsunęła mu listę pasażerów. „Na dwóch pierwszych miejscach figurowali... Herr Hau i monsieur Puzon” - zapamiętał.

Kiedy Puzon chorował, Waldorff troszczył się o niego jak o osobę najbliższą. Wzywał lekarza, mając nadzieję, że patrzący na niego zachodzącymi mgłą oczami jamnik wie, że pan naprawdę robi wszystko, by ulżyć jego cierpieniu.

- Pierwszego Puzona, który był jamnikiem dużym i masywnym, dotknęła przypadłość, na którą choruje wiele jamników - opowiada Jerzy Kisielewski. - Wyskoczył mu dysk i pies stracił władzę w tylnej części ciała. Patrząc na nich, trudno było się domyślić, kto cierpi bardziej, Waldorff czy Puzon.

Opowiadanie Bracia mniejsi kończy się sceną zapamiętaną przez Waldorffa z jakiegoś - chyba włoskiego - filmu. Pustą szosą odchodzą mężczyzna i pies. Idą przed siebie, coraz mniejsi i bardziej odlegli; aż do chwili, gdy na ekranie pojawia się napis: Koniec.

Każdego z nas - pisał Waldorff - czeka chwila, gdy wyruszy w podróż, z której nie będzie już odwrotu, „...noszę w sercu niedorzeczne marzenie, aby mi wówczas towarzyszyli Puzon i Kot”.

Stan wojenny, życie muzyczne zamarło, przestałem pisać...

Sierpień 1980 roku, bunt robotników i powstanie „Solidarności” Jerzy Waldorff przyjął, jak większość narodu, z wiarą, że demokratyczne zmiany, na które zgodziła się

władza, będą trwałe. Uwierzył w dobre intencje i szczerść zapewnień o woli budowy nowej Polski.

Musiał tylko na nowo określić swoje miejsce w „Polityce”, która próbowała po Sierpniu zająć pozycję okrakiem na murze dzielącym władzę i społeczeństwo. Nie zawsze się to udawało. Dotąd publikował swoje felietony, nie bardzo zwracając uwagę na to, co pojawia się na sąsiednich stronach tygodnika. Istniała między nim a redakcją niepisana umowa, że „Polityka” znosi jego publicystyczne szarże i demonstracyjną rezerwę wobec linii pisma, a on w tym, co pisze, unika treści drażliwych politycznie i respektuje ograniczenia, z jakimi musi borykać się pismo próbujące zachować minimum przyzwoitości, ale mimo wszystko zależne od władzy. Taki stan udawało się utrzymywać przez całe lata siedemdziesiąte, ale po Sierpniu przysłała pora na deklaracje, „...polityka rozżarzyła naród do białości i każdy zajmować w niej musi stanowisko wyraźne” - napisał w jednym z felietonów. Chciał jednak, by pozwolono mu dalej zajmować w „Polityce” miejsce osobne, zwłaszcza gdy przyjdzie do omawiania spraw publicznych. Tym bardziej że towarzyszył z łamów, Jerzy Urban, napisał, iż publicyści jednego pisma powinni też prezentować jednakowe poglądy. Urban został właśnie rzecznikiem prasowym rządu Wojciecha Jaruzelskiego, a Waldorff na łamach „Polityki” napisał, że nie zgadza się z człowiekiem „...dla cynizmu swego zwanym przez wrogów politycznych łachudrą”. Wydrukowanie w „Polityce” tych słów będzie dowodem, że redakcja propozycję warunków dalszej współpracy akceptuje, napisał Waldorff. Brzmiało to jak ultimatum, ale redakcja felieton opublikowała.

Dziś trudno już rozstrzygnąć, co było powodem konfliktu między obu publicystami, ale wzajemna niechęć towarzyszyła im do końca.

Po jednym z felietonów zaatakowała go „Trybuna Ludu”, organ PZPR. W felietonie Waldorff napisał o obowiązującym przed Sierpniem uzależnieniu decyzji personalnych od widzimisię partyjnych sekretarzy i domagał się przyznania powołanej przy ministrze kultury Radzie ds. Muzyki prawa do konsultowania nominacji na funkcje dyrektorów instytucji muzycznych. Partyjna gazeta zaliczyła go do „biczowników i samobiczowników odnowy” i zarzuciła, że sam chce mianować dyrektorów oper i filharmonii. A przy okazji, by zohydzić przeciwnika w oczach czytelników, „Trybuna Ludu” wyciągnęła mu wymierzone w akowców artykuły z „Przekroju” i pierś wypinaną po orderzy od komunistycznej władzy. Jerzy Waldorff jest wytrawnym specjalistą w sprawach odnowy politycznej” - ironizował Marek Jaworski. Waldorff bronił się, ale dość miękko i niezręcznie. Wysłał do „Trybuny” list. Teksty z „Przekroju” przemilczał w nim w ogóle, przypomniał za to, że wydaną w 1948 roku Godzinę policyjną zadedykował swemu siostrzeńcowi, żołnierzowi Batalionu „Zośka”, pierwszy order

zaś dostał dopiero w roku 1980, na siedemdziesiąte urodziny. Jak się zdaje, w związku z odnową pojawiło się mniej «biczowników i samobiczowników») niżli publicystów zniesławiających na prawo i lewo, kogo się tylko da, także za pomocą zarzutów z prawdą niemających nic wspólnego, byle tylko o publicystach owych było głośno” - pisał.

W nocy z 12 na 13 grudnia tzw. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, na której czele stanął generał, Wojciech Jaruzelski, wprowadziła w Polsce stan wojenny. 13 grudnia 1981 roku Waldorff miał przemawiać podczas trwającego od dwóch dni w Teatrze Dramatycznym w Warszawie

Kongresu Kultury Polskiej..... biorąc za temat kneble cenzury nakładane na publikacje w prasie, radiu i TV” - pisał. Nie zdążył, Kongres, który był w istocie sądem, odprawianym przez środowiska twórcze nad polityką kulturalną Peerelu, został przerwany. Kiedy o 10.00 rano Waldorff i inni uczestnicy Kongresu pojawili się przed wejściem do teatru, zastali tam tylko kręcących się esbeków i kartkę na drzwiach: „Na mocy decyzji prezydenta m.st. Warszawy Kongres został rozwiązany”.

Wielu spośród organizatorów i uczestników kongresu zostało internowanych, wśród nich: Halina Mikołajska, Jerzy Jedlicki, Andrzej Kijowski, Jerzy Markuszewski, Klemens Szaniawski, Andrzej Szczypiorski, Roman Zimand. „Gdybym był przemawiał, ani chybi znalazłbym się wśród deportowanych do «miejsc odosobnienia- (...): Bóg mnie wszakże uchronił, ku dużemu mojemu zawstydzeniu” - napisał Waldorff po latach.

Trudno dziś racjonalizować decyzje władz wojskowych i szukać logiki na listach nazwisk ludzi aresztowanych i przewiezionych do obozów dla internowanych. Ale trafiły do nich w większości osoby, które władze mogły podejrzewać o aktywną działalność podziemną. Internowano ludzi o wielkich zasługach dla polskiej kultury, ale niewielu cieszących się taką telewizyjną popularnością jak Waldorff. Tych raczej, nawet mimo ich bardzo ostrych wystąpień podczas kongresu, oszczędzono. Może władze wolały nie ryzykować jeszcze większej społecznej niechęci? Czy więc siedemdziesięcioletni Waldorff, nawet po najostrzejszym przemówieniu, zostałby internowany? Raczej wątpliwe.

Na teczce, w której zbierał publikowane w „Polityce” felietony, zanotował: „13 XII 1981. Stan wojenny, życie muzyczne zamarło, przestałem pisać...”.

Wspominając po dziesięciu latach stan wojenny, napisał, że spędził go w areszcie domowym, który nałożył na siebie sam. Wtedy nazywano to emigracją wewnętrzną. Część osób o znanych nazwiskach odmówiła uczestnictwa w oficjalnym życiu publicznym, nie chcąc swoją obecnością w prasie, telewizji i radiu stwarzać wrażenia, na którym najbardziej zależało władzom stanu wojennego. Wrażenia, że nic się nie zmieniło, życie dalej toczy się

tak samo, jak toczyło się wcześniej, mimo godziny milicyjnej, czołgów na ulicach, cenzury korespondencji i kontroli rozmów telefonicznych.

Kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego do mieszkania przy alei Przyjaciół przyjechał jeden z wiceministrów kultury. Chciał wiedzieć, co Waldorff zamierza w tej sytuacji zrobić. Pisarz oświadczył, że ponieważ nie został internowany, tak jak jego koledzy o podobnych przekonaniach, więc internuje się sam, we własnym mieszkaniu.

„Powiedziałem, że z mego mieszkania nie wyjdę prędzej, niż moi przyjaciele wrócą do domów. I słowa dotrzymałem” - mówił w wywiadzie po latach. Przez cały rok 1982 nie bywał w teatrze, nie pojawiał się na koncertach ani festiwalach, inna sprawa, że dość rzadkich w okresie stanu wojennego, gdy obowiązywała godzina milicyjna. Nie publikował także w żadnym z pism, z którymi wcześniej współpracował, „...jakąś nieznaną mi drogą deklaracja moja o samozamknięciu się i dobrowolnym wyłączeniu z życia publicznego przedostała się do Radia Wolna Europa” - pochwalił się po latach.

Nie zarzucił jednak pisania w ogóle. Dla kogoś, kto robił to codziennie od pół wieku, godziny spędzane przy biurku były jak narkotyki. Więc siadał każdego dnia do maszyny i pisał. W 1982 roku powstała nostalgiczna Dolina szarej rzeki (ukazała się w roku 1985). Wracał w niej do Rękawczyna, okresu spędzonego w podchorążówce w Grudziądzu, czasu wojny i lat tuż po jej zakończeniu. Umieścił w Dolinie... także dwa opowiadania, które nie mogły ukazać się ćwierć wieku wcześniej: Żaby na placu Wareckim, a przede wszystkim Konsula Jego Królewskiej Mości. Nie przerwał też działalności w Komitecie Powązkowskim, Towarzystwie Opieki nad Zabytkami i w Radzie Muzyki.

Wrócił do „Polityki” na początku 1983 roku, po zawieszeniu stanu wojennego (ostatecznie zniesiono go 22 lipca 1983 r.). Zmienił też winietę swoich felietonów na Uszy do góry! „...naród trwa, mimo wszystko świadom siebie” - napisał w pierwszym felietonie, zatytułowanym właśnie Uszy do góry!

Uważał, że musi się wytłumaczyć swoim czytelnikom. Po pierwsze z tego, że przez rok nie pisał, po drugie, i może ważniejsze, że wrócił na łamy „Polityki”, gdy tak wielu przedstawicieli środowisk artystycznych nadal odmawiało współpracy z wojskowym reżimem. Zniknął, tłumaczył, bo nie mógł pogodzić się z pozbawieniem internowanych w grudniu 1981 roku wolności. Wrócił, bo obozy internowanych zniknęły, „...z ciężkim jednak sercem patrząc na każdy wypadek ponownego lekceważenia prawdy” - pisał. Nie wszyscy na pewno zaakceptowali to tłumaczenie i usprawiedliwili decyzję o powrocie. Nadal przecież obowiązywała część obostrzeń stanu wojennego. W miejsce rozwiązanych w stanie wojennym Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich powołano

nowe, posłuszne wobec reżimu organizacje, a podziemni działacze zdelegalizowanej „Solidarności” nie trafiali już do obozów dla internowanych, tylko prosto do więzień. Być może lepiej byłoby napisać, że potrzebował pisma o wystarczająco wysokim nakładzie, by być słyszany, bo bez tego nie byłby w stanie walczyć o rzeczy, na których mu zależało.

Nie wstąpił do nowego Związku Literatów Polskich, który powołano na gruzach organizacji rozwiązanej przez ministra kultury, Zdzisława Żygulskiego. Nie chciał być w towarzystwie pisarzy wiernych władzy, ale o miernych zwykle talentach, „...po masakrze min. Żygulskiego wzięto mnie «na przechowanie») do Związku Kompozytorów Polskich (Sekcja Muzykologów), gdyż ten związek z pogromu ocalał” - napisał. Dopiero po 1989 roku, w nowej Polsce, wstąpił do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Był świadom, ile warta jest rzeczywistość, która go otacza. W jednym z felietonów opisywał program, który telewizja nadała z okazji Bożego Narodzenia. Dziennikarz w zoo „rozmawiał” ze zwierzętami. I słoń, i żyrafa „wypowiedziały się” do kamer, tylko osły ryczały: „My do telewizji nie chcemy! My do telewizji nie chcemy”. Aluzja do bojkotujących TV artystów była aż nadto czytelna. „To tak, jak gdyby gospodarz domu czekał na zaproszonych gości, potem bił ich po twarzy, z równoczesnym: «Proszę bardzo, kolacja gotowa!», - napisał Waldorff.

Już w drugim po powrocie na łamy felietonie (Warunekprawdy) wdał się w spór z Krzysztofem Teodorem Toeplitzem. W opublikowanym także w „Polityce” artykule Toeplitz przekonywał, że pieniądze, które ludzie dają na budowę kościołów i pomników, lepiej przeznaczyć na szpitale, bo państwa na to nie stać. A Waldorff właśnie postanowił upomnieć się o pomnik Ignacego Jana Paderewskiego, który istniał przed wojną, ale po wojnie ukryto go w krzakach za warszawską Akademią Muzyczną. Ktoś najwyraźniej uznał, że premier-muzyk był wrogiem ludu i nie pasuje do nowego ustroju. A Polacy, przez dwieście lat pozbawieni możliwości czczenia swoich bohaterów, właśnie tego potrzebują, pisał Waldorff. Gdyby Toeplitz sięgnął do historii Polski, dodał z łatwo wyczuwalnym sarkazmem, i to wcale nie tak dawnej, znalazłby niewątpliwie usprawiedliwienie dla potrzeby Polaków wznoszenia coraz to nowych świątyń.

W 1984 roku ukazał się tom esejów Waldorffa, Czarne owce dla Apolla, poszerzona o dwa ważne dla Waldorffa teksty wersja książki sprzed paru lat pt. Moje cienie. Oprócz poświęconego krytyce artystycznej rozdziału Szczupaki pojawił się w Czarnych owcach... dawny esej o Konstantym Idefonsie Gałczyńskim, w latach siedemdziesiątych zatrzymany, jak twierdził Waldorff, po interwencji Kiry Gałczyńskiej u szefa partyjnej propagandy, Jerzego Łukaszewicza. Po ukazaniu się książki Waldorff w wywiadzie dla wrocławskiego

miesięcznika „Odra” wypowiedział zdanie dość zaskakujące: „Myślę, że teraz swoboda w literaturze jest znacznie większa niż za Gierka”. Tom Moje cienie, przekonywał Andrzeja Lisowskiego, ukazał się oficjalnie w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, ale naprawdę wydrukowano zaledwie 2 tysiące. Czarne owce dla Apolla wydrukowano w 1984 roku w 30 tys. egzemplarzy. Kto chciał, mógł odczytać te zdania jako spłatę długu wobec ekipy, która jeszcze kilkanaście miesięcy wcześniej rządziła w Polsce na podstawie dekretu o stanie wojennym. W dodatku byłaby to spłata dokonana na warunkach podyktowanych przez tę władzę. Bo próba skrytykowania w tym samym wywiadzie demonicznego rzecznika rządu, Jerzego Urbana, została przez cenzurę mocno okrojona. Waldorff mógł powiedzieć, że wydanie w trzy miesiące zbiorku politycznych felietonów, gdy prawdziwi pisarze czekają na swe książki po trzy lata, to „antyrządowa prowokacja”, ale nie mógł już zdradzić, że chodzi o książkę pisującego pod pseudonimem Urbana.

Był bardzo czuły na punkcie tego, co sam pisał i co pisano o nim. W firmie zajmującej się dostarczaniem wycinków prasowych opłacił wyszukiwanie artykułów, w których pojawiała się jego nazwisko.

- To prawda, był próżny - śmieje się Zofia Kucówna. - Dał kiedyś mojemu mężowi swoją dopiero co wydaną książkę, prosząc, żeby mi ją przekazał. Napisał nawet dla mnie dedykację. A mąż zostawił książkę w samochodzie i natychmiast o niej zapomniał. Widzę się z Waldorffami raz, drugi, trzeci, i nic nie mówię. A on najwyraźniej czekał. Zauważyłam, że pochłodził. Powiedziałam o tym mężowi, który od razu skojarzył to z książką. Po jakimś czasie spotykam się z Waldorffem w Radziejowicach. Widzę, że dalej jest zły i wyraźnie mnie ignoruje. Chcąc sprawę zatuszować, a jednocześnie nie wsypać męża, zaczęłam słodko i nieśmiało:

„- Jerzy, bardzo ci dziękuję za książeczkę...” - No... chyba nic gorszego zrobić nie mogłam.

„- KSIĄŻECZKĘ!!!”- Waldorff wykrzyczał to takim głosem, że Zofia Kucówna pomyślała: „To już na pewno koniec przyjaźni”.

- Podejrzewam, że do końca życia nie wybaczył mi tej „książeczki”, choć oczywiście przyjaźniliśmy się nadal - wspomina.

Marzenie o uhonorowaniu Ignacego Jana Paderewskiego udało się spełnić w roku 1985. W sto dwudziestą piątą rocznicę urodzin wirtuoza fortepianu, premiera i patrioty w Ogrodzie Ujazdowskim ponownie stanął pomnik, o który Waldorff się upominał. Kiedy jednak składał pod pomnikiem premiera wolnej Polski kwiaty, zobaczył, jak niewielu ludzi przyszło, by oddać mu cześć. A pamiętał rok 1919, kiedy Paderewski przyjechał do

Warszawy jako współwskrzesiciel niepodległości Rzeczypospolitej po stu dwudziestu trzech latach zaborów. Na powitanie wyległo całe miasto. Ośmioletni wtedy Waldorff patrzył na to z witryny kawiarni Galińskiego na rogu pl. Trzech Krzyży i Alej Ujazdowskich. Sześćdziesiąt sześć lat później pod pomnik przyszło zaledwie kilkaset, przeważnie starszych osób. Jeśli liczył na patriotyczną manifestację, tyleż ku czci Paderewskiego, co wymierzoną w komunistyczną władzę, która mimo kolejnych propagandowych zabiegów, nie była w stanie odzyskać zaufania Polaków, to się przeliczył.

Słowa, które wypowiedział wtedy pod pomnikiem, były oskarżeniem. Człowiek, który położył tak wielkie zasługi dla Polski, został wskutek karygodnych przemilczeń rodziców i szkoły usunięty w niepamięć. Dlatego teraz obowiązkiem właśnie rodziców i szkół jest przywrócenie go historii Polski. Zakończył tą samą dramatyczną przestrogą, którą powtarzał coraz częściej: „Naród, który zapomina o własnej historii, jest niewart istnienia”.

W artykułach, które pisał w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, rzadziej niż zwykle odchodził od tematów muzycznych. Mimo zniesienia stanu wojennego atmosfera w kraju skłaniała raczej do zamykania się na własnym podwórku niż do uczestnictwa w oficjalnym życiu kulturalnym. Brylowali w nim ludzie, obok których nie wszyscy chcieli się pokazywać.

Ale w końcu temperament Waldorffa zatryumfował. Gdy zobaczył, co dzieje się ze zbiorami poznańskiego Muzeum Instrumentów Muzycznych, w którego piwnicach niszczeją, wystawione na działanie wilgoci, myszy i korników osiemnastowieczne fortepiany, poustawiane pionowo albo jeden na drugim, zawył z wściekłości, „...bałem się, że mnie udusi złość i zgroza” - pisał w 1986 roku w felietonie *Moja noga*.

Od lat walczył o przyznanie muzeum sąsiadującej z nim na poznańskim Starym Rynku kamieniczki, co rozwiązałyby problemy placówki. Otrzymywał kolejne obietnice od władz miasta, ale niewiele z nich wynikało, bo na przeszkodzie stały albo obiektywne trudności, albo interesy bardzo konkretnych osób. W końcu napisał, że dopóki Muzeum

Instrumentów Muzycznych sąsiadującej z nim kamieniczki nie dostanie - „...noga moja nie postanie w Poznaniu”. Dotrzymał słowa. A muzeum zostało w końcu powiększone.

A gdy okazało się, że kolejne kościoły w kolejnych wioseczkach i miastach (tym razem w Bieczu pod Gorlicami i Gnieźnie) są bezkarnie grabione, bo nikomu nie przyszło do głowy, że w katolickiej Polsce złodzieje odważą się na okradanie świątyń, stracił cierpliwość. Nie mógł ścierpieć, że dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, skarby nierzadko z XVI i wcześniejszych wieków, po prostu czekają na złodziei, zachęcając ich lichymi kłódkami albo wręcz otwartymi całym dzień drzwiami.

„Wielebni i towarzysze - zaapelował w „Polityce” - (...) próby okradania kościołów także u nas będą się powtarzały, a jeśli się ich nie udaremnimy, opieszale instancje będą za straty odpowiedzialne przed historią. W imię Ojca i Syna”.

W 1988 roku został poproszony przez prezydenta Warszawy o napisanie, czego pragnąłby dla stolicy na zbliżające się trzecie tysiąclecie. W odpowiedzi wybuchnął: „Warszawa jest najbrzydsza, najbrudniejsza i najsmutniejsza ze stolic Europy”. Można ją było po wojnie odbudować pięknie, pisał, a zbudowano skupisko bezkształtnych i szpetnych budowli z Pałacem Kultury, jak sterczącym pryszczem na nosie, w środku. A potem zasiedlono nowymi warszawiakami, w większości przywiezionymi ze wsi. Żeby ich zmienić, trzeba przywrócić salony, w których na nowo zaczną uczyć się mówić dobrą polszczyzną, ze smakiem ubierać i odpowiednio zachowywać. A przede wszystkim nauczyliby się słuchać muzyki.

Znów zaczął jeździć na festiwale. Między innymi do Wrocławia na festiwal oratoryjno-kantatowy „Wratislavia Cantans”. Po raz pierwszy od dwudziestu lat. Wypominano mu tę nieobecność, ale tym uważniej wsłuchiowano się w to, co mówi. A on nie szczędził słów krytyki. „To najlepszy festiwal w najbrzydszym mieście Europy” - stwierdził w wywiadzie, „...codzienne koncerty «Wratislavii» były jak brylanty rzucane w brud podwórka” - pisał w felietonie Brylanty w mroku. Czuł, że chroni go wiek i budowany przez lata autorytet, ale wiedział też dobrze, że coraz bardziej rachityczna i ledwo dysząca władza nie będzie już w stanie uczynić mu krzywdy.

Mówił, że ujrzał miasto smutne i martwe, pozbawione choćby jednej przyzwoitej kawiarni, co pewnie darowano by mu i wcześniej, ale już stwierdzenia, że Wrocław jest tak samo martwy „jak cała reszta Polski”, dawniej cenzura by nie przepuściła. A tym bardziej postulatu, że należy zmienić rząd i ludzi, którzy od czterdziestu lat uważają, że masom robotniczo-chłopskim zamiast prawdziwej kultury trzeba tylko dużo wody i festiwali w Opolu i Sopocie.

Gorzkie słowa o wspieraniu przez przywódców narodu prymitywnej rozrywki, bo ludźmi pozbawionymi potrzeb duchowych łatwiej kierować, musiały rządzących drażnić, a mimo to pozwolono je opublikować. Najpierw w lokalnej gazecie we Wrocławiu, a później także w „Polityce”. Do czerwca 1989 roku i wielkiego zwycięstwa „Solidarności” w pierwszych półwolnych jeszcze wyborach brakowało już tylko dziewięć miesięcy.

Komunistyczna władza coraz intensywniej starała się poprawić swój wizerunek w oczach narodu. 11 listopada, z okazji siedemdziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości, zorganizowano w Teatrze Wielkim uroczysty koncert, choć wcześniej PRL starała się tej daty

raczej nie zauważać. Waldorff miał wtedy po raz pierwszy w życiu okazję spotkać się z Wojciechem Jaruzelskim. Zaproszonych gości zgromadzono w bocznym salonie, do którego w pewnym momencie wszedł Jaruzelski. Witając się z Waldorffem, powiedział:

- My wiemy, co pan robi dla Warszawy, dla zabytków i dla Powązek. My bardzo to cenimy.

To był komplement niechciany. Przyjmując zaproszenie na koncert, Waldorff nie spodziewał się takiego spotkania.

- A ja, proszę pana, z pańskim kuzynem, Bolkiem Jaruzelskim, byłem razem w podchorążówce kawalerii w Grudziądzu - wypalił.

Był pewnie przekonany, że dokuczy komunistycznemu przywódcy, wypominając mu zdradę arystokratycznych korzeni, ale wtedy rządzący mieli już znacznie poważniejsze problemy. Za trzy miesiące miały rozpocząć się obrady Okrągłego Stołu, przy którym ustalano warunki, na jakich miał skończyć się komunizm w Polsce.

Ostatni rok PRL-u Waldorff zamknął bolesnym żartem z władzy, która czując chyba zbliżający się już kres, nagrodziła wojskowymi awansami artystów, których uważała za wiernych sobie. Generałem Ludowego Wojska Polskiego został dyrygent i dyrektor Teatru Wielkiego, Robert Satanowski (w czasie drugiej wojny światowej dowódca oddziału lewicowej partyzantki), którego skądinąd Waldorff cenił. Awansowany został również pisarz, Jan Dobraczyński, przed wojną kolega Waldorffa z „Prosto z mostu”, a po wojnie członek PAX-u i jeden z dyżurnych katolików na usługach ludowej władzy, którego Waldorff nie cenił. W 1953 roku Dobraczyński stanął na czele fałszywego „Tygodnika Powszechnego”, odebranego Kościołowi i redakcji Jerzego Turowicza, a w 1983 roku został przewodniczącym proreżimowego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Recenzję japońskiej opery Kesa i Morito dyrygowanej przez świeżo awansowanego generała-dyrektora Teatru Wielkiego Waldorff napisał w stylu wojskowego sprawozdania z pola bitwy, „...generał Satanowski - pisał w felietonie o wielkich zdarzeniach, wielkich gamoniach i jeszcze innych sprawach - zaczął od huraganowego obstrzału perkusją, co lubił jeszcze za cywila. Później zażył manewru pozornego, oflankowując scenę kwintetem, aliści przeciwnika omamić się nie udało i dopiero kapitulował po natarciu szybkostrzelnymi kłarnetami. Zdawało mi się, że słyszę też poszczególne wystrzały, tak nawet, jak gdyby sam generał raczył strzelać”.

Z Dobraczyńskiego, z którym przed wojną służył w grudziądzkiej podchorążówce kawalerii, zadrwił boleśniej. Dziś i Dobraczyński, i on zbliżyli się do kawalerii jeszcze bardziej - pisał - bo zmienili się już w stare konie. „Na wypadek - kończył - gdyby

epoletyzacja sztuki miała pójść wszcz i w głąb, dochodząc aż do mnie, melduję posłusznie, że najgoręcej pragnąłbym zostać - ciurą”. Chyba nie można było bardziej wyśmiać zadęcia wojskowych władz.

Pożegnał starą Polskę i powitał nową obszernym wywiadem udzielonym „Rzeczpospolitej”. Mówił, że wstydzi się, bo nie siedział w więzieniu. Prawie wszyscy przyzwoici ludzie siedzieli, a on nie. To aż nieprzyzwoite. „Ale jednocześnie nie mam żadnego poczucia winy, bo nigdy nie zrobiłem nic, żeby się od więzienia uchronić. Nigdy się nie podlizywałem, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo” - przekonywał. Pocieszał się tylko, że nie jego jednego to dotyczy. Nie siedzieli także ludzie tacy, jak Jerzy Turowicz czy Stefan Kisielewski.

Miał prawo tak mówić. Nawet jeśli miał na sumieniu jakieś artykuły sprzed lat, to nie tylko jemu musiały wydawać się niczym w zestawieniu z tym, co przez pół wieku PRL zrobił. Jeśli nawet pozwalał plenipotentom komunistycznej władzy w resorcie kultury czy w telewizji na miłe poczucie dopuszczenia do bliskości z sobą, to robił to w imię celów wyższych. Wykorzystywał ich tak, jak w jego przekonaniu na to zasługiwali. To przecież on był dziedzicem polskiej kultury, oni fernalami dopuszczanymi łaskawie do pańskiego stołu. Choć musiał pamiętać z historii, że przychodzi czas, gdy fornale wyciągają przeciw dziedzicom siekiery i kłonicie. Tak stało się już raz za jego życia, nie mógł więc tego zlekceważyć.

Nie było wątpliwości, po czyjej jest stronie. „Nie wierzyłem, że dotrwam. Nie miałem prawa tego oczekiwać. Dopiero teraz mogę Panu Bogu na klęczkach dziękować za to, że doczekałem” - mówił. Wtedy każdy głos ludzi takich jak on, z autorytetem, z mile łechcącym rodzący się snobizm pochodzeniem, był na wagę złota. Nie dotknął też jeszcze Polski lustracyjny amok ludzi niesionych pasją inkwizytorską, nie zastanawiano się więc, czy prawdziwe są słowa Waldorffa, że nigdy przez prawie pół wieku komunistycznej Polski nie skalał się kłamstwem. „Naszą winą było przemilczanie pewnych rzeczy, lecz nie kłamstwo” - zapewniał.

Upodobania chłopięco-męskie są równie dawne jak spiswane dzieje ludzkie...

Waldorff tylko raz napisał szerzej o homoseksualizmie. Nie własnym, Karola Szymanowskiego, w książce Serce w płomieniach. To było już trzecie wydanie niewielkiej książeczki, ale rozdział o homoseksualizmie kompozytora znalazł się w niej po raz pierwszy.

- Rozszerzył książkę na moją prośbę - wspomina Wiesław Uchański, prezes Wydawnictwa „Iskry”, które Serce... wydało. - Przekonywałem go, że to właśnie on powinien

o tym napisać. Ale zapowiadał ten rozdział ze znacznie większym rozmachem, niż to ostatecznie zrobił. Nie pojawiła się w nim żadna aluzja do jego własnej orientacji seksualnej.

Piąty rozdział *Serca w płomieniach* to właściwie wykład z historii homoseksualizmu. Zaczynając od medycznego rozróżnienia między homoseksualizmem, biseksualizmem a heteroseksualizmem, po definicje pederastii i lesbijstwa. Już samo słowo pederastia trzeszczy wrogo, przekonywał Waldorff, dlatego Amerykanie znaleźli dla niej nazwę miłszą uchu i bardziej życzliwą: geje. „...upodobania chłopięco-męskie są równie dawne jak spisywane dzieje ludzkie” - stwierdził.

Szymanowski od chwili osiągnięcia dojrzałości był homoseksualistą, pisał Waldorff. Odrzucał zabiegi kobiet, które starały się zaciągnąć go do sypialni. Nie uległ nawet pisarce, Zofii Nałkowskiej, która nie mogła nadziwić się jego oporowi. Wiązał się wyłącznie z mężczyznami i co ładniejszymi młodzieńcami, wodzącymi go na pokuszenie. Waldorff uważał, że było to wyczuwalne nawet w muzyce Szymanowskiego. „Jej miękkość tematów i dająca im tło orkiestra, czasem gwałtowna w brzmieniu, ale nigdy brutalna, to właśnie był wynik domieszki kobiecej w skądinąd męskim jak najpiękniej temperamencie twórcy” - uważał.

Sporządził przegląd najstynniejszych gejów w literaturze i historii. Poczynając od Achillesa, który mimo wielu nałożnic w najstraszniejszą rozpacz popadł, gdy zginął jego przyjaciel Patrokles, przez najstynniejszego filozofa starożytności, Sokratesa, związanego ze swoim uczniem i następcą, Platonem, po największego wodza starożytnego świata, Aleksandra Wielkiego. Powodem homoseksualizmu, zarówno w czasach starożytnych, jak i współcześnie, tłumaczył Waldorff, jest zachłanność kobiet, chcących mężczyzn na własność, i ich dążenie do macierzyństwa, postrzegane przez mężczyzn jako oderwanie od spraw ważnych. A homoseksualiści nie znają uczucia zazdrości, chętnie wymieniają jednych chłopców na drugich, pisał, traktując rozładowanie seksualne jako oswobodzenie ciała od fizycznego napięcia i żądy, „...aby mózgi uwolnione od jakichkolwiek nacisków mogły spokojnie oddać się deliberacjom intelektualnym” - pisał. Trudno nie odnieść wrażenia, że te słowa płyną spod pióra osoby doskonale wiedzącej, o czym pisze.

Ułożona przez Waldorffa lista homoseksualistów jest znacznie dłuższa. Król Władysław Warneńczyk, Michał Anioł Buonarroti, Leonardo da Vinci, dwaj ostatni z większym upodobaniem tworzący akty męskie niż żeńskie. Dla Waldorffa ich wybór był oczywisty. Nagi mężczyzna, pod którego skórą grają mięśnie, jest zachwycający, „...gdy tymczasem wiolonczelowa miękkość ciała kobiecego raczej mogła artystę nużyć swą monotonią nawierzchni” - napisał.

Wreszcie najbliżsi Waldorffowi pisarze i muzycy. Dziewiętnastowieczni francuscy poeci i zarazem kochankowie, Artur Rimbaud i Paul Verlain, w Anglii zaś, mimo więzienia, do którego wtrącono go na dwa lata, nieskrywający homoseksualizmu Oskar Wilde. Po nich, już w wieku XX, Marcel Proust, André Gide, Jean Cocteau, Tomasz Mann, Piotr Czajkowski, Sergiusz Rachmaninow i rówieśnik Waldorffa, Jean Genet. A w Polsce Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Andrzejewski. Pierwszy afiszujący się ze swym homoseksualizmem w życiu, drugi w twórczości.

- Chciał dodać jeszcze jeden przykład, ale zachowałem się jak cenzor i poprosiłem, żeby z niego zrezygnował - wspomina Wiesław Uchański. - Napisał ni mniej, ni więcej, że gejem był Jezus. Co więcej, uważał, że potwierdza to zdanie, które Jezus wypowiada do matki, wskazując na Jana: „Matko, to jest syn twój”. Powiedziałem mu, Jerzy, ty będziesz sobie spokojnie leżał na Powązkach, a mnie zabiją. Ustał.

Uważał, że powinien wytłumaczyć czytelnikom, skąd nagle w książce ów poświęcony homoseksualizmowi rozdział. Chciałbym, by czytelnicy wyobrazili sobie wąską ścieżkę wiodącą między górskimi szczytami, choćby w Tatrach, pisał. Tę ścieżkę seksualnej dewiacji, kontynuował, wydeptali wybitni, czasem nawet genialni artyści, którzy łączyli męską przyjaźń z doznaniem erotycznymi. Jakże smętnie nudna byłaby planeta bez ich sztuki. Bez Sokratesa, Platona, Michała Anioła i Leonarda, Rimbauda, Verlaina i Czajkowskiego. „Bądźmy więc tolerancyjni i tylko tyle...” - napisał.

Wielu wiedziało, inni mogli się jedynie domyślać, że te słowa były prośbą o tolerancję także dla niego samego.

Jerzy Kisielewski: - Liczył, że ten nowy rozdział książki będzie miał większy rezonans. Cekał na to i był bardzo zawiedziony, bo nikt go nie zauważył. On chyba naprawdę chciał wreszcie o tym publicznie opowiedzieć.

Od dawna stoję na czele największego w Warszawie podziemia: miliona nieboszczyków..

Lubił mawiać o sobie „honorowy nieboszczyk”.

„...od dawna stoję na czele największego w Warszawie podziemia: miliona nieboszczyków” - powtarzał z dumą w wywiadach. I przytaczał przydomek, który nadał mu niegdyś Roman Jasiński - „Jurko Cmentarnik”.

Ratowanie cmentarza na Powązkach uważał za najważniejsze dzieło swego życia. Bo właśnie tam, mimo wojen i zaborów, mimo okupacji i zniszczeń, przetrwała narodowa pamięć, której trzeba pielęgnować. Bo naród, który traci pamięć, traci tożsamość, przestrzegają. Dlatego stanął na straży pamięci narodowej. I trwał tam do końca.

Powązki jako jedyne zachowały także pamięć o starej Warszawie, pisał, „...panteon dwustu lat chwały miasta, którego nie ma, choć istnieje” - dodał. Istnieje w tym samym miejscu, pod tą samą nazwą, ale przecież inne. Zmiażdżone przez wojnę, skazane na śmierć przez wrogów, przetrwało siłą bezwładu. Zamieszkane przez innych w większości ludzi, bo dawnych warszawiaków przegnano zbyt daleko, by mieli siłę wracać. Z nowymi domami, bo starych nie było komu odbudować. Miasto pozbawione pamięci, bo coraz mniej było ludzi, którzy mogliby przypominać, jak było kiedyś piękne.

Na Powązkach, niegdyś wsi pod Warszawą, księżna Czartoryska z przyjaciółkami oddawała się modnym pod koniec XVIII wieku pasterskim zabawom, pisał. Kiedy jednak wraz z końcem przedrozbiorowej Polski skończyły się także arystokratyczne przebieranki, pozostał urządzony przy kościele cmentarz, na którym coraz częściej chowano najważniejszych dla nieistniejącej Polski zmarłych. Twórcę narodowego teatru Wojciecha Bogusławskiego, szewca-powstańca Jana Kilińskiego, rodziców i nauczyciela Chopina - Józefa Elsnera. Potem także Stanisława Moniuszkę, Mieczysława Karłowicza, pisarzy: Antoniego Malczewskiego i Antoniego Edwarda Odyńca, architektów: Dominika Merliniego i Henryka Marconiego, aktorów: Wincentego Rapackiego i Bolesława Leszczyńskiego. Polityków: począwszy od Hugona Kołłątaja po Bolesława Limanowskiego. Powstańca-poetę Cypriana Godebskiego i targowiczana, prymasa Michała Poniatowskiego, brata ostatniego króla wolnej Rzeczypospolitej. Żołnierzy: legionistów, Józefa Piłsudskiego i marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Jeśliby wstali ze swych grobów na Powązkach wszyscy pochowani tam muzycy, cmentarz miałby własną orkiestrę symfoniczną i operę na wysokim, światowym poziomie” - mówił Waldorff.

Pierwszy raz trafił na Powązki, towarzysząc w ostatniej drodze babce, Joannie z Krajewskich, w rodzinie zwanej Asią. To w jej mieszkaniu przy Brackiej (róg Nowogrodzkiej) mały Jerzyk Waldorff bywał w latach dwudziestych, podczas rodzinnych obchodzonych świąt i na kinderbalach wydawanych przez babkę dla wnucząt, które miała dzięki pięciorgu własnych dzieci. Spędzał u babki, już po śmierci dziadka, Adolfa, długie godziny, odbywając sentymentalne podróże w przeszłość. Babcia Asia pozwalała ukochanemu wnuczkowi przeglądać albumy z podróży do Paryża, Wiednia, do najmodniejszych kurortów Europy, opowiadając o podróżach dylizansem i przeżywanych przygodach, „...i tak siedzieliśmy, rozdzieleni stuleciem, a związani miłością” - wspominał Waldorff. Do dnia, kiedy babka, spoglądając na wnuka nierozumiejącym wzrokiem, zapytała: „A ty czyj jesteś, chłopczyku?”. Potem przez kilka lat trwało powolne, coraz mniej świadome odchodzenie babci Asi do świata po drugiej stronie.

Po mszy żałobnej w kościele Świętego Krzyża pochowano ją właśnie na Powązkach. Pogrzeb był pierwszej klasy, po pierwsze dzięki opłatom wniesionym przez dziadka Szustra, a po drugie dzięki ludziom: służbie, praczkom, krawcowym i okolicznym stróżom, którzy utworzyli kondukt żałobny. Szli, żeby odprowadzić na cmentarz starszą panią, i przy okazji zaspokoić ciekawość, jak też będzie wyglądał pogrzeb reprezentantki jednej z najbogatszych warszawskich rodzin. A potem mieć przez wiele dni o czym plotkować.

W dniu pogrzebu Waldorff szedł w żałobnym kondukcie od kościoła Świętego Krzyża, przez Krakowskie Przedmieście, Trębacką, Wierzbową, potem przez pl. Teatralny, Bielańską i Nalewki; dalej przez pl. Muranowski i ulicami Muranowską, Dziką, Powązkowską, by wreszcie dojść na cmentarz, „...karawan zatrzymuje się przed bramą strzeżoną przez kamiennego rycerza” - zapamiętał.

Kolejny raz trafił na Powązki dopiero w roku 1942, gdy Antoni Bohdziewicz, który dokumentował umieranie Warszawy pod niemieckimi bombami, poprosił o pomoc w fotografowaniu zniszczeń. Na cmentarz poleciały bomby, które miały spaść na nieodległy dworzec Gdański. Zniszczone zostały najstarsze i najcenniejsze kwatery. A gdy przyjechali, trafili na kolejne bombardowanie. Zrzucone z dużej wysokości bomby znów leciały na cmentarz. Waldorff i Bohdziewicz schronili się w podziemiach kościoła Karola Boromeusza, pełnych już żałobników, grabarzy i kobiet, które przyjechały na Powązki porządkować groby. Kiedy bombardowanie się skończyło i wyszli ze świątyni, zobaczyli piekło. Rozprute stare grobowce, potrzaskane krzyże i kamienne anioły, wyrzucone z rozbitych tumb części trumien i pokawałkowane szkielety. Podmuch eksplodującej bomby rzucił jedną z wyrwanych ziemi trumien na szczyt utworzonego przez gruzy katafalku. W odkrytej trumnie Waldorff dostrzegł szkielet młodej - tak mu się przynajmniej wydawało - dziewczyny. Na piszczelach rąk miała ocalałe od rozkładu skórzane białe rękawiczki, prawą dłoń przytrzymała falę złotych, sięgających do kolan włosów.

- I te włosy nagle, na wietrze, w słońcu, zaczęły falować! Odżyły po stuleciu, wywołując grozę. Do dziś mam to w oczach! - opowiadał Waldorff po latach Andrzejowi Lisowskiemu.

Zrobione tamtego dnia zdjęcia i filmy spłonęły podczas powstania. A między groby wjechały niemieckie czołgi, ostrzeliwując zajęte przez powstańców Śródmieście i miażdżąc kolejne kwatery.

Po wojnie wciąż było coś pilniejszego niż troska o miejsce pochówku zmarłych. Ważniejsi byli żywi, którzy też nie mieli dachu nad głową. Gdy kuria warszawska zgromadziła materiały na zrobienie prowizorycznego choćby dachu nad powązkowskimi

katakumbami, rozkradziono je w ciągu jednej nocy. „...cmentarzem zaopiekował się pomiot najnikczemniejszy wielkich ludzkich katastrof: hieny...” - pisał Waldorff. Niszczono groby i trumny w poszukiwaniu złota, grabiono mosiężne okucia i ozdoby, a płyty z cennych marmurów i granitów wywożono, by po przeszlifowaniu ponownie je sprzedać.

Gdy w roku 1970 na zapomnianym i skazanym przez władze stolicy na powolne umieranie cmentarzu pojawił się Waldorff, wydawało się, że nie ma już żadnych szans na uratowanie większości bezcennych nagrobków i starych kwater. Ludzie przybywający na Powązki stawali przed obrazem ponurego rozkładu, pisał. Setkami rozsypywały się pomniki i tumby ludzi zasłużonych dla polskiej historii i kultury. Niszczały niekonserwowane rzeźby z piaskowca, niknęły zżerane przez rdzę żeliwne elementy sarkofagów. Nie bardzo było wiadomo, w jaki sposób, bez pieniędzy, powstrzymać proces niszczenia.

Spółeczny Komitet Opieki nad Starymi Powązkami wymyślił ówczesny dyrektor Muzeum Narodowego, prof. Stanisław Lorentz, gdy razem z Waldorffem znaleźli się w Radzie Kultury przy Ministrze Kultury i Sztuki, instytucji tyleż szlachetnej i inkrustowanej wybitnymi nazwiskami, co fasadowej i mającej służyć władzom jako usprawiedliwienie niepopularnych decyzji, „...dziwny twór, co łączył w sobie żywot krowy z utajonymi zadaniami parawanu” - pisał Waldorff. Jedyną częścią Rady, która wykazywała aktywność, była prowadzona właśnie przez Lorentza Sekcja Ochrony Dóbr Kultury, do której przystąpił Waldorff, formalnie przypisany do Sekcji Literatury.

Lorentz próbował ratować Powązki już w latach pięćdziesiątych, ale wtedy nie znalazł zrozumienia ani u władz, ani u ludzi, odbijając się od muru niechęci, niemożności i przeszkód piętrzonych przez biurokrację.

„- I nagle pojawił się Waldorff - opowiadał prof. Stanisław Lorentz Andrzejowi Lisowskiemu. Na równi postawił dwie powojenne akcje mające na celu ratowanie zabytków. Odbudowę małopolskich zamków: Baranowa, Wiśnicza, Krasieczyna, Pieskowej Skały i działalność Waldorffa na Powązkach. - Te dwie sprawy będą zapisane w historii naszej epoki” - dodał.

Waldorff postanowił ratować nekropolię, o którą od lat nikt nie dbał. Rodziny tych, których kiedyś na Powązkach pochowano, albo nie przeżyły okupacji, albo rozjechały się po świecie, bo w nowej Polsce nie było dla nich miejsca. A jeśli nawet mimo przeszkód trwały w nieprzyjaznej im ojczyźnie, to zubożałe tak bardzo, że i tak nie byłyby w stanie ratować cennych rzeźb i grobowców. Należało znaleźć kogoś, kto mógłby je zastąpić.

Zebranie założycielskie Społecznego Komitetu Opieki nad Starymi Powązkami odbyło się 7 maja 1974 roku w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy. Na prezesa wybrano

Waldorffa. „W początkowym okresie nasza praca szła jak z kamienia” - napisał.

Cmentarz był i jest własnością warszawskiej kurii arcybiskupiej. To powodowało, że krzywo na działania komitetu patrzyły zarówno komunistyczne władze, jak i hierarchowie Kościoła. Pierwsi podejrzewali, że baron Waldorff będzie restaurował na Powązkach wyłącznie groby arystokratów i sanacyjnych polityków, drudzy, że będzie to pierwszy krok do skomunalizowania, a w konsekwencji skomunizowania cmentarza.

-...dwie wrogie siły, które przeciwko nam się zjeżyły - opowiadał Waldorff Lisowskiemu. W efekcie przez pierwsze dwa lata prasa o Komitecie Powązkowskim milczała. Nie wolno było o komitecie pisać. Ani dobrze, ani źle.

Ludowe państwo nie kwapiło się, by ratować pomnik czasów, które uważało za słusznie minione. Powązki miały umrzeć w sposób naturalny, rozpadając się w proch i gruzy. Na moment pojawił się nawet pomysł, żeby kosztem części grobów poszerzyć ul. Powązkowską, szybko na szczęście zarzucony. Ale na pieniądze potrzebne na konserwację i odtwarzanie zabytkowych grobowców liczyć nie należało. Jeden z pierwszych - kaplica dziewiętnastowiecznej aktorki, Wiktoryny Bakałowiczowej - odbudowany został w czynnie społecznym przez warszawskich rzemieślników. Kolejny - nagrobek kompozytora, Ignacego Komorowskiego - uratowano dzięki pieniądзом zebranych przez śpiewaków, tancerzy i muzyków zespołu „Mazowsze”.

Bogatego mieszczaństwa, a tym bardziej arystokracji, w nowej Polsce praktycznie nie było, a jeśli była, to pozbawiona przedwojennego znaczenia, pozycji i pieniędzy. „Aliści można ją było zastąpić nową elitą, pieczętującą się talentami i wiedzą. Przede wszystkim najpopularniejszymi twarzami” - pisał Waldorff. Na pomysł, jak je wykorzystać, wpadł, przypominając sobie opisywane przez Bolesława Prusa w *Lalce* i *Kronikach tygodniowych* słynne warszawskie wenty dobroczynne, organizowane podczas balów karnawałowych i w kościołach podczas Wielkiego Postu. Już wtedy był to najlepszy sposób, by zebrać pieniądze na jakiś szczytny a kosztowny cel.

Pierwsza zbiórka na ratowanie starych Powązek odbyła się 1 i 2 listopada 1975 roku - bez specjalnego entuzjazmu przynajmniej części ludzi odwiedzających cmentarz, przekonanych, że oto znów ktoś próbuje sięgnąć do ich kieszeni po pieniądze na coś, co tak naprawdę powinno być troską państwa. Mimo to zebrano ćwierć miliona złotych, mniej więcej tyle, ile kosztowało wówczas wybudowanie sporej willi. Rok później udało się zgromadzić drugie tyle. Waldorff namawiał do kwestowania na Powązkach wszystkich, którzy popularnością, elokwencją, urodą mogli nakłonić warszawiaków przychodzących na cmentarz na Wszystkich Świętych i w Zaduszki do składania datków. Już podczas pierwszej

zbiórki po alejkach Powązek ruszyło blisko dwustu kwestarzy. Wśród nich: śpiewacy i muzycy, aktorzy i pisarze, medaliści olimpiad i dziennikarze. Od premierowej, Niny Andrycz, przez Hankę Bielicką, po filmowego Hansa Klossa - Stanisława Mikulskiego. Od Miry Zimińskiej, przez Wojciecha Pszoniaka, po Daniela Olbrychskiego. Od Ireny Kwiatkowskiej, przez Kalinę Jędrusik, po Maję Komorowską. Od Ireny Szewińskiej, przez Waldemara Baszanowskiego po Władysława Komara. Od Edyty Wojtczak, przez Krystynę Loskę, po Bohdana Tomaszewskiego. Na widok którejś z urodziwych gwiazd telewizji Waldorff przypomniał okrzyk Franca Fiszera, przedwojennego bywalca i oryginała: „Była pani królową cmentarza!”.

Nikt nie odmawiał. Bo Waldorffowi nie sposób było odmówić, wspomina Zofia Kucówna. Co roku przed zbliżającą się kwestą komitet rozsyłał zaproszenia do udziału w zbiórce. Do najważniejszych kwestarzy upoważnieni członkowie komitetu dzwonili. „Do supertuzów telefonuję osobiście” - mówił.

Agnieszka Osiecka zapamiętała słowa, którymi przywitał ją, gdy pojawiła się na cmentarzu: „Brawo. Nieboszczycy będą panią całować po nogach”. A kwestarze zabiegali nie tylko o to, żeby w kolejnym roku zebrać więcej pieniędzy niż rok wcześniej; punktem honoru było, żeby zebrać więcej niż koleżanka z opery, kolega z teatru, konkurent z estrady.

Metody przekonywania warszawiaków do szczodrości były różne. Część kwestarzy po prostu stawała na skrzyżowaniu ścieżek, inni krążyli wśród kwater, potrząsając puszkami, jeszcze inni sami zaczepiali ludzi.

- Po paru latach było już wiadomo, gdzie i o której godzinie jest najwięcej ludzi i gdzie zbiera się najwięcej pieniędzy, więc wśród kolegów odbywały się wyścigi do tych najlepszych miejsc. A już o bramę św. Honoraty toczyły się prawdziwe bitwy - wspomina Zofia Kucówna, która uczestniczyła w zbiórce pieniędzy od samego początku. - A Waldorff jeszcze nakręcał, podkrecał i prowokował te wojny.

Nina Andrycz, aktorka i żona byłego premiera, Cyrankiewicza, wychodziła w alejki Powązek, dopiero gdy zaczynało zmierzchać.....podchodzi do mężczyzn i słowiczym głosem - owiewając zniewalającymi perfumami - pyta:”Pan mi odmówi?”, - opowiadał Waldorff. W 1989 roku rekord pobił premier pierwszego po wojnie niekomunistycznego rządu, Tadeusz Mazowiecki, który zebrał najwięcej pieniędzy.

Na zapleczu budynku administracyjnego Powązek, gdzie znoszono puszki i odbywało się liczenie zdobyczy, z napięciem wyczekiwano na ogłoszenie, kto tym razem okazał się królową i królem kwesty. Przychodził prymas, posłaniec z cukierni Bliklego przynosił pączki, aktorzy dzielili się wrażeniami, a Waldorff zabawiał zebranych dykteryjkami i pieprznymi

niezadko anegdotami sprzed wojny. Alina Janowska, którą nazwał kiedyś „najlepszą hieną cmentarną”, bo kwestowała na Powązkach od samego początku, zaproponowała mu kiedyś: Wydajmy Dowcipy z cmentarza.

Sam Waldorff też stawał z puszką, prosząc o datki. Uważał, że tak trzeba. Andrzejowi Lisowskiemu opowiedział anegdotę o księdzu Piotrze de Courtenayu - wielkim jałmużniku, który w XVIII wieku zbierał pieniądze na pierwszy w Warszawie szpital dla biedaków. Kwestując po szlacheckich dworach, trafił w jednym na bal. Pijany już gospodarz, wściekły, że ktoś zakłóca mu zabawę dla takiej błahostki, spoliczkował księdza. „To dla mnie, a co dla biednych?” - miał wtedy zapytać de Courtenay.

- Na Powązkach stało się coś absolutnie nadzwyczajnego - mówi Zofia Kucówna. - Narzekamy na polski słomiany zapał, a Waldorffowi udało się wzniecić płomień, który pali się do dzisiaj. Jego dawno już nie ma, a ludzie dalej przychodzą na Powązki, zbierają i ofiarowują pieniądze.

Z roku na rok tempo, w jakim postępowały prace na Powązkach, rosło. W pierwszym roku działania zdołano odrestaurować tylko jeden zabytkowy pomnik, ale w kolejnym konserwacji i remontowi poddano już 20 kwater. W 1979 było ich w sumie 33, a w 1982 - 54.

W 1996 roku, w dwudziestym drugim roku pracy komitetu i dwudziestym pierwszym roku kwestowania, Waldorff ogłosił z dumą, że na Powązkach właśnie odrestaurowany został tysięczny pomnik. I dodał, że to dopiero kropla w morzu potrzeb. „Według przybliżonych danych na historycznym cmentarzu 18 tys. cennych kaplic i grobowców czeka na interwencję konserwatorską, mniej lub bardziej pilną, o różnym zakresie” - pisał w jednej z książek poświęconych Powązkom.

A to znaczy, dodał, że praca Komitetu Opieki nad Starymi Powązkami obliczona jest na pokolenia, a właściwie nie skończy się nigdy. Bo, gdy zostaną już odrestaurowane wszystkie cmentarne zabytki, które na to zasługują, właściwie można będzie zacząć pracę od nowa. Niszczące działanie czasu zrobi swoje.

Czuję się jak ominięta przez drwala samotna jodla na porębie...

Na powitanie nowej Polski po raz kolejny zmienił winietę swoich felietonów. Tym razem na Artyści wszystkich krajów łąćcie się! Proletariuszy od dawna już nie ma, przekonywał, natomiast jest inna klasa, od której zależy przyszłość świata. Artyści i intelektualiści. „To ci, którzy mogą być przywódcami duchowymi ludzkości” - mówił. Nie zamierzał też rozstawać się z „Polityką”, choć pierwszy raz pojawiły się inne niż tylko „Tygodnik Powszechny” pisma i tygodniki wolne od partyjnych związków, „...mnie jest

potrzebna trybuna, z której byłbym jak najdalej słyszany” - tłumaczył.

Zmienił też przynależność organizacyjną. Tego samego dnia przystąpił do nowo utworzonego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i zrezygnował z członkostwa w Związku Kompozytorów Polskich, który przyjął go na przechowanie w stanie wojennym, „...za pamiętnego rozgromienia organizacji twórców w sztuce przez najgorszej pamięci ministra Żygulskiego” - napisał.

Mówił, że wita nową Polskę na klęczkach, wdzięczny Bogu, że doczekał wolności, której nie miał już nadziei doczekać. Tymczasem nowa Polska zaczęła od rozliczania go z przeszłości. Pierwszy uderzył odwieczny wróg, były sąsiad z łamów „Polityki” i rzecznik rządu w stanie wojennym, Jerzy Urban. Urban nigdy nie krył niechęci do Waldorffa, pamiętając pewnie, że nazwany został łachudrą, i to na łamach pisma, które przez lata współtworzył.

Ale tym razem Waldorff właściwie sam sprowokował atak. Zapytany przez prowadzącego telewizyjny program „Interpelacje” o antysemityzm, którego fala przetoczyła się właśnie przez Polskę, odparł, że w Polsce nie ma powodu do antysemityzmu, bo nie ma w niej Żydów. Po czym zawiesił głos i dodał: „...został tylko jeden Urban; no, ale co z nim zrobić, ekspediować za granicę?”. Żart był w fatalnym guście i stylu, napisał w „Po prostu” Robert Jarocki. Waldorff posłużył się tanim chwytem pod publiczkę, która najżywiej reaguje właśnie na polityczne szmoncesy. Przecież w Polsce jest nie tylko jeden Urban, są jeszcze Polacy nie-Żydzi, tak samo żywiący się padliną. Oprócz tego - Jarocki zwrócił uwagę na to samo, co wytykał Waldorffowi przed wojną Słonimski - ktoś, kto ma takie nazwisko jak on, raczej nie powinien powoływać się na przynależność do „rdzennych Polaków”.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. Na łamach redagowanego przez Urbana tygodnika „Nie” ukazał się anonimowy (podpisany tylko przez Grono Towarzyszy) artykuł Czarno-czerwona biel Waldorffa. Autor (autorzy?) wyliczył Waldorffowi wszystkie grzechy osiemdziesięcioletniego życia. Poczynając od antysemickich felietonów w „Kurierze Porannym”, przez apoteozę faszyzmu w Sztuce pod dyktaturą, po rażące „nasileniem lizusowskiej gorliwości” artykuły w „Przekroju” i rzekomą opozycyjność, polegającą na nieprzerwanej od dwudziestu lat współpracy z jak najbardziej partyjną „Polityką”. W tekście wspomniano mu także antyżydowskie akcenty w Fidrku.

Tygodnik zarzucił Waldorffowi, że stroił się przed widzami „Interpelacji” w piórka niezłomnego wroga komunistycznego reżimu, „...udawał cudownego starczego bobasa, opowiadającego, że całe swoje życie walczył o wolność, demokrację, tolerancję, sprawiedliwość” - pisał autor Czarno-czerwonej bieli Waldorffa. Nie ma do tego prawa, więc

afektowanym głosem i z żywą gestykulacją zakłamywał swój życiorys: „Wznosił przed opinią publiczną swój pomnik; jak wszyscy budowniczo wie własnych monumentów zakrywał swe lizaje”.

Nie bronił się, a jeśli nawet próbował, to bez zwykłej zadziorności. To mogło znaczyć, że strzały trafiały celnie. Trzy lata później w jednym z wywiadów powiedział: Jest to taka sytuacja, jakbym przechodził, powiedzmy, koło gnojowiska, w którym byłaby wielka, kwicząca świnia i ona by mnie obryzgała. To przecież ja nie wlaźłbym do tego gnojowiska, żeby zacząć z nią dyskutować”. Najwyraźniej musiał mieć świadomość, że nie wszystkie decyzje i wybory z przeszłości były w stanie obronić. We wstępie do wyboru felietonów z lat osiemdziesiątych, Uszy do góry, pozwolił sobie na aluzję niewspółmierną do siły ataku, bo pozbawioną konkretnego adresata, „...niektóre pisma kryptokomunistyczne zwał mnie nadal faszystą albo antysemitą, jako że likwidacja cenzury dała temu odłamowi prasy szansę bezkarnego posługiwania się oszustwami, kłamstwami i oszczerstwami” - pisał. Nie mogło być wątpliwości, że dotyczy to tygodnika „Nie”.

- On nie miał w zwyczaju wycofywać się z tego, co raz napisał, nawet pół wieku wcześniej - wspomina Jerzy Kisielewski. - Tak to wtedy widziałem - mówił. Ale książka o włoskim faszyzmie wyraźnie go uwierała. Przekonywał, że tak naprawdę ważny był jej ostatni rozdział, gdzie napisał, że sztuka zawsze potrzebuje wolności.

Autobiograficznym Fidrkiem naraził się nawet macierzystej „Polityce”. Kazimierz Koźniewski zaczął swoją recenzję łagodnie, zarzucając Waldorffowi bałwochwalcze traktowanie wszystkiego, co działo się przed wojną, a potem sięgnął po broń jeszcze cięższą. W historii miłości, wywodzącej się z wielkopolskiego ziemiaństwa, pani Kazimiery i Żyda Artura Baumana usłyszał echo przedwojennego antysemityzmu Waldorffa. Echo wzmocnione dodatkowo przez opisy prosowieckich zachowań Żydów w czasie wojny i okrucieństwa żydowskich funkcjonariuszy bezpieczeństwa, którzy wojenną bezsilność wobec hitlerowców rekompensowali sobie powojennym sadyzmem wobec więźniów politycznych nowego ustroju. „Za jedno przy tym z większych przestępstw uznano jakąkolwiek próbę krytyki jakichkolwiek żydowskich postępów...” - napisał Waldorff. Tak miało być aż do roku 1968, kiedy to wreszcie owi sadyści z Polski wyjechali, dodał. Koźniewski miał mu za złe, że opisując przeszłość, nie próbował tłumaczyć czytelnikom zawilosci historii ani nie oceniał poglądów swego bohatera - Fidra. „Poglądów wyrażonych tak prosto - tak prostacko - z mostu” - napisał.

Waldorff bronił się w sposób typowy w podobnych sytuacjach. Że cytaty wyrwane zostały z kontekstu, że Koźniewski pominął fragmenty niepasujące mu do przyjętej tezy, że

wśród przyjaciół ma równie wielu Żydów, co Aryjczyków. Że wreszcie Koźniewski, wierny wasal partii dzierżącej przez czterdzieści pięć lat władzę w Polsce, nic nie zrozumiał, bo mimo coraz bardziej siwych włosów, niewiele pod jego czupryną dojrzało myśli. A poza tym, dodał, Żydzi, zwłaszcza ci mieszkający za granicą, nie ułatwiają porozumienia. Wiedzą „najlepiej”, że Polska to kraj antysemitki i nic tego ich przekonania nie jest w stanie zmienić. „O to mi chodziło, a nie o narażanie się Koźniewskiemu, którego publicystyczne talenta zdają się niedostateczne, aby dostrzec wiele różnych bolesnych spraw” - napisał.

Parę lat później przedstawił czytelnikom „Polityki” rachunek z całego życia. „Tak - za młodu byłem antysemitą” - pisał. Ale jestem dość stary i z kontem życiowych dokonań wystarczająco dodatnim, żeby przyznać się do popełnionych błędów. Co z tego, pisał dalej, że matka Chopina i matka Mickiewicza były frankistkami (pochodziły z rodzin, które w XVIII wieku przeszły na katolicyzm? Cóż z tego, że w żyłach ich synów płynęła żydowska krew, skoro nie ma krystalicznej brzmiącej polszczyzny niż ta z wierszy Mickiewicza i nie ma bardziej polskiej muzyki jak polonezy i mazurki Chopina czy Pieśni kurpiowskie albo Stabat Mater Szymanowskiego. „Dziękujemy Bogu, że ich nam dał!” - pisał.

W kolejną awanturę, podczas której znów musiał tłumaczyć się z całego życia, wdał się z Bogusławem Kaczyńskim, krytykiem muzycznym, twórcą i dyrektorem kilku festiwali (m.in. w Łańcucie). Kaczyński, autor setek programów telewizyjnych poświęconych operze, na początku lat dziewięćdziesiątych sam zgłosił swoją kandydaturę na wakujące stanowisko dyrektora Teatru Wielkiego. Waldorff publicznie skrzywił się na ten pomysł, nie przewidując, jakie będą tego grymasu konsekwencje.

Medialne i polityczne przepychanki, czy Kaczyński nadaje się do roli dyrektora narodowej sceny, a przede wszystkim, czy wypada tak bezczelnie pchać się na afisz, trwały już co najmniej pół roku, gdy telewizyjna „Panorama Dnia” zwróciła się o opinię do najbardziej znanego w Polsce krytyka muzycznego. A Waldorff, który wcześniej traktował Kaczyńskiego z pobłażliwą sympatią (per „nasz ukochany Boguś Kaczyński”), wypalił, że bardzo go szanuje jako ludowego impresaria, który przybliżył operę szerokim masom. I nie przeszkadza mu, że Kaczyński wszystkie swoje gwiazdy nazywa boskimi, wspaniałymi, największymi i niesłychanymi. Gdyby Maria Callas miała buldoga, mówił, to Kaczyński niechybnie przekonywałby widzów, że jej buldog potrafi zaśpiewać arię toreadora z Carmen wspaniałym barytonem, w dodatku tańcząc na puentach. Ale to wszystko jednak za mało, żeby poprowadzić scenę operową o stu sześćdziesięcioletniej tradycji.

„...cała ta sprawa nabiera charakteru farsy” - dołożył na zakończenie, co słyszała cała Polska. Kaczyński odpowiedział równie ostro. W „Interpelacjach”, których tym razem to on

był bohaterem, zaczął niewinnie, od informacji, że Maria Callas lubowała się w białych i srebrzystych pudelkach, a nie w buldogach, ale potem było już znacznie brutalniej. Oświadczył, że otrzymał z całej Polski wiele listów od ludzi oburzonych atakiem Waldorffa. Niektóre z nich zawierały wydarte z „Przekroju” artykuły jego przeciwnika, „...które pod znakiem zapytania stawiają wejście pana do panteonu świętości narodowych” - zwrócił się z ekranu bezpośrednio do Waldorffa.

W czasie gdy domorośli inkwizytorzy z coraz większym zapamiętaniem doszukiwali się plam w życiorysach osób publicznych, wypuszczona przez Kaczyńskiego strzała musiała ranić szczególnie boleśnie. Atak w „Nie” Urbana Waldorff mógł pominąć milczeniem, atak w telewizji, przypuszczony przez uwielbianego przez wiele osób Bogusława Kaczyńskiego, miał inny wymiar. Ale Kaczyńskiemu i tego było mało. Zagrał na emocjach widzów. Opowiedział o śmierci ojca, z którym niespodziewanie zaczęło dziać się coś, czego nikt wcześniej nie mógłby przewidzieć. Dlatego, powiedział, nie będzie polemizował z Waldorffem. „Wyrażam jedynie ubolewanie, że stan psychiczny pana Jerzego jest w tej chwili taki, że zdecydował się w Wielki Piątek - w dniu szczególnym dla wszystkich chrześcijan (...) - w ten sposób na mnie napaść” - poskarżył się telewidzom. Nie musiał mówić nic więcej, by zasugerować, że jego osiemdziesięcioletni adwersarz nie całkiem już odpowiada za własne słowa.

„...krwawa zemsta w (brudno) białych rękawiczkach” - skomentowała w „Gazecie Wyborczej” Dorota Szwarzman. Innego zdania był dziennikarz „Życia Warszawy”, Jan Berski. „Wydaje się, że nasz Senior nie pojmuje, że nie chodzi już dziś o kolejną zmianę koniunktury, lecz o reorientację całych struktur i hierarchii wartości” - napisał w artykule Sztylet i trucizna.

Sam Waldorff znów nie odpowiedział z impetem, jakiego można byłoby się spodziewać. Napisał tylko, że Kaczyński zachował się w „Interpelacjach” niegrzecznie i naubliżał wielu osobom. Sformułowaniem najostrzejszym było zdanie, iż do mózgu rozćwierkanego czarodziejskiego ptaka nie dotarła świadomość, że bycie dyrektorem takiego finansowo-administracyjnego molocha, jakim jest Teatr Wielki, to praca znacznie cięższa i bardziej skomplikowana niż opowiadanie o boskich operowych diwach. Ale ku zaskoczeniu uważnych czytelników w felietonie Waldorffa nie było ani słowa na temat tego, co zauważyła choćby „Gazeta Wyborcza” - że Kaczyński odsądził go od czci („...te artykuły z 1947 roku”), wiary („...napaść w Wielki Piątek”) i poczytalności („stan psychiczny pana Jerzego”). Jakby tego nie zauważył. Choć być może należałoby raczej napisać: Jakby nie chciał, żeby zbyt długo ten temat roztrząsać.

Nie zareagował także na kolejną zatrutą strzałę, którą Kaczyński posłał mu w Kretowisku, książce podsumowującej rok jego starań o dyrekturę Teatru Wielkiego. Sekretarz KC PZPR, Jerzy Łukaszewicz, „drugi człowiek w państwie” - pisał Kaczyński - w zamian za pokorę i wierną służbę partii rozdawał twórcom samochody, zagraniczne wczasy i... luksusowe mieszkania („...np. w alei Przyjaciół dla Jerzego Waldorffa”).

Bogusław Kaczyński ostatecznie został dyrektorem założonego przez siebie Teatru „Roma”, „...założył operetkę, w której zaczął wystawiać takie same sztuki, jak w Teatrze Wielkim, aby pokazać, że on to robi lepiej. Oczywiście, zrobił to gorzej...” - pisał Waldorff. W TV nazwał Kaczyńskiego „televizyjnym Apollem panien sklepowych”, „...żongluje bardzo wulgarnymi sposobami” - dodał, ale nie chciał dziennikarzowi odpowiedzieć na pytanie, skąd wzięła się jego niechęć do Kaczyńskiego, „...nie chcę się tą osobą zajmować” - mówił. Ci, którzy pamiętali ich spór z początku lat dziewięćdziesiątych, nie mogli mieć wątpliwości, co było powodem niechęci.

Potrafił jednak wznieść się ponad uprzedzenia. Gdy zobaczył, że Wielki dalej nie jest w stanie odbić się od dna, a „Roma” Kaczyńskiego daje premiery coraz lepsze, napisał, że zmienił zdanie. „Sądzę więc Pani Ministrze, iż teraz można byłoby zaryzykować oddanie dyrekturę Wielkiego Kaczyńskiemu” - zaapelował do ówczesnej minister kultury, Joanny Wnuk-Nazarowej, choć - poinformował - w kwestii „niepospolitego samolubstwa” Kaczyńskiego opinii nie zmienił.

W 1991 roku zaprosił Waldorffa do siebie Marek Rostworowski, minister kultury w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Po rozmowie minister-hrabia, co z dumą podkreślił Waldorff, poprosił go o spisanie aide-memoire, by nie zapomnieli, o czym dyskutowali. Waldorff poszedł dalej. Nie tylko sporządził notatkę z rozmowy, ale w dodatku ją opublikował. Najpierw w „Polityce”, a potem w książce.

Notatka była deklaracją wiary Waldorffa w podstawowe dla trwania narodu znaczenie kultury, nauki i sztuki. Tylko dzięki nim polski naród był w stanie przetrwać trwającą niemal dwieście lat niewolę, przekonywał. Nie tyle nawet samego ministra, z którym zapewne istniała co do tego zgoda, co czytelników i innych niż hrabia Rostworowski ministrów. Dlatego także dziś, pisał, choć Polska jest wolna, ale ma na wschodzie i zachodzie nadal tych samych sąsiadów, co przed wiekami, nie wolno zapominać o tym, co najważniejsze. Bo „...o kręgach odrębnego bytu narodów decydowała będzie ich własna, różna od sąsiedzkich kultura, zwłaszcza sztuka”. Dlatego właśnie Ministerstwo Kultury powinno zajmować miejsce najważniejsze, przed innymi resortami, w bezpośrednim pobliżu i pod okiem premiera. O czym powinien pamiętać nie tylko minister-hrabia, ale i książę-premier, Leszek

Balcerowicz, pisał.

Drugą rzeczą, którą Waldorff chciał załatwić w rozmowie z Markiem Rostworowskim, była odpowiednio godna siedziba dla Muzeum Ignacego Jana Paderewskiego i Uchodźstwa Polskiego w Ameryce. Minister kultury nie miał innego wyjścia, jak tylko obiecać zaangażowanie się w poszukiwania.

Zakończył aide-memoire żartobliwym przypomnieniem, że zgodnie z przepisami o reprivatyzacji majątków odebranych prawowitym właścicielom przez poprzedni ustrój ma po dziadku Szustrze prawo do działki przy ul. Jana Pawła Woronicza, przy której stoi główny gmach telewizji. Zamierza więc domagać się jej zwrotu, wraz z prezesem TVP

- wtedy był nim Andrzej Drawicz - w środku. Prezesa sprzeda na targu drobiu, pisał, a w gmachu TV urządzi rozległy dom publiczny. „...Bo jeśli zostanie uchwalona ustawa antyaborcyjna, to mężczyźni będą musieli dokądś nosić to, czego nie będą mogli ofiarować wystraszoną kobietom z beau mondeu” - zakończył.

Muzeum Paderewskiego ostatecznie powstało, ale nie tam, gdzie Waldorff sobie umyślił. Marzył o pałacu w Alejach Ujazdowskich 6a, niegdyś własności rodziny Wertheimów, gdzie w okresie PRL rozsiadł się Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Po zmianie ustroju przez moment wydawało się, że reżimowa organizacja zwinie szyki, ale po szybkim przemianowaniu się na Związek Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych stało się jasne, że Waldorff ze swoimi pomysłami będzie musiał znów obejść się smakiem.

Muzeum ostatecznie utworzono w zaoferowanym Waldorffowi przez dyrektora Łazienek Królewskich, Marka Kwiatkowskiego, budynku dawnej Podchorążówki przy ul. Szwoleżerów. „W tym celu zlikwidowałem znajdujące się tam prywatne, przestronne mieszkanie”

- pisał Marek Kwiatkowski. Muzeum powstało i niemal natychmiast zostało zamknięte. Dyrektorzy dwóch wielkich warszawskich instytucji nie mogli porozumieć się, do kogo placówka powinna należeć. Czy do dyrektora Łazienek Królewskich, na terenie których muzeum umieszczono, czy bezpośrednio do dyrektora Muzeum Narodowego.

W efekcie sporu nowe muzeum ograniczono do zaledwie kilku pokoi. „Ekspozycje tam wystawiane to ledwo dziesiąta część bezcennych dokumentów politycznych i muzycznych” - alarmował Waldorff w mediach. Tymczasem większą część Podchorążówki wynajęto na Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa.

Walka nie została jednak zakończona. „Waldorff i ja (...) doprowadziliśmy do usunięcia wypchanych zwierząt z głównej sali” - pisał Kwiatkowski. Ale prawdziwej

ekspozycji Waldorff się nie doczekał. Wycofało się część sponsorów i niektórzy ofiarodawcy z zagranicy, dla których to Waldorff był gwarantem realizacji pierwotnej idei muzeum. Na początku lat dziewięćdziesiątych nowa Polska była jeszcze przez część emigracji traktowana nieufnie. „Również i wobec inicjatora muzeum - Waldorffa - postępowano niegodnie, odsunięto go od wpływu na kształt tego muzeum, a nawet na formę mającego tu miejsce życia muzycznego” - pisał Kwiatkowski. Ostatecznie muzeum, już jako oddział Łazienek, które odłączyły się od Muzeum Narodowego, powstało w 2004 roku. Ale tego wszystkiego podczas rozmowy z ministrem Rostworowskim Waldorff nie mógł jeszcze wiedzieć.

Początek lat dziewięćdziesiątych to był czas odbierania laurów za pracowicie spędzone życie. Telewizja przygotowała cykl audycji, w których opowiadał o najważniejszych wydarzeniach ze swego życia i ludziach, z którymi się zetknął. Pamięć działa jak sito, mówił. Zachowuje grudki złota, a przepuszcza śmieci i plewy. I w ten sposób upiększa życie. Z niedowierzaniem wysłuchał nagrania Ody do młodości w wykonaniu Juliusza Osterwy, jednego z wielkich aktorów swej młodości, „...było to coś tak pretensjonalnego, że dziś nikt nie wytrzymałby takiej deklamacji” - skarżył się potem w wywiadzie.

Był popularny, miał autorytet i szacunek ludzi. Podczas spotkania Jana Pawła II z artystami w imieniu Towarzystwa Opieki nad Starymi Powązkami wręczył papieżowi płytę z nagraniem Pasji Józefa Elsnera. W 1992 roku otrzymał tytuł honorowego obywatela Warszawy, a w 1996 wybrany został na „Warszawiaka Stulecia”. Był także wśród członków założycieli Warszawskiego Klubu Wielkopolan - EKA, stowarzyszenia poznaniaków, których los „rzucił” do stolicy. Prymas Polski, Józef Glemp, skierowany do Waldorffa kurtuazyjny list rozpoczął słowami: „Szanowny Panie Profesorze...”.

- Jechaliśmy kiedyś Nowym Światem - wspomina Jerzy Kisielewski. - Na skrzyżowaniu stał policjant. Kiedy zobaczył Waldorffa, zasalutował.

Dobrze było mieć go po swojej stronie. 1 października 1991 roku odwiedził go w alei Przyjaciół prezydent, Lech Wałęsa, choć rok wcześniej Waldorff poparł w wyborach jego przeciwnika, Tadeusza Mazowieckiego. Przyniósł w prezencie akwarelę Mai Berezowskiej, a Waldorff w rozmowie, której fragmenty pokazała telewizja, powiedział dokładnie to, co Wałęsa chciał usłyszeć. Że Polska potrzebuje silnej władzy i ludzi właśnie takich jak Wałęsa, którzy będą potrafili wznieść się ponad słaby, rozbity i nieudolny parlament.

To był też czas, kiedy próbowano szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego w minionym ustroju Waldorffowi wolno było więcej niż innym. Dlaczego, kiedy ludowa władza walczyła z burżuazją i ziemiaństwem, on mógł obnosić się ze swoim ziemiańskim po mieczu,

i burżuazyjnym po kądzieli pochodzeniem. Dlaczego, mimo cenzury, mógł drwić z napuszonych dygnitarzy nowej władzy, wysmiewać partyjne rytuały i poganiać ministrów.

„A ot, chyba dlatego, aby na takich pojedynczych (a przecież znakomitych) przypadkach udowodniać «liberalizm?!» komunistów...” - napisał w ukazującym się w Londynie polonijnym dzienniku Zdzisław Sierpiński.

W 1993 roku wrócił na chwilę do „Przekroju”. W numerze 2502. ukazał się pierwszy felieton z cyklu Notatki starego pana. Jestem ostatnim, pisał - obok Marii Ziemiańskiej, finansowego serca „Przekroju” - który pozostał z grupy ludzi, tworzących blisko pół wieku temu w Krakowie pismo. Teraz, na prośbę obecnego redaktora naczelnego tygodnika, wracam na stare łamy. „...zamykając tym aktem koło długiego żywota” - napisał w pierwszym odcinku Notatek...

Ukazały się cztery felietony, potem zniknęły. Pisał o tym, co zwykle. O muzyce, literaturze, coraz częściej o starości. Cytował Jeana Cocteau: „...dramatem człowieka nie jest to, iż się zestarzał, ale że pozostał młody”. Głowa i serce, pisał, trwają młode i gotowe odpowiadać na pokusy podsuwane przez życie, gdy ciało odmawia posłuszeństwa, waląc się na ziemię. Pisał o ośmiu tomach wyboru swoich pism, które właśnie zaczęły się ukazywać, o powstałym w Warszawie Klubie Wielkopolan. Ze zwykłym dla siebie impetem wdał się w spór, który wybuchł w głośnej wówczas sprawie 400 obrazów ofiarowanych polskiemu Kościołowi katolickiemu i społeczeństwu przez małżeństwo Janinę i Zbigniewa Porczyńskich. Wokół zbioru nazwanego Kolekcją Jana Pawła II (złożyły się nań m.in. płótna przypisywane Rubensowi, Goi, Rembrandtowi, van Goghowi, Tycjanowi, Cranachom, Velazquezowi, van Dyckowi i Renoire'owi) przetoczyła się w prasie gorąca dyskusja, bo część historyków sztuki, na czele z dr. Mieczysławem Morką, podważyła autentyczność zwłaszcza najcenniejszych płócien.

Tytuł felietonu Waldorffa - Odrażający dr Morka - nie mógł budzić wątpliwości, po której jest stronie.

Jerzy Kisielewski: - Miał chyba przekonanie, że ataki na Porczyńskich to element polskiego piekła. Dlatego uważał, że powinien ich bronić.

Ale argumentów używał dość zaskakujących. Nieważne, czy obraz wyszedł bezpośrednio spod ręki mistrza, czy z jego pracowni, czy jest falsyfikatem. Kopie mogą być nawet lepsze od oryginału, a co najmniej tak samo cieszyć oglądających, „...o wartości dzieła sztuki stanowi jedynie i wyłącznie jego piękno, zaś ocenić miarę tego piękna musi widz dzieła wedle osobistej wrażliwości” - pisał. A dr Morka, napisał, powinien raczej pójść do spowiedzi, niż próbować zabić chorego na serce Porczyńskiego.

Nie bał się głosić poglądów zdecydowanych, nawet jeśli dobrze wiedział, że u wielu osób nie znajdzie dla nich uznania. Kiedy w nowej Polsce pojawiła się kwestia zwrotu najcenniejszych zbiorów muzealnych ich arystokratycznym właścicielom, Waldorff ogłosił, że kolekcje takie jak te w Wilanowie, Nieborowie czy Gołuchowie powinny pozostać własnością narodu.

- Wszedł w spór z jednym z ziemian, który argumentował, że „gdyby sam utracił majątek i należał do «naszej sfery», toby się inaczej zachowywał” - opowiadał Jarosławowi Kurskiemu dr Wojciech Fijałkowski z Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. - Waldorff się wściekł, ale nie okazał tego: „Proszę pana, ja miałem taki dwór, utraciłem go i nie dopominam się zwrotu, a chcę panu powiedzieć, że jestem największym z polskich arystokratów, bo mam brwi Burbonów, nos Hohenzollernów, wargi Habsburgów i jajo Kolumba!”.

W 1994 po raz kolejny zmienił winietę felietonów w „Polityce”. Odtąd nosiły nadtytuł Z posępnego notatnika. Po śmierci Witolda Lutosławskiego zostałem ostatnim z grupy przyjaciół - muzyków i pisarzy, którzy urodzili się około roku 1910, pisał. Coraz częściej wszyscy chcą, żeby opowiadać, jak to za dawnych czasów bywało. Tymczasem pamięć jeszcze nie zawodzi, ale zmęczone palce coraz częściej osuwają się z klawiatury maszyny do pisania, równie starej jak jej właściciel.....czuję się jak ominięta przez drwala samotna jodła na porębie, co górą jeszcze zwawo szumi, obojętna na stado kundli dołem ją obsikujące” - mówił.

Chodził z coraz większą trudnością. Nie rozstawał się z kulami, a schody coraz częściej okazywały się przeszkodą nie do przebycia. Z tego powodu nie mógł skorzystać z ofiarowanego mu z okazji sześćdziesięciolecia PLL LOT darmowego biletu na przelot w dowolne miejsce w Europie. W alei Przyjaciół była winda, ale do Opery Poznańskiej, którą lubił najbardziej, przestał jeździć właśnie ze względu na schody nie do pokonania. Na salę Filharmonii Narodowej dostawał się, wjeżdżając windą towarową, służącą do przewożenia fortepianów, „...i ja za każdym razem nią jadę, jako Honorowy Kontrabas” - żartował. Mówił i pisał, że ludziom w jego wieku Pan Bóg daje znak, że nadchodzi koniec, odbierając władzę albo w nogach, albo w głowie. Więc on i tak jest Stwórcy wdzięczny za to, że jego „trzepnął” po nogach. Cytował wiersz Leopolda Staffa: Jestem w wieku, kiedy się umiera”.

- Zawiozłem go kiedyś na promocję książki Magdy Zawadzkiej - opowiada Jerzy Kisielewski. - Powiedział:

- Wiesz, muszę pojechać, ona zawsze kwestuje na Powązkach. Pojechaliśmy, Zawadzka coś opowiada, a ja widzę, że Waldorff podnosi kulę, tak jak to miał w zwyczaju,

kiedy chciał coś powiedzieć.

Oddają mu głos, a on zaczyna:

- Moja droga kwestarko, prędzej czy później, ja zapewne prędzej, a ty później, spotkamy się na Powązkach. Będę wtedy mówił do ciebie: Sąsiadeczko, uchyl wieczko”. Oczywiście wszyscy w śmiech. Uwielbiał to.

Coraz częściej przywoływał przeszłość. Nie tylko, żeby wspominać dawnych przyjaciół i wydarzenia, w których uczestniczył, nie po to, by upomnieć się o twórców, którzy zniknęli gdzieś w otchłani niepamięci, ale także po to, żeby załamać ręce nad upadkiem obyczajów w wolnej Polsce. Miał szacunek do władzy, nawet jeśli była to władza, którą nie całkiem akceptował. Gdy poznańska prawicowa Akcja Alternatywna „Naszość” podczas wizyty w Paryżu obrzuciła jajkami prezydenta RP, Aleksandra Kwaśniewskiego, oburzył się na swoich krajan. „Obrzucając zgniliznami państwa Kwaśniewskich, pohańbili w oczach Europy Polskę, w osobie Jej prezydenta” - pisał. Mimo nawet najbardziej uzasadnionych pretensji do rządzących mówić o tym wolno tylko w kraju, uważał. Za granicą należy milczeć. Tak jak czynił to on, nawet wtedy gdy w Polsce był cenzurowany i skazywany na milczenie w mediach, „...zdawało mi się to kwestią dobrego politycznego wychowania” - pisał.

Żył polityką. W jednym z radiowych wywiadów z przygnębieniem mówił o Polakach emigrujących na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych na zachód Europy. Rozumiem ich, twierdził, mają prawo szukać dla siebie i dzieci lepszej przyszłości, ale nie wiedzą jeszcze, że nikt w świecie na nich nie czeka. Nikt nie przygotowuje posad, żeby dać je akurat Polakom. Z lękiem mówił o sytuacji, o której przeczytał w jednym z tygodników. Dzieci małżeństwa polskich emigrantów, które poszły do niemieckiej szkoły, po dwóch latach znienawidziły Polskę. Bo przekonały się, że szkoła może być zupełnie inna niż ta, którą pamiętały z Polski. Może być przyjazna i ciekawa, nauczyciele mogą być uśmiechnięci i życzliwi, a koledzy z klasy sympatyczni.

- I co - mówił tonem, w którym słychać było echa antyniemieckiej fobii jeszcze sprzed wojny - wszystkie nasze dzieci mają się przenieść do szkół niemieckich? Znienawidzić Polskę? I ma być następna inwazja niemiecka, ale już siłami polskimi wychowanymi w Niemczech. Przecież to straszne. To obłąd!

Być może to było powodem, że tak zdecydowanie odciął się od tej części przyrodniego rodzeństwa, które zamieszkało w Niemczech.

Jerzy Kisielewski: - Przychodzę kiedyś, a wstrząśnięty Mietek mówi:

„Słuchaj, był jeden z Preyssów, chciał porozmawiać, a on trzymał go w korytarzu.

Mówię mu, Jerzy, może zaproponuj chociaż herbatę.

A on na to: - Nie...”.

Obraził się. Stwierdził, że jak oni wolą być Niemcami, to on nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Zofia Kucówna: - Opowiedział mi kiedyś historię absolutnie filmową. Okupacja, katedra warszawska, pogrzeb kogoś z rodziny. Nagle w trakcie ceremonii otwierają się drzwi i w absolutnej ciszy słycać miarowy stukot wojskowych butów. Główną nawą katedry idzie niemiecki oficer, esesman albo gestapowiec. Podchodzi do katafalku i oddaje cześć zmarłemu. Okazuje się, że to jeden z niemieckich Preyssów przeczytał nekrolog i przyszedł pożegnać krewniaka. Następuje wyprowadzenie trumny, idzie zakrystian z krzyżem, ksiądz, esesman, potem długo długo nic, i dopiero stłoczona, mocno niezadowolona reszta rodziny. Po wielu latach, po słynnym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich i jeszcze słynniejszych słowach: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, Waldorff otrzymał od syna tego gestapowca list z propozycją spotkania i nawiązania kontaktu. Bardzo był tym poruszony. Pokazał nam list i poinformował, że grzecznie, ale kategorycznie odmówił.

W 1995 roku udało mu się w końcu doprowadzić do symbolicznego pochówku w katedrze warszawskiej prochów króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nigdy nawet na chwilę nie przerwał walki o dobre imię króla, a kiedy udało mu się przekonać prymasa, Józefa Glempa, że jedynym dobrym miejscem spoczynku ostatniego króla wolnej Polski będzie katedra archidiecezji warszawskiej, tryumfował. Nie przyjmował słów krytyki pod adresem Poniatowskiego, uważał, że w czasach i okolicznościach, w jakich przyszło mu panować w Polsce, nikomu nie udało się osiągnąć więcej. Opuścił mu nawet romans z Katarzyną i łatwe pogodzenie się z kolejnymi rozbiorami. Był najlepszy w „najgorszych czasach i w najgorszych politycznych okolicznościach” - mówił w telewizyjnym tryptyku Muzyczne sekrety dworu Stanisława Augusta.

Poniatowski wracał do Polski dwukrotnie. W roku 1938, kiedy II Rzeczpospolita sprowadziła jego szczątki z Petersburga, gdzie był pierwotnie pochowany, do rodzinnego Wołczyna, wtedy jeszcze leżącego w granicach Polski. Grzebano go wówczas w największej tajemnicy, wstydliwie, bez szacunku należnego ostatniemu królowi. Po drugiej wojnie światowej Wołczyn znalazł się na terenie Białorusi, najpierw części ZSRR, a później w ścisłym związku z Rosją, i o szczątki króla trzeba było starać się od nowa. Miał wrócić do Polski w roku 1988, ale okazało się, że w zrujnowanym i wielokrotnie plądrowanym wołyńskim kościele trumny ze szczątkami króla nie ma.

- Pamiętam odczyt Waldorffa o Poniatowskim, za którego on rzeczywiście dałby się

pokroić - wspomina Jerzy Kisielewski. - Lata osiemdziesiąte, sala Empiku pełna, a Waldorff zaczyna mówić, że jest problem ze sprowadzeniem zwłok króla. No bo jakże kraj socjalistyczny ma zwrócić się do kraju budującego komunizm o wydanie mu króla. Sala oczywiście wybuchnęła śmiechem i oklaskami.

W 1995 roku przywieziono do Polski urnę wypełnioną ziemią z walczyńskiej krypty, zmieszaną z kawałkami kości (nie było jednak pewne, czy na pewno należały do króla) i skrawkami królewskiego płaszcza. Symboliczny pogrzeb Stanisława Augusta był bardzo uroczysty. Trumnę ze szczątkami wystawiono najpierw na Zamku Królewskim; dopiero stamtąd żałobnicy przeszli do katedry św. Jana. Waldorffowi towarzyszył Jerzy Kisielewski.

- Do katedry wchodziliśmy bocznym wejściem od Kanonii, po ciemku - wspomina. - Nie zauważyliśmy stopnia i Waldorff, który szedł o jednej kuli, runął i uderzył głową w kamienną posadzkę. Musieliśmy wezwać karetkę i wieźć go do szpitala na Banacha, żeby go opatrzone. A on natychmiast przekuł to w anegdotę. Jestem ostatnim polskim szlachcicem, który głową bił przed królem” - opowiadał.

Sam, jak miał to w zwyczaju, przedstawił wszystko znacznie dramatyczniej.....jak runąłem głową na ziemię katedry, tak połowę podłogi zalałem krwią. Obudziłem się dopiero w szpitalu, kiedy mi tutaj dużą taką dziurę zaszywano... Szczęśliwie czaszka ocalała” - mówił w telewizyjnym tryptyku Muzyczne sekrety dworu Stanisława Augusta.

- Nie było aż tak źle - mówi Jerzy Kisielewski. - Po przyjeździe do szpitala zaczął natychmiast czarować bon motami lekarzy i pielęgniarki, szczęśliwych, że trafił im się taki pacjent. Mnie powiedział, jak wspaniale się nim zajęto i jak było mu to potrzebne, bo karetka, którą go wieziono, trzęsła się jak wóz do przewożenia bydła.

W 1997 roku po raz kolejny zmienił nagłówek felietonów w „Polityce”. Odtąd nazywały się Okiem sępa. „...bom stary już i z wysokiej góry życia mogę uważnie obserwować, co się dzieje wokół na ziemi” - uzasadnił.

Publikował w „Polityce” do końca. I do końca z tą samą swadą i wolą walki, gdy coś go zirytowało. Od siedemdziesięciu lat, jak chodzę do opery, czegoś tak bezsensownego i głupiego nie widziałem, irytował się na otwierających sezon Harnasi Karola Szymanowskiego. Odesłał przedstawienie do Tworek, gdzie wszystko jedno co się robi, byle wesoło i szybko. Skandal w Operze - zatytułował recenzję. O przedstawieniu Straszego dworu Stanisława Moniuszki w reżyserii Andrzeja Żuławskiego w Teatrze Narodowym napisał, że równie bezczelnego i obraźliwego dla narodu polskiego przedstawienia w życiu nie oglądał. Gdyby był ministrem kultury, dodał, natychmiast nakazałby ten karygodny i ohydny kicz zdjąć ze sceny. Zbrodnia w Narodowym - zatytułował felieton. O więźowcu

wybudowanym przez Daewoo na rogu ulic Chłodnej i Towarowej napisał, że wygląda tak, jakby Warszawa doznała w tym miejscu erekcji. Kto, pytał, i ile dostał łapówki za to, że pozwolił tak oszpecić stolicę? A kiedy znalazł w „Polityce” ignorancją - jak ocenił - relację z jubileuszowej 40. „Warszawskiej Jesieni”, napisał, że upoważnia go ona do nazwania autora „czelnym durniem”.

Najpierw dzwonił, zapowiadając kolejny artykuł, wspominał współpracę z Waldorffem Zdzisław Pietrasik, szef działu kultury „Polityki”. Streszczał zawartość, mówił, co będzie na początku, co w środku i jakie będzie zakończenie. Po paru dniach telefonował, że redakcyjny kierowca może przyjechać po gotowy tekst. Pisał na starej maszynie, ręcznie nanosząc na maszynopisie staranne poprawki. A kiedy artykuł już się ukazał, dzwonił po raz trzeci, „...piekląc się, jeżeli w tekście dokonana została choćby najdrobniejsza zmiana” - napisał Pietrasik.

W kolejnych felietonach coraz mniej zajmował się muzyką, a coraz więcej pisał o polityce, historii, sprawach publicznych. Coraz bardziej miał za złe nowym przywódcom Polski, że nie rządzą nią tak, jak uważał, że powinni. A wtedy nie szczędził ostrych słów. „Czasem zżymaliśmy się w redakcji, że kolejny felieton Waldorffa «znowu nie o muzyce»„ - zapamiętał Zdzisław Pietrasik. Wiele z artykułów niemal w całości poświęconych było sprawom zgoła niemuzycznym i dopiero ostatni akapit zaczynał się od słów: „...a ponadto odbył się koncert...”.

Obok felietonów publikowanych w „Polityce” na początku 1998 roku Waldorff przyjął propozycję „Życia Warszawy”, by raz na dwa tygodnie w dzienniku pojawiała się przeprowadzona przez Jerzego Kisielewskiego rozmowa. Cykl pod nazwą Z Jerzym Waldorffem o wszystkim wystartował w połowie marca i z przerwą wakacyjną kontynuowany był do jesieni. Już w pierwszym dialogowanym felietonie, zatytułowanym Polowanie z chartami, było rzeczywiście o wszystkim. O przedwojennym „Kurierze Warszawskim”, którego następcą jest „Życie Warszawy”, o Bolesławie Prusie i sztuce felietonu. O manifestacji hodowców drobiu, którzy przyszli pod siedzibę rządu, żeby zaprotestować przeciwko wchodzeniu Polski do NATO, i o królu Stanisławie Auguście Poniatowskim.

O zbyt małym budżecie Ministerstwa Kultury, a przecież to tylko dzięki kulturze polski naród zdołał przetrwać rozbiory. I o pieniądzach wyrzuconych na wyjazd polskiej ekipy na zimową olimpiadę w Nagano, gdzie sportowcy i tak dostali w d... a jeszcze dwa razy tyle urzędników i dziennikarzy pojechało oglądać to za publiczne pieniądze.

Ale przede wszystkim było o przedwojennej Warszawie. O mieście pełnym

najpiękniejszych kobiet, eleganckich mężczyzn, wybitnych pisarzy (od Żeromskiego, poprzez Nałkowską, Dąbrowską, po Iwaszkiewicza), znakomitych restauracji i ogromnych kontrastów. Ale ta piękna, mądra i europejska Warszawa była niewielka, była, zamykała się w wąskiej kieszce między pl. Zamkowym a Belwederem, obejmowała Aleje Ujazdowskie, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat oraz Marszałkowską. I koniec. Bo tuż za Zamkiem Królewskim zaczynała się dzielnica żydowska. „To było miasto liczące trzysta tysięcy ludzi mówiących innym językiem, inaczej ubranych: mężczyźni w chałatach i z pejsami, kobiety w perukach. Inaczej jedli, a dzielnica miała w ogóle inny zapach. Tam zewsząd dolatywał zapach cebuli i czosnku” - wspominał. Powiśle było dzielnicą nędzy, a z czerwonej Woli, rozpoczynającej się za Marszałkowską, ruszały pochody na 1 Maja i wszystkie demonstracje, które w Śródmieściu rozpędzała konna policja.

Nie krył jednak, że i tak wolał tamtą Warszawę. A nie tą zabudowaną starymi radzieckimi „koszarowcami” i nowymi szklano-betonowymi wieżowcami amerykańskimi, z Pałacem Kultury pośrodku. Zasiedloną po wojnie przez ludność, której nie rozumiał i nie całkiem akceptował. Zwłaszcza tej, która w nowym ustroju zaczęła zachowywać się jak stado chartów, mówił. „To stado chartów przez pół wieku było zamknięte w klatkach przez komunizm, więc jak klatki pootwierano, to owe charty wypadły, pędzą przed siebie, szczekając, i nie wiedzą, dokąd pędzą i na kogo szczekają” - dodał.

Rozmawiali z Jerzym Kisielewskim o ekranizacji Pana Tadeusza Andrzeja Wajdy i o pomysły wypuszczenia bankowych bonów kredytowych dla zubożałych bibliofilów, dzięki którym mogliby oni kupować książki. O niemieckim wydaniu Pianisty, czyli dawnej Śmierci miasta i o pomniku dla Piłsudskiego. O nierobach z Ministerstwa Kultury, którzy przeszkadzają chcącym coś zmienić, i ogłupiającej naród telewizji, pasącej ćwierćinteligentów i półinteligentów nikczemnymi kryminałami.

Do końca nie zaprzestał walki o narodową pamięć. Ostatnią stoczył o pomnik Józefa Piłsudskiego w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Uznał, że niewielki pomnik Marszałka przy pl. Piłsudskiego jest zbyt brzydki („...daję na to panu moje szlacheckie słowo honoru” - przekonywał Tomasz Raczka), by uhonorować człowieka, który przywrócił Polsce niepodległość po stu dwudziestu trzech latach zaborów, „...stoi tak, że odgrywa rolę dozorca taksówek pod Hotelem Europejskim” - dodał. To hańba dla narodu i obraza historii Polski. Komitet budowy pierwszego pomnika („...do którego oczywiście mnie nie zaproszono” - pisał) nazwał Komitetem Parkingowym.

- Ale powiedział, że z tym dziadkiem parkingowym nie będzie walczył. Postawi pod Belwederem drugi pomnik - wspomina Jerzy Kisielewski. „Napoleon Bonaparte, który dwa

pokolenia Francuzów utopił we krwi, ma w Paryżu sześć monumentalnych pomników. Dlaczego Marszałek nie może mieć w Warszawie dwóch?” - pytał w jednym z wywiadów i nie mogło być żadnych wątpliwości, że uważa to pytanie za retoryczne.

To Waldorff wymyślił, żeby wykorzystać przedwojenny pomnik Marszałka, dłuta wybitnego rzeźbiarza, Stanisława Ostrowskiego. Marmurowa rzeźba wspartego na szabli Marszałka przetrwała PRL, schowana w Pomarańczarni w Łazienkach Królewskich. Doczekała lepszych czasów, ukrywana najpierw przez prof. Stanisława Lorentza, a potem przez dyrektora Łazienek, Marka Kwiatkowskiego. Ale Waldorff chciał, żeby Piłsudski, który stanął w Alejach Ujazdowskich, na trasie, którą Marszałek przemierzał, idąc z Belwederu do gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, był dwukrotnie większy. A skoro Waldorff czegoś chciał, to prędzej czy później musiało się to spełnić. Założył Komitet Budowy Pomnika Marszałka Piłsudskiego przy Belwederze i wpłacił na jego konto 5 tys. zł, które otrzymał wraz z tytułem „Warszawiaka Stulecia”.

Odlany w brązie Piłsudski stanął przed Belwederem w listopadzie 1998 roku. Pierwsza z inskrypcji na cokole pomnika głosi: „Marszałek Józef Piłsudski”. Druga: „Swemu Obrońcy w roku 1920 Warszawa”. Trzecia: „Z inicjatywy Jerzego Waldorffa pomnik ten odsłonięto 8 listopada 1998 r., w 80. rocznicę odzyskania niepodległości”.

W odsłonięciu wziął udział ówczesny prezydent Rzeczypospolitej, Aleksander Kwaśniewski.

Jerzy Kisielewski: - Przychodzę kiedyś do Waldorffa, a on mówi: „- Ponoć Kwaśniewski nie chce przyjść na odsłonięcie pomnika, bo boi się, że zostanie źle przyjęty. A to się przecież nie może odbyć bez prezydenta. Wiesz, co zrobiłem? Zadzwoń do Pałacu Prezydenckiego i powiedz, że chcę rozmawiać z prezydentem. Nie wiem, czy mnie nie splanowali, bo powiedzieli, że prezydenta nie ma, ale jak będzie, to oddzwoni. Na razie nie dzwonił. Następnego dnia telefonuje Waldorff:

- Słuchaj, oddzwonił. Mówię mu: «Panie prezydencie, rozmawiałem o panu z kilkoma osobami z grona moich przyjaciół, które uważają, że sprawuje pan swoją funkcję nie najgorzej. To dlaczego chce pan teraz popełnić błąd i nie przyjść na odsłonięcie pomnika Piłsudskiego?)). A Kwaśniewski na to: «Oczywiście będę»,.

Dotrzymał słowa, choć część starych piłsudczyków, którzy przyszedli pod pomnik, zaczęła na widok wywodzącego się z postkomunistycznej lewicy prezydenta demonstracyjnie buczeć.

- Waldorff był jak dobry adwokat, który na pytanie o szanse wygrania procesu, odpowiada: Nie podejmuję się spraw przegranych - wspomina Jerzy Kisielewski. - Porzucił

karierę adwokacką, ale też nie podejmował się spraw przegranych.

Póki było to możliwe, chodził na koncerty i do teatru. Nie przepadał jednak za awangardą i nowinkami. Nie akceptował nowego języka w sztuce. Zdzisław Pietrasik był świadkiem, jak wychodząc w czasie antraktu z jakiegoś głośnego przedstawienia, rzucił tak, że musieli to usłyszeć wszyscy:

- Ni ch... nie rozumiem.

„Wybitny stylista używał nieraz słów dosadnych” - pisał Pietrasik. Był coraz bardziej poirytowany nową Polską. Wszechogarniającym chamstwem, zalewem wulgaryzmów, których u innych nie akceptował, i złą polszczyzną, której nie rozumiał. Przez sto lat byliśmy pod rosyjską okupacją, pisał, a mimo to Rosjanom nie udało się pozbawić Polaków języka. A teraz, zaledwie po czterech latach od odzyskania wolności, Polacy mówią polszczyzną coraz bardziej zanglicyzowaną. Bardziej akceptował partyjną nowomowę, którą posługiwali się po wojnie ludzie niewykształceni niż psujące język naleciałości, „...wiele słów zostało podczas wojny, powstania i później przez komunizm wymordowanych wraz z dawnym społeczeństwem” - mówił.

Nie ukrywał coraz głębszego pesymizmu, w który popadał. Gdybym miał boskie możliwości, wyznał, chciałbym, żeby wszyscy Polacy, wraz ze mną, popełnili zbiorowe samobójstwo. Bo Polacy to naród, który przez swoją kłótność, lenistwo, nieznośny charakter nie nadaje się do życia. W gruncie rzeczy jesteśmy narodem niezdolnym do przetrwania - przekonywał. Polska, nie z własnej winy, ale w efekcie ostatnich trzystu lat historii, stała się krajem odpychającym, z ludnością okropną, kłamliwą, kłótną - mówił.

Uważnie obserwował wszystko, co działo się w polityce.

- To było podczas inauguracji Roku Chopinowskiego w Teatrze Wielkim - wspomina Jerzy Kisielewski. - Pojawił się tam także Andrzej Lepper, już poseł, ale jeszcze nie członek rządu. Widzę, jak Waldorff na jego widok zaczyna się puszyć. Kiedy Lepper się zbliżył, zawołał:

„Ja pana nienawidzę!

A tamten skłonił się i odpowiedział:

- A ja pana bardzo szanuję”.

Nie wierzył, że odzyskaną niepodległość uda się utrzymać na dłużej. Po trzech rozbiorach w XVIII wieku, i czwartym, którym był pakt Ribbentrop-Mołotow, prędzej czy później musi przyjść piąty, napisał. Bo polska kultura jest nieoryginalna, na wpół zachodnia, na wpół wschodnia. Rdzennie polskich twórców było mało. Najwybitniejsi: Kopernik, Chopin, Mickiewicz mieli zawsze domieszkę obcej krwi. Dlatego ta ułomna, niemądra,

pijana, szara i brzydka Polska nie może przetrwać. „I może właśnie dlatego, że jest ona taka niedoskonała, bardzo ją Kocham” - zakończył ten wybuch złości.

Bardzo chciał przed śmiercią odwiedzić Kraków. Zająć do redakcji „Przekroju”, zobaczyć rynek i Sukiennice, odwiedzić Śledziejowice-Waldorffowo. Na początku 1999 roku zadzwonił do Ludwika Jerzego Kerna, żeby zapytać, jak jeździ się po Krakowie. Zmartwił się, że rynek jest zamknięty dla prywatnych samochodów, bo prawie nie chodzi, więc musiałby wszędzie być zawieszony.

- Jurek Kisielewski by mnie przywiózł - mówił - bo ja już nie prowadzę.

Redakcja „Przekroju” załatwiła oczywiście, że kto jak kto, ale redaktor Waldorff zostanie na rynek wpuszczony. Ma tylko podać numer rejestracyjny swojego samochodu. Ale nie zdążył już przyjechać.

Ostatni felieton z cyklu Okiem sępa ukazał się 23 października 1999 roku, w trzydziestą rocznicę rozpoczęcia przez Waldorffa współpracy z „Polityką”. Miał tytuł Z mego skalnego szańca. Był poświęcony najważniejszemu tematowi publicystyki Waldorffa: miejscu w codziennym życiu Polaków kultury, która w wolnej Polsce ma się znacznie gorzej niż w PRL. Szerzy się za to chamstwo i swoboda ubliżania jednemu człowiekowi przez drugiego. Był ostry jak zwykle, „...sprawy dotyczące kultury i sztuki tak samo nie liczą się, jak ministrowie tych resortów, które obsadza się ostatnimi fujarami, pozbawionymi kwalifikacji nawet do zmywania szklanek w bufecie”.

W przedostatnim w 1999 roku numerze „Polityki”, pod nową winietą Dwa Jerze... ukazała się podwójna recenzja, autorstwa Jerzego Waldorffa i Jerzego Kisielewskiego, z poznańskiego koncertu Krystiana Zimermana.

To Waldorff wpadł na pomysł, że będą pisać wspólnie. Sam nie mógł pojechać do Poznania. Usprawiedliwił się zapaleniem płuc, które dopadło go w listopadzie i zmusiło do spędzenia prawie miesiąca w szpitalu. Kisielewski miał odtąd odgrywać rolę jego oczu i uszu.

Napisał o znaczeniu muzyki Chopina w jego życiu: „...zostało [mi] już tylko, co zostaje starym ludziom - to znaczy wspomnienia” - tłumaczył. „Upoważniony i zachęcony przez pamiętającego wszystko (podobno nawet Pana Boga, gdy jeszcze nie nosił brody) Jerzego Waldorffa...” - rozpoczął swoją część Jerzy Kisielewski.

To miał być początek nowego cyklu. „Planował już sobie zajęcia na rok 2000, czekał na kolejny Konkurs Chopinowski” - wspominał ostatnie rozmowy z Waldorffem Zdzisław Pietrasik. Na końcu podwójnego felietonu redakcja umieściła zdjęcia dwóch jeży. Dużego i małego.

Ale Pan Bóg, którego Waldorff pamiętał podobno z czasów, gdy nie nosił jeszcze

brody, zdecydował, że Dwa Jerze... ukazały się tylko raz.

Moja niewiara stanowi nadzieję, że On jednak jest...

Pisał, że nie została mu dana łaska wiary. Czasem prowokował ludzi, orzekając kategorycznie: Boga nie ma. Ale zaraz potem dokładał mnóstwo zastrzeżeń, z których wynikało, że bardziej jest, niż Go nie ma, a już na pewno powinien być. Odwoływał się do Boga tak często, jakby jego samego uwierał brak wiary w coś, co wydaje się tak oczywiste. Ale kto chciał, słyszał tylko pierwsze zdanie: Boga nie ma. Gdy zmarł, wykorzystano je przeciw niemu, odmawiając pochówku, na jaki zasłużył. Bez mszy żałobnej w świątyni w centrum Warszawy, próbując zepchnąć pogrzeb w cień, jakby chcąc ukryć, że ten, który tyle zrobił dla Kościoła, nie dość był mu posłuszny. Być może nawet podejrzewano go, że w swej pysze sądzi, iż dopełnia boskiego dzieła. Bóg przeprowadza dusze ludzi ku wieczności, a on, Jerzy Waldorff, ratując stare Powązki, stara się, by przetrwała o nich pamięć.

W rozmowie z Tomaszem Raczkiem jako dowód na istnienie Boga przytoczył cudowne ocalenie podczas okupacji. I to dwukrotne. Pierwszy raz w roku 1940 podczas łapanki na Książęcej, drugi, gdy po powstaniu poszedł z przekupionym niemieckim żołnierzem do swojego mieszkania.

„Wtedy doszedłem do punktu, o którym tak opowiadał Artur Rubinstein: «Panie Jerzy, ja w Pana Boga nie wierzę, ale jeśli po śmierci okaże się, że On jest, to jakże rozkoszną sprawi mi niespodziankę-»” - mówił Tomaszowi Raczkowi.

Jakkolwiek w Pana Boga nie wierzę, ale niech pan napisze, iż ta moja niewiara w gruncie rzeczy stanowi nadzieję, że On jednak jest. Tylko ja nie mam w ręku żadnych danych, aby wierzyć” - tłumaczył kiedy indziej Krzysztofowi Ptaszyńskiemu.

- Wiele razy widziałam go w kościele, podczas mszy dla środowisk twórczych - opowiada Zofia Kucówna. - Nie klękał, bo nie mógł. Podnosił wtedy ku górze swoją „szwedkę”. Jakby chciał Bogu i nam wszystkim pokazać, że jest obecny, ale klęknąć nie może. Przez całe życie prowadził rozmowę z Bogiem. Miewał do niego pretensje, kłócił się z nim, ale nie miałam wątpliwości, że wierzy.

Pierwszy bunt przeciwko Bogu, a może przede wszystkim przeciwko nie dość wykształconemu i wrażliwemu księdzu, który nie bardzo potrafił poradzić sobie z wątpliwościami rodzącymi się w nastoletniej duszy, miał miejsce w gimnazjum.

- Czy Bóg jest wszechobecny? - zapytał nauczyciela religii.

- Oczywiście - usłyszał w odpowiedzi.

- W takim razie obecny jest teraz w naszej klasie.

- Masz rację, moje dziecko.

- To dlaczego dopuszcza, aby się nad nami znęcano?

Tego było za dużo nawet dla bardzo wyrozumiałego katechety. „Siadaj, występny chłopcze” - usłyszał.

W wywiadach powtarzał, że wszystko to, czego był w życiu świadkiem: wojny, faszyzmy, ludobójstwa, dowodzi, że Bóg i szatan stoczyli walkę o panowanie nad światem. I Bóg tę walkę przegrał. Musiał oddać ziemię we władanie szatanowi. Dlatego, nawet jeśli istnieje, to ludzie są we władzy szatana. Ale dowodem na istnienie Boga jest ich tęsknota do Niego, pragnienie dobra i smutek z powodu tryumfującego zła, tłumaczył. „Mimo wszystko trzeba iść przed siebie, wierząc, że doczekamy epoki, kiedy Bóg weźmie górę nad szatanem. Jeśli mu pomożemy!” - mówił. W innym miejscu pisał: gdyby Pana Boga nie było, należałoby go stworzyć. I o taki cud stworzenia każdy powinien zabiegać z całych sił. Bo największą zbrodnią, jakiej można się na Ziemi dopuścić, i największą krzywdą, jaką można wyrządzić człowiekowi, jest odebranie mu wiary.

Czy tak mógłby powiedzieć wojujący ateista?

Jeśli kiedyś dojdzie do Sądu Ostatecznego, pisał jednakże w Fidrku, to w imię sprawiedliwości powinna nastąpić zamiana miejsc. To ludzkość powinna zasiąść za stołem sędziowskim, i to ludzie powinni sądzić Boga. Ale ludzie by mu nie przebaczyli. Nadzieja w tym tylko, dodał, że Bóg, przed którego obliczem staniemy po śmierci, nie będzie Bogiem na obraz i podobieństwo człowieka, ale objawi się nam jako Bóg mądry i dobry. Pomoże ludziom zrozumieć, co się stało, i nie będzie ich sądzić, ale razem z nimi zapłacze.

W czasach inkwizycji za podobne bluźniercze rozważania groziłby Waldorffowi stos, pod koniec XX wieku próbowano odmówić mu uroczystego pochówku w miejscu, które uratował nie dla siebie, ale dla swojego Kościoła.

- Jestem wiernym synem Kościoła katolickiego - mówił w wywiadzie radiowym. - Dlatego że Kościół katolicki jest najwierniej polską instytucją i kiedykolwiek się cokolwiek z Polską działo, to ona miała w nim oparcie przynajmniej od początków zeszłego wieku. To była wielka ostoja dla naszego narodu.

Spalcie mnie i rozsypcie prochy przy jego grobie...

Zofia Kucówna: - Podczas jednej z ostatnich wizyt Jana Pawła II w Polsce oglądałam razem z Jerzym transmisję z mszy. Wzruszyłam się, patrząc, jak Stanisław Dziwisz, jeszcze wtedy biskup, poprawia papieżowi szaty, opiekuje się nim. Mówię do Waldorffa:

„Wspaniały jest ten Dziwisz. Oddany jak Mietek tobie.

Bardzo był z tych słów zadowolony. Zawołał Mietka i zakomunikował:

- Zosia mówi, że jesteś przy mnie jak Dziwisz przy papieżu. Mietek fuknął, żeby się nie porównywał do papieża, co Waldorffa rozsierdziło.

- Właśnie, że jesteś przy mnie jak Dziwisz! - wrzasnął, a Mietek, obrażony, schował się w kuchni”.

- Byli bardzo wzruszający we wzajemnej trosce o siebie - wspomina Wiesław Uchański. - Pod koniec życia, kiedy Waldorff nie mógł już chodzić, Mietek, choć miał początki parkinsona i trzęsły mu się ręce, przynosił, dzwoniąc filiżankami, herbatę i stawiał ją na stole. Ale później to Jerzy, siedząc przy stole, rozstawiał filiżanki i sładził herbatę. Mietka i swoją.

Jankowski miał znakomitą pamięć. O wiele lepszą niż Waldorff. Prawie każdy, kto przychodził do ich mieszkania po wywiad albo wypowiedź, przeżywał podobną scenę. Waldorff zaczynał mówić, puszył się, rozkwitał, ale w pewnym momencie zatrzymywał się, bo coś mu umknęło.

Jerzy Kisielewski: - Wołał wtedy niskim głosem: „Mietku (bo Mietek był przygłuchawy i lepiej słyszał tony niskie), Mietku, jak nazywał się ten poeta-grafoman z Krakowa?”. A Mietek bez pudła podrzucał potrzebne nazwisko. Już po śmierci Waldorffa powtarzał mi wielokrotnie: „To Jerzy nauczył mnie czytać. Byłem wyjątkiem wśród tancerzy, którzy woleli pisma ilustrowane”.

Waldorff bał się o to, co stanie się z Mieczysławem Jankowskim po jego śmierci. Prosił Kisielewskich, żeby zaopiekowali się nim.

Jerzy Kisielewski: - To była przez ostatnie lata jego obsesja. Uważał, że Mietek nie poradzi sobie sam. Bał się, że ktoś może go skrzywdzić. Niepokoił się, czy zostanie uwzględniony jego testament. Czy zaopiekujemy się Mietkiem. Czuł, że odejdzie szybciej, choć obaj zachowywali się przez te ostatnie lata jak mickiewiczowscy dziad i baba, licytując się, kto umrze pierwszy. Kiedy Waldorff zmarł, Mietek chciał jak najszybciej pójść za nim. Mówił, że życie bez Jerzego nie ma sensu, nie chciał nawet wychodzić z domu. Dopiero po jakimś czasie zaczął porządkować rzeczy po Waldorffie. Znow zaczął czytać, wrócił jeszcze na parę lat do życia.

Kilka tygodni po śmierci Waldorffa spotkał się z dziennikarzem „Gazety Wyborczej”. W głębi mieszkania w alei Przyjaciół czekał człowiek ujmujący, który zgodził się rozmawiać nie bez wahań, w imię pamięci Jerzego, pisał Jarosław Kurski. - 1 maja zeszłego roku minęło sześćdziesiąt lat, jak żyliśmy razem, dzień po dniu. Dziś chętnie poszedłbym w jego ślady, ale nie mogę - mówił Jankowski. - Muszę wykonać testament Jerzego: to do biblioteki

uniwersyteckiej, to do muzeum, to do Lasek, to skatalogować, to uporządkować. Widzi pan, ileż tu roboty!

Na którąś Wielkanoc Kisielewskim udało się wyciągnąć go na wieś. Podobało mu się, ale następnym razem już nie chciał pojechać. Zgadzał się tylko na jakieś przejażdżki po Warszawie i wspólne święta z Kisielewskimi i Zofią Kucówną.

- Po śmierci Jerzego Mietek nie chciał kontaktować się z ludźmi. Zachowywał się tak, jakby miał wyrzuty sumienia, że Jerzego nie ma, a on żyje nie wiadomo po co i musi patrzeć na to wszystko, co przedtem oglądał i przeżywał z Waldorffem - opowiada Zofia Kucówna.

Waldorff chciał, żeby Mietek był pochowany razem z nim. Zapisał to w testamencie.

Jerzy Kisielewski: - Mietek też najpierw mówił: „Muszę być pochowany obok Jerzego”, ale potem, jakby przeczuwając kłopoty, powiedział: „Spalcie mnie i rozsypcie prochy przy jego grobie”.

Ostatecznie jednak urna z popiołami Mieczysława Jankowskiego spoczęła w grobie Waldorffa. Ksiądz opiekujący się Powązkami chciał tylko wiedzieć, czy rodzina nie będzie miała nic przeciwko temu.

Jerzy Kisielewski: - Pokazałem mu testament, w którym Waldorff prosił, żeby pochować Mietka razem z nim. I budował tę skomplikowaną konstrukcję prawną, żeby mieć pewność, że po jego śmierci nikt Mietkowi nie zrobi krzywdy.

Blaszana tabliczka z imieniem i nazwiskiem Mieczysława Jankowskiego przetrwała na grobie Waldorffa kilka miesięcy. Potem zniknęła.

Wielmożna śmierci, pospiesz się!

Oswajał śmierć. Przez ostatnie lata telefonując przedstawiał się: Mówi Jerzy Waldorff, nieboszczyk. W 1995 roku z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin Polskie Radio zorganizowało mu fetę, transmitowaną na żywo z kawiarni Bliklego. Ale transmisję opóźniano, bo przedłużała się relacja z obrad sejm. Zirytowany redaktor popędzał studio:

- Pan Waldorff nie może czekać! A on dodał:

- Mało tego... w każdej chwili może umrzeć! W jednym z felietonów w „Polityce” napisał:

Zbyszy krytyka obowiązki mknę teraz szparko na Powązki, gdzie przecie lepiej spocząć w tumbie, niżli się pętać po tym gumnie, co się w ojczyźnie sztuką zwie. Wielmożna śmierci, pospiesz się!

Przed kamerami opowiadał, że za wszystkie grzechy swego życia ułożył już sobie epitafium, do umieszczenia na nagrobku:

TU LEŻY WALDORFF JERZY, KTÓRY MIAŁ RZĄD W
MINIPOSZANOWANIU. LEŻ DRANIU!

Dyspozycje, co po jego śmierci zrobić z kolekcją lasek, galerią rodzinnych portretów, zabytkowych mebli i książek wydał już na początku lat osiemdziesiątych. Książki miały trafić do Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, cenne przedmioty do Muzeum Historycznego m.st. Warszawy. Pozostałe rzeczy miały zostać sprzedane, a pieniądze przekazane na fundusz Komitetu Powązkowskiego.

Czuł się coraz gorzej, ale nie chciał iść do szpitala. Dzień przed śmiercią zgodził się jednak przyjąć znajomego profesora urologa.

Profesor, meloman, rozmawiał z Waldorffem o muzyce i koncertach, od czasu do czasu wracając do problemu cewnika.

- Zgoda, ale jutro - mówił Waldorff.

- Dziś, bo jutro być może trzeba będzie pójść do szpitala - tłumaczył profesor.

Waldorff wreszcie zgodził się:

- Dobrze, ale potem pójdziemy na kurwy - oświadczył, rozbijając profesora.

Jeszcze tego samego wieczoru, 29 grudnia 1999 roku, zmarł. Do końca byli przy nim Mieczysław Jankowski oraz Maryla i Jerzy Kisielewscy.

„Odchodzi człowiek XIX wieku, żyjący w wieku XX, który jakby nie chciał dożyć wieku XXI. Gdy go ostatnio pytano: Co pan teraz zamierza robić? - odpowiadał: Jak to co? Umrzeć” - napisano w „Gazecie Wyborczej”.

Następnego dnia w porannym programie telewizyjnym, który prowadził Jerzy Kisielewski, telewizja pokazała wyciągniętą z archiwum rozmowę z Waldorffem. Radziejowice. Zbliżenie twarzy, Waldorff zaczyna mówić:

- Moi drodzy, powiem wam, że Boga nie ma. Bo gdyby był, to tu na świecie nie działałyby się takie rzeczy, jakie się dzieją.

Cała Polska to słyszała.

Chciał być pochowany na Powązkach. Uważał, że na to miejsce zasłużył. Przecież poświęcił walce o uratowanie cmentarza na Powązkach przed ruiną dwadzieścia pięć lat swojego życia. Dzięki pieniądзом zebranych podczas kwest ocalono ponad tysiąc najpiękniejszych grobowców i najcenniejszych rzeźb. Gdy jeszcze w latach osiemdziesiątych prezentował hierarchom z warszawskiej kurii metropolitalnej dokonania Komitetu Powązkowskiego, usłyszał: „No, jeśli chodzi o pana, to będzie pan mógł się tu położyć, gdzie będzie pan chciał...”.

Sprawy związane z pogrzebem załatwił Komitet Powązkowski i Jerzy Kisielewski.

- Chcieliśmy, żeby msza żałobna odbyła się w kościele Świętego Krzyża - opowiada Kisielewski. - Okazało się, że to niemożliwe. Nie ma wolnych terminów. Szukamy następnego kościoła. To samo. Dzwonimy do duszpasterza środowisk twórczych, ks. Wiesława Niewęglowskiego. Nie ma problemu, mówi, moja parafia to artyści, robimy mszę za Waldorffa u mnie. Potem oddzwania, że jednak też nie może.

Okazało się, że msza żałobna może się odbyć wyłącznie w kaplicy cmentarnej na Powązkach.

Jerzy Kisielewski: - Jakieś dewotki musiały zobaczyć go w telewizji i wszcząć alarm, że Waldorff to przecież bezbożnik. Zapadła decyzja, że msza na Powązkach, owszem, ale żadnej pompy w mieście.

Z decyzjami, których skutki widać, ale nie wiadomo, do kogo się od nich odwoływać, jest najtrudniej. Przyjaciele zmarłego uznali jednak, że warszawiacy powinni dostać szansę, by pożegnać Waldorffa. Trumnę ustawiono w Teatrze Wielkim, Adam Kilian namalował sześcioramienny portret trumienny, taki, na jakich przez wieki uwieczniano zmarłych przedstawicieli szlachty. Przyszło tysiące ludzi, zwykłych warszawiaków, muzyków, pisarzy, przedstawicieli rządu. Premier Jerzy Buzek na oczach kamer telewizji złożył kondolencje Mieczysławowi Jankowskiemu.

Jerzy Kisielewski: - Miasto oddało Waldorffowi hołd. A komendant warszawskiej policji zdecydował, że kondukt z Teatru Wielkiego na Powązki poprowadzą radiowozy na sygnale.

Nie spopielono go, tak jak chciał, „...kiedy pomyślę, że przyjdzie taki czas, gdy zamienię się w kupę śmierdzącego gnoju, to wybaczy pan, ale jest to obrzydliwe uczucie” - mówił i martwił się, że w Polsce nie ma nawet jednego porządnego krematorium. A potem jeszcze okazało się, że za obiecane Waldorffowi miejsce na Powązkach trzeba zapłacić. Obietnica sprzed lat przestała obowiązywać. Zarządcy Powązek wystawili rachunek za pogrzeb na ponad 10 tys. zł.

„Waldorff do biednych nie należał, więc krzywda się nie stała” - tłumaczył kanclerz kurii warszawskiej. Tym bardziej, dodał, że urządzono mu katolicki pogrzeb na katolickim cmentarzu, a przecież Waldorff nie krył, że jest niewierzący. Kanclerza wsparł w tygodniku „Niedziela” wiceprzewodniczący episkopatu Polski, arcybiskup Józef Michalik: „A jeśli chodzi o opłatę za pogrzeb, to przecież zwrot kosztów dokonywany jest przez ubezpieczalnię czy ministerstwo, zatem uznaje się, że ludziom pracującym wokół pogrzebu należy się jakaś rekompensata za trud i pracę...” - napisał.

Prasa rzuciła się kurii do gardła. Mało kto potrafił zrozumieć, jak można żądać

pieniędzy za pochówek Waldorffa! Właśnie Waldorffa!!!

Za to wszystko, co dla Powązek zrobił! Tylko Piotr Gadzinowski w tygodniku „Nie” drwił: Dziwicie się? Przecież, gdyby stare nagrobki na Powązkach wreszcie się rozpadły, można byłoby je jeszcze raz dobrze sprzedać. A Waldorff chciał uczynić z Powązek muzeum, do którego trzeba nieustannie dokładać. Remontując kolejne nagrobki, od lat psuł świetnie zapowiadający się interes, „...hamował przepływ wkładów na tym najbardziej szykownym, szmalcowym apartamentowcu dla zmarłych” - pisał.

Waldorff chciał, żeby chowano go przy dźwiękach muzyki Karola Szymanowskiego. „Jeśli ktoś mi nad grobem zagra Marsza żałobnego Chopina, to wstanę, uchylę wieko i będę kąsał” - zapowiedział. W innym miejscu zastrzegł, iż woli, by zagrano mu nad grobem Pawanę na śmierć Infantki Ravela, niż odtrąbiono Marsz... Fryderyka. Posłuchano go. Kiedy 5 stycznia 2000 roku chowano go w alei katakumbowej Powązek, chór Poznańskich Słowików oraz orkiestra Filharmonii Narodowej wykonały Pawanę i fragmenty Stabat Mater Karola Szymanowskiego.

Za pochówek zapłaciło Ministerstwo Kultury. Na grobie stało popiersie wykonane przez Adama Romana, autora m.in. pomnika Józefa Chełmońskiego w Radziejowicach. W styczniu 2000 roku imię Waldorffa otrzymał skwer przy ul. Jagiełły w Słupsku. W Warszawie próba takiego uhonorowania jego pamięci się nie powiodła. Stołeczni radni przywołali zasadę, że od śmierci kandydata na patrona ulicy musi upłynąć przynajmniej pięć lat. Nie zmieniły tego nawet setki kuponów, nadsyłanych przez czytelników „Życia Warszawy”: „Nie chcemy czekać pięć lat! Spotkajmy się na ulicy Jerzego Waldorffa”.

„W historii powojennej Warszawy nie było postaci równie wielkiej jak Waldorff - mówił radny, Tomasz Strzelecki, na posiedzeniu podkomisji dziedzictwa historycznego. - Człowiek instytucja, wobec którego nikt nie był obojętny. Prawo jest jednak prawem. Boimy się niebezpiecznych precedensów. Lepsze są nazwy neutralne, np. ul. Podgrzybka”.

Znów odezwali się przeciwnicy Waldorffa. Major Stanisław Borodziej, podczas wojny szef sztabu Okręgu Mazowsze-Północ Narodowych Sił Zbrojnych, wysłał list do premiera. „Ten człowiek występował przeciwko Kościołowi i księżom, którzy błogosławili żołnierzy podziemia, młodych chłopców, którzy porzucili rodziny, szkoły i szli walczyć o Polskę” - pisał o Waldorffie. „Nie damy spokoju. Przed 1 listopada będziemy rozdawać ulotki informujące, kim był Waldorff. Trzeba być Polakiem” - tłumaczył dziennikarzom.

1 listopada 2000 roku, podczas pierwszej kwesty po śmierci Waldorffa, przy jego grobie stanęła samotna skarbonka. Wrzucono do niej blisko 10 tys. zł. Co dziesiąta złotówka, która trafiła tego dnia do puszek kwestujących, została ofiarowana właśnie Jerzemu

Waldorffowi. Prawie dwa razy więcej, niż zebrał następny z kwestarzy.

Daty Jerzego Waldorffa

1910 Jerzy Preyss, przyszły Jerzy Waldorff, urodził się 4 maja w majątku Kościelna Wieś na Kujawach.

1920 Rozpoczyna naukę w gimnazjum w Trzemesznie.

1924 Matka przenosi Jerzego i młodszą od niego o dwa lata córkę Marię najpierw do gimnazjum św. Marii Magdaleny, a następnie do gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

1928 W nagrodę za pomyślnie zdaną maturę rodzice fundują mu lot samolotem z Warszawy do Poznania.

Rozpoczyna studia prawnicze na Uniwersytecie Adama Mickiewicza i muzyczne w Konserwatorium Poznańskim. 1930 We Włoszech przeżywa romans z tajemniczym Isiem, który po pięćdziesięciu latach opisze w Fidrku.

1932 Kończy studia prawnicze na UAM. Umiera ojciec.

1933 Przerywa naukę w konserwatorium tuż przed egzaminami końcowymi i rozpoczyna roczne szkolenie wojskowe w 11. Pułku Ułanów w Grudziądzu.

1934 Przeprowadzają się z matką i siostrą do Warszawy. Rozpoczyna aplikację adwokacką w kancelarii profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Włodzimierza Kozubskiego.

1935 Debiutuje jako recenzent muzyczny w endeckim „Kurierze Porannym”.

Poznaje Stefana Kisielewskiego.

1936 Zostaje szefem działu muzycznego w „Kurierze” i podejmuje współpracę z tygodnikiem „Prosto z mostu”, redagowanym przez Stanisława Piaseckiego.

Wyrusza w podróż do Francji, Holandii i Belgii, podczas której przeprowadza wywiad z przywódcą belgijskich faszystów Leonem Degrelle'em.

Poznaje Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

1937 Późnym latem wyrusza w podróż do Włoch Benito Mussoliniego. Efektem podróży jest afirmująca politykę kulturalną faszystowskiego państwa książka Sztuka pod dykturą (wydana na początku roku 1939).

1938 Razem z Jerzym Andrzejewskim oraz Konstantym Regameyem odchodzi z „Prosto z mostu”, sprzeciwiając się coraz ostrzejszemu antysemityzmowi tygodnika.

Poznaje tancerza Mieczysława Jankowskiego, miłość swojego życia.

1939 Ukazuje się seria antysemitycznych artykułów Waldorffa w „Kurierze Porannym”.

Wrzesień spędza w Warszawie. Mimo starań nie zostaje zmobilizowany.

W październiku wyrusza do Wilna w poszukiwaniu Jankowskiego. 1941 W mieszkaniu przy Kredytowej organizuje konspiracyjne obchody rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego. Angażuje się w prace komisji muzycznej Rady Głównej Opiekuńczej. Współpracuje z podziemiem.

Pomaga rodzinie przebywającego w stalagu Altengrabow Gałczyńskiego.

1942- Organizuje koncerty muzyki poważnej dla dzieci i dorosłych. -1943 Najpierw w sali przy ulicy Wareckiej, później w gmachu Konserwatorium Muzycznego przy Okólniku.

1944 Wybuch powstania warszawskiego zastaje go w Łomiankach. Odcięty od Warszawy przygotowuje komunikaty z nasłuchów rozgłośni alianckich.

Jesienią trafia do dworku Jarosława Iwaszkiewicza na Stawisku, a następnie do Ojrzanowa, gdzie spędza ostatnią zimę wojny.

1945 Po wkroczeniu Armii Czerwonej wyjeżdża do Łodzi, skąd szybko ucieka, zadenuncjowany przez jedną z gazet jako przedwojenny propagator faszyzmu i antysemita.

Sąd koleżeński Związku Zawodowego Muzyków uznaje, że podczas wojny „obywatel Walldorf (...) zachowywał się jak prawy Polak”.

Rozpoczyna pracę w Polskim Radiu w Warszawie.

Spisuje i redaguje wspomnienia Władysława Szpilmana pt. Śmierć miasta.

W sylwestra 1945 roku przyjeżdża do Krakowa i obejmuje posadę redaktora tygodnika „Przekrój”.

1946 Zostaje jednym z trojga redaktorów „Przekroju”. Przekonuje Mariana Eilego do zatrudnienia Gałczyńskiego. Współtworzy i jest pierwszym konferansjerem kabaretu „Siedem Kotów”.

Ukazuje się Śmierć miasta. Pamiętniki Władysława Szpilmana 1939-1945.

1947 Wspólnie z Ludwikiem Jerzym Kernem pisze nowe libretto do Opowieści Hoffmanna Jakuba Offenbacha.

1948 Ukazuje się pierwsza powieść Waldorffa pt. Godzina policyjna.

1949 Publikuje atakujący podziemie i Kościół artykuł Granice konfesjonału, który po latach nazwie „średnioniecnym felietonem”. Jeszcze po latach będzie oskarżany o „wspieranie propagandy UB”.

1950 Odchodzi z „Przekroju” i wraca do Warszawy. Pracuje jako reporter w „Expressie Wieczornym”.

1951 Jednocześnie z premierą filmu o Stanisławie Moniuszce, Warszawska premiera, ukazuje się książka pt. Warszawska premiera. Opowieść filmowa napisana przez Jerzego

Waldorffa.

1952 Rozpoczyna pracę jako anonimowy kontroler audycji w Polskim Radiu. Kilka miesięcy później zaczyna wygłaszać w radiu felietony poświęcone instrumentom muzycznym, które po kilku latach złożą się na książkę Sekrety Polihymnii.

1953 Przeprowadza zmianę nazwiska. Pseudonim - Waldorff, którego używał od dwudziestu lat, staje się częścią nazwiska.

1954 Występuje w kabarecie „Stańczyk”, prowadzonym przez Artura Maryę Swinarskiego i Antoniego Marianowicza w kawiarni MDM w Warszawie.

1955 Rozpoczyna współpracę jako recenzent muzyczny z tygodnikiem „Świat”.

Ukazuje się zbiór felietonów, satyr i humoresek (głównie z „Przekroju”) Dwie armaty.

1956 Wyrusza w pierwszą po osiemnastu latach przerwy podróż zagraniczną do Szwecji.

Ukazuje się pierwsze wydanie Sekretów Polihymnii, książki, która osiągnęła łącznie ponad ćwierć miliona egzemplarzy nakładu.

1958 Cenzura zatrzymuje książkę pt. Konsul Jego Królewskiej Mości. Dwa opowiadania. Opowiadania zostaną włączone dopiero do tomu Dolina szarej rzeki (1985).

1959 Sporządza testament, w którym swoim spadkobiercą ustanawia Mieczysława Jankowskiego.

1960 Ukazuje się Gorzka sława, opowieść o Karolu Szymanowskim, napisana wspólnie z Leonią Gradstein, ostatnią sekretarką kompozytora.

1961 Tworzy Sekcję Krytyków przy Stowarzyszeniu Polskich Artystów Muzyków i zostaje jej przewodniczącym. Organizuje głośną debatę poświęconą krytyce muzycznej.

1963 Zostaje wiceprzewodniczącym jury I Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (przewodniczy Stefan Kisielewski).

1965 Rozpoczyna w radiu akcję zbierania eksponatów dla Muzeum Teatralnego przy Teatrze Wielkim.

Prowadzi na łamach „Świata” kampanię w obronie Bohdana Wodiczki, dyrektora Teatru Wielkiego.

1966 Ukazuje się książka pod redakcją Waldorffa pt. Krytycy przy okrągłym stole, będąca pokłosiem debaty na temat stanu polskiej krytyki muzycznej.

1967 Podejmuje zainicjowaną przez Zdzisława Sierpińskiego akcję na rzecz wykupienia zakopiańskiej willi Atma i zorganizowania w niej muzeum Karola Szymanowskiego.

Uczestniczy w I Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku.

1968 Staje na czele Komitetu Społecznej Akcji „Atma” i rozpoczyna w mediach zbiórkę pieniędzy na wykupienie willi.

Na Międzynarodowych Targach Płyt i Wydawnictw Muzycznych MIDEM w Cannes prowadzi koncert polskiej muzyki poważnej.

1969 Przestaje ukazywać się tygodnik „Świat”. W 1972 r. ukaże się wybór publikowanych w tygodniku felietonów i polemik Waldorffa pt. Ciach go smykiem.

Wiąże się z redakcją „Polityki”. Szybko zostaje jednym z najbardziej popularnych autorów tygodnika. 1971 Ukazuje się książka poświęcona słynnym kompozytorom i dyrygentom pt. Diabły i anioły.

1972 Toczy na łamach „Polityki” i „Kultury” agresywną polemikę z Ludwikiem Erhardtem na temat popularyzacji i obecności muzyki poważnej w telewizji.

Podpisany zostaje akt zakupu Atmy przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne.

1974 Podczas zebrania założycielskiego Społecznego Komitetu Opieki nad Starymi Powązkami zostaje wybrany na jego prezesa.

1975 1 i 2 listopada na Powązkach odbywa się pierwsza zbiórka pieniędzy na ratowanie cmentarza. Kwestujący zbierają ćwierć miliona złotych.

1976 Podpisuje Memoriał 25, protest środowiska muzycznego przeciwko planowanym zmianom w konstytucji.

Nazwisko Waldorffa trafia na listę tzw. zapisów cenzury. Znika na kilka miesięcy z telewizji, radia i łamów prasy.

1977 Rozpoczyna walkę o uratowanie niszczonego pałacu myśliwskiego Radziwiłłów w Antoninie, w którym dwukrotnie koncertował Fryderyk Chopin.

1979 Ukazuje się tom wspomnień *Moje cienie, bez poświęconego Gałczyńskiemu eseju Czarne owce dla Apolla*. Waldorff składa maszynopis tekstu w Bibliotece Jagiellońskiej i w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

1981 13 grudnia ma przemawiać podczas Kongresu Kultury Polskiej, ale kongres zostaje przerwany przez wprowadzenie stanu wojennego.

1982 Przez pierwszy rok stanu wojennego nie publikuje i nie uczestniczy w życiu muzycznym Polski. Pisze tom opowiadań i wspomnień pt. *Dolina szarej rzeki*. Książka ukazuje się w 1985 roku.

1983 Po rozwiązaniu przez władze reżimowe Związku Literatów Polskich wstępuje do Związku Kompozytorów Polskich.

Wraca na łamy „Polityki”.

1984 Ukazuje się tom *Czarne owce dla Apolla*, zawierający tytułowy esej o

Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim.

1985 W sto dwudziestą piątą rocznicę urodzin Ignacego Jana Paderewskiego doprowadza do ustawienia w Ogrodzie Ujazdowskim pomnika pianisty i premiera wolnej Polski.

1989 Ukazuje się autobiograficzna powieść Fidrek.

1990 Wstępuje do powstałego w nowej Polsce Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Jest wśród pierwszych laureatów przyznawanych przez Stefana Kisielewskiego i tygodnik „Wprost” Nagrody Kisiela.

1991 Rozpoczyna starania o utworzenie w Warszawie Muzeum Ignacego Jana Paderewskiego i Uchodźstwa Polskiego w Ameryce. Muzeum powstaje ostatecznie w 2004 roku.

1994 Ukazuje się książka poświęcona największemu przyjacielowi Waldorffa pt. Słowo o Kisielu.

1995 Doprowadza do pochówku w katedrze warszawskiej prochów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

1996 Ogłasza, że na cmentarzu Powązkowskim odrestaurowano już tysiąc pomników. Zostaje wybrany na „Warszawiaka Stulecia”.

1998 „Iskry” wznawiają książkę Serce w płomieniach. Słowo o Szymanowskim, poszerzone o rozdział poświęcony homoseksualizmowi.

W Niemczech zostaje wydana książka Das wunderbare Überleben, czyli dawna Śmierć miasta, bez informacji o współautorstwie Waldorffa. Spór ze Szpilmanem o prawa autorskie kończy się ugodą. Doprowadza do ustawienia przy Belwederze pomnika Józefa Piłsudskiego.

1999 Wychodzi ostatnia książka Waldorffa, nostalgiczne Moje lampki oliwne.

W grudniu w „Polityce” ukazuje się pierwszy i jedyny felieton z nowego cyklu Dwa Jerze.-, którego autorami mieli być wspólnie Waldorff i Jerzy Kisielewski. 29 grudnia Waldorff umiera.

2000 Kuria warszawska nie pozwala na odprawienie mszy żałobnej w żadnym z warszawskich kościołów. Uroczystości pogrzebowe odbywają się w Teatrze Wielkim oraz w kaplicy cmentarnej na Powązkach.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę serdecznie podziękować kilku osobom za pomoc okazaną mi przy zbieraniu materiałów do tej książki. Pani Barbarze Kuklańskiej, siostrzenicy Jerzego Waldorffa, za

życzliwość i cierpliwość podczas kwerendy w domowym archiwum. Pani Zofii Kucównie za gotowość do podzielenia się ze mną opowieściami o jej przyjaźni z Jerzym Waldorffem. Panu Jerzemu Kisielewskiemu za dziesiątki anegdot z życia Waldorffa oraz cenne rady, gdzie szukać potrzebnych informacji. Panu Tadeuszowi Januszewskiemu za pomoc w dotarciu do waldorffowskich archiwaliów w Muzeum Literatury.

Bez pomocy tych wszystkich osób moja książka byłaby na pewno gorsza.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Andrzej Bernat i Michał Łukaszewicz, Jam nie z roli ani z telewizji... rozmowa z Jerzym

Waldorffem, „Nowe Książki”, nr 1 z 1995 r. Marek Bielacki, Słowo o Waldorffie, „Tygiel Kultury” nr 10-12 z 2000 r. Cmentarz Powązkowski w Warszawie, Warszawa 1984 Marta Fik, Kultura polska po Jalcie. Kromka lat 1944-1981, Londyn 1989 Maria Gordon-Smith, W labiryncie teatru Arnolda Szyfmana, Warszawa 1991 Leonia Gradstein, Jerzy Waldorff, Gorzka sława, Warszawa 1960 Ryszard Marek Groński, Od Siedmiu Kotów do Owcy. Kabaret 1946-1968, Warszawa 1971 Ryszard Marek Groński, Od Stańczyka do STS-u. Satyra polska lat 1944-1956, Warszawa 1974

Roman Jasiński, Zmierzch starego świata, Kraków 2006 Bogusław Kaczyński, Kretowisko, Poznań 1991

Tadeusz Kaczyński, Pojedynek z Jerzym Waldorffem, „Nowe Książki”, nr 11 z 1971 r.

Ludwik Jerzy Kern, Moje abecadho, Kraków 2000

Ludwik Jerzy Kern, Pogaduszki, Kraków 2002

Izolda Kiec, W kabarecie, Wrocław 2004

Stefan Kisielewski, Abecadło Kisiela, Warszawa 1997

Stefan Kisielewski, Dzienniki, Warszawa 1996

Stefan Kisielewski, O szczęśliwym Waldorffie, „Tygodnik Powszechny”, nr 6 z 1972 r. Kazimierz Koźniewski, Historia co tydzień. Szkice o tygodnikach społeczno-kulturalnych 1944-1950, Warszawa 1977 Krytycy przy okrągłym stole, Warszawa 1966

Jarosław Kurski, Aliści Waldorff, „Gazeta Wyborcza”, nr 18 z 2000 r. Marek Kwiatkowski, Muzeum Wychodźstwa Polskiego, Warszawa 2006 Tadeusz Kwiatkowski, Panopticum, Kraków 1995

Andrzej Lisowski, Kotwice pamięci, „Ekspres reporterów”, R. 1985, t. 5, Warszawa 1985

Antoni Marianowicz, Pchli targ po remoncie, Warszawa 2001 Zygmunt Mycielski, Dziennik 1950-1959, Warszawa 2000 Zygmunt Mycielski, Dziennik 1960-1969, Warszawa 2001 O Karolu Szymanowskim. Antologia, opracował Zdzisław Sierpiński, Warszawa 1983 Maciej Pinkwart, Moje Zakopane, czyli Trzydziecia, wspomnienia dostępne w Internecie, www.pinkwart.pl

Maciej Pinkwart, Zakopiańskim szlakiem Karola Szymanowskiego, Warszawa 1998
Joanna Pruszyńska, Kisiel, Warszawa 1998

Krzysztof Ptaszyński, Radziejowice oknem na świat, Radziejowice 2006

Tomasz Raczek, Karuzela z herosami, Michałów-Grabina 2004

Jerzy Radliński, Obywatel Jazz, Kraków 1966

Mieczysław F. Rakowski, Dzienniki 1969-1911, Warszawa 2001

Mieczysław F. Rakowski, Dzienniki 1972-1975, Warszawa 2002

Mieczysław F. Rakowski, Dzienniki 1976-1978, Warszawa 2002

Magdalena Samozwaniec, Na ustach grzechu, Katowice 1957

Marek Saryusz-Wolski Pamięć mam olbrzymią, rozmowa z Jerzym Waldorffem,

„Rzeczpospolita”, nr 1 z 1990 r. Sto lat na Nowym Świecie, Warszawa 1969

Władysław Szpilman, Śmierć miasta. Pamiętniki Władysława Szpilmana 1939-1945.

Opracował Jerzy Waldorff, Warszawa 1946 Władysław Szpilman, Pianista, Kraków 2000

Umarli... Znajomi... Kochani... Powązki 1790-1990 w poezji i prozie, Warszawa 1990

Mariusz Urbanek, Kisielewscy, Warszawa 2006

Jerzy Waldorff, Ciach go smykiem, Kraków 1971

Jerzy Waldorff, Czarne owce dla Apolla, Kraków-Wrocław 1984

Jerzy Waldorff, Diabły i anioły, Kraków 1988

Jerzy Waldorff, Dwie armaty, Warszawa 1955

Jerzy Waldorff, Dolina szarej rzeki, Warszawa 1985

Jerzy Waldorff, Fidrek, Warszawa 1989

Jerzy Waldorff, Godzina policyjna, Kraków 2002

Jerzy Waldorff, Harfy leciały na północ, Warszawa 1968

Jerzy Waldorff, Jan Kiepura, Kraków 1988

Jerzy Waldorff, Moje cienie, Warszawa 1979

Jerzy Waldorff, Moje lampki oliwne, Warszawa 1999

Jerzy Waldorff, Muzyka łagodzi obyczaje, Kraków 1982

Jerzy Waldorff, Sekrety Polihymnii, Warszawa 1956

Jerzy Waldorff, Serce w płomieniach. Słowo o Szymanowskim, Warszawa 1998

Jerzy Waldorff, Słowo o Kisielu, Warszawa 1994
Jerzy Walldorf, Sztuka pod dyktaturą, Warszawa 1939
Jerzy Waldorff, Taniec życia ze śmiercią, Kraków 1984
Jerzy Waldorff, Uszy do góry, Warszawa 1993
Jerzy Waldorff, Wielka gra, Warszawa 1993
Jerzy Waldorff, Zbuntowane uszy, Kraków 1962

Warszawska premiera. Opowieść filmowa napisana przez Jerzego Waldorffa, Warszawa 1951
Wojciech Wiśniewski, Tego się nie dowiecie w szkole, Warszawa 1983
Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim, Warszawa 1961

INDEKS

A

Achilles, wuj J. Waldorffa 22
Aleksander Wielki, wódz 269
Alik, kuzyn J. Waldorffa 22
Andrycz Nina 165, 246, 280
Andrzejewski Jerzy 57, 58, 68, 70, 84, 85, 110, 111, 158, 177, 216, 241, 271
Arciszewska Zofia 60
Arski Stefan 207
Arystoteles 234
August III Mocny, król Polski 12

B

Bacewicz Grażyna 85
Bach Jan Sebastian 76, 152
Baird Tadeusz 173, 225
Bajkowski Jan 68
Bakalowiczowa Wiktoryna 279
Balcerowicz Leszek 292
Balicki Stanisław Witold 212, 213
Balzak Honoriusz 165
Bandrowska-Turska Ewa 83, 84, 89
Barańczak Stanisław 241
Bardini Aleksander 202
Baszanowski Waldemar 280
Beethoven Ludwig van 52, 76, 87, 180
Berezowska Maja 39, 226, 294
Berman Jakub 73, 137
Berskijan 290

Bielecki Jan Krzysztof 291
Bielicka Hanka 77, 280
Biermann Wolf 160
Biernacki-Kostek Waclaw 134
Bierut Bolesław 137
Bizet Georges 87, 213
Blikle, właściciel cukierni w Warszawie
282, 318 Bogusławski Wojciech 221, 273 Bohdziewicz Antoni 85, 274, 276
Bonaparte Napoleon, cesarz Francuzów
12,195, 306 Bonawentura, boy hotelowy 9 Borejsza Jerzy 134, 135
Borkowski Witold 102 Borodziej Stanisław 137, 321 Boromeusz Karol 276
Boulanger Nadia 73 Boziewicz Władysław 236 Boznańska Olga 58, 59 Brahms Johannes
118, 243, 244 Brandys Kazimierz 177, 241 Brandys Marian 241 Branicka-Wolska Anna 5
Braun Mieczysław 71, 72 Brecht Bertolt 39 Breza Tadeusz 55 Brody Adrien 163 Broniewski
Władysław 51, 111 Bronowicz-Chylińska Teresa 201, 202 Brudziński Wiesław 172
Brzechwa Jan 172 Buczyńska Ziuta 97 Budzisz-Krzyżanowska Teresa 249 Buhler Josef 134
Bujnicki Teodor 70, 71 Bukowska-Hesse Barbara 86, 213, 214 Buzek Jerzy 320 Bytnerowicz
Jerzy 214 c
Callas Maria 288
Cezanne Paul 67
Chaplin Charlie 126
Chopin Fryderyk 31, 55, 76, 78, 87, 94,
202, 225, 242, 243, 246, 247, 287,
288, 308, 321 Chruścicki Tadeusz 232 Chwistek Leon 226 Ciecierski Jan 88, 124
Cocteau Jean 271, 294 Colonna-Walewska Konstancja 148 Conti Henryk 78 Courtenay Piotr
de 282 Cranachowie, bracia 296 Cyganik Henryk 129 Cyrankiewicz Józef 246, 280
Czajkowski Piotr 87, 271
Czartoryska Ludwika z Krasieńskich 86, 87
Czermański Zdzisław 246 Czerny-Stefańska Halina 213, 249
D
Dańczak Czesław 87 Dąbrowska Krystyna „Kicia” 225, 231, 232
Dąbrowska Maria 111, 305
Dąbrówka, królowa Polski 26
Dąbska Alfonsowa, prababka po mieczu J. Waldorffa 12

Debussy Claude 52
Degrelle Leon 59, 60
Demarczyk Ewa 208, 214, 215
Didur Adam 82
Dietrich Marlena 216
Długosz Jan 11
Dmowski Roman 73
Dobosz Andrzej 24
Doboszyński Adam 57
Dobraczyński Jan 42, 113, 267
Dobrowolski Stanisław Ryszard 156
Dostojewski Fiodor 67
Drawicz Andrzej 292
Drobner Bolesław 128
Drobnikowa, przyjaciółka matki J. Waldorffa 27
Drzewiecki Zbigniew 84, 225
Dubiska Ewa 84
Dubiska Irena 95, 241
Duszyński Jerzy 77, 165
Dyck Anton van 296
Dyगत Stanisław 84
Dziedzińska Grażyna 137
Dziwisz Stanisław 315
E
Eggert Marta 238
Eile Marian 108, 110, 111, 116, 118, 119, 120, 121, 122, 124, 125, 128, 132, 138, 147,
151, 250
Ekierjan 6, 77, 84, 96
Elsner Józef 273, 293
Erhardt Ludwik 204, 205, 214, 219, 235, 236
Estreicherowie, profesorstwo 113 Ewelina, towarzyszka J. Waldorffa na balu 38
Eysmondowa Maria 80
F
Fabre Władysław 52

Ferster Karol 168

Fertak Kazimierz 135, 136, 137

Fijałkowski Wojciech 296

Fischer Frane 280

Flora, żona Jerzego Zaruby 9

Fołtyn Maria 241

Frajlich Anna 162

Frank Hans 134

Friedman Ignacy 52

Furtwangler Wilhelm 55, 205

G

Gadomski Bohdan 6 Gadzinowski Piotr 321 Galiński Tadeusz 212 Galiński, właściciel kawiarni w Warszawie 263

Gałczyńska Kira 142, 144, 145, 150,

151, 152, 261 Gałczyńska Natalia 9, 76, 81, 120, 141,

142, 144, 145, 146, 147, 148, 149,

150, 252

Gałczyński Konstanty Ildefons 9, 57, 60, 70, 71, 78, 111, 119, 120, 121, 122, 124, 128, 129, 139, 140, 141, 142, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 152, 177, 247, 261

Gałoński Stanisław 244

Caveau Colette 55

Gawroński, szef wydziału kultury KC

PZPR 242 Geitl Klaus 192, 193 Genet Jean 271 Gerlecki Stanisław 85 Gide André 271 Giedroyc Jerzy 73, 175 Gierek Edward 184, 230, 237, 262 Glemp Józef 293, 300 Gliński Wienczysław 172 Godebski Cyprian 273

Godlewski Julian 227 Goetel Ferdynand 88 Gogh Vincent van 296 Gogolewski Ignacy 249 Gojawiczyńska Pola 94 Goldbergowa Krystyna 169 Gołubiew Antoni 120 Gombrowicz Witold 57, 247 Gomułka Władysław 174, 181, 193, 210, 230

Gordon-Smith Maria 213

Goya Francisco 296

Gozdawa Zdzisław 172

Gradstein Leonia 200, 201, 202, 207

Grieg Edward 87

Grodzieńska Stefania 124, 172

Groński Ryszard Marek 125, 126, 128, 170, 172

Grossówna Helena 39

Grottger Artur 120

Grydzewski Mieczysław 70

Grynberg Henryk 159, 161

Guzik, urzędniczka ds. kultury w Krakowie 244

H

Haberbusch, właściciel browaru 140 Habsburg Karol Olbracht 132 Hamilton (właśc. Jan Zbigniew Słow-
ski) 236 Hara Chieko 55 Harwood Ronald 163 Helena, szwagierka S.
Kisielewskiego

177

Hemar Marian 39, 119, 194

Hen Józef 170

Herbert Zbigniew 241

Hertz Paweł 208

Himmler Heinrich 134

Hiszpański Stanisław 42

Hider Adolf 58, 59, 62, 65, 68, 70,

72, 75, 114, 126, 161, 162, 193 Hłasko Marek 170 Hofmokl-Ostrowski Zygmunt 54

Hosenfeld Wilm 155, 156, 160, 162 Hulewicz Jerzy 51 Humperdinck Engelbert 22

I

Ibis-Wróblewski Andrzej 244

Ikonowicz, profesor 30

Iłakowiczówna Kazimiera 57

Iłowiecki Maciej 234

Iphorska Janina (ps. Jan Kamyczek) 108, 110, 116, 120, 128, 138, 151

Irzykowski Karol 57, 68, 80

Isio, przyjaciel z gimnazjum J. Waldorffa 10, 39, 40, 43, 44, 47, 48, 49

Iwaszkiewicz Jarosław 84, 88, 94, 95, 97, 111, 168, 169, 201, 202, 215, 271, 305

J

Jabłoński Henryk 244

Jabłoński Krzysztof 214

Jagiello Władysław, król Polski 5, 16

Jan Paweł II, papież 293, 296, 315

Jankowski Mieczysław 8, 9, 10, 43, 74, 77, 78, 90, 91, 92, 94, 95, 97, 99, 100, 102, 104, 106, 111, 150, 151, 164, 181, 190, 221, 222, 224, 244, 248, 298, 315, 316, 319, 320

Janowska Alina 87, 282

Jaracz Stefan 58, 67, 226

Jarocki Robert 284, 286

Järosy Fryderyk 119, 124

Jaroszewicz Włodzimierz 207

Jaruzelski Bolesław 42, 266

Jaruzelski Wojciech 42, 256, 257, 266

Jasienica Paweł 111

Jasiński Roman 94, 95, 97, 106, 154,

166, 273 Jaworski Marek 257 Jedlicki Jerzy 257 Jędrusik Kalina 280 Juliana, księżniczka holenderska 58 Juliusz II, papież 62

K

Kaczyński Bogusław 288, 290, 291 Kaczyński Tadeusz 215, 254 Kaden-Bandrowski Juliusz 60, 68, 69 Kalergis Maria 165 Kałużyński Zygmunt 234 Karajan Herbert von 205

Karłowicz Mieczysław 87, 273

Karny Alfons 152

Karpiński Światopełk 77

Karpiński, partner brydżowy w Stawisku 95

Kasprowicz Jan 12

Kawecka Wiktoria 35

Kazuro Stanisław 87

Kennedy John Fitzgerald 207

Kern Ludwik Jerzy 116, 118, 119, 129, 130, 138, 189, 218, 308

Kestowicz Zygmunt 77

Kiepusa Jan 24, 54, 238

Kijowski Andrzej 257

Kilian Adam 320

Miński Jan 273

Kisielewska Lidia 10, 106, 111, 176, 177, 178, 181, 182, 184, 188, 189, 190

Kisielewska Maryta 319

Kisielewski Jerzy 74, 100, 102, 155, 159, 178, 180, 182, 183, 184, 188, 189, 190, 213, 218, 219, 221, 222, 224, 237, 240, 249, 255, 272, 286, 294, 296, 297, 298, 300, 301, 302, 305,

306, 307, 310, 315, 319, 320

Kisielewski Józef 57

Kisielewski Stefan (ps. Julia Hołyńska, Jerzy Mrugacz) 10, 73, 106, 108, 110, 111, 114, 120, 129, 131, 135, 146, 175, 176, 177, 178, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 188, 190, 194, 206, 207, 208, 218, 235, 237, 241, 267

Kisielewski Waclaw 106, 177, 180, 181,

214, 215 Kitschmann Anda 121 Kliszko Zenon 210 Kochanowski Jan 96 Koecher Jan 165 Kollataj Hugo 273 Komar Władysław 280 Komorowska Maja 280 Komorowski Ignacy 279 Kopernik Mikołaj 244, 308 Kord Kazimierz 237 Korda Wojciech 227

Korian Tola 39 Korytowscy, bracia 27 Kostrzewska Barbara 165 KottJan 111 Kowalska Anna 84

Kowalski, proboszcz z Trzemeszna 24, 26

Kozubski Włodzimierz 50, 51, 76, 86 Koźniewski Kazimierz 115, 116, 118, 287

Kramsztyk Roman 163 Krasicki Janek 147 Kruczkowski Leon 57 Krzyszkowska Maria 102 Kubik Mariusz 155, 156, 159 Kucówna Zofia 99, 222, 248, 249, 262,

280, 282, 298, 311, 315, 317 Kulaszewicz Jan 204, 205 Kulka Konstanty Andrzej 214 Kurek Jalu 177

Kurhanowa Zofia 16, 17, 35, 100

Kurnakowicz Jan 77, 165

Kurski Jarosław 77, 92, 99, 214, 236,

296, 217 Kuryluk Karol 176 Kuśniewicz Andrzej 151 Kutschera Franz 90

Kwaśniewski Aleksander 297, 298, 306, 307

Kwiatkowska Irena 121, 122, 125, 126,

128, 280 Kwiatkowski Marek 292, 293, 306 Kydryński Juliusz 151

L

Lardelli, właściciel kawiarni w Warszawie 82, 83 Latoszewski Zygmunt 82 Laura, donna, ciotka Isia 48 Lec Stanisław Jerzy 170 Lechoń Jan 226 Lenin Włodzimierz 147 Leonardo da Vinci 271 Leonciak Jacek 161 Lepper Andrzej 308 Leszczyńska Maria, królowa Francji 31 Leszczyński Bolesław 273

Lewicka Helena 154

Lichniak Zygmunt 131, 132, 133

Lilpop Stanisław Wilhelm 94

Lilpopówna-Iwaszkiewicz Anna 94

Lilpopówny, siostry 226

Limanowski Bolesław 273
Lindley William ojciec 13
Lindley William syn 13
Lindner Maks 244
Lipińska Hanna 86
Lipiński Eryk 86, 172
Lipski Jan Józef 130
Lisowski Andrzej 26, 240, 242, 262,
276, 278, 279, 282 Liszt Franciszek 87, 243, 244 Lorentz Stanisław 94, 95, 96, 278,
306 Loska Krystyna 280 Lubomirska, księżna 16 Ludwik Święty, król Francji 11 Lutosławski
Witold 83, 86, 87, 208, 225,
296, 297

Ł

Łapicki Andrzej 172 Łukaszewicz Jerzy 261, 291 Łukaszewicz Olgierd 249

M

Majdrowicz Jan 178, 210, 222
Makólska Irena 130
Makólski Andrzej (ps. Mały Jędrek) 130
Makuszyński Kornel 111, 226
Malaparte Curzio 65
Malczewski Antoni 273
Malczewski Jacek 226
Małcużyński Karol 210
Małcużyński Witold 55, 214
Manchon-Theis Jeanie 51
Mann Tomasz 271
Marconi Henryk 273
Marianowicz Antoni 159, 160, 172, 173
Marinetti Filippo Tommato 65
Marks Karol 44, 198
Markuszewski Jerzy 257
Maszyński Mariusz 88, 90
Matuszewski Ryszard 151
Matynia Andrzej 210

Mazowiecki Tadeusz 186, 282, 294 Mela, koleżanka z lat szkolnych J. Waldorffa 44
Menjon Adolphe 32 Merlini Dominik 273 Messal Lucyna (Messalka) 169, 170 Michalik
Józef 320
Michał, kolega szkolny J. Waldorffa 28, 30, 39, 43, 44, 48
Michał Anioł (właśc. Michelangelo Buonarotti) 61, 271
Michnik Adam 246
Miciński Bolesław 57, 68, 78, 140
Mickiewicz Adam 78, 96, 188, 288, 308
Mickiewicz Władysław 151 Mickiewiczówna Helena 172 Miedza-Tomaszewski
Stanisław 80 Mieszkowska Anna 162 Międzyrzecki Artur 208 Miklaszewski Gwidon 108
Mikołajska Halina 241, 257 Mikulski Stanisław 280 Miłosz Czesław 70, 85, 111, 147
Minkiewicz Janusz 57, 77, 172, 202 Młynarski Wojciech 208 Modrzejewska Helena 237
Molier (właśc. Jean-Baptiste Poquelin) 58
Moltke Hans von 55
Mołotow Wiaczesław 308
Moniuszko Stanisław 87, 88, 165, 166, 211, 273, 301
Monteux Pierre 205
Morawska Maria 84
Morawski Kazimierz 84
Morka Stanisław 296
MosdorfJan57, 81, 82
Motyka Lucjan 212
Mozart Amadeusz 87, 247
Mozart Leopold 88
Mrozek Sławomir 177
Muraszowa, właścicielka szkoły tańca 100
Mussolini Benito (właśc. Amilcaro Andréa) 61, 64, 65, 66, 68, 153
Mycielska, właścicielka baru na pl. Trzech Krzyży 107
Mycielski Zygmunt 106, 107, 168, 200, 201, 204, 207, 208
N
Nałkowska Zofia 68, 94, 104, 226, 269, 305
Napoleon III, cesarz Francji 17
Nardelli Zdzisław 148
Nazarowa-Wnuk Joanna 291

Niedzielscy, rodzina 120

Niemen Czesław 214

Niesiecki Kasper 11

Niewczyk Stefan 238, 240

Niewęłowski Wiesław 319, 320

Niżyński Wacław 102

Norwid Cyprian Kamil 188

Nowaczyński Adolf 57, 68, 88, 113

Noworolski, właściciel kawiarni w Krakowie 250

Nowosielska Krystyna 99

Nowotko Marcei 14

O

Odyniec Antoni Edward 273 Offenbach Jakub 129, 202 Ojstrach Dawid 174

Olbrychski Daniel 280 Olejniczak Janusz 249 Olsza Tadeusz 121 Ordonówna Hanka 6, 77, 119, 237 Osiecka Agnieszka 280 Osterwa Juliusz 293 Ostrowski Stefan 306 Otwinowski Stefan 110

P

Paderewski Ignacy Jan 22, 55, 243, 246,

261, 262, 263, 292 Padlewski Roman 83 Paleczny Piotr 214 Panufnik Andrzej 83, 86, 87 Parandowski Jan 111, 228 Parnicki Teodor 57

Paruszevska Agnieszka, praprababka

J. Waldorffa 11 Paskiewicz Iwan 18 Passendorfer Jerzy 246

Passent Daniel 234 Pawlikowski Adam 166 Pelcling Julia 68 Penderecki Krzysztof 228, 244 Perkowski Piotr 85, 87, 129, 232 Piasecka Irena 113

Piasecki Stanisław 57, 58, 60, 61, 68, 73, 77, 81, 82, 113, 114, 142, 170, 175

Picasso Pablo 111

Pietrasik Zdzisław 302, 307, 310

Piętak Stanisław 84

Piłsudski Józef 51, 114, 274, 305, 306, 307

Pinkwart Maciej 222, 228, 231, 232

Pius XII, papież 134

Platon 269, 271

Pociej Bohdan 203, 208

Pogorzelska Zula 119

Pol Wincenty 12
Polański Roman 163
Pomianowski Jerzy 170
Poniatowski Józef 11
Poniatowski Michał 274
Poniatowski Stanisław August, król Polski 247, 300, 301, 302
Poradowski Stefan 206
Porczyńska Janina 296
Porczyński Zbigniew 296
Porębski Mieczysław 208
Praga Rafał 164
Preyss Apolinary, dziadek po mieczu J. Waldorffa 12, 13
Preyss Joanna z Wróblewskich, matka J. Waldorffa 13, 16, 20, 21, 24, 27, 28, 30, 31, 32, 34, 35, 36, 40, 42, 48, 50, 55, 61, 74, 76, 80, 85, 97, 100, 106, 120, 141, 142, 148, 175
Preyss Maria, siostra J. Waldorffa 18, 20, 27, 30, 31, 42, 106
Preyss Witold, ojciec J. Waldorffa 12, 13, 17, 20, 21, 22, 24, 30, 31, 34, 35, 39, 42, 48
Preyssowa Kamilla z Waskiewiczów, babka po mieczuj. Waldorffa 11, 21
Proust Marcel 36, 55, 271
Prus Bolesław 185, 279, 302
Pruszkowski Tadeusz 81 Pruszyńska Joanna 176 Pruszyński Ksawery 111 Pszoniak Wojciech 280 Ptaszyński Krzysztof 249, 311 Puccini Giacomo 35, 87, 204 Puget Ludwik 39 Pussak Kazimierz 242, 243 Putrament Jerzy 70, 149

R

Rachmaninow Sergiusz 271
Raczek Tomasz 9, 11, 50, 51, 81, 186, 213, 221, 306, 311 Radgowski Michał 234 Radkiewicz Stanisław 244 Radliński Jerzy 172 Radziwiłł Antoni 242 Rakowski Mieczysław Franciszek 234, 235, 237, 241, 246 Rapacki Wincenty 273 Ravel Maurice 52, 85, 201, 321 Raczkowski Feliks 89 Regamey Konstanty 58, 81, 82, 84, 85, 175
Rembrandt 50, 296 Renoir Auguste 296 Ribbentrop Joachim von 308 Rimbaud Artur 271 Rogoziński Julian 241 Rojewski Jan 172 Roman Adam 321 Rossini Gioacchino Antonio 87 Rostropowicz Mściśław 207 Rostworowski Marek 291, 292, 293 Rousseau Jan Jakub 247 Rowicki Witold 212, 213 Różański Jacek 73, 134 Różewicz Stanisław 165 Różewicz Tadeusz

177 Różycki Lubomir 211 Rubens 50, 296

Rubinstein Artur 36,221, 226,243,311

Rudnicki Adolf 170

Rudnicki Edmund 87, 89, 90, 94

Rudziński Witold 73

Rusowicz Ada 227

Rybkowski Jan 165 Rydzewski Henryk 87 Rydz-Śmigły Edward 42, 274 Rytel Piotr 73, 74

S

Samozwaniec Magdalena 18, 172 Sapięha Adam 135 Satanowski Robert 213, 266, 267 Schiele, właściciel browaru 140 Schinkel Karol Friedrich 242 Schubert Franciszek 87 Schumann Robert 52 Sempoliński Ludwik 77, 126, 128 Serocki Kazimierz 173, 175 Sierpiński Zdzisław 169, 225, 232, 233,

237, 264 Sikorski Kazimierz 230 Skafon Geоргij Antonowicz 169 Skarżyńscy 151 Skłodowska-Curie Maria 16 Skwara Zdzisław 87 Słobodnik Włodzimierz 151 Słonimski Antoni 39, 57, 67, 72, 111,

139, 140, 150, 194, 241, 286 Słowacki Juliusz 78, 188 Smetona Antanas 77 Smosarska Jadwiga 78 Sobański Antoni 142 Sokorski Włodzimierz 151 Sokrates 269, 271 Solska Irena 226 Srokowski Jerzy 86 Staff Leopold 111, 297 Stalin Józef Wissarionowicz 116, 118,

137, 170, 207 Stanek Karin 208

Starowieyska-Morstinowa Zofia 111,

131, 132 Stępień Wiesław 172 Stiller Robert 132 Stomma Stanisław 241 Straszewicz Czesław 68 Strawiński Igor 73, 201, 250 Streicher Juliusz 72 Stryjeński Karol 142 Strzelecki Tomasz 321

Surzyński Władysław 77, 78 Swinarski Artur Marya 39, 172 Sygietyński Tadeusz 104 Szaflarska Danuta 6, 77, 78, 165, 172 Szaniawski Klemens 70, 257 Szczepański Jan Józef 241 Szczepański Maciej 237 Szczepkowski Andrzej 172 Szczypiorski Andrzej 84, 257 Szelestowski Stefan 176 Szewińska Irena 280 Szopski Marian 172 Szpilman Andrzej 153, 156, 160, 161, 162, 163

Szpilman Władysław 153, 154, 155, 156, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 172, 201

Szpinalski Stanisław 78

Szukalski Stanisław 58, 139

Szuster Franciszek Karol, dziadek po kądzieli J. Waldorffa 5, 11, 13, 76, 85, 144, 274,

- Szuster Żania, prababka po kądzieli J. Waldorffa 16
- Szwarcman Dorota 290
- Szydłowski Roman 120
- Szyfman Arnold 213
- Szymanowski Karol 36, 38, 73, 83, 87, 142, 200, 201, 202, 207, 211, 214, 220, 222, 225, 227, 228, 230, 232, 233, 241, 269, 288, 301, 321
- Szymański Józef 11
- Szymborska Wisława 177 ś
- Śledziński Stefan 80 Śnieg-Czaplewska Liliana 246 Światło Józef 246 Świrczyńska Anna 86
- T
- Talich Vaclav 205 Tarnowski Jan 142 Taube Adam 225 Tejchma Józef 241 Toeplitz Krzysztof Teodor 261 Tomaszewski Bohdan 280
- Tomaszewski Marek 180, 181, 214, 215
- Treter Mieczysław 68 Troczyński Konstanty 68 Turowicz Jerzy 129, 186, 267 Turska Irena 102 Turski Zbigniew 85
- Tuwim Julian 111, 112, 119, 139, 151, 194, 226
- Tycjan (właśc. Tiziano Vecello) 296 Tyrmand Leopold 77, 170 Tyszkiewicz Michał 6, 77, 237 Tyszkiewicz, znajomy J. Waldorffa z wędrówki do Wilna 77
- U
- Uchański Wiesław 153, 169, 221 269, 271, 315 Umiastowski Roman 75 Umińska Eugenia 84, 89, 90, 96 Urban Jerzy 234, 256, 262, 284, 286, 290
- V
- Valentino Rudolf 36 Velasquez Diego 296 Verdi Giuseppe 87 Verlain Paul 271
- Vivier Joanna primo voto Szusterowa z Pieszczyńskich, cioteczna prababka J. Waldorffa 16
- W
- Wajda Andrzej 305
- Walczakowa Zofia 227, 230, 231
- Walicki Franciszek 77
- Wałęsa Lech 186, 294

Warnecki Janusz 165
Warneńczyk Władysław, król Polski 271
Wasiutyński Wojciech 57, 60
Waskiewicz Wincenty, prapradziadek
J. Waldorffa 12 Waskiewiczówna Wanda, pierwsza żona
W. Preyssa 13 Ważyk Adam 104 Wedel Emil 96 Wermińska Wanda 54
Węgrzyn Józef 104 Wielopolska Maria Jehanne 55 Wielopolska, margrabina 113
Wierzyński Kazimierz 226 Wilkomirska Wanda 234 Winiewicz Józef 194 Wiśniewski Stefan
84, 96 Witkiewicz Stanisław Ignacy (ps. Witkacy) 226 Własow Andriej 92
Wodiczko Bohdan 202, 211, 212, 220
Wodiczkowa Irena 236 Wodzińska Maria 247 Wojciech, święty 26 Wojtczak Edyta
280 Wolanowski Lucjan 170 Woronicz Jan Paweł 292 Woytowicz Bolesław 82, 83 Woźny
Bonifacy 136 Wójcikowski Leon 102 Wroński Stanisław 184 Wyszyński Stefan 136, 170,
174, 191, 321
Z
Zagórska Maryna 145
Zagórski Jerzy 145
Zagórski Zbigniew Paweł 163
Zan Tomasz 12
Zaruba Jerzy 9
Zarzecki Henryk 230
Zarzycki Jerzy 158
Zawadzka Magdalena 297
Zawieyski Jerzy 177
Zelwerowicz Krystyna 122
Ziemiańska Maria 294
Ziemny Aleksander 120, 148
Zimand Roman 257
Zimińska Mira 104, 111, 119, 165, 280
Zimmerman Krystian 190, 214, 310 ż
Żeleński Tadeusz (ps. Boy) 55, 126,
136, 186 Żeromski Stefan 305 Żukrowski Wojciech 57, 130, 156 Żuławski Andrzej
301 Żygulski Zdzisław 260, 284